



JILLIAN CANTOR
STRACONY
LIST

MARGINESY

JILLIAN CANTOR
**STRACONY
LIST**

PRZEŁOŻYŁA
KATARZYNA ROSŁAN

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Austria, 1939

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Los Angeles, 1989

Austria, 1938

Cardiff, 1989

Austria, 1938

Walia, 1989

Austria, 1938
Walia, 1989
Austria, 1939
Oksford, 1989
Austria, 1939
Los Angeles, 1989
Austria, 1939
Coronado, 1989
Austria, 1939
Los Angeles, 1989
Austria, 1939
Los Angeles, 1989
Austria, 1939
Los Angeles, 1989
Los Angeles, 1990
Niemcy, 1990
Austria, 1939
Niemcy, 1990
Los Angeles, 1990
Los Angeles, 1991
Austria, 1939
Los Angeles, 1991

Od Autorki

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału THE LOST LETTER
Przekład KATARZYNA ROSŁAN

Wydawca KATARZYNA RUDZKA
Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KRYSTIAN GAIK
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki ZESPÓŁ
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com
Zdjęcie na okładce © Stephen Mulcahey / Arcangel

The Lost Letter

Copyright © 2017 by Jillian Cantor.

By arrangement with the author. All rights reserved.

Copyright © for the translation by Katarzyna Rosłan

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

Warszawa 2019
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66140-20-2

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla babci Bei i dziadka Milta. Pamiętam

[Szarotka] to roślina alpejska [...] która rośnie na granicy wiecznego śniegu, a nawet pod śniegiem. [...] Tylko najśmielsi pastarze kóz i myśliwi są w stanie zdobyć ów odporny na zimno kwiat. Jego posiadanie to dowód niezwyklej odwagi.

Berthold Auerbach, *Edelweiss*

AUSTRIA, 1939

Mocno ściskała w dłoniach listy, uważając, by nie uszkodzić znaczków. Padał śnieg. Marzły jej palce u stóp, przez zdarte podeszwy butów przenikała zimna wilgoć, mimo to szła przez las, chroniąc listy pod płaszczem, by nie zamokły. „Jeszcze tylko parę kroków” – powtarzała sobie. To była nieprawda, ale szła dalej.

„Jeszcze parę kroków. Jeszcze parę”.

Musiła tylko dotrzeć do miasteczka i nadać listy na pocztę przy Wien Allee. Wystarczy je wysłać i wszystko będzie dobrze.

To też była nieprawda, rzecz jasna. Ale mimo to brnęła dalej przez śnieg.

Dotarła do skraju lasu i przez wirujące płatki śniegu, w niebieskoróżowym świetle przedświtów zobaczyła majaczące w dali czerwone dachy – te, które się jeszcze ostały.

Wien Allee. Już prawie tam była.

Nagły cios zimną kolbą w skroń tak ją zaskoczył, że nawet nie krzyknęła. Ktoś szarpnął ją za ramię i upuściła listy, które rozsypały się na nienaruszonym śniegu.

LOS ANGELES, 1989

Kiedy pierwszy raz podjeżdżam pod sklep filatelistyczny, nawet nie chce mi się wysiadać z samochodu. Jak na tutejszy klimat poranek jest wyjątkowo chłodny, a ja nie wzięłam nic ciepłego. Poza tym to pewnie i tak strata czasu.

Bagażnik mojego hatchbacka jest po brzegi wypełniony zawartością gabinetu ojca – grubymi klaserami, w których pod przeźroczystymi paskami gęsto upchane są znaczki, oraz plastikowymi pudłami pełnymi zdobyczy ze sklepów z różną starzyzną – głównie pożółkłych listów napisanych w bliższej lub odleglejszej przeszłości, nigdy niewysłanych lub nieotwartych, nieodmiennie z naklejonym na kopercie znaczkiem. Jeżeli nie pozbędę się tego ładunku, będę musiała umieścić go gdzieś u siebie. Poza tym czuję się zobowiązana przynajmniej spróbować coś z tym wszystkim zrobić. Ta myśl motywuje mnie do działania – wysiadam z samochodu i otwieram bagażnik.

W dzieciństwie często szwendałam się z tatą po sklepach ze starzyzną i wyprzedażach garażowych, które odbywały się w weekendy. Przesiewaliśmy to, co inni uznali za niepotrzebne, w poszukiwaniu starego listu lub kolekcji znaczków należącej do kogoś, kto już odszedł i nie mógł się nią dłużej cieszyć. Zawsze pytałam ojca, czego konkretnie szuka, a on odwracał się do mnie i mówił z uśmiechem: „Klejnotu”. Tym właśnie – klejnotami – są dla niego znaczki. Lub raczej były. Diamentami, rubinami, szafirami. Tata uważał się za jubilera, który potrafi dostrzec i skazy, i piękno w czymś, co w oczach świata zdaje się zupełnie nieciekawe. Pewnego razu pojechaliśmy całą rodziną do Waszyngtonu i tam, w Instytucie Smithsona, oglądaliśmy diament Hope. Wtedy tata powiedział: „O, właśnie czegoś takiego szukam, Kate”. Szczerze mówiąc, wątpiłam, że znajdzie to akurat na wyprzedażach i w sklepach z używanymi gratami rozsianych po południowej Kalifornii.

Według taty takim diamentem miał być znaczek pomyłka. Znaczek rzadki, bo wydany zbyt wcześnie lub zbyt późno albo wydrukowany z błędem. A wszystkie te pudła, upchnięte teraz u mnie w bagażniku, były owocem po-

szukiwań owego przypadkowego, wyjątkowego egzemplarza w morzu małych papierowych kwadracików.

Ja, kiedy patrzę na znaczki, widzę tylko papier i tusz. Traktuję je jako środek wiodący do celu, użyteczne narzędzie. Dzięki nim moje listy dochodzą do adresatów, otrzymuję rachunki do zapłacenia i kontaktuję się z Karen, moją przyjaciółką, która w zeszłym roku wyprowadziła się do Connecticut. A ostatnio znaczki gapią się na mnie z kuchennego blatu – trzy, z kwiatuśkami, naklejone przez Daniela jeden obok drugiego na szarą kopertę, której do tej pory nie otworzyłam. Koniec wszystkiego. Nienawidzę tej ostateczności i dlatego jeszcze nie rozciąłam koperty.

Jestem pewna, że ojca, który raczej nie przepadał za Danielem, zirytowałby wybór znaczków z kwiatkami na tego typu przesyłkę. Ale ojciec nic nie wie. A nawet gdyby wiedział, i tak by pewnie nie pamiętał.

*

Sklep filatelistyczny zajmował niewyróżniające się niczym pomieszczenie wciśnięte w ciąg lokali handlowych nieopodal skrzyżowania Czterysta Piątej i Sto Pierwszej na skraju dzielnicy Sherman Oaks. Nie jest to bynajmniej miejsce, w którym spodziewałabym się znaleźć jakiś skarb. Ale trudno, już przyjechałam, w dodatku jestem umówiona. Wyjmuję z samochodu pierwszych parę plastikowych skrzynek i wchodzę do środka.

Właściciel sklepu, filatelista Benjamin Grossman, siedzi za biurkiem zawalonym czym się tylko da. W rogu blatu stoi mały czarno-biały telewizor. Mężczyzna ogląda wiadomości, w których jest wyświetlana relacja z wczorajszych wydarzeń w Berlinie Wschodnim.

Na mój widok podnosi głowę, ale nie wyłącza odbiornika. Jest młodszy, niż się wydaje przez telefon. Zbieranie znaczków zawsze kojarzyło mi się z emeryckim hobby, oczekiwałam więc kogoś starszego. Ale Benjamin wygląda, jakby był w moim wieku, przed czterdziestką lub może ciut po. Ma okulary w drucianych oprawkach i jasnobrązowe kręcone włosy.

– Pani Nelson? – pyta.

Wciąż nie jestem pewna, co zrobić z tym nazwiskiem po mężu.

– Katie – odpowiadam, nagle podejmując decyzję.

– Uhm, Katie – powtarza, rozkojarzony. Chyba nie może mu być bardziej wszystko jedno, jak się nazywam. Wyciąga rękę i porusza anteną telewizorka, by poprawić obraz. Odnoszę wrażenie, że mu w czymś przeszkadzam, mimo że byłam umówiona.

– Yy, co mam z tym zrobić? – pytam. Pudła swoje ważą.

– Oj, przepraszam. Można postawić. Tu gdzieś, na biurku. – Benjamin zostawia antenę w spokoju i siada.

Rozglądam się po zagraconym blacie.

– Gdziekolwiek – dodaje, a ja stawiam ładunek na jakichś papierach. Filatelista nachyla się i przez chwilę w skupieniu grzebie w swoim bałaganie, a mnie ogarnia ciekawość, jak to się stało, że został filatelistą. Jaki kierunek studiów trzeba skończyć lub z czego zdać maturę, by wziąć się za to zajęcie? Historię? Ja skończyłam filologię angielską i pracuję w magazynie lifestylowym, gdzie prowadzę rubrykę filmową. To niezbyt dobrze płatne, ale za to rozrywkowe zajęcie – a przynajmniej było takie do niedawna.

– Przejrzę to – głos Grossmana wyrywa mnie z zamyślenia – i zadzwonię. Dam znać, co i jak. – Opowiedziałam mu już przez telefon o ojcu, jego szwankującej pamięci, niemożności dalszego prowadzenia kolekcji i uprzczywym twierdzeniu, że zawiera ona klejnoty. Przez całe życie słyszałam, że kiedy się zestarzeje, przekaze mi swoje skarby. Powtórzył to również parę miesięcy temu, gdy umieściłam go w domu opieki The Willows. Ale szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, co miałabym z tymi skarbami zrobić. I właśnie dlatego tu jestem.

Wychodzę do samochodu po kolejną porcję plastikowych skrzynek, a kiedy znowu pojawia się w kantorku, Benjamin unosi brwi i ponownie, tak jak przed chwilą, odrywa się od wiadomości.

– Tego jest więcej? – pyta, a ja kiwam głową. – Przepraszam, pomogę. – Wstaje i wychodzi za mną na parking. – Nie wiedziałem, nie chciałem być niegrzeczny.

– Nic się nie stało – odpowiadam. Nie mam ochoty na wymianę uprzejmości.

Benjamin mówi jednak dalej:

– Nie zdawałem sobie sprawy, że ojciec aż tyle zgromadził. – Zagląda do bagażnika.

– Ma siedemdziesiąt jeden lat – mówię i wychodzi to ostrzej, niż zamierzałem. – To jest... to była pasja jego życia. Obsesja. – Teraz, gdy wypowiadam to na głos, siedemdziesiąt jeden lat wcale nie brzmi staro. Wielu pacjentów The Willows jest w bardziej zaawansowanym wieku. A mnie wciąż złości ta niesprawiedliwość. Choroba taty jest dla mnie jak cios pięścią w brzuch, który odbiera mi oddech za każdym razem, gdy o tym pomyślę.

– Tak to zwykle bywa – mówi uprzejmie Benjamin, jakby rozumiał, a nawet dzielił z tatą tę obsesję. I jakbym ja była dziwaczką, która jej nie pojmuje. Zresztą może i jestem.

Po wypakowaniu ostatnich pudeł Benjamin Grossman oświadcza:

– To mi zajmie tydzień, może dwa. Zadzwoń i dam znać, co znalazłem.

A mnie nieoczekiwanie dopadają wyrzuty sumienia. Zastanawiam się, jak by się poczuł tata na wieść, że oto zostawiam jego najcenniejsze skarby u jakiegoś przypadkowego faceta, którego wyszukałam w książce telefonicznej pod hasłem „Filatelistyka”. Dzwoniłam do wszystkich trzech sklepów, których numery znajdowały się w rubryce, a ten Grossman oddzwonił jako pierwszy.

– Dostanę jakieś pokwitowanie? – pytam.

Grossman kręci głową, wyciąga spod stosu papierzysk wizytówkę i wręcza mi ją.

– Odezwę się, jak skończę – mówi. A po chwili dodaje: – Proszę się nie martwić. Będą pod dobrą opieką. – Zupełnie jakby znaczki były kwiatami. Czymś, co trzeba pielęgnować, i to z czułością.

– Wcale się nie martwię – odpowiadam.

Właśnie oddałam w cudze ręce coś, co nawet do mnie nie należy. Kiedy jednak wsiam do samochodu, wyjeżdżam z parkingu i włączam się do ru-

chu na Czterysta Piątej, odczuwam w sercu pustkę.

AUSTRIA, 1938

Początkowo Kristoff nie pojmował mocy drzemiącej w rylcu. Nie rozumiał, że to małe, niepozorne narzędzie grawerskie może ich kiedyś uratować. Albo skazać na śmierć. Wiedział tylko, że rylca nie sposób precyzyjnie prowadzić, a on sam nie ma naturalnego daru do pracy w metalu, w przeciwieństwie do obcowania z płótnem.

Nie podobało mu się też, jak rylce leżał w dłoni. Był dziwnie ciężki, trudno się nim operowało. Kristoff czuł, że ostrze powinno zostawiać ślad tak samo płynnie i zwinnie jak pędzel, a nawet węgiel, lecz ręka ciągle mu się zacinała. Wzbierała w nim złość, że nie potrafi uzyskać doskonałych linii i złożeń podobnych do tych, które pokazał mu Frederick. Chłopak obawiał się, że zostanie zwolniony z terminu i będzie musiał sobie szukać nie tylko pracy, ale i lokum. Jako uczeń Fredericka dostał pokój i utrzymanie przy rodzinie Faberów, w ich pięknym domu na obrzeżach Grotzburga, oraz pięć szylingów pensji tygodniowo. A także, co najważniejsze, możliwość nauki fachu, z którego Frederick Faber słynął na całą Austrię – grawerstwa. Największym dziełem mistrza był znajdujący się w obiegu, bardzo popularny oraz – z czym Kristoff w pełni się zgadzał – doskonały pod względem artystycznym znaczek pocztowy za dwanaście groszy z wizerunkiem szarotki. Była to zdumiewająco wierna podobizna skromnego białego kwiatka; Frederick zaprojektował znaczek i wygrawerował do niego matrycę w 1932 roku.

Kristoff pamiętał, jak kiedyś przykleił ów znaczek na list do matki, którego ostatecznie nie wysłał. Trudno przecież nadać list do kogoś, kogo nie ma i, mimo największych wysiłków, nie zdołało się ustalić, czy ta osoba żyje ani gdzie mieszka. Ale już wtedy, jako trzynastolatek, podziwiał kształt tej szarotki, idealną linię jej płatków. On też od zawsze chciał zarabiać na życie jako artysta. Kiedy więc zeszłej jesieni dowiedział się, że Frederick Faber – ten Frederick Faber – szuka nowego ucznia, spakował swoje przybory do malowania i wydał prawie wszystkie skromne oszczędności na podróż do odle-

głego o dwieście kilometrów Grotsburga. A gdy po przybyciu na miejsce pokazał Frederickowi swoje szkice węglem, przedstawiające sceny z ulic Wiednia, grawer zgodził się przyjąć go do terminu.

– Masz dobre oko – rzekł, uważnie przyglądając się rysunkowi, który Kristoff uważał za swoje najlepsze dzieło. Widniał na nim symbol Wiednia, katedra Świętego Szczepana, której dwie frontowe wieże Kristoff odwzorował z najdrobniejszymi szczegółami. Frederick uniósł gęstą siwą brew. – Co wiesz o pracy w metalu, mój chłopcze?

– Szybko się uczę – zapewnił Kristoff i to najwyraźniej wystarczyło, by przekonać mistrza. Jednak jak dotąd deklaracja ta nie znalazła potwierdzenia w rzeczywistości; przynajmniej jeśli chodzi o postępy w nauce techniki stalorytu.

Choć nie od razu zapanował nad rylcem, w ciągu pierwszych tygodni spędzonych u Fredericka dowiedział się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że mistrz był starszy, niż się Kristoffowi początkowo zdawało, i że czasem, gdy pokazywał chłopakowi, jak posługiwać się narzędziami grawerskimi, drżały mu ręce. Twierdził wprawdzie, że musiał wziąć ucznia, bo zleceń ma tyle, że zajęcia starczy i dla dwóch grawerów, ale Kristoff zaczął podejrzewać, że prawdziwy powód był inny: Frederick nie zdoła już długo wykonywać zawodu. A synów nie miał.

To była druga rzecz, której dowiedział się Kristoff. Frederick miał dwie córki: siedemnastoletnią, o trzy lata młodszą od Kristoffa Elenę – dziewczynę o śnieżnobiałej cerze, długich, jasnobrązowych, falujących włosach i jaskrawozielonych oczach, która przypominała Kristoffowi górską szarotkę – oraz trzynastoletnią Miriam. O ile Elena podobna była do kwiatu, to Miriam kojarzyła mu się z ruchliwą pszczołą, która wiecznie wokół tego kwiatu krążyła. Lub też, jak mawiała pani Faber, rozpaczliwie wznosząc przy tym ku niebu zielone oczy, z trzpiotką. Kristoff uważał ją jednak za miłą i zabawną, mimo że cała rodzina sądziła inaczej.

Chłopak szybko przywykł do życia w Grotsburgu, którego okolica była zielona i bardzo spokojna, a rano, po przebudzeniu, zamiast budynków i ludzkiego mrowia widział przez okno las i łagodne wzgórza okalające mia-

steczko. Ponadto rozkoszował się ciepłem domu Faberów, aromatem przygotowanych przez gospodynię potraw oraz chlebem, którym łamali się przy blasku świec w piątkowe wieczory. Chałka była pyszna, a Kristoff, wychowany w wiedeńskim sierocińcu u zakonnic, które wpoili mu, że na świecie istnieje tylko jedna religia, nigdy nie kosztował niczego podobnego. On sam nie był specjalnie wierzący. Bardziej ciągnęło go do Faberów, do ciepła, siły i jedności ich rodziny, niż kiedykolwiek wcześniej do Boga czy Kościoła jako instytucji.

– Miriam, siedźże spokojnie – upominała pani Faber córkę pewnego wieczora, kilka tygodni po tym, jak Kristoff rozpoczął terminowanie u grawera. Uczył się już miesiąc, ale praca w metalu wciąż mu nie szła. Tego dnia zaimponował Frederickowi szkicem górskiego pejzażu i aż do tej pory, choć minęło już wiele godzin, rozkoszował się komplementem z ust mistrza, choć stary grawer powiedział tylko: „Nie najgorzej”.

– Siedzę, mamó – odparła śpiewnie Miriam, lekko kołysząc się na krześle i raz po raz posyłając Kristoffowi ukradkowe uśmiechy.

Ten ukrył rozbawienie, pochylając się nad talerzem zupy. Zerknął na Elenę, lecz ona unikała jego wzroku. Nie wiedział jeszcze, czy dziewczyna jest po prostu nieśmiała czy raczej niegrzeczna, czy może wobec wszystkich obcych zachowuje się równie nieprzystępnie.

– Eleno, skarbie, idź jeszcze po drewno. Coś chłodno się zrobiło – powiedziała pani Faber. Trwały najsroźsze, najmroźniejsze tygodnie zimy, a w trzypiętrowym domu Faberów hulały przeciągi. Do pokoiku Kristoffa na poddaszu wstawiono piecyk na drewno, lecz mimo to w nocy chłopak kulił się pod dwoma kocami. Ale i tak wolał to niż życie w sierocińcu, gdzie jego łóżko stało w dużej, chłodnej sali, ustawione w równym rzędzie z dziesięcioma identycznymi, a do przykrycia miał tylko jeden cienki koc. No i pani Faber gotowała cudownie, bez porównania lepiej niż zakonnice.

Elena odłożyła łyżkę i posłusznie wstała. Kristoff znów próbował spojrzeć jej w oczy, ale dziewczyna nie podniosła wzroku.

– Pomogę – rzucił i poderwał się z miejsca, zanim zdążył się speszyć. Osiągnął tyle, że przynajmniej zwrócił uwagę Eleny.

Dziewczyna odwróciła się, a jej śliczna twarz się ściągnęła.

– Dziękuję, nie trze... – zaczęła.

Pani Faber przerwała jej w pół słowa:

– Dziękuję ci, Kristoff. Elena chętnie skorzysta.

Kristoff uśmiechnął się do pani Faber i ruszył za jej córką. W milczeniu przemierzyli kuchnię, tylnymi drzwiami wyszli na podwórze i przecięli je, by dostać się do stosu drewna, który piętrzył się przed warsztatem Fredericka. Zmarznięta ziemia chrzęściła im pod nogami, powietrze kęsało chłodem, a żadne z nich nic na siebie nie narzuciło. Elena zadrżała, a kiedy pochyliła się nad drewnem, włosy opadły jej na oczy. Kristoff ledwie się powstrzymał, by ich nie odgarnąć. Zamiast tego wyjął dziewczynie bierwiono z rąk.

– Naprawdę – powiedziała ostro, wyrywając mu je i przyciskając do piersi – świetnie sobie poradzę. Całe życie robiłam to sama. Nie potrzebuję pomocy.

– Ale ja chciałbym pomóc – odparł. – Przecież to nic wielkiego.

Elena spojrzała na niego wilkiem, a Kristoffa nagle ogarnęła pewność, że dziewczyna wcale nie jest nieśmiała, tylko po prostu go nie lubi. Czuł się z tym źle i postanowił, że musi to zmienić.

Zanim zdążył coś dodać, Elena odwróciła się i pomaszerowała do domu. Kristoff podniósł z ziemi kawałek drewna i pobiegł za nią. Dogonił ją tuż przed drzwiami i dotknął jej ramienia.

– Zrobiłem coś nie tak? – spytał trochę zdyszany. Nad jego głową unosiły się gęste kłęby pary.

– Coś? – powtórzyła.

– Czymś cię uraziłem?

– Czemu tak uważasz? – Z ust Eleny wypływały zamarzające obłoczki. Dziewczyna znów zadrżała.

– Nieważne – rzucił Kristoff. – Lepiej wracajmy. Bo zmarzniesz.

– Czekaj – odezwała się. – Po prostu się nie lubimy, jasne? Nie zostaniemy przyjaciółmi. Nie licz na to, że zagrzejesz tu miejsca. To się raczej nie zdarza.

– Raczej? – spytał chłopak i po raz pierwszy do niego dotarło, że Frederick z pewnością miał przed nim innego ucznia, może nawet było ich wielu. Czyżby tak jak on nie dawali sobie rady z rylcem i zostali szybko zwolnieni?

Elena nie odpowiedziała. Zniosła drwa do środka i dorzuciła do pieca. Kristoff zrobił to samo, a potem od razu przeprosił i poszedł do siebie. W pokoiku na poddaszu wziął do ręki szkicownik, ogryzek węgla i owinął się dwoma kocami. Złapał się na tym, że próbuje uchwycić gniewne spojrzenie Eleny. Zastanawiał się, jak długo to miejsce będzie jego domem.

*

Następnego dnia w pracowni nie mógł się skoncentrować. Praca z rylcem szła mu jeszcze bardziej opornie, a zadane przez nauczyciela linie wychodziły gorzej niż zwykle. A kiedy przed pójściem na posiłek sprząтали miejsce pracy, Frederick odwrócił się do Kristoffa i zmarszczył czoło.

– Chce pan mnie zwolnić? – wyrwało się chłopakowi.

– Zwolnić? – Frederick był prawie łysy, ale miał gęste, krzaczaste siwe brwi, a oczy równie jaskrawozielone jak Elena.

– Nie idzie mi ta praca w metalu – powiedział Kristoff. W jego głosie, choć bardzo tego nie chciał, zabrzmiała rozpacz. – Może nie jestem do tego stworzony. Może powinien pan przyjąć kogoś innego. – Za nic w świecie nie chciał zostać zwolniony, ale zdawał sobie sprawę, że im dłużej tu przebywa, tym bardziej przyzwyczajają się do rodzinnego ciepła panującego w domu Faberów, do pracowni Fredericka i do samego nauczyciela i tym gorzej zniesie rozstanie. Jeżeli więc Frederick chce go zwolnić, lepiej, żeby zrobił to od razu.

– A ty chcesz, żebym cię zwolnił? – spytał zbity z tropu Frederick.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł Kristoff. – Tylko myślałem... Elena mówiła... – Poczuł, że się rumieni.

– Ach, ta Elena, Elena – westchnął Frederick. – Nie miej jej tego za złe. Zupełnie straciła głowę dla mojego poprzedniego ucznia.

– I pan go zwolnił? – spytał Kristoff.

Frederick pokręcił głową.

– Nie, mój chłopcze. Ja nigdy nikogo nie zwolniłem.

– Więc co się stało?

Frederick ściągnął brwi, ale nie odpowiedział.

– Chcesz tu być? – spytał po chwili.

Kristoff skinął głową.

– W takim razie ja też. Chcę, żebyś się u mnie uczył. Czy nadal chcesz się uczyć?

– Tak.

– Dobrze. – Frederick łagodnie położył Kristoffowi rękę na ramieniu. – Żeby tworzyć znaczki, trzeba opanować dwie ważne umiejętności. Pierwsza z nich to rysowanie rzeczy, które są warte, by znaleźć się na znaczku pocztowym naszej pięknej Austrii. Ty ją posiadasz.

Kristoff, usłyszawszy nieoczekiwany komplement, poczuł, że płoną mu policzki.

– Druga to odwzorowanie tego w odpowiedniej skali – ciągnął mistrz – w postaci obrazu lustrzanego, w metalu, za pomocą narzędzi grawerskich. A tego dopiero się uczysz. To wymaga trochę czasu. I cierpliwości. Ja też w twoim wieku nie miałem pełnej władzy nad ostrzem.

Chłopak uśmiechnął się z wdzięczności za życzliwe słowa.

– Masz tu, spróbuj jeszcze raz, nim pójdziemy na obiad – powiedział Frederick i wręczył swojemu uczniowi rylec. Ręka starego mistrza trochę się trzęsła, narzędzie leciutko w niej drżało.

Kristoff udał, że tego nie widzi.

*

Pani Faber gotowała według stałego rytmu, tak że poszczególne potrawy powtarzały się w te same dni tygodnia. We wtorki podawała gulasz wołowy i dlatego wtorek był ulubionym dniem Kristoffa. W jadalni sierocińca rzadko kiedy pojawiały się takie kosztowne dania, teraz więc chłopak delectował się

zarówno pysznym jedzeniem, jak i myślą, że nie jest już sierotą i nie płacze się po świecie sam jak palec.

Po obiedzie Miriam i Elena zwykle kończyły odrabiać lekcje, a Frederick z książką i fajką siadał w fotelu przy kominku. Kristoff zaś, który nie miał pojęcia, co ze sobą zrobić, przeproszał i szedł do swojego pokoju na poddaszu.

Pewnego wtorku, a było to po mniej więcej dwóch miesiącach jego pobytu u Faberów, przyskoczyła do niego Miriam i spytała, czy nie zagrałby z nią w monopoli. Frederick przywiózł kiedyś grę z Londynu i jego młodsza córka wprost ją uwielbiała. Elena nie pałała do niej równym entuzjazmem, ale od czasu do czasu można ją było zastać na podłodze przy kominku w czasie rozgrywki z Miriam. Tym razem to Kristoff – po raz pierwszy – został zaproszony do wspólnej zabawy.

– No chodź. – Miriam ciągnęła go za rękaw. – Nie bądź takim nudziarzem i nie uciekaj jak zawsze na ten swój strych. Pograj z nami. To świetna zabawa. Spodoba ci się, zobaczysz.

Kristoff zerknął na Elenę, ale dziewczyna szybko odwróciła wzrok.

– Nie chcę wam przeszkadzać – odparł cicho. Miał nadzieję, że Elena się odwróci, spojrzy na niego i powie, że nie, wcale nie przeszkadza. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia o zasadach monopoli i zdawał sobie sprawę, że właśnie dlatego Miriam namawia go do gry. Wiedziała, że najpewniej wygra. Jednak jemu bynajmniej to nie przeszkadzało. Cieszył się, że w ogóle go dostrzegła. Miał żołądek wypełniony gulaszem i skórę miło rozgrzaną od ognia. Nie spieszyło mu się na zimne poddasze, do samotności.

– Nie przeszkadzasz – rzekła Elena. – Ja będę czytać, muszę skończyć książkę. Pójdę na górę. Możesz dziś pograć tylko z Miri.

– A co czytasz? – zapytał Kristoff.

W końcu na niego spojrzała. Miała uniesione brwi, jakby nie wierzyła, że ktoś taki jak on – chłopak, który w wieku czternastu lat rzucił szkołę, by zostać ulicznym artystą – może interesować się książkami. Ale tak właśnie było. Od dzieciństwa czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, a jego ulubiona zakonnica, siostra Marguerite, przynosiła mu książki, które sama już przeczy-

tała. Były to głównie tomy o sztuce, historii i wojnach, ale czasem trafiały się także powieści.

– Coś strasznie nudnego – odparła Miriam, znowu ciągnąc go za rękaw.

– Doktor Freud wcale nie jest nudny – zaprotestowała Elena. – Może jak trochę podrośniesz, Miri, to go zrozumiesz.

Miriam w odpowiedzi wywróciła oczami.

Kristoff nie miał nic do dodania. W życiu nie trzymał w ręce żadnej książki Freuda, a samo nazwisko ledwie obilo mu się o uszy. Wiedział tylko, że to jakiś lekarz praktykujący w Wiedniu, otoczony opinią szaleńca. A może Elena, w przeciwieństwie do zakonnic, wcale nie uważa go za wariata?

– Elena – wtrąciła się pani Faber, nachylając się nad stołem, by zdmuchnąć świece, które paliły się w czasie posiłku. – Czemu nie odłożysz Freuda na później, a teraz nie zagrasz z siostrą i Kristoffem w monopoli? – Pieszczotliwie pociągnęła Miriam za warkocz. – Ktoś musi pilnować, żeby nie oszukiwała. A można przecież grać we trójkę.

– Ja nie oszukuję, mam. – Miriam zaplotła ręce na piersiach. – Co na to poradzę, że zawsze dostają mi się najlepsze posiadłości w Londynie.

Pani Faber roześmiała się, przytuliła Miriam i pocałowała ją w czubek głowy.

– Oczywiście – powiedziała. – I nigdy nie podkradasz Elenie pieniędzy, kiedy akurat nie patrzy.

– Nigdy – potwierdziła gorąco Miriam, a Elena tylko się uśmiechnęła.

– Dobra, zgoda – poddała się Elena. – Ta gra trwa wieki, więc lepiej już zacznijmy.

Kristoff poszedł za dziewczętami na ich stałe miejsce przy kominku i niepewnie usiadł na podłodze. Frederick wyjął fajkę z ust i opuścił książkę, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Zamiast tego ciepło się uśmiechnął i oświadczył, że idzie się położyć.

*

Tej nocy Kristoff nie mógł zasnąć. Długo leżał z szeroko otwartymi oczami. W uszach wciąż rozbrzmiewał mu śmiech Miriam, podliczającej pieniądze, i chichot Eleny, która (znowu) przegrała z młodszą siostrą – zdaniem Kristoffa celowo. To wszystko wydawało mu się takie swojskie, takie bliskie. Jakby dziewczęta należały do niego, a on – do ich rodziny.

Myślał też o narzędziach grawerskich, o tym, że nadal mocno mu się opierają. Stał tak bardzo różniła się od płótna. Frederick powtarzał, że to tylko kwestia czasu. A co, jeżeli będzie inaczej? Jeżeli Kristoff nigdy tego nie opamięna? Przecież któregoś dnia cierpliwość mistrza się wyczerpie. Chłopak wołał sobie nie wyobrażać, co będzie, jeżeli straci to, co zyskał. Swojego nauczyciela i gulasz wołowy pani Faber. Śmiech i paplaninę Miriam oraz piękny uśmiech Eleny, mimo że tak rzadko przeznaczony dla niego. Nie, nie mógł zarzucić żmudnej nauki trudnego fachu, co równałoby się opuszczeniu rodziny Faberów. Po prostu nie mógł.

Choć był środek nocy i panował przenikliwy ziąb, wstał z łóżka i na palcach zszedł na dół. Będzie ćwiczył nocą, kiedy wszyscy śpią. Musi posiedzieć nad robotą trochę dłużej, sam, bez mistrza, którego czujne spojrzenie potęgowało jego treść.

W jadalni o tej porze było spokojnie i cicho. Ogień wygasł, w kominku czerwieniły się tylko drobne kupki żaru. Kristoff włożył buty i kurtkę, po czym powoli otworzył kuchenne drzwi – ostrożnie, by nie skrzypnęły. Przemknął się przez przyprószone śniegiem podwórze do warsztatu Fredericka.

Kiedy uchylił drzwi, natychmiast dostrzegł blask świeczki płonącej na stole roboczym. Zaskoczyło go to całkowicie.

– Kto tam?! – zawołał.

Na jego głowę spadło coś ciężkiego, metalowego. Krzyknął i osunął się na kolana.

LOS ANGELES, 1989

Kiedy byłam mała, w niedziele mama zawsze dłużej spała, a tata budził mnie raniutko, czasem jeszcze przed wschodem słońca. Mieszkaliśmy w dzielnicy Fairfax, w bezpośrednim sąsiedztwie mieliśmy dwanaście synagog, targ owocowo-warzywny i siedzibę telewizji CBS. Przez większą część tygodnia nie ruszaliśmy się poza nasz niewielki skrawek Los Angeles. Mój ojciec był nauczycielem w liceum Fairfax High (ja też tam w końcu trafiłam: poszłam do trzeciej klasy, kiedy po przebudowie kampusu i zabezpieczeniu go przed trzęsieniami ziemi zaczęto przyjmować mój rocznik), a mama pracowała w kancelarii prawnej mieszczącej się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko delikatesów Canter's. Za to w niedziele wsiadaliśmy z tatą do jego czerwonego forda mustanga, otwieraliśmy dach i jechaliśmy w nieznane rewiry miasta. Lub nieznane tylko mnie, dziecku. Co tydzień gdzie indziej: a to do sklepu ze starzyzną w dolinie San Fernando, a to na wyprzedaż garażową w West Hollywood, a to do jakiejś posiadłości w Beverly Hills, która zmieniała właściciela – a wszystko to w imię nieustannej pogoni ojca za znaczkami.

Do domu zawsze wracaliśmy tuż przed lunchem. Ja – objedzona pączkami, które tata kupował mi na drogę (nigdy nie zdradziliśmy się z tym przed mamą), a tata – obowiązkowo z jakąś zdobyczą. Czasem była to czyjaś dawna kolekcja (lub jej część), kiedy indziej listy – wysłane i zachowane lub niewysłane i utracone. Od czasu do czasu, gdy buszowanie wśród staroci zakończyło się niepowodzeniem, w drodze powrotnej zatrzymywaliśmy się na poczcie i tata fundował sobie cały arkusz najnowszego, właśnie wypuszczonego znaczka.

„To nie będziesz ich naklejał na listy?” – pytała mama, gdy wracaliśmy do domu z nowymi znaczkami. W jej podniesionym głosie słychać było sceptycyzm – wyobrażałam sobie, że właśnie takim tonem mówi w pracy. Była szeregową prawniczką w kancelarii specjalizującej się w obsłudze klientów z branży nieruchomości. Czasem oczami wyobraźni widziałam ją w sali roz-

praw, choć wiedziałam, że adwokaci, z którymi pracuje, zajmują się głównie papierkową robotą.

Ojciec w odpowiedzi tylko się uśmiechał, zabierał znaczki do swojego pokoju i umieszczał je na należytych miejscach w kolekcji.

To wspomnienie wraca do mnie dzisiaj, w niedzielny rano, kiedy jadę do Santa Monica, by odwiedzić tatę w domu opieki. Nie czerwonym kabrioletem, rzecz jasna, tylko moją starą niebieską toyotą hatchback, która już ledwie żyje, bo za chwilę stuknie jej sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów. Zupełnie nieoczekiwanie i z porażającą jasnością staje mi przed oczami znaczek, który tata kupił sobie kiedyś na pocztę: za pięć centów, promujący humanitarny stosunek do zwierząt, ze ślicznym czarno-białym psem – takim, o jakim marzyłam w dzieciństwie, a którego nigdy nie dostałam.

Kiedy docieram do The Willows, w głowie kielkuje mi następująca myśl: już nie jestem niczym dzieckiem. Niedzielne poranki z ojcem nigdy nie powrócą. Nie robiliśmy wprawdzie tych wycieczek od lat – odkąd poszłam na studia i umarła mama – ale mimo wszystko. Teraz nie ma już do nich powrotu.

*

Zaletą The Willows jest to, że ośrodek jest oddalony tylko pół godziny jazdy od mojego domu i leży w cudnej części Santa Monica. To dogodne położenie stanowi jednocześnie jego wadę, ponieważ przekłada się na cenę – ośrodek jest ekstremalnie drogi. Obawiam się, że zanim ojciec będzie gotowy go opuścić, do cna wyczerpią się jego oszczędności – zarówno emerytura, jak i środki wypłacone z ubezpieczenia po śmierci mamy. Ale z drugiej strony The Willows to najlepszy ośrodek terapii zaburzeń pamięci w Los Angeles. Podczas każdej wizyty mam wrażenie, że tata uważa go za luksusowy hotel. Prosi, żebym pomogła mu znaleźć bilet lotniczy, i pyta, kiedy wróci do domu. Chyba się trochę pogubił, tak twierdzi. A ja, zamiast delikatnie powiedzieć mu prawdę, obiecuję, że poszukam. Że znajdę te jego dokumenty.

– Dzień dobry, pani Nelson – wita mnie pielęgniarka dyżurująca w recep-

cji.

– Dzień dobry, Sally. – Macham do niej, podchodzę do lady i wpisuję się na listę odwiedzających. Sally ma dwadzieścia parę lat i najwyraźniej pracuje tu na tyle krótko, że codzienna opieka nad pacjentami z zaburzeniami pamięci jeszcze jej nie zmęczyła. Jest drobna, a na palcu lewej dłoni nosi gigantyczny, połyskujący pierścionek zaręczynowy, i choć jest wykwalifikowaną pielęgniarką, chodzi w dżinsach i swetrze. W The Willows za grosz nie czuje się atmosfery szpitala czy domu opieki. A jednym z warunków, by tata mógł tu przebywać, jest dobry stan jego zdrowia – przynajmniej fizycznego.

– Wcześniej dziś pani przyjechała – zauważa Sally.

Kiwam głową, ale nie komentuję jej uwagi. Bo co Sally do tego, że nie sypiam w nocy? Że od kiedy Daniel mnie zostawił, budzę się o piątej rano, nawet w niedziele, i nawet jeśli nie spałam do drugiej? Że mój dom, sypialnia, łóżko wydają mi się puste i czarne? W życiu bym się do tego nie przyznała, zwłaszcza przed kimś, kogo prawie nie znam.

Umieściłam tu tatę trzy miesiące temu i od tego czasu odwiedzam go w każdą niedzielę. Dla personelu nadal jestem panią Nelson. Dobra, formalnie wciąż jestem panią Nelson, bo jeszcze nie podpisałam papierów. Ale dla siebie, w głowie, zrezygnowałam z tego nazwiska już dawno temu. Tata nie wie, że Daniel odszedł – po co miałabym go martwić czy wprawiać w zakłopotanie? Czasem czuję się winna, że jego choroba zrobiła ze mnie kłamczuchę.

– Jak się dziś czuje? – pytam Sally. Lubię przygotować się psychicznie przed wejściem do jego pokoju.

– Ted? Całkiem nieźle – odpowiada pielęgniarka. – Ma dziś dobry dzień. Podczas śniadania był w świetnej formie. Rano poszedł na zajęcia plastyczne i to go wprawilo w świetny nastrój. Podobno po lunchu wybiera się z paroma paniami na robótki na drutach. – Sally się śmieje, a ja odpowiadam jej uśmiechem. W The Willows rzeczywiście jest jak na luksusowym rejsie wycieczkowym. Mnóstwo zajęć, które nie dość, że umilają czas, to stymulują mózg. Nic dziwnego, że ojcu cały czas się wydaje, że jest na wakacjach.

Sally mówi, że mogę do niego iść, kieruję się więc długim holem do poko-

ju taty. Podłoga jest pokryta wykładziną, jak w hotelu, a duże szklane żyrandole jasno oświetlają drogę. Nawet zbyt jasno – dla kogoś, kto poprzedniego wieczora wypił za dużo chardonnay, co mi się ostatnio często zdarza. Nasuwam na oczy ciemne okulary. „Dziś mnie pozna, dziś będzie sobą” – powtarzam sobie w głowie, zbliżając się do celu, jakby samo myślenie o tym, czego się pragnie, mogło wystarczyć, by owo pragnienie się ziściło.

Dochodzę do pokoju taty i na chwilę przystaję w drzwiach. Przyglądam mu się, zanim mnie dostrzeże. Siedzi w niebieskim aksamitnym fotelu stojącym przy dużym, zajmującym całą ścianę oknie, okulary ma zsunięte na sam czubek nosa i czyta. Wygląda tak samo jak zawsze, to znaczy jak zawsze wyglądał: jest bardzo wysoki i szczupły, ale równocześnie mocny. Ostatnio chyba trochę schudł i prawie całkiem wyłysiał. Ale wciąż jest moim ojcem.

Podnosi wzrok i uśmiecha się na mój widok.

– Caryca Katarzyna! – Przewisko z dzieciństwa wywołuje mój uśmiech. A więc mnie poznał. Czasem bierze mnie za mamę lub pielęgniarkę. Sally jednak się nie myliła. Ma dziś dobry dzień.

– Co czytasz? – pytam, wchodząc do środka.

Tata podnosi książkę i pokazuje mi okładkę, bym mogła przeczytać tytuł.

– *Filatelistyczny przewodnik po wszechświecie*. Rany, tato. Co za nudy – mówię. Ale się cieszę, bo to znak, że pamięta, kim jest. I co kocha. Tata nigdy nie pożerał powieści, jak ja z mamą. Przez całe życie uczył historii i czytywał tylko literaturę faktu: grube książki o wojnach, generałach, tajemnicach dziejów i oczywiście o znaczkach. Ta akurat jest zniszczona, musiał ją przeglądać mnóstwo razy, nawet jeśli tego nie pamięta. Chociaż może i pamięta. Jak na razie choroba dotknęła przede wszystkim pamięć krótkotrwałą, przeszłość zaś pozostaje dla niego żywa – na tyle żywa, że sądzi, iż nadal trwa. Uważa na przykład, że moja mama wciąż jest z nami.

– Jeżeli zaś chodzi o znaczki – mówię, przysuwając sobie krzesło do jego fotela – to oddałam twoje zbiory do wyceny.

Tata otwiera usta i głośno zamyka książkę.

– A to z jakiej racji? – pyta.

Tego się nie spodziewałam. Natychmiast próbuję go uspokoić.

– Zawsze twierdziłeś, że poszukujesz klejnotu, więc chciałam sprawdzić, czy go znalazłeś – rzucam lekko, ale widzę, że twarz taty nagle blednie, a jego brązowe oczy ciemnieją. Zaczynam żałować, że w ogóle poruszyłam ten temat.

Tata odwraca się i patrzy w okno, jakby bladoniebieskie niebo i łuk brązowego, nagiego wzgórza kryły w sobie niewidoczną dla mnie odpowiedź.

– Każdy znaczek to klejnot – mówi.

– Wiem, ale nie o to mi chodzi.

– Komu je oddałaś?

– Filateliście. Nazywa się Benjamin Grossman.

– Dobrze, że chociaż Żydowi – odpowiada tata już łagodniej, jakby oswajał się z myślą, że jego zbiory zostaną poddane oględzinom i wycenie.

Mnie nawet nie zaświtało, że Grossman to żydowskie nazwisko. Religia to jedyna rzecz, która dla ojca liczy się bardziej niż znaczki. Dla mnie, dorosłej kobiety, która wyszła za nie-Żyda, wiara nie ma większego znaczenia. W zasadzie można powiedzieć, że wyzbyłam się religijności. Nigdy nie przyznałabym się ojcu, że z trwającego siedem lat małżeństwa z Danielem najmilej wspominam coroczne ubieranie choinki. Może dlatego, że była to dla mnie nowość, a może dlatego, że kojarzyło mi się to wyłącznie z małżeństwem. Przelotna myśl o Bożym Narodzeniu, które zbliża się wielkimi krokami, napętnia mnie nagłym smutkiem. No bo po co żydowska prawie rozwódka miałaby kupować sobie choinkę?

– Niczego nie sprzedasz – mówi ojciec dobitnie, wyrywając mnie z zamyślenia i sprowadzając z powrotem do rzeczywistości.

– Nie sprzedam, jeżeli sobie tego nie życzysz. – Nachyliłam się i kładę dłoń na jego dłoni. – Nie chciałam cię zdenerwować, tato. Po prostu nie miałam pojęcia, co zrobić z twoją kolekcją, gdy mi powiedziałaś, że teraz należy do mnie. Mogę w każdej chwili iść i ją odebrać. I po prostu... ją sobie zatrzymać. – Zastanawiam się, co pomyśli Benjamin Grossman, kiedy to uczynię. Oraz ile będę mu winna za stracony czas.

Ale tata nie odpowiada. Odwraca się z powrotem do okna.

– Znaczki były wszystkim – mruczy i może nawet przypomina sobie konkretne egzemplarze. Dawniej wcale bym się nie dziwiła, gdyby się okazało, że pamięta każdy jeden. Teraz jednak... kto wie, co mu zostało w głowie, a co z niej wyleciało.

– Wiem, tato. Twoje zbiory są olbrzymie. Ledwo mi się zmieściły do samochodu.

– Ty tego nigdy nie zrozumiesz, Rissa. Nigdy nie chciałaś zrozumieć.

Rissa. Wzdycham. Nie wiadomo kiedy, zmieniłam się w mamę. Straciłam kilka nielicznych klarownych chwil taty na rozprawianie o znaczkach, a teraz chciałabym je odzyskać i przeznaczyć na rozmowę o czymś istotnym. Na przykład powiedzieć mu, co zaszło między mną a Danielem i że do tej pory się nie przemogłam, by otworzyć kopertę z papierami rozwodowymi. Oraz o tym, że jakaś część mnie chciałaby, aby Daniel zmienił zdanie, bo gdybyśmy naprawdę, ale tak naprawdę się postarali, na pewno dalibyśmy radę się dogadać. I że kiedy o tym myślę, czuję się słaba i nienawidzę tego. Chcę poprosić tatę o radę, tak jak to zawsze robiłam.

– Tato. – Lekko dotykam jego ramienia.

– Nigdy tego nie zrozumiesz – powtarza. – Nigdy ci nie zależało.

– Nie martw się. Twojej kolekcji nic nie grozi. Jest pod dobrą opieką. Serio. – Powtarzam to, co sama usłyszałam od Grossmana, gdy zostawiałam pudełko w tym jego kantorku. Chociaż nawet dla mnie brzmią one pusto. Nie bardzo wiem, na czym niby miałyby polegać opieka nad znaczkami.

Książka zsuwa się tacie z kolan, ale on tego nie zauważa. Wpatruje się w krajobraz za oknem, jakby gdzieś tam, hen, za wzgórzami, a może nawet za Pacyfikiem, widział mamę. Wiodę wzrokiem za jego spojrzeniem, z nadzieją, że też ją zobaczę – w postaci ducha – aż oślepią mnie jaskrawe światło i odwracam głowę.

Podnoszę książkę. Jest pełna znaczków – strona za stroną tylko one, pogrupowane według lat wydania, krajów, projektantów. Czy to wszystko mieściło się w jego pamięci? A teraz jawi mu się jako coś zupełnie nowego, nieznanego.

go – tak jak mnie?

Oddaję mu tom i całuję go w czubek głowy. Tata spogląda na mnie i nagle coś – jakiś bodziec – każe mu wrócić do rzeczywistości. Widzę to w jego oczach. Znowu mnie poznaje.

– Kate – mówi zdziwiony. – O, przyszłaś.

– Tak. – Kładę mu rękę na ramieniu. – Jak co niedziela, tato. – Czekam, czy ojciec to zarejestruje, ale patrzy na mnie pustym wzrokiem, więc nie jestem pewna. Tak mi ciężko, że pojawia się i znika, podczas gdy ja go naprawdę potrzebuję. – Muszę już lecieć do pracy. – Przytulam go. – Ale nie długo znowu przyjadę. Za tydzień, dobrze?

– Kate! – woła za mną, gdy wychodzę.

Odwracam się.

– A te moje bilety? Widziałaś je? Bo nie mogę znaleźć paszportu.

– Tak, tato, pamiętam. – Zmuszam się do uśmiechu. – Będę szukać.

*

Za każdym razem, gdy wyjeżdżam z The Willows, czuję się, jakbym tonęła. Jakbym wskoczyła do zimnego Pacyfiku bez kombinezonu piankowego. Jestem zlodowaciała, odrętwiała, zmęczona. Naprawdę dziś pracuję. To znaczy idę na premierę, ale mam jeszcze trochę czasu. Muszę wrócić do domu i jakoś się pozbierać. Nie mieszkam już w Fairfax, tylko w innej dzielnicy Los Angeles, Westwood, w pobliżu Uniwersytetu Kalifornijskiego. Tam też jest sporo synagog, ale w żadnej nie byłam.

Po dotarciu do domu zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Daniela z prośbą o wysłanie na premierę kogoś innego. Po takim poranku perspektywa siedzenia w ciemnym kinie i oglądania paszkwilu o tematyce, zapewne, świątecznej, w dodatku z udziałem Chevy’ego Chase’a, wydaje mi się nie do zniesienia. Ale ostatnio staram się nie prosić Daniela o nic. W pracy go unikam, komunikujemy się tylko przez służbowe notatki, które zostawiamy sobie na biurkach, i nie, nie zadzwonię do niego po żadną przysługę.

Robię sobie kawę i próbuję odzyskać panowanie nad sobą. Ale potem sia-

dam przy tym samym kuchennym stole, przy którym tyle lat jadaliliśmy z Danielem śniadania i kolacje. Daniel zaproponował mi ten dom w ramach ugody rozwodowej. W życzliwym geście. Powiedział, że nie chce mnie wyrzucić na bruk i zmuszać do sprzedaży domu, żeby za wszelką cenę odzyskać połowę majątku, kiedy i tak całe życie mi się zawaliło. I tak dalej. Więc mi go po prostu... oddaje. Cóż za hojność. W każdym razie tego słowa użył mój adwokat. Z tym domem, z każdym miejscem tutaj wiąże się tyle wspomnień.

Kiedy wiosną pierwszy raz usłyszałam od niego te straszne słowa, siedzieliśmy właśnie przy kolacji. Zrobiłam lasagne i sałatkę. Tego dnia nie byłam w pracy – wzięłam sobie wolne, żeby pojechać do The Willows. Na miejscu zadecydowałam, że wpisuję tatę na listę ubiegających się o miejsce. W pewnym sensie przyniosło mi to ulgę. Zdjęło kamień z serca. Wróciłam do domu i rzuciłam się prosto do kuchni. Siekałam, gotowałam i piekłam. Zrobiłam nawet ciasto z kawałkami czekolady i jasną polewą – ulubiony deser Daniela.

– Ale ja... upiekłam ciasto – wydukałam w odpowiedzi na jego nieoczekiwane wyznanie, że ma dość, że nie chce już małżeństwa, że się wynosi. Z początku myślałam, że żartuje. Że kiedy podam ciasto, parsknie śmiechem i ze wszystkiego się wycofa.

– Po prostu przestało nam wychodzić – oznajmił chłodno, spokojnie. – To nasza pierwsza wspólna kolacja od miesiący.

Naprawdę? Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio siedzieliśmy razem przy stole, ale nie mogłam. Tata od jakiegoś czasu kiepsko sobie radził, więc spędzałam z nim każdą wolną chwilę.

Mogłam i powinnam była wtedy powiedzieć tysiące rzeczy, zaczynając od tego, że wszystko się zmieni, kiedy tylko przeniosę tatę do ośrodka. Powinnam była się zdenerwować, nawrzeszczyć na Daniela, wykrzyczeć mu, że opieka nad niedołącznym rodzicem to jeszcze nie powód do rozstania. I że to z jego strony nie fair, ot tak sobie, po prostu, samemu podjąć tej wagi decyzję – zupełnie bez uprzedzenia. Albo że niezależnie od liczby oddzielnie zjedzonych kolacji i spędzonych nocy nie wyobrażam sobie życia bez niego. Byłam jednak tak bardzo wstrząśnięta jego oświadczeniem, że zamiast powiedzieć coś sensownego, wciąż gadałam o tym głupim cieście.

– Ciasto – podkreślałam. – Upiekłam ci ciasto.

Bo istotne jest, że ja nigdy nie piekłam ciast, chyba że na jego urodziny. To zrobiłam, można by rzec, w geście przeprosin. Wiedziałam, że się od siebie oddaliliśmy. Wierzyłam jednak – przynajmniej do tamtej chwili – że wszystko jakoś się ułoży. Że naprawimy to, co się między nami zepsuło, że po prostu mieliśmy kilka gorszych miesięcy, ale nasze małżeństwo spokojnie to przetrzyma.

– Katie – powtórzył Daniel obojętnym tonem. – Między nami wszystko skończone.

I wtedy to do mnie dotarło: on już postanowił, że daje sobie spokój. Ukrociłam mu kawałek ciasta i popchnęłam talerzyk w jego stronę mocniej, niż było trzeba, tak że ciasto lekko się zsunęło. Daniel gapił się najpierw na mnie, a potem na ciasto, które w połowie leżało na stole – jakby nie wiedział, co z nim zrobić.

– Twoje ulubione – powiedziałam w końcu. Przypominało mi się, jak piekąc to ciasto, czułam, że robię w stronę męża miły, życzliwy gest; moje słowa zabrzmiały więc teraz gorzko i gniewnie.

Daniel spuścił wzrok, wziął do ręki widelczyk i zjadł ciasto.

Po kolacji spakował torbę i pojechał na noc do hotelu.

*

Kilka godzin później, po powrocie z premiery, siedzę w pościeli, gryzę długopis i szukam słów, które mogłyby się złożyć w recenzję. Ale kartka, którą trzymam na kolanach, nadal jest pusta, a myśli nie chcą przestać krążyć wokół wizyty u ojca. Korci mnie, żeby sięgnąć po słuchawkę i do niego zadzwonić, tak jak zawsze, gdy mi się coś nie układało lub po prostu miałam ochotę pogadać, usłyszeć jego głos. Na studiach, na pierwszym roku, gdy mama zmarła na raka, wiedziałam, że tata nie śpi, niezależnie od pory. Zawsze był typem sowy, ja zresztą też. „Daniel mnie zostawił – mogłabym mu teraz powiedzieć. – Nie jestem nawet w stanie otworzyć koperty z papierami rozwoowymi, bo nadal nie przyjmuję tego faktu do wiadomości”. Dawno temu,

zaraz po ślubie, pokłóciliśmy się z Danielem o jakąś głupotę i mój mąż też się wtedy wyniósł – tak na postrach, na jedną noc. Cała we łzach zadzwoniłam do taty, choć było dobrze po północy. Do tej pory pamiętam, co wtedy od niego usłyszałam: „Kate, kiedy się kogoś naprawdę kocha, to się nie ucieka”. Jeżeli tata w ogóle czuł do Daniela choć odrobinę sympatii, to ulotniła się ona po tamtym telefonie, a ja zostałam z poczuciem winy. Teraz jestem jednak wdzięczna za to wspomnienie, za słowa, które wtedy padły. Powtórzyłyby je pewnie, gdybym zadzwoniła do niego dzisiaj. Nieważne. Tak czy inaczej, nie zrobię tego. Do The Willows po ósmej się nie dzwoni.

Pamiętam obietnicę, że odbiorę znaczki, i postanawiam, że zamiast do ojca zadzwonię do filatelisty i mu się nagram. Ale nie udaje mi się to, bo Grossman po dwóch sygnałach odbiera.

– Och – mówię – przepraszam, nie spodziewałam się, że będziesz tak późno w pracy, w dodatku w niedzielę. Chciałam tylko zostawić wiadomość.

– Kto mówi? – pyta.

– Racja, rzeczywiście. Katie. Katie Nelson. W zeszłym tygodniu przywiozłam zbiór znaczków mojego ojca. – Benjamin milczy, wyłuszczam więc powód mojego telefonu. – Będę musiała je odebrać. Zmieniłam zdanie. Jednak nie chcę ich wyceniać.

Grossman nadal się nie odzywa. Nie mam pojęcia, czy jest zdziwiony czy zły, czy po prostu wszystko mu jedno, bo mu w czymś przeszkodziłam i chce do tego wrócić. Wyobrażam sobie, że siedzi za tym swoim zagraconym biurkiem i poprawia antenę w telewizorku.

– Znalazłem w tej kolekcji coś niezwykłego – mówi w końcu.

– Niezwykłego?

– Znaczek na jednym z listów – wyjaśnia. – Austriacki, z czasów drugiej wojny światowej. Nigdy podobnego nie widziałem.

– Wartościowy?

„Każdy znaczek to klejnot” – powiedział rano tata. A co, jeżeli filatelista rzeczywiście natknął się na coś niespotykanego? Tata byłby zachwycony. Wiem o tym. Nie wspominając o pieniądzach potrzebnych na opłacenie jego

pobytu w The Willows.

– Niezwykły – powtarza Benjamin.

– Ale dla kolekcjonera znaczków niezwykły znaczy tyle samo co wartościowy, prawda?

– Dla filatelisty – poprawia mnie Grossman. W jego ustach fachowy termin, którego jakoś nigdy nie lubiłam, brzmi zupełnie naturalnie. A nawet słyszę w nim coś dziwnie zmysłowego i jestem tym nieco zażenowana.

– Ale to chyba dobrze, że jest niezwykły, tak?

– Być może – odpowiada Benjamin. – Czy moglibyśmy się spotkać? Chciałbym pokazać, o co mi chodzi. Osobiście.

– Teraz? – Spoglądam na zegarek i na opróżniony do połowy kieliszek wina. Jest prawie dziesiąta, ale nie czuję się nawet odrobinę senna. Wypiłam za mało, by ogarnęły mnie niemoc i ospałość.

Benjamin wzdycha do słuchawki.

– Przepraszam – mówi. – Zaproponowałem to, bo sam nie sypiam. Najlepiej pracuje mi się w nocy. Czasem zapominam, że inni w tym czasie odpoczywają.

– Ja też nie sypiam – wyznaję.

Oboje przez chwilę milczymy, a potem Benjamin mówi:

– Parę kroków od mojego sklepu, przy Czterysta Piątej, jest bar Fran-
kie's. Otwarty na okrągło. Może tam?

– Dobrze, będę za pół godziny – odpowiadam.

AUSTRIA, 1938

Kristoff otworzył oczy i ujrzał nad sobą krągłą, zaniepokojoną twarz Eleny. Kiedy spróbował usiąść, ostro łupnęło go w głowie. Odruchowo podniósł rękę, dotknął czoła i natrafił na okazałego guza.

– Co się stało? – spytał.

– Żyjesz – odetchnęła Elena i odsunęła się. W jednej ręce trzymała gruby metalowy pręt, w drugiej świecę. Obie trzęsły się równie mocno.

Kristoff przypomniał sobie głuchy odgłos, jaki usłyszał, gdy metal walnął w jego czaszkę.

– To ty mnie uderzyłaś? Czemu?

Elena odłożyła pałkę i wyciągnęła rękę, by pomóc mu wstać. Jej zimna, miękka dłoń wydawała się taka drobna. Chłopak pozwolił zaprowadzić się do stojącego w kącie fotela, na którym Frederick siadywał z fajką, by chwilę odpocząć przed pójściem na obiad.

Kiedy już bezpiecznie spoczął w fotelu i Elena przestała się obawiać, że zaraz umrze, postawiła świecę na blacie i założyła ręce na piersiach.

– Jest środek nocy – upomniała go. – Po co się tu zakradasz?

– A ty, co tu robisz? – odparował Kristoff. Pulsowała mu głowa. Przyłożył rękę do skroni z nadzieją, że ból trochę osłabnie.

– Ja? Ja jestem u siebie – odpowiedziała, jakby to usprawiedliwiało jej nocny pobyt w pracowni. Frederick na pewno by sobie nie życzył, by którekolwiek z nich kręciło się nocą po warsztacie, a co dopiero oboje. – Chciałeś coś ukraść? Od początku wiedziałam, że nie można ci ufać – dodała. Wydawało się to dziwne, zwłaszcza że ledwie kilka godzin wcześniej żartowała z nim nad planszą monopoli, dając chłopakowi nadzieję, że wreszcie przełamie pierwsze lody.

– Nie – zaprzeczył ostro i zamierzał się wyprostować, ale warsztat zawirował mu przed oczami: płyty do grawerowania, narzędzia, wszystko nagle

zmieniło położenie, ustawiając się do góry nogami. – Nie miałem zamiaru kraść – powtórzył, choć nadal miał wrażenie, że cały świat się kiwa. – Chciałem tylko poćwiczyć. Bo... muszę więcej pracować. Rylcem.

Elena otworzyła usta, wychyliła się do przodu i zwiesiła ramiona. Potem uklękła przed Kristoffem na podłodze, wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego skroni. Miała zimne palce, a ich łagodny dotyk koił bolesne pulsowanie.

– Myślałam, że to złodziej. Jest noc. Dlatego cię uderzyłam.

– Jesteś w pełni usprawiedliwiona – odparł, zastanawiając się, kiedy ten nieznośny ból chociaż trochę ustąpi. Śmiało mógł podejrzewać, że to wcale nie była pomyłka, skoro Elena żywiła do niego jawną niechęć. Z drugiej strony jej autentyczne zmartwienie było dowodem, że naprawdę żałuje swojego uczynku. – Ale nadal mi nie powiedziałaś, co ty tu robisz – rzekł.

– Też ćwiczę – odparła cicho, przenosząc wzrok na blat roboczy. Włosy zasłoniły jej twarz, tak że niczego nie dało się z niej wyczytać.

Kristoff miał ochotę je zgarnąć i odsunąć za ramię dziewczyny, żeby spojrzeć jej w oczy, ale się nie ośmielił. Ściągnął brwi i głowę na nowo przeszyła mu ostra igła bólu.

– Ale po co? – spytał. – Po co ty miałabyś ćwiczyć?

– Nic ci do tego. – Elena wstała z kolan i ruszyła w stronę drzwi.

– Elena! – zawołał za nią.

– Późno już – powiedziała. – Muszę się przespać. Ty zresztą też.

Usłyszał szcęk zamykanych drzwi. Siedział w warsztacie tak długo, aż zawroty głowy wreszcie ustały.

*

Rano przy śniadaniu pani Faber od razu zauważyła guza na głowie Kristoffa. Chłopak zasnął, Frederick od dawna był w warsztacie. Kristoff miał nadzieję, że nauczyciel nie będzie się gniewał, ale po odejściu Eleny, gdy ból zelżał, zabrał się do pracy. Liczył, że dziś postępy będą już wyraźne, a Frederick – mimo jego spóźnienia – zadowolony.

– Oj, mój drogi – odezwała się pani Faber, podając Kristoffowi filiżankę mocnej czarnej kawy. – Co też ci się stało?

Siniec przybrał brzydki fioletowy odcień i odznaczał się na czole niczym mała brzoskwinia. Kristoff zerknął na Elenę, która siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz.

– Spadłem w nocy z łóżka – rzekł w końcu – i uderzyłem się o kant szafki.

– Wygląda paskudnie. Och, czuję się winna. Poproszę Miriam, żeby po szkole poszła do ciebie na górę i przestawiła tę szafkę – stwierdziła pani Faber.

– Nie trzeba, tak jest dobrze – odparł chłopak. – Nie mam pojęcia, jak to się stało. To nie była niczyja wina.

Elena wreszcie podniosła oczy. Uśmiechnęła się lekko, być może z wdzięcznością, choć sprawiała wrażenie, że ze wszystkich sił stara się ten uśmiech stłumić. Kristoff w odpowiedzi wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Dobrze, dochowam twojej tajemnicy. Na razie”. Jeżeli miał być szczery, to niespecjalnie go obchodziło, co takiego Elena robi w warsztacie grawerskim ojca w środku nocy i w jakim celu uczy się posługiwać jego narzędziami. Zależało mu tylko na tym, by wkraść się w jej łaski. I jeszcze raz zobaczyć, jak się uśmiecha. Do niego.

*

– Spóźniłeś się – burknął Frederick, kiedy Kristoff wszedł do pracowni. W świetle dziennym wszystko wyglądało inaczej niż nocą. Narzędzia grawerskie znów budziły w nim lęk.

– Przepraszam – powiedział Kristoff, skierował się prosto do blatu i sięgnął po rylec. W nocy udało mu się wyłobić w metalu niewielki prosty odcinek, dokładnie takich rozmiarów, jakie sobie zaplanował. I to mimo świdrującego bólu głowy. Teraz jednak, kiedy znów wziął narzędzie do ręki, ogarnęły go trema i niepewność.

– Kristoff – odezwał się Frederick – wiem, że byłeś tu w nocy.

– Tak? – Chłopak dotknął guza na czole. Zastanawiał się, jak mistrz się do-

myślił.

Frederick podniósł płytę grawerską i Kristoff zobaczył, że został na niej odwzorowany spory fragment jego pejzażu, który Frederick pochwalił słowami „nie najgorzej”. Sam nie dałby jednak rady przenieść go na metal, nie nabrał jeszcze takiej wprawy. Wciąż uczył się żłobić najzwyczajniejsze proste linie i odpowiednim naciskiem rylca regulować ich grubość. Odwzorowanie skomplikowanego obrazu pozostawało na razie poza jego zasięgiem. Aby przygotować matrycę do wydrukowania znaczka, trzeba było wyryć rysunek na stalowej płytce w odpowiedniej skali i odbiciu lustrzanym. Każda najdrobniejsza kreseczka, każdy szczegół oryginalnego obrazu musiały zostać oddane doskonale, w dodatku odwrotnie niż oryginał, i dopiero taką płytę zawoziło się do Wiednia, do drukarni.

– Ja nie... Nie umiem... – zaczął. Ale Elena potrafi. To musi być jej robota. Twierdziła przecież, że ćwiczy. I teraz, patrząc na płytę w rękach swojego mistrza, Kristoff zdał sobie sprawę, że jest w tym całkiem dobra. W każdym razie znacznie lepsza od niego. Czemu nie powiedziała ojcu, że interesuje się grawerstwem, a co więcej, że ma do tego zdolności? Oczywiście nie był to fach dla kobiety, ale na ile chłopak zdążył się zorientować, Frederick nie należał do ludzi, których obchodzi, co inni powiedzą. Po co więc te tajemnice? Pamiętał jednak uśmiech, którym obdarzyła go Elena przy śniadaniu. Nie miał zamiaru tego zaprzepaścić.

– Pracowałem w nocy – wyznał w końcu. – Przepraszam. Po prostu chciałem się podszkolić. Więcej poćwiczyć. – Tłumaczył sobie w duchu, że przecież to wszystko prawda.

– W porządku – rzekł Frederick. – Ale musisz zacząć od początku, mój drogi. W tej pracy wyszedłeś daleko poza własne umiejętności. – Znowu wskazał na grawerowany pejzaż. – Za duży tu bałagan. Za wiele błędów. Jeżeli chcesz dojść do doskonałości, ucz się powoli. Przy świetle dziennym. I z moją pomocą.

Kristoff kiwał głową. Czuł ulgę, że Frederick nie każe mu powtarzać tego, co rzekomo wykonał nocą, a co w rzeczywistości wyszło spod rąk Eleny. Frederick oparł drżącą dłoń na ramieniu chłopaka i podał mu rylce.

Kristoff go przyjął.

– Rozumiem – powiedział.

*

Przez cały dzień myślał o Elenie. Od mozolnej pracy rylcem bolały go ręce. Czas płynął powoli. Nie przestawały go nurtować motywy dziewczyny – o co jej chodziło, po co uczyła się fachu ojca po nocach, w tajemnicy. Prześladowało go też wspomnienie jej drobnych, zimnych dłoni. Dotyku miękkiej skóry. Tego, co czuł, gdy delikatnie wodziła palcem po jego obolałym, rwącym czole, tuż poniżej linii włosów.

W końcu słońce zaczęło chować się za górę i Frederick ogłosił koniec pracy.

– Dziś szabat – przypomniał.

Kristoff skinął głową. Mimo że przebywał u Faberów od niedawna, zdążył się już nauczyć, że piątkowy rytuał ma dla nich wielkie znaczenie.

– Rozumiem, że to nie twoja religia – dodał Frederick – ale za to moja. I mój warsztat. Nie chcę cię tu widzieć do jutrzejszego zachodu słońca. Obiecuj, że to uszanujesz.

– Obiecuję – powiedział Kristoff. I zrobił to szczerze.

*

Podczas uroczystej piątkowej kolacji Elena omijała go wzrokiem. Wydawała się całkowicie zatopiona w modlitwie, skupiona na blasku świec i dzieleniu chleba. Kristoff też próbował się skoncentrować. Wciąż czuł, że jest intruzem w tym świecie. Jak co tydzień z uwagą przysłuchiwał się modlitwom (*Baruch, Ata, Adonaj, Elohejnu, Melech ha-Olam...*), próbując je wszystkie zapamiętać, tak by któregoś dnia móc je wypowiedzieć razem z Faberami.

Zaczęli jeść. Pani Faber zganiła Miriam za dzwonienie łyżką w talerz w rytm jakiejś melodii, a Elena wstała, by przynieść dREW. Kristoff poderwał się, by jej pomóc. Tym razem nie protestowała.

Już za kuchennymi drzwiami, gdy wyszli na ostre nocne powietrze, Elena odwróciła się i delikatnie przytknęła palce do jego czoła.

– Bardzo boli? – spytała.

– Aż tak nie – skłamał. Chciała zabrać rękę, ale ją przytrzymał. – Twój ojciec widział, co zrobiłaś. Płytkę, którą zaczęłaś grawerować na podstawie mojego rysunku. – Dziewczyna zrobiła wielkie oczy, a Kristoff dodał: – Myśli, że to ja. Nie wyprowadziłem go z błędu.

– Dziękuję – powiedziała. – Ja... naprawdę ci dziękuję. – Uwolniła dłoń i ruszyła po drewno.

– Czemu go okłamujesz? I uczysz się w środku nocy?

– Nie okłamuję – odparła. – Nie muszę mu o wszystkim mówić.

– To chociaż mnie powiedz.

Elena sięgnęła po bierwiono. Kristoff też się schylił.

– Słuchaj – zaczęła. – Przepraszam za to, że cię uderzyłam. Szczerze. Ale przyjaciółmi nie jesteśmy. I, jak ci już wcześniej mówiłam, nie będziemy.

Ruszyła w stronę domu.

– Czemu tak mówisz?! – zawołał za nią Kristoff. – Bo ja sądzę, że właśnie będziemy.

Elena otworzyła drzwi i bez słowa weszła do kuchni.

*

Kristoff leżał w łóżku i szkicował Elenę. Tym razem jej włosy narysował tak, by układały się w kształt kwiatu podobnego do szarotki ze słynnego znaczka Fredericka. Szafka nocna, zgodnie z poranną obietnicą pani Faber, została przesunięta i chłopak zostawił ją na nowym miejscu, a przybory do rysowania rozłożył na pościeli. Jego warsztatem pracy stało się teraz łóżko, ale nie narzekał. Czuł się jakoś dziwnie dobrze, wygodnie. Było to dlań zupełnie nowe, nieznanne uczucie.

Ktoś cicho zastukał do drzwi. „Elena?” – pomyślał odruchowo. Zanim krzyknął: „Proszę!”, schował rysunek, bo trudno byłoby ukryć, czyj to por-

tret.

Kiedy jednak drzwi się otworzyły, okazało się, że stoi w nich Miriam.

– Kristoff – odezwała się dziewczynka, patrząc na niego szeroko otwartymi brązowymi oczami. Ciemne włosy miała splecione w potargany warkocz, a o wiele za duża, długa, biała nocna koszula wlokła się za nią po ziemi. Kristoff domyślił się, że Miri nosi ubrania po starszej siostrze. – Jak dobrze, że nie śpisz. Musisz mi pomóc.

– Co się stało? – spytał. W szabat nie grali w monopoly ani w nic innego. Spodziewał się, że poprosi go o przyniesienie drewna lub znowu powie, że w jej pokoju grasuje mysz. Powtarzało się to, odkąd tu zamieszkała: Miriam zaklinała się, że mysz drapie w ścianę przy jej łóżku, a pani Faber niezmiennie twierdziła, że ta mysz istnieje tylko w wybujałej wyobraźni jej młodszej córki.

– Elena zniknęła – odparła dziewczynka. – Nie mogę powiedzieć mamie i tacie, bo jest szabat i będą się gniewać. Bo w szabat nie wolno nam nigdzie chodzić.

– Ale jak to zniknęła? – Kristoff w myślach ujrzał Elenę z rylcem w rękę, pracującą przy świeczce w warsztacie ojca. – Może po prostu... – zaczął i przerwał, bo nie był pewien, czy Miriam jest wtajemniczona w sekrety siostry.

– Nie ma jej w domu ani w pracowni. Sprawdziłam.

– Może po prostu poszła gdzieś z koleżanką. – Kristoff nie znał przyjaciół Eleny. Wymknęła się na spotkanie z chłopakiem? Ta myśl go rozzłościła, choć bezpodstawnie; nie mógł przecież rościć sobie prawa do niej. Nie życzył sobie jednak, by Elena miała konkurenta, zwłaszcza takiego, dla którego gotowa byłaby ryzykować gniew rodziców, wywołany ucieczką z domu w noc szabatu.

Miriam się zawahała.

– Ona czasem chodzi na jakieś spotkania.

– Jakie?

– Ludzi, którzy się przejmują sytuacją z Niemcami. Elena mówi, że będzie

bardzo źle, jeżeli zgodzimy się na anszlus Austrii przez Hitlera.

Zaskoczył go zakres świadomości politycznej małej Miriam, ale też Eleny, zwłaszcza że tu, na uboczu, w cichym i spokojnym Grotzburgu reszta świata, a wraz z nią duże miasta, zdawała się nie istnieć. W wiecznie ruchliwym Wiedniu często rozmawiano o zmianach na scenie politycznej Europy i Austrii. Niektórzy sądzili, że lepiej będzie, jeżeli Austria zachowa niepodległość, inni byli przeciwnego zdania. Kristoff nie lubił Hitlera i nie popierał niemieckich roszczeń wobec Austrii.

– Gdzie się odbywają te spotkania, Miri?

Miriam wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ona tam chodzi. W tajemnicy przed rodzicami, bo nie chce, żeby się martwili. Ale w szabat do tej pory nie ruszała się z domu. – Miriam zamilkła i skręcała warkocz w palcach. – Czasem nawet zostaje tam na noc. Ale jutro jest sobota, tata nie pracuje. Zauważy, że jej nie ma. Nie rozumiem, co jej przyszło do głowy. A wszyscy mówią, że to ja jestem trzpiotką i nie mogę usiedzieć w miejscu.

Do Kristoffa nagle dotarło, że przecież Miriam przyszła do jego pokoju.

– Chcesz, żebym poszedł jej szukać, tak?

– Poszedłbyś?

Zawahał się.

– Nawet gdybym ją znalazł, i tak mnie nie posłucha. Nie lubi mnie. Zresztą sama wiesz.

– Ale ty ją lubisz. – Miriam sięgnęła po jego szkicownik.

– Zostaw. – Kristoff złapał go w porę i odsunął.

– I tak widziałam. – Miriam uśmiechnęła się wyniośle. – Wcześniej, jak przestawiałam szafkę.

– Nie wolno grzebać w cudzych rzeczach. – Czuł, jak pąsowieją mu policzki. Miriam poznała więc jego najskrytsze, najbardziej osobiste myśli. Widziała szkice, zobaczyła jego uczucia, czarno na białym, dosłownie wyrysowane węglem na białym papierze. Poczuli się gorzej, niż gdyby niespodziewanie weszła do jego pokoju i zastała go bez ubrania.

– Nie zrobiłam tego specjalnie – odparła dziewczyna. – Po prostu leżały. Na szafce. Którą musiałam przesunąć. – Kłamała, kręciła tak samo jak podczas gry w monopoli, ale uznał, że nie warto się z nią spierać. Co się stało, to się nie odstanie. – Niezły z ciebie artysta, wiesz? – rzuciła poważnie. – Też chciałabym tak umieć.

– Dzięki – odparł. – Słuchaj, rozumiem, że chcesz, abym pomógł. Ale ja nawet nie wiem, gdzie jej szukać. Elena na pewno sobie poradzi. – Potarł się po nadal obolałym czole. – Kto jak kto, ale ona nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Jest taka chatka w lesie, w połowie drogi do miasteczka. Trzeba zejść ze ścieżki. – Miriam oparła ręce na biodrach. – Mógłbyś przynajmniej sprawdzić. Wiem, że wcześniej już tam chodziła. To wcale nie tak daleko.

*

Na dworze było zdumiewająco jasno. Biała, lśniąca tarcza księżycy na czarnym niebie oświetlała Kristoffowi drogę. Do Grotsburga, który leżał za lasem, u stóp wzgórza, szło się około piętnastu minut. Miasteczko było niewielkie, dużo mniejsze niż Wiedeń – skupisko domów z czerwonymi dachami, podobnych do tego, w którym mieszkali Faberowie. Było tam jednak wszystko, co trzeba: targowisko, szkoła, do której chodziły dziewczęta, oraz poczta. Kristoffowi, który wychował się na wiecznie ruchliwych i pełnych zgiełku ulicach Wiednia, droga w tę i z powrotem wydawała się sielanką, odprężającym spacerem. Ale do tej pory chadzał tędy wyłącznie za dnia.

Nocą las sprawiał wrażenie gęstszego, a ścieżka wydawała się dłuższa i dużo bardziej stroma. Wiedział, o której chatce mówiła Miriam, ale zbliżywszy się do niej, nie zaryzykował wejścia do środka. Po wczorajszej przygodzie nie miał najmniejszego zamiaru znowu zaskoczyć Eleny.

– Kristoff? – Głos dziewczyny rozległ się między drzewami tak niespodziewanie, że chłopak drgnął.

Podniósł ręce i stanął jak wryty.

– Tylko mnie nie bij – uprzedził.

Usłyszał śmiech – chłopięcy. A właściwie męski. I wtedy zamajaczyły przed nim dwie sylwetki. Elena trzymała kogoś za rękę. Kogoś wyższego od niej. Mężczyznę, który w świetle księżyca wyglądał raczej nieprzyjaźnie.

– Kto to? – spytał tamten.

– E, nikt – odparła Elena; Kristoff odebrał jej słowa jak policzek, a może raczej kolejny cios stalową pałką w czaszkę. – Tylko nowy uczeń mojego taty.

Mężczyzna się zaśmiał.

– Kolejny kandydat do Hitlerjugend? – Podszedł krok bliżej. – Jeżeli masz takie plany, lepiej nie zwlekaj. Nie marnuj Frederickowi czasu.

– Josef, czekaj. On jest w porządku.

„W porządku?”. Kristoff ucieszył się, że Elena go do końca nie skreśliła.

– Co ty tu w ogóle robisz? – spytała, odwracając się do niego.

– Miriam się o ciebie martwi – odparł. – Boi się, że ojciec zauważy, że wysłaś w szabat, i się rozgniewa.

– Wiem. Już wracam. Nie miałam innego wyjścia. – Odwróciła się do Josefa. – Dalej pójdę już z Kristoffem.

– Na pewno? – Choć w ciemności Kristoff nie widział twarzy Josefa, domyślał się, że tamten patrzy na niego z powątpiewaniem, może nawet pogardą.

– Tak – odparła Elena. – To blisko, poradzimy sobie.

Josef złapał ją za rękę, a Kristoffowi nagle wyostrzyły się zmysły – poczuł zagrożenie. Ale mężczyzna tylko szepnął coś dziewczynie do ucha, a ona pośpiesznie go uścisnęła. Kristoff zdał sobie sprawę, że ciągnie ją do Josefa.

– Dobra, chodźmy – powiedziała Elena kilka sekund później. Klepnęła go w ramię i ruszyła ścieżką w stronę domu.

– Co ty tu robiłaś w nocy? – spytał Kristoff, wyciągając nogi, by za nią nadążyć. – I czemu ten Josef mnie pytał, czy chcę wstąpić do Hitlerjugend?

– A chcesz?

– A po cóż miałbym to robić? – Czuł się urażony, że Elenie coś takiego

w ogóle przyszło do głowy. Jak mogła posądzać go o sympatię do ugrupowania, które ostentacyjnie wyraża swoją wrogość wobec przedstawicieli narodo-
wości, do której należeli Faberowie?

– Nie mam pojęcia – odparowała Elena. – A czemu by nie? – Po czym łą-
godnie dodała: – Poprzedni uczeń taty właśnie tak zrobił.

Zatem wiedział już, co się stało z chłopakiem, który terminował przed nim
u Fredericka. Wcale nie został zwolniony; odszedł sam, by wstąpić do mło-
dzieżowej bojówki Hitlera. Nic dziwnego, że Elena nie miała zaufania do
Kristoffa. Na pewno nie było to z jej strony sprawiedliwe, ale przynajmniej
stało się zrozumiałe.

– Wiesz, że nie mam rodziny – powiedział. – Zanim tu przyjechałem,
większą część życia spędziłem w sierocińcu w Wiedniu. Ojca i matki nie
miałem. Ani siostry – dodał. – W ogóle nigdy nie miałem nikogo bliskiego.

– Przykro mi – rzekła Elena. – Nie wiedziałam.

– Nie musi być ci przykro. Chcę tylko powiedzieć, że mi tu dobrze. Bardzo
lubię twoją rodzinę. Na pewno bym ich nie skrzywdził. Ciebie też nie.

Elena zatrzymała się i odwróciła do niego.

– Jesteś inny, niż się spodziewałam, kiedy się tu pojawiłeś – oświadczyła.

Pamiętał, co mu powiedziała Miriam – o tym, gdzie nocami bywa Elena.

– I nie chcę, żeby Austria została włączona do Rzeszy – dodał.

Elena westchnęła.

– Oddziały niemieckie są już w drodze na Wiedeń. Jutro o tej porze wszy-
scy będziemy Niemcami.

*

Rano rodzina Faberów złamała nakaz szabatu – włączono radio. Nawet Mi-
riam siedziała w milczeniu, bez ruchu, zasłuchana. Radio trzeszczało, ale zro-
zumieli wystarczająco dużo: zgodnie z tym, co przewidywała Elena, wojska
Hitlera wkroczyły do Austrii i ogłoszono aneksję kraju.

– Hm, cóż. I tak będą musieli przeprowadzić referendum. – Pani Faber

z powątpiewaniem pokręciła głową i wyciągnęła rękę, by wyłączyć odbiornik.

– Mamo, zaczekaj – sprzeciwiła się Elena. – Chcę posłuchać, co jeszcze powiedzą.

– Nie mogą tak po prostu zająć sobie Austrii bez pozwolenia. – Pani Faber, co było do niej niepodobne, podniosła głos i nerwowo skręcała fartuch w palcach.

Frederick, nie zważając na protesty córki, wyłączył radio.

– Austrię mogą zająć – rzekł cicho. – Ale nie pozwolimy, żeby odebrali nam również szabat.

LOS ANGELES, 1989

Kiedy podjeżdżam pod knajpę, Grossman już jest w środku, siedzi przy stoliku pod oknem. Łatwo go rozpoznać dzięki charakterystycznym kręconym włosom, które wyglądają jeszcze bardziej nieporządnie niż wcześniej. Ciekawe, czy miał równie ciężki dzień jak ja.

Wchodzę i siadam naprzeciwko niego. Czeka już na mnie filiżanka kawy.

– Zamówiłem od razu dwie – mówi. – Chociaż nie wiem, czy w ogóle pijasz kawę – dodaje, definitywnie przechodząc na „ty”, bo do tej pory zwracaliśmy się do siebie bezosobowo.

– Pijam. Ale raczej nie o tej porze. – Podnoszę filiżankę do ust. – Dobra – komentuję. – Mówię tak, bo uważam się za znawcę. – Nie mam pojęcia, czemu tyle gadam, ale czuję się trochę spięta i to chyba z tego powodu. – Naprawdę dobra – powtarzam.

Benjamin zbywa moją nerwową paplaninę milczeniem. Otwiera szaroburą teczkę, która leży przed nim na stole. W środku znajduje się plastikowa koszulka, wyjęta z jednego z licznych klaserów taty. Benjamin przesuwa ją w moją stronę.

Widzę zaadresowaną i zaklejoną kopertę, zapewne zawierającą list. Jest poślódkła, przy brzegach trochę przetarta, w jej prawym górnym rogu przyklejony jest znaczek, obrócony do góry nogami.

– Odwrotnie przyklejony – zauważam, a Benjamin kiwa głową. – To dlatego jest taki nadzwyczajny?

– Nie. Sposób jego naklejenia to zupełnie inna kwestia. To znak, wiadomość.

– Wiadomość?

– Ludzie od wieków posługują się tą metodą. Każdy sposób umieszczenia znaczka na kopercie coś oznacza. Kiedyś istniał cały język.

– Język znaczków? – Nie miałam o tym pojęcia.

– Znaczek do góry nogami mówi: „Kocham cię” – wyjaśnia Benjamin.

– Więc to list miłosny? – Delikatnie obracam kopertę w palcach. Jestem dziennikarką, z natury bardziej interesuje mnie treść niż wygląd.

– Nie rozumiemy się. – Benjamin przeczesuje ręką włosy i pokazuje palcem na znaczek. – Jeszcze nigdy nie widziałem takiego znaczka jak ten.

Odwracam kopertę, by lepiej przyjrzeć się małemu kwadracikowi z nadrukiem. Przedstawia wieżę kościelną, czarno-białą na pomarańczowym tle. W każdym rogu widnieje ósemka, częściowo zasłonięta przez napis „Deutsches Reich”.

– Nie mam pojęcia, na co patrzeć.

– Czubek wieży – podpowiada ostro filatelista. Wydaje się zniecierpliwiony moim brakiem wiedzy, całkowitym niezrozumieniem tematu.

Podnoszę kopertę do oczu i dopiero teraz dostrzegam na samym wierzchołku wieży zarys czegoś, co przypomina miniaturowy kwiatek. Jest ledwie widoczny.

– Ten kwiatek? – pytam.

Benjamin kiwa głową.

– Kiedy Hitler zajął Austrię, Niemcy wypuścili serię znaczków z austriackimi motywami. Ten przedstawia katedrę Świętego Szczepana, symbol Wiednia. Ale nie powinien mieć kwiatuszka na czubku wieży.

– Więc skąd się tam wziął? – pytam. – To błąd drukarski? – A może ten wyśniony klejnot mojego taty? Małeńki, ledwie widoczny kwiatek na austriackiej katedrze? W dodatku przyklejony do góry nogami na liście miłosnym?

Benjamin upija łyżeczek kawy.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z pomyłką. Ówczesna metoda produkcji znaczków była bardzo żmudna. Najpierw powstawał rysunek, potem przenoszono go na metal. Zajmowali się tym grawerzy. To była bardzo wąska specjalizacja, wymagająca nadzwyczajnych umiejętności. Nie dało się tak po prostu pomylić i przypadkiem dodać kwiatka. – Śmieje się, a mnie robi się głupio, że się skompromitowałam.

– Więc skąd się tu wziął?

– No właśnie – mówi Benjamin i wzrusza ramionami. Nie zna odpowiedzi.

Jeszcze raz przyglądam się kopercie. Jest zaadresowana do kogoś o nazwisku Frl. Faber, a pod spodem widnieje nieczytelny adres, zapewne austriacki, wnioskując z tego, co powiedział Benjamin o pochodzeniu znaczka.

– Ciekawe, co jest w środku – mruczę.

– Nie, nie otwierajmy. – Benjamin odbiera mi list i osłania go obronnym gestem. – To może źle wpłynąć na wartość znaczka.

– Więc jest wartościowy?

– Być może tak – przyznaje. – Ale niekoniecznie. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent nietypowych znaczków nie ma żadnej wartości. Czasem nawet okazują się fałszywe.

– Brzmi obiecująco – prychem i opadam plecami na krzesło. Nagle ogarnia mnie zmęczenie. Dochodzi północ, a ja przyjechałam na drugi koniec miasta dla ledwie widocznego kwiatka na znaczku, który najpewniej nie jest ani wartościowy, ani nawet autentyczny.

Benjamin spogląda na mnie tak, jakby chciał coś dodać, ale chyba zmienia zdanie. Upija kolejny łyk kawy.

– Nie wiadomo, skąd twój ojciec go ma? – pyta luźno.

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Zbierał listy wszędzie, gdzie się dało: po sklepach z rupieciami, po wszelakich wyprzedazach. Boże, ciągał mnie tam ze sobą w każdy weekend, jak byłam mała.

Zabrzmiało to nieprzyjemnie i natychmiast zapragnęłam cofnąć swoje słowa. Ponieważ tym, co naprawdę pamiętam z tamtych czasów, jest uścisk dużej dłoni taty i ciepło kalifornijskiego słońca na twarzy, gdy w niedzielę rano jechaliśmy kabrioletem, oraz zapach cukierni, w której po drodze kupowaliśmy pączki. „Znaczki były wszystkim” – powiedział wcześniej ojciec, gdy wziął mnie za mamę.

Benjamin dopija kawę.

– Mogę spytać, czemu chcesz odebrać kolekcję?

– Tata się zdenerwował, kiedy mu powiedziałam, że oddałam ją do wyce-

ny.

– To on ją pamięta? Myślałem, że stracił pamięć.

Spuszczam wzrok i wodzę kciukiem po krawędzi plastikowego blatu, popękanego i obłazącego z farby.

– Z jego pamięcią jest jak z sitem, w którym cały czas powiększają się oczka. – Powtarzam słowa jednego z lekarzy, z tą różnicą, że z jego ust padły one ze stoickim spokojem, a w moim głosie pobrzmiwa gorycz. – Małe rzeczy wypadają przez małe dziurki, na początku powoli, ale dziurki stale się powiększają, więc dzieje się to coraz szybciej. U mojego taty na razie zanika pamięć krótkotrwała. Jeżdżę do niego co niedzielę. Za tydzień zapewne nie będzie pamiętał, o czym dziś rozmawialiśmy. Że oddałam jego kolekcję do wyceny. Ale będzie pamiętał, że ona istnieje. Nie mam co do tego wątpliwości.

– To musi być trudne – mówi Benjamin. – Mam na myśli ciebie.

– Owszem – przytakuję i zdaję sobie sprawę, że pierwszy raz się do tego przyznałam. Jak również po raz pierwszy usłyszałam od drugiej osoby, że to, co się dzieje z ojcem, może być trudniejsze dla mnie niż dla niego samego. Daniel tak nie sądził. Utratę pamięci taty postrzegał wyłącznie przez pryzmat rozpadu naszego małżeństwa, bo odciągała moją uwagę od niego. Zalewa mnie nagła fala wdzięczności dla Benjamin, obcego człowieka, którego nawet nie znam. – Przepraszam – mówię. – Pokryję koszty twojej dotychczasowej pracy.

Benjamin przez chwilę się waha.

– Na pewno chcesz odebrać kolekcję i dać sobie z tym spokój?

– Gdybyś przed chwilą powiedział, że ten znaczek ma dużą wartość, byłoby się nad czym zastanawiać, ale jak rozumiem, szanse są w zasadzie żadne. Więc jaki jest sens?

– Wcale tak nie twierdzę – oponuje Benjamin. – Powiedziałem, że znaczek może być wartościowy.

– Uhm, a szansa wynosi jeden procent.

Benjamin lekko się uśmiecha. Pewnie jest zadowolony, że uważnie go słu-

chałam; zdaje się, że nie jest do tego przyzwyczajony.

– Szanse mogą być większe – mówi. – Musiałbym zbadać tę sprawę. Zorientować się, co to w ogóle za historia. – Leciutko, przez plastik, przesuwa palcem po kwiatku, a potem popycha koszulkę w moją stronę. – Ale proponuję, żebyś na razie ty go wzięła. Pokaż znaczek tacie, zobacz, co on na to powie. Może pamięta, skąd go ma, albo wie, co to za kwiatek. – Przerywa na chwilę. – Wtedy zadecydujesz, czy mam wyceniać całą kolekcję.

Słowa Benjaminu mają w sobie jakąś nieoczekiwaną życzliwość. Stwarzają przestrzeń, w której można swobodnie odetchnąć, zastanowić się, przemyśleć. Grossman nie wydaje się zły, że zmarnowałam jego czas. Czuję, że muszę mu podziękować, chociaż sama dokładnie nie rozumiem za co. Ale mimo to dziękuję.

– Nie ma sprawy – odpowiada. Wstaje, wyciąga z kieszeni pięć dolarów i zostawia je na stoliku. – Odprowadzę cię do samochodu. Późno się zrobiło.

*

Następnego dnia, jadąc do pracy, łapię się na tym, że wybieram okrężną drogę. W ten sposób zamiast przed redakcją „LA Lifestyles” parkuję samochód przed biblioteką publiczną. Wchodzę i z automatu telefonicznego przy wejściu dzwonię do pracy. Zgłaszam chorobę, na co nie pozwoliłam sobie ani razu od dnia, kiedy Daniel mnie zostawił. Nie odpuściłam, nawet gdy dostałam okropnego kataru, który w pełni usprawiedliwiłby moją nieobecność. Nie chciałam, by Daniel miał mnie za tchórza. Zależało mi, żeby mu pokazać, jaka ze mnie profesjonalistka. Wiem, że muszę zmienić pracę. Nie mam zamiaru do końca życia pracować u kogoś, kto wkrótce będzie moim byłym mężem. Po prostu na razie nic ciekawego mi nie wpadło, choć szczerze mówiąc, jeszcze nie szukałam.

Po wczorajszym spotkaniu z Benjaminem długo nie mogłam zasnąć. Serce mi waliło od zbyt późno wypitej kawy. I od tego, czego się dowiedziałam. Wszystko mi jedno, co sobie pomyśli o mojej nieobecności Daniel i czy oddam mu recenzję na czas. Chcę się więcej dowiedzieć o znaczku – skąd po-

chodzi i dlaczego może być ważny.

Odwieszam słuchawkę i wchodzę do biblioteki. Na myśl, że nie będę dziś siedzieć w redakcji, czuję się cudownie wolna. Nie jestem pewna, czego tu właściwie szukam, ale wydaje mi się, że może czegoś w rodzaju książki, którą wczoraj widziałam u taty. Podchodzę do biurka i pytam, czy ją mają. Nie, tej akurat nie, ale bibliotekarka przynosi mi inny, podobny przewodnik filatelistyczny – katalog znaczków wydanych w pierwszej połowie XX wieku. Są ułożone latami, według krajów i projektantów.

– Nie miałam pojęcia, że jest tyle książek o zbieraniu znaczków – mówię do bibliotekarki, przerzucając strony.

Kobieta spogląda na mnie z ukosa.

– Mamy cały dział poświęcony filatelistyce.

Prowadzi mnie do tylnej części pomieszczenia. Skręca w prawo i wskazuje na kilka rzędów wysokich regałów.

– W LA mieszka wielu pasjonatów – mówi. – Jeżeli będzie pani jeszcze czegoś szukać, chętnie pomogę.

Dziękuję jej i ruszam alejką między półkami. Wciąż nie do końca wiem, o co mi chodzi. Ale czuję swego rodzaju lojalność wobec taty i wobec tego dziwnego znaczka, który znalazł się w jego kolekcji. Przecież nie można pogrzebać czyjejs życiowej pasji tylko dlatego, że ta osoba traci pamięć. To się nie godzi. Może dzięki znaczkom uda mi się trochę dłużej zatrzymać tatę w rzeczywistości. Sprawić, żeby nie zniknął razem ze swoimi wspomnieniami.

*

Kilka godzin później, w domu, przeglądam przywiezione z biblioteki książki. Robię sobie kolejną kawę. Mrużę oczy, wpatrując się w maleńkie obrazki w dużej encyklopedii filatelistycznej, którą znalazła mi bibliotekarka. Przeszukuję znaczki europejskie z lat tuż przed wybuchem II wojny światowej. Wiele z nich przedstawia budzący same nieprzyjemne skojarzenia profil Hitlera, a różnią się między sobą tylko ceną i kolorem. Przerzucam strony

wstecz – jakbym cofała się w czasie, przenosiła do świata, w którym Hitler jeszcze nie istniał. Zabrnęłam za daleko, we wczesne lata trzydzieste, ale postanawiam zacząć stąd i posuwać się do przodu.

Przeglądam nieznane popiersia i budynki, aż moją uwagę przyciąga znaczek z 1932 roku. Przedstawiono na nim kwiatek, którego ogromne płatki wypełniają całą powierzchnię papierowego kwadracika. Ma w sobie coś podobnego do wypatrzonej przez Benjamina miniaturowej roślinki na szczycie katedralnej wieży.

„Edelweiss”, głosi napis pod znaczkiem. „Grawer: Frederick Faber (1885–1938)”.

AUSTRIA, 1938

Grotsburg leżał około dwustu kilometrów na południowy zachód od Wiednia, i o ile Wiedeń był płaski jak stalowe płyty, z którymi Kristoff miał teraz do czynienia, to Grotsburg stanowił jego przeciwieństwo – był jakby wciśnięty między ośnieżone wzgórza, ciągnące się na zachód ku wysokim, pokrytym białymi czapami szczytom. Nie było łatwo tu trafić – pociąg nie dojeżdżał, a samochodem docierali tylko ci, którzy dokładnie wiedzieli, dokąd zmierzają. Miasteczko nie leżało przy żadnej z głównych tras – ani do Salzburga, ani do Grazu – słowem, nikomu nie było po drodze.

Usłyszawszy więc o inwazji nazistów na Wiedeń, Kristoff trwał w naiwnym przekonaniu, że tu, w Grotsburgu, nic się nie zmieni. Bo czego Niemcy mieliby szukać w takiej dziurze, gdzieś na końcu świata?

W połowie kwietnia, gdy śniegi zaczęły schodzić z gór i odbył się oficjalny plebiscyt, w którym dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procent uczestników wypowiedziało się za przyłączeniem Austrii do Rzeszy Niemieckiej (pani Faber miała rację – referendum doszło do skutku, choć wszystko wskazywało na to, że wyniki zostały sfałszowane lub zastraszona ludność obawiała się zagłosować inaczej), Kristoff nadal nie zauważył żadnych zmian w codziennym życiu rodziny i miasteczka.

Nie, pewna zmiana jednak nastąpiła: Frederick przez całą wiosnę zmuszał swojego ucznia do cięższej, bardziej wyętej pracy – kazał mu dłużej siedzieć w warsztacie, czasem bez kolacji i po zmroku, przy świecach. Pani Faber zostawiała im posiłek na piecu i jedli później, sami, kiedy ona i dziewczynki już leżały w łóżkach. Kristoff jednak nie narzekał. Nawet jeżeli puchły mu palce, a na dłoniach, wciąż w nowych miejscach, robiły się bolesne pęcherze. Były one bowiem oznaką, że coś z niego będzie. Stawał się grawerem.

Gdy nadeszło lato, palce Kristoffa lepiej rozumiały rylec. Potrafił już przynieść na metalową płytkę prosty szkic – w odbiciu lustrzanym i właściwych

proporcjach – tak, by z grubsza przypominał oryginał.

Frederick wziął jego pracę i powiedział:

– Prawie, prawie, mój chłopcze. – Klepnął Kristoffa w ramię i uśmiechnął się do niego z dumą; a przynajmniej tak to chłopak odebrał. – Wiedziałem, że będą z ciebie ludzie.

Kristoff chciał odpowiedzieć, ale nie mógł znaleźć słów. Dotąd nikt nigdy w niego nie wierzył. Ciężki dotyk ciepłej ręki mistrza na ramieniu omal nie przyprawił go o łzy.

*

Skończyło się lato i nastąpiła jesień. Drzewa na wzgórzach oblekały się w złoto, a Kristoff nabierał coraz większej wprawy w nowym fachu. Kiedy liście opadły i powiało wilgotnym listopadowym chłodem, nauczyciel wyjawiał mu swoją tajemnicę.

– Co to? – spytał Kristoff, gdy Frederick pokazał mu stos listów. Zwrócił uwagę na znaczki. Wszystkie z podobizną Hitlera. Wydane w Rzeszy.

– Piszą do mnie już od wielu miesięcy – wyjaśnił Frederick. – Nowy rząd. Niemcy. – Wymówił to tak, jakby nadgryzł jabłko, natrafił na zgniły kawałek i musiał go wypluć. Gestem nakazał Kristoffowi otwarcie jednego z listów, co chłopak bez zwłoki uczynił.

Przeczytawszy, nie wierzył własnym oczom. Wzywano Fredericka do natychmiastowego stawienia się w Wiedniu i oddania nowym władzom całego wyposażenia warsztatu grawerskiego oraz posiadanych projektów.

– Przecież to się nie godzi. Nie mogą tak – rzekł Kristoff głosem drżącym z wściekłości. Jego nauczyciel był artystą. Tyle podarował Austrii, a teraz, po anszlusie, Niemcy chcą mu wszystko odebrać?

– Mogą – odpowiedział ze smutkiem Frederick. – W Wiedniu już zaprowadzili swoje porządki. Trzeba było zamknąć połowę uczelni, bo zabrakło wykładowców, gdyż wszyscy żydowscy profesorowie zostali zwolnieni. To samo stało się ze szpitalami, z których usunięto lekarzy.

– Ale Grotzburg to nie Wiedeń – zaprotestował słabo Kristoff. Dopiero te-

raz zrozumiał, że i Grotzburg ma coś, na czym zależy Niemcom: Fredericka.

– Sytuacja staje się coraz poważniejsza – ciągnął Frederick. – Napięcie rośnie. Czytałem w gazecie, że jakiś żydowski chłopiec zastrzelił sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu. – Faber ciężko westchnął. – Jakby mieli za mało powodów, by nas nienawidzić.

Kristoff też widział ten artykuł. Gazeta leżała na kuchennym stole, gdy dziś rano pił kawę. Nagłówek krzyczał, że „wszyscy Żydzi to mordercy”, i chłopak odłożył ją na stół stroną tytułową do dołu. Nie miał serca tego czytać.

– Co pan teraz zrobi? – spytał.

– To, czego ode mnie żądają. Pojadę do Wiednia. – Stary grawer zawiesił głos. – Ale zamierzam im powiedzieć o tobie – dodał.

– O mnie? – zdziwił się Kristoff.

– Przez całe dorosłe życie projektowałem znaczki dla mojej Austrii. – Frederick mówił powoli, równym, wyważonym tonem. – Niemcy nadal będą potrzebowali fachowca. Kogoś, kto potrafi to robić i nie jest Żydem. Będą potrzebować ciebie.

– Ale... przecież ja nie jestem gotowy – sprzeciwił się Kristoff. Nie wyobrażał sobie, że dałby radę samodzielnie, bez pomocy nauczyciela przygotować matrycę. I czy w ogóle by tego chciał.

– Jesteś – odparł Frederick. – Wystarczająco. – Zasiadł w fotelu. Rozejrzał się po warsztacie, jakby starał się go dobrze zapamiętać, po czym objął głowę dłońmi. – My niebawem wyjedziemy. Do Wiednia.

– Wszyscy? – Kristoff nie mógł się przyznać, że bardziej od straty Fredericka obawia się utraty pysznej kuchni pani Faber, śmiechu Miriam, a przede wszystkim towarzystwa Eleny. Ta przez minione miesiące trzymała go na dystans, jedynie od czasu do czasu, gdy odzywał się do niej przy kolacji, obdarzając uśmiechem. To mu wystarczało, by zaliczyć wieczór do udanych. Latem zostawał czasem sam w warsztacie, żeby dłużej popracować, i zdarzało się, że Elena też tam przychodziła. Grawerowali wtedy razem. Dziewczyna rysowała gorzej od niego, za to kopiowanie obrazu na metal szło jej znacznie

lepiej. Kristoff szkicował więc dla niej kwiaty – szarotki, które przez całe lato kwitły na wzgórzach – a ona przenosiła je na płytę. Pracowali ramie przy ramieniu, jak ludzie, którzy należą do tego samego miejsca, znają ten sam fach i wiedzą, że mogą zostać mistrzami grawerskimi. Kiedyś, w przyszłości.

W warsztacie nie odzywali się do siebie, a potem zachowywali, jak gdyby nigdy nic. Od czasu do czasu zdarzało im się jednak podczas krzątania po niewielkim pomieszczeniu czy podawaniu sobie jakiegoś narzędzia otrzeć się o siebie ramieniem czy musnąć dłonią. Na Kristoffa bliskość dziewczyny działała jak ożywcze ciepło. Była niczym promienie słońca, które latem padają na stoki wzgórz, topią śnieg i sprawiają, że świat okrywa się bujną, soczystą zielenią.

– Pojadę pierwszy, w tym tygodniu, żeby znaleźć nam mieszkanie – rzekł Frederick, sprowadzając Kristoffa na ziemię, czyli do chłodnego warsztatu. – Dziewczynki do mnie dołączą. Miriam od następnego kwartału zacznie żydowską szkołę. A Elena może zapisze się na uniwersytet. – Zamilkł na chwilę. – To wszystko oddaję tobie. – Szerokim gestem pokazał na warsztat, podwórze i stojący za nim dom.

– Ale jak to... – zaprotestował Kristoff. Nie chciał majątku Fredericka, ale jeszcze bardziej nie chciał, by Faberowie go tu zostawili. Samego. Przez tych kilka krótkich miesięcy pierwszy raz w życiu nie pamiętał, że jest sierotą. Nie chciał znowu zostać sam.

– Pragnę ci to przekazać, póki jeszcze należy do mnie. – Faber zmusił się do uśmiechu. – Póki mi niczego nie odebrali. – Po chwili dodał: – Może kiedyś wrócę, ale na razie chciałbym ci przekazać swój dobytek pod opiekę. Zadbaj o niego, dobrze?

Kristoff czuł, że nie ma wyboru. Musiał się zgodzić.

– Ależ oczywiście – rzekł w końcu.

*

Tego samego popołudnia Frederick wyruszył do Wiednia z małą brązową walizką i prowiantem przygotowanym przez panią Faber: chałką z dżemem

brzoskwiniowym i dużą butelką czarnej herbaty.

– W mieście coś sobie kupię, kochanie – powiedział. Przyjął jednak to, co wręczyła mu żona, i odwzajemnił jej długi uścisk.

– Powinnam jechać z tobą – powiedziała pani Faber znużonym głosem.

Kristoff pomyślał, że pewnie już to powtarzała, i to niejednym razem.

– Musisz zostać w domu i zająć się dziewczynkami – odpowiedział Frederick. – Poza tym nie będzie mnie tylko kilka dni. No, najwyżej tydzień.

Frederick zaplanował, że po zapadnięciu zmroku uda się do miasteczka i całą noc spędzi w synagodze. Rano zaś pojedzie do Wiednia z panem Gutenheimerem – prawnikiem, starym przyjacielem rodziny, który miał samochód i prowadził interesy w stolicy, i przez wiele lat woził tam Fabera z gotowymi matrycami, które trzeba było dostarczyć do drukarni. Kristoff zgadywał jednak, że pan Gutenheimer również został wezwany przez Niemców. On także był Żydem.

– Pora na mnie – powiedział Frederick, odsuwając żonę. Ucałował Miri i Elenę w czoła, po czym wyciągnął rękę do Kristoffa. Kiedy nią potrząsał, chłopak czuł, że powinien coś powiedzieć. Nie miał jednak pojęcia co. Nie wypuszczał dłoni nauczyciela ze swojej, przedłużał uścisk, ale w końcu musiał go zwolnić. Nie miał wyboru.

*

Tego wieczora pani Faber położyła się wcześniej pod pozorem bólu głowy. Elena kroїła chałkę i smarowała kromki dżemem brzoskwiniowym, a Kristoff stał przy oknie i gapił się na obejście. Obiecał Frederickowi, że wszystkiego dopilnuje. Próbował sobie wyobrazić pracę dla Niemców, przygotowywanie znaczków z napisem „Deutsches Reich”, z pełną świadomością, że to oni zmusili Faberów do opuszczenia domu i dotychczasowego życia. Nie tego pragnął, nie po to tu przyjeżdżał. Może też powinien wrócić do Wiednia i zaoszczędzone u Fabera pieniądze wynająć sobie małe mieszkanie? Mógłby znaleźć nową pracę, coś łatwiejszego niż wieczna walka z rylcem (chyba żadne zajęcie nie przychodziłoby mu z takim trudem). No i miałby kontakt z Fa-

berami, gdyby przypadkiem mieszkali niedaleko.

– Kristoff. – Głos Eleny wyrwał go z zamyślenia. – Chcesz kanapkę? – Mówiła ciszej i łagodniej niż zwykle. Odwrócił się do niej. Była też bledsza, a jej zielone oczy ostrzej kontrastowały z cerą. Nieuczesane włosy opadały na twarz. Złapała jego spojrzenie i zgarnęła włosy na plecy, jakby się spieszyła, co go zdziwiło. – Kristoff – powtórzyła ostrzej. – Chleba? Z dżemem?

– Poproszę – odpowiedział, choć nie czuł się głodny. – Jeżeli to nie kłopot.

– Żaden. – Elena ukroiła jeszcze chałki.

Jedli w milczeniu. Nawet Miriam się nie wierciła. Bez słowa przeżuwała kanapkę.

Frederick wyjechał, a niebawem cały świat miał się zmienić. Kristoff pragnął wyciągnąć rękę i zatrzymać ten proces, unieruchomić bieg zdarzeń. Nie chciał tu zostać – w tym domu, w tym życiu, zupełnie sam.

*

Tej nocy nie mógł zasnąć. Wstał i poszedł do pracowni – tak jak robił wiele, wiele razy przedtem. Choć Frederick mu ją powierzył, Kristoff nie wiedział, czy kiedykolwiek uzna to miejsce za swoją własność. Warsztat należał do Fredericka i to się nie zmieni. W środku nocy nadal czuł się tu jak intruz.

Pracownia tonęła w mroku, a w powietrzu wisiała cisza. Kristoff przyszedł tu wiedziony nadzieją, że w warsztacie zastanie Elenę. Ale dziewczyna się nie pojawiła. Był zupełnie sam.

Zapalił świecę i przesunął ręką po narzędziach i metalowych płytkach. Na blacie nadal piętrzył się stos listów, które nadeszły z Wiednia. Kristoff wziął do ręki pierwszy lepszy z wierzchu, podpalił go od świecy, po czym wrzucił do paleniska i przyglądał się, jak płonie. Kiedy z listu został już tylko popiół, chłopak pomyślał, że może nie powinien był tego robić. Niemcy mogą go teraz uznać za przestępcę, ponieważ zniszczył nadesłane przez nich instrukcje. I ponieważ był tu, z Faberami.

Drgnął, zaskoczony, gdy ktoś zastukał do drzwi. Elena? Nie, ona by przecież nie pukała. Dźwięk rozległ się znowu, tym razem głośniejszy i mocniej-

szy. To już nie było stukanie, lecz walenie, a ręka, która łomotała w drzwi, na pewno nie należała do Eleny ani Miri. A więc kto to, Niemcy? Rozejrzył się naprędce za jakimś narzędziem, którego mógłby użyć do obrony, choć zdawał sobie sprawę, że to na nic. Jeżeli za drzwiami stoją żołnierze, którzy przyszedli zarekwirować dobytek Fredericka, Kristoff nie zdoła ich powstrzymać.

– Elena! – zawołał męski głos. Wydawał się Kristoffowi znajomy, lecz chłopak nie mógł go z nikim skojarzyć, przynajmniej nie od razu.

Stukanie się powtórzyło.

– Elena, otwórz – powiedział mężczyzna.

Czy to mógł być Josef? Kristoff wiedział, że Elena nadal chodzi gdzieś po nocach, i podejrzewał, że spotyka się z Josefem. Nie sypiał głęboko, więc słyszał, jak dziewczyna wykrada się przez okno swojego pokoju, który mieścił się bezpośrednio pod jego poddaszem. Te hałasy zawsze go budziły, a potem nie mógł znowu zasnąć. Godzinami leżał w łóżku i rozmyślał o Elenie, wędrującej gdzieś po lesie w towarzystwie Josefa. Ciągłe miał przed oczami jej postać.

– Widzę światło – rzekł Josef i znowu zapukał. – Wiem, że tam jesteś. Otwieraj.

Kristoff wziął świecę i otworzył drzwi. Teraz, przy świetle, widział twarz mężczyzny dokładniej niż za pierwszym razem, gdy tamtej marcowej nocy spotkali się w lesie. Josef miał ciemne włosy i takie same oczy, jego usta okalała krótka broda. Był o głowę wyższy od Kristoffa. Chłopak nieświadomie wyprostował plecy.

– Elena? – Josef przepchnął się obok niego, by zajrzeć w głąb warsztatu. Sprawdziwszy, że dziewczyny tam nie ma, zmarszczył czoło i cofnął się o krok. – Gdzie ona jest? – zapytał.

Kristoff wskazał brodą na podwórze i stojący za nim dom. Dlaczego Josef szuka Eleny tutaj, zamiast od razu iść do Faberów?

– Przyprowadź ją. – To był rozkaz, nie prośba.

– Późno jest. – Kristoff nie miał chęci pomagać tamtemu. Frederickowi by

się to nie spodobało, niezależnie od powodów tej nocnej wizyty. – Śpi – dodał, choć szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, czy to prawda.

– To ją obudź – warknął Josef wściekłym głosem. – Niemcy są w miasteczku. Synagoga płonie.

– Synagoga? – powtórzył Kristoff drżącym głosem. – Przecież Frederick miał tam dziś nocować...

Josef skinął głową. Najwidoczniej o tym wiedział. I właśnie dlatego przyszedł.

– No idźże już po nią. Marnujesz tylko czas.

LOS ANGELES, 1989

Następnego dnia rano, w drodze do pracy, w głowie nieustająco brzęczy mi nazwisko Faber. Frederick Faber, projektant znaczków i grawer, którego znalazłam w książce. List jest adresowany do Frl. Faber, a ja pragnę się dowiedzieć, kto to taki oraz czy i w jakim stopniu jest spokrewniony z grawerem. List miłosny, tak Benjamin wyjaśnił to, że znaczek został przyklejony do góry nogami. Coraz mniej interesuje mnie potencjalna wartość tego znaczka, a coraz bardziej historia, która się za nim kryje.

Dzwonię do Benjaminą natychmiast, gdy tylko siadam za biurkiem, ale od razu włącza się automatyczna sekretarka. Przypominam sobie, jak mówił, że w nocy raczej nie sypia, za to świetnie mu się wtedy pracuje, więc może to dla niego za wczesna pora. Zostawiam mu wiadomość o znaczku Edelweiss, który znalazłam w książce, o podobieństwach w wyglądzie obu kwiatków oraz zbieżności nazwisk grawera i osoby, do której został zaadresowany list.

Odkładam słuchawkę. Przed moim biurkiem stoi Daniel. Mam nadzieję, że nie słyszał wiadomości, którą przed chwilą nagrałam. Nie dlatego, że źle postąpiłam, dzwoniąc do Benjaminą w czasie pracy. Nie, po prostu nie chcę, żeby wiedział. Mam ochotę zacząć coś całkiem nowego, coś, w czym on nie będzie brał udziału. Coś tylko mojego. Daniel nic nie wie o znaczkach ani o listach miłosnych.

Jest wysoki, szczupły, ma klasyczną urodę – jasnoblond włosy i bladoniebieskie oczy. Lubię myśleć, że kiedy mnie zostawił, stracił na atrakcyjności, ale gdy patrzę na niego z bliska, tak jak teraz, widzę, że się oszukuję.

– Lepiej się czujesz? – pyta. Siada na skraju mojego biurka i lekko przekrzywia głowę. Sprawia wrażenie szczerze zatroskanego. Pewnie myśli, że skoro znamy się jak łyse konie, bez trudu stwierdzi, czy naprawdę wczoraj chorowałam.

– W porządku. Znacznie lepiej. – Zmuszam się do uśmiechu, ale do niczego więcej. Poza tym gdzieś w głębi serca jestem zadowolona, że się o mnie

troszczy. Choć nie powinnam.

Przysuwa się bliżej i mówi przyciszonym głosem:

– Dostałaś papiery? Mój adwokat mówi, że już do ciebie poszły.

A więc źle odczytałam jego troskę. Jej obiektem nie byłam ja i moje samopoczucie, tylko to, czy papiery rozwodowe przypadkiem nie zaginęły na poczcie.

– Tak, dostałam.

– Dobrze. – Zerka na zegarek. – Za pół godziny potrzebuję tej recenzji, pamiętasz? – pyta dokładnie tym samym tonem, którym zadawał poprzednie pytanie. Wnioskuje z tego, że recenzja i papiery rozwodowe są dla niego tak samo ważne.

– Jasne – odpowiadam.

Szczerze mówiąc, nawet nie zaczęłam jej pisać, ale nic straconego – pod presją czasu pracuję szybko i sprawnie. Chcę, żeby już sobie poszedł, zniknął, zamknął się w swoim gabinecie. Nie mam zamiaru o nim myśleć, o pozwie też nie, ani o tym, że kiedyś lubiłam tę redakcję – przede wszystkim dlatego, że pracowałam ramię w ramię z Danielem.

*

Nie chcę czekać do niedzieli, by pokazać tacie list, postanawiam więc jechać do The Willows zaraz po pracy. Są godziny szczytu i utykam w strasznym korku. Uwięziona w aucie na obwodnicy, rozmyślam o Danielu, o tym, jak dziś siedział na moim biurku – tak blisko mnie i tak mi bliski – i pytał o papiery rozwodowe równie lekko, jakby rozmawiał o pogodzie.

Poznaliśmy się na przyjęciu z okazji wyboru burmistrza Bradleya na drugą kadencję w 1981 roku. Ja przyszłam służbowo z zadaniem sporządzenia relacji dla gazety „Tribune”, gdzie pracowałam w dziale miejskim, a Daniel towarzyszył mamie, Gertrude, która należała do grona sponsorów komitetu wyborczego burmistrza. Stałam z boku i notowałam tak zawzięcie, że w pewnej chwili mój długopis odmówił współpracy. Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu drugiego, a wtedy, nie wiadomo skąd, pojawił się Daniel.

– Zdaje się, że mój wreszcie się do czegoś przyda – rzekł, podając mi długopis.

Mój wzrok od razu przykuły jego niebieskie oczy, słuszny wzrost i idealnie dopasowany smoking. Pamiętam, jak pomyślałam sobie wtedy, że na pewno wyjął go ze swojej szafy, a nie zdjął z wieszaka w wypożyczalni.

Jako że nie bywam na formalnych przyjęciach tego szczebla, poprzedniego dnia pobiegłam do Macy's, by kupić sobie coś specjalnie na tę okazję. Wybrałam najtańszą opcję: sukienkę z czarnego aksamitu, z bufami w ramionach i przyciasną (była o rozmiar za mała, bo większych nie mieli na wyprzedaży). Strasznie się w niej męczyłam, była całkiem „nie moja”. Ale opłaciło się – nagle wyrósł przy mnie jak spod ziemi fantastyczny facet i oddał mi swój długopis. Tego typu mężczyźni normalnie się przy mnie nie zatrzymywali.

Przyjęłam długopis i podziękowałam, a on się do mnie uśmiechnął. Miał wspaniałą uśmiech i równe białe zęby.

– Nie wiem jak pani, ale mnie się tu nudzi – szepnął konspiracyjnie, jakbyśmy się już znali. – Nie miałyby pani ochoty urwać się na drinka?

Miałam, a jakże, ale obowiązki wzywały. Było to – wstyd się przyznać – najlepsze zlecenie, jakie trafiło mi się od miesiący. Wreszcie coś ciekawszego niż relacje z nudnych sesji rady miasta, których streszczenie należało do moich zadań. Powiedziałam mu to, a on parsknął śmiechem.

– W porządku – rzekł. – W takim razie poproszę o pani telefon i jutro zgłoszę się ponownie.

Zapisałam swój numer w notatniku, wyrwałam kartkę i podałam mu ją. On zaś, muskając przy tym moje ramię, złożył ją, schował do wewnętrznej kieszeni marynarki i zniknął w tłumie.

Reszta notatek, jakie poczyniłam tamtego wieczora, przypominała chaotyczną bazgraninę. Następnego dnia w pracy nie mogłam nic odczytać. A kiedy w dniu przyjęcia późnym wieczorem wróciłam do domu, zadzwoniłam do taty i opowiedziałam mu, że poznałam cudownego faceta.

Ostatnio tata nawet nie pamięta, jak Daniel ma na imię. Jednym z pierwszych objawów jego zdradliwej choroby było to, że kiedy pytał o Daniela,

używał sformułowania „twój mąż”. Na początku sądziłam, że to po prostu przez brak sympatii. Potem uświadomiłam sobie, że nie pamięta jego imienia. Lekarz twierdzi, że to typowe dla alzheimera – pacjenci pamiętają imiona swoich dzieci, ale ich małżonków lub swoich wnuków już nie, ponieważ zostały one zarejestrowane na późniejszym etapie życia. W pewnym momencie imię zostaje więc zastąpione słowem określającym pokrewieństwo: mąż, dziecko i tak dalej.

Były mąż, myślę teraz, parkując wreszcie przed The Willows. To niewielka różnica, tata jej nie zapamięta, nawet jeżeli nie powiem mu prawdy.

*

Nie rozpoznaję pielęgniarki dyżurującej dziś wieczór w recepcji. Przedstawiam się, a ona przypomina mi, niezbyt delikatnie, że jest już prawie siódma i do końca odwiedzin mam tylko kilka minut. Potem pyta, czy już kiedyś widziałam się z tatą po kolacji. Kręcę głową.

– Najprawdopodobniej będzie w gorszym stanie, niż się pani spodziewa – informuje mnie.

Nie cierpię tego „najprawdopodobniej”; przecież ona go wcale nie zna. Nie cierpię też tego, że tata musi tu mieszkać, wśród obcych ludzi, choć wiem, że to jedyne możliwe rozwiązanie.

– Zespół zachodzącego słońca – dodaje.

Znam ten termin. Kiedy u taty zdiagnozowano chorobę, przeczytałam wszystko, co znalazłam na ten temat. *Sundowning*, zespół zachodzącego słońca, u osób z alzheimerem i demencją oznacza znaczne pogorszenie stanu pacjenta w godzinach wieczornych. Przez moment kusi mnie, by wziąć nogi za pas i wrócić tu o zwykłej porze, w niedzielę rano, kiedy jest widno i wiem, czego mogę się spodziewać. Przejechałam jednak kawał drogi i aż drzę z ciekawości, co się zdarzy, gdy pokażę tacie kopertę. Dziękuję pielęgniarce i idę do jego pokoju.

Przez chwilę przyglądam się tacie, stojąc jeszcze w korytarzu. Siedzi na łóżku i ogląda wiadomości. Trwa relacja z Niemiec, komentator zastanawia

się na głos, czy mur berliński w końcu runie. Czy do tego dojdzie? Osobiście w to nie wierzę. Prawie przez całe moje życie Niemcy były podzielone. Pamiętam, jak ten mur wznoszono. Akurat odwiedziłam dziadków, miałam osiem czy dziewięć lat, babcia płakała, a mama próbowała ją pocieszyć. Wschodnia część kraju, z której pochodziła rodzina mamy, przyjęła ustrój komunistyczny i pozostawała w strefie wpływów Związku Radzieckiego, a jej mieszkańcy znaleźli się za żelazną kurtyną w dosłownym tego słowa znaczeniu. Babcia była przekonana, że już nigdy nie wróci w miejsce, gdzie przyszła na świat. Mama tłumaczyła jej, że przecież nie musi tego robić, bo ma przed sobą długie, wspaniałe życie w Stanach, razem z nami.

Mam wrażenie, że tata z uwagą słucha relacji i wraz z dziennikarzami zastanawia się nad możliwością ponownego zjednoczenia Niemiec. Nagle spogląda w stronę drzwi, dostrzega mnie i lekko mruży oczy. Nie jestem pewna, czy mnie rozpoznaje.

– Przekłęci Niemcy – mówi. On też urodził się w Niemczech, jak dziadkowie, ale wyjechał stamtąd w dzieciństwie, nie jest więc przywiązany do tego kraju tak jak babcia. Mówi z leciutkim, ledwie słyszalnym akcentem, z wyjątkiem takich chwil jak ta, kiedy przypomina sobie wydarzenia z przeszłości. Wtedy jego akcent się nasila.

– Masz na myśli tych z NRD? – Próbuję przywołać go do rzeczywistości, do tu i teraz.

Marszczy czoło, ale nic nie mówi. Ostrożnie wsuwam się głębiej do pokoju. W dłoni ściskam plastikową koszulkę.

– Tato. – Słyszę, że głos mi drży. – Tato – powtarzam ciut głośniejsze, z mocą, której tak naprawdę nie czuję. – To ja, Katie. Caryca Katarzyna – dodaję z nadzieją, że na dźwięk znajomego przezwiska trybiki zaskoczą i jego pamięć się obudzi.

Tata spogląda na mnie i kiwa głową. Przyciągam sobie bliżej jego fotel i siadam. Wciąż jest skupiony na wiadomościach. Sięgam po pilota.

– Mogę to wyłączyć? – pytam. – Chciałabym porozmawiać.

Nie mówi tak ani nie, więc wyłączam telewizor. Ekran gaśnie, w pokoju nagle zapada cisza i robi się ciemniej, niż się spodziewałam. Włączam lamp-

kę na szafce nocnej. Żółty blask pada na twarz taty, na jego obwisłe, pomarszczone policzki, blade plamy wątrobowe na prawie łysej czaszce i kosmyki siwych włosów, które mam ochotę przygładzić, ale się powstrzymuję. Czy nikt tu nie dba o to, żeby się czesał? Ogarnia mnie prawie niezrozumiały gniew. Przecież jest późno, tata już prawie się położył. Komu miałyby zależeć na jego wyglądzie?

Odwracam wzrok od jego włosów i spoglądam na list, z którym tu przyszłam.

– Coś ci przyniosłam – mówię. – Ten filatelista, Grossman, znalazł to w twojej kolekcji. Mówi, że to coś ciekawego.

– Grossman? – Tata kręci głową. Nie potrafi skojarzyć nazwiska. Nie pamięta naszej rozmowy sprzed paru dni, swoich przypuszczeń odnośnie do religii czy pochodzenia Benjamin. Pewnie, że nie. Niby dlaczego nazwisko Benjamin Grossman, wymienione przy nim tylko raz, miałyby się zatrzymać na wielkim, krwawiącym sicie jego umysłu?

– Oddałam twoje znaczki do wyceny, ale potem kazałeś mi je odebrać, więc obiecałam, że tak zrobię – mówię łagodnie, z nadzieją, że wyważony, stanowczy ton pomoże mu sobie przypomnieć.

– Nie pokazuj im moich znaczków – odzywa się tata takim głosem, jakby mówił z oddali. Nie patrzy na mnie, nie mam więc pewności, czy nadajemy w tej samej rzeczywistości i czy w ogóle wie, z kim rozmawia.

– Tak, wiem. Niczego nie sprzedam. Wszystkie odbiorę. Na pewno. Jednak Grossman znalazł jeden szczególnie interesujący znaczek. Chciałam ci go pokazać. – Drżącą ręką wyciągam list w stronę taty. Złości mnie ta reakcja: to, że zdradzają mnie ręce, że widać po mnie strach i że w ogóle obawiam się przebywać z własnym ojcem. Tak naprawdę to nie wiem, czego się właściwie boję.

Tata ogląda uważnie kopertę, a potem sam znaczek. Wzdycha. Nie wiem, czy to znaczy, że rozpoznaje go i rozumie, co się dzieje, czy wręcz przeciwnie.

– Grossman twierdzi, że ten znaczek może być klejnotem, którego szukałeś – wyjaśniam. Benjamin oczywiście tego nie powiedział, ale ja czuję po-

trzebę podkreślania pozytywów, patrzenia na tę sytuację z optymizmem.

Tata znowu kręci głową.

– Nie powinnaś tego mieć – mówi.

– Daleś mi całą kolekcję – przypominam mu. Ponieważ nie odpowiada, lekko kładę mu rękę na ramieniu. – Tato – ponaglam.

– Twojego ojca tu nie ma – odzywa się surowo, jakbym była dzieckiem, a on mnie ganił, czego dawniej, gdy byłam mała, nigdy nie robił. Z drugiej strony, ma przecież rację... mojego ojca rzeczywiście tu nie ma. Ta nagła myśl uderza mnie z taką siłą, że tracę oddech. – Musisz już iść. No idź już! – krzyczy.

Co innego, gdy bierze mnie za mamę – patrzę na to z dystansem, przez pryzmat jego choroby, rozumiem to. Mam takie same jak mama szaroniebieskie oczy i ciemne kręcone włosy, a także kształt twarzy podobny do jabłka. Na pierwszy rzut oka można mnie z nią pomylić, wziąć za młodą ją, za kobietę, którą kiedyś była. Ale tata nigdy dotąd tak na mnie nie krzyczał. Nie gniewał się aż tak jak teraz.

Ta pielęgniarka z nocnego dyżuru miała rację. Nie powinnam była tu przychodzić. Zespół zachodzącego słońca przestał być suchym terminem klinicznym, na który natrafiłam w książce wypożyczonej z biblioteki. Stał się rzeczywistością.

– Wrócę w weekend – mówię cicho i przygryzam wargę, by powstrzymać łzy. Nie chcę, by widział, że płaczę, mimo że przecież on tak naprawdę mnie nie widzi. Zbieram swoje rzeczy, odsuwam fotel na miejsce i ruszam do drzwi.

– Nie – słyszę za plecami głos taty. – Już tu nie wracaj.

*

Biegnę korytarzem, chcę jak najszybciej wydostać się z The Willows, tego okropnego, pięknie utrzymanego miejsca, w którym wszystko jest bez sensu. Pielęgniarka w recepcji podnosi na mnie wzrok, a ja w głębi serca oczekuję, że mnie zatrzyma, uśmiechnie się z wyższością i powie: „A nie mówiłam?”.

Ale tak się nie dzieje. Kiedy ją mijam, kobieta wyciąga w moją stronę rękę z pudełkiem chusteczek, żebym sobie jedną wyciągnęła.

*

Ręce tak mi się trzęsą na kierownicy, że nie jestem w stanie prowadzić, zwłaszcza w takim ruchu, zatrzymuję się więc parę przecznic na zachód od The Willows, przy dawnym centrum handlowym Santa Monica Mall, które teraz, po przebudowie, nazywa się Third Street Promenade.

Parkuję i idę się trochę przejść. Dochodzi ósma, ochłodziło się. Pewnie powinnam coś zjeść, mimo że nie jestem głodna. No i nie opanowałam jeszcze sztuki samotnego bywania w restauracjach. Kiedy trochę ochłonę, pojedę do domu, naleję sobie wina, wyjmę coś gotowego z zamrażarki i podgrzeję w mikrofalówce.

Przed sklepem z płytami stoi budka telefoniczna, szukam więc w torebce drobnych. Wrzucam ćwierćdolarówkę i wybieram numer sklepu filatelistycznego, który, jak się okazuje, znam już na pamięć. Mam nadzieję, że zgłosi się automatyczna sekretarka i będę mogła powiedzieć: „Rezygnuję. Jednak nie jestem zainteresowana. Nieważne, co to za znaczek i czy jest coś warty. Przyjadę odebrać całość i więcej się nie pokażę”. Ale Benjamin odbiera po drugim sygnale.

– Halo? – mówi, a ja przez dobrą minutę milczę. – Halo, kto mówi?

– D-dobry wieczór – odzywam się wreszcie. – To ja, Katie.

– Odsłuchiłaś wiadomość? – rzuca bez zastanowienia. Zakłada, że tak.

– Nie, nie dzwonię z domu. – Nie pytam, czego ta wiadomość dotyczy. Chyba nawet nie chcę wiedzieć. Wyobrażam sobie, jak po powrocie do domu wciskam „Usuń”, nie odsłuchawszy nagrania.

– Gdzie jesteś? – pyta filatelista.

Zamiast odpowiedzieć, wyrzucam z siebie szybko:

– To był jednak fatalny pomysł. Tylko go rozdrażniłam.

– Kogo?

– Ojca. Myślałam, że... – Urywam, zdawszy sobie sprawę, jak głupie jest to, co miałam zamiar powiedzieć: że te znaczki, te idiotyczne, martwe papierowe kwadraciki zadrukowane spłowiąłym tuszem pomogą mi go zrozumieć, zachować przy sobie. Że jakoś zatrzymają proces jego odchodzenia. „Już tu nie wracaj” – powiedział. W niedzielę rano zapewne nie będzie tego pamiętał. W ogóle zapomni, że dziś u niego byłam. Ale ja nie. – Nieważne – mówię. – W każdym razie daję sobie spokój z tym znaczkiem. Tak czy siak.

– Aha, czyli jeszcze nie odsłuchałaś – stwierdza Benjamin. Dopiero teraz na to wpadł. – Niewykluczone, że twoje przypuszczenia są słuszne. Co do związku tego listu z Faberem. Chyba masz oko do znaczków. – Odchrząkuje, jakby komplement, który nieoczekiwanie wyrwał mu się pod moim adresem, zaskoczył go i zbił z tropu. Jakby to było coś dziwnego, że ktoś inny również może mieć oko do znaczków. – Też zwróciłem na to uwagę, od razu, gdy tylko zobaczyłem nazwisko na kopercie – dodaje szybko. – Tyle że od początku wiedziałem, że ten znaczek nie mógł zostać wypuszczony przed wybuchem wojny, a Frederick Faber zmarł wcześniej, w trzydziestym ósmym. To znaczek wydany przez Niemcy hitlerowskie, z napisem „Deutsches Reich”, a Faber był Żydem. – Benjamin mówi z niezachwianą pewnością, ale ja potrzebuję dłuższej chwili, żeby załapać, o co mu chodzi. Frederick Faber nie mógłby stworzyć tego znaczka, nawet gdyby wtedy żył. Nazistowskie władze nie powierzyłyby tego osobie pochodzenia żydowskiego.

– Więc nie mógł być twórcą znaczka – mówię. – To mniej więcej tyle, jeśli chodzi o moje „oko”.

– Osobiście nie mógł, ale podejrzewam, że jest z tym jakoś powiązany. Cały dzień siedziałem w bibliotece, przeglądałem stary mikrofilm. Faber miał rodzinę. Żonę i dwie córki. Dwie Fräulein Faber.

– Mówisz po niemiecku? – pytam. Sama znam tylko parę zwrotów od babci, zbyt mało, by czytać w tym języku.

– Nie, artykuły były po angielsku. Z brytyjskiej prasy. Przed okupacją Faber był znanym grawerem. Nie tylko w Austrii, w całej Europie.

Próbuję je sobie wyobrazić, te córki Fredericka Fabera. Czy list był adresowany do którejś z nich? Kto go napisał? Może jakiś wielbiciel talentu ich

ojca? List miłosny, hm... Tuż po śmierci ojca? Czy córki były mu bliskie? Kochały go, jak ja swojego? Tęskniły za nim tak, jak ja już tęsknię za moim tatą?

– Więc co się z nimi stało? – pytam. – Z tymi córkami?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Benjamin. – Były Żydówkami. Mieszkały w Austrii pod okupacją niemiecką. – Na chwilę milknie, a potem odzywa się trochę ciszej. – Należy przypuszczać, że nic dobrego.

AUSTRIA, 1938

Kristoff zostawił Josefa w warsztacie i popędził do domu. Przystanął na chwilę w kuchni, by wyrównać oddech, i zagapił się na resztkę chałki pozostawioną na blacie. Kiedy ją kroili, Frederick musiał być jeszcze bezpieczny. „I możliwe, że nadal jest” – pomyślał chłopak. Może udało mu się uciec z synagogi, a może go w niej nie było, gdy Niemcy podłożyli ogień? Kristoff był zlany potem, choć w kuchni panował chłód – po ogniu w kominku pozostała tylko kupka szarego popiołu, w której czerwieniło się ledwie kilka grudek żaru.

Stąpając na palcach, ruszył na górę. Nie chciał obudzić Miriam ani pani Faber i tłumaczyć im – teraz, w środku nocy – czego się dowiedział od Josefa. „Poza tym Josef może wcale nie ma racji” – myślał, stukając cicho do drzwi pokoju Eleny.

Dziewczyna otworzyła natychmiast. Najwyraźniej nie spała. Spojrzała na Kristoffa i zmarszczyła czoło.

– Co chcesz? – syknęła. – Jest środek nocy. – Jakby sam tego nie wiedział.

Miał ochotę jej powiedzieć, żeby się kładła. Ona by spała i śniła kolorowe sny, a on w tym czasie poszedłby do miasteczka, odnalazł Fredericka całego i zdrowego i do rana wszyscy by o tym zapomnieli. Elena nigdy by się o niczym nie dowiedziała. Nie mógł jednak tego zrobić. Po pierwsze, nie zostawiłby jej, Miriam i pani Faber samych. A po drugie, wyprawa do miasteczka teraz, kiedy – jak twierdził Josef – pojawili się w nim Niemcy, byłaby czystym szaleństwem.

– Josef przyszedł – rzekł, zanim stracił odwagę.

– Co? – rzuciła zupełnie innym tonem. Już się nie złościła. – Teraz? Kristoff? – Złapała go mocno za rękaw i przytrzymała. – Coś się stało?

Chłopak z trudem przełknął ślinę. Nie potrafił przekazać jej złych wiadomości.

– Ubierz się i zejdź do warsztatu – powiedział cicho. – Tam porozmawiamy.

*

W warsztacie zastali Josefa siedzącego w fotelu Fredericka przy piecu.

– Co się dzieje? – zapytała Elena, gdy tylko weszła. – O co chodzi?

Kristoff zamknął drzwi. Josef mówił pewnie, bez wahania. Przedstawił Elenie sytuację w ten sam chłodny sposób jak przedtem Kristoffowi.

– Ale ojciec się wydostał – rzuciła Elena. – Prawda? Musiał się wydostać, zanim budynek spłonął. Jestem o tym przekonana. Jest taki zaradny.

– Pewnie właśnie wraca do domu – odezwał się Kristoff i Elena uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Josef przeciwnie, spojrzał na niego spode łba i podszedł do dziewczyny. Objął ją, a wtedy Kristoff odwrócił się i zajrzał do pieca. Przed chwilą, gdy poszedł do domu obudzić Elenę, Josef dorzucił drewno i w kominie aż huczało. Kristoff udawał, że grzeje ręce, ale tak naprawdę patrzył w ogień, by nie widzieć, jak tamci się przytulają.

Josef szeptał coś do Eleny. Kristoff nie słyszał słów.

– Kto by na to zważał. Tata może nadal być w niebezpieczeństwie – powiedziała Elena.

– Ale Elena – Josef podniósł głos – teraz nasza praca nabiera jeszcze większego sensu. Oni wszystko palą.

– Jaka praca? – Kristoff odwrócił się do nich, a Elena odsunęła od Josefa. Stała teraz z rękami założonymi na piersiach, oparta o blat roboczy.

– Nie do ciebie mówiłem – uciął Josef. – Szczerze mówiąc, nie rozumiem, czemu wciąż tu jesteś.

– Josef, przestań – wtrąciła się Elena.

– Co za praca? – powtórzył Kristoff, tym razem zwracając się do Eleny.

Dziewczyna zignorowała go i znowu odezwała się do Josefa:

– Musimy odnaleźć ojca. Niepotrzebnie tracimy czas.

Josef skinął głową i położył jej rękę na ramieniu.

– W porządku – rzekł. – Ja idę.

– Ja z tobą – oświadczyła Elena.

– Nie – zaprotestował Josef. – Ty zostajesz, na wypadek gdyby ojciec wrócił, zanim go znajdę. Będę jak najszybciej. – Odwrócił się do Kristoffa i twar- do spojrzał mu w oczy. – Jeżeli coś jej się stanie pod moją nieobecność – rzekł – to cię zabiję.

*

– Nie miej mu tego za złe – odezwała się Elena, kiedy za Josefem zamknę- ły się drzwi. – Jest trochę szorstki w obyciu, ale ma złote serce.

– Uhm – mruknął Kristoff. – I właśnie dlatego zagroził, że mnie zabije.

– Nie mówił tego na poważnie.

Kristoff był przeciwnego zdania. Nie miał jednak zamiaru pozwolić, by Elenie coś się stało. Lub Miriam. Lub ich matce. Przecież złożył obietnicę Frederickowi. Ale nawet gdyby mu tego nie obiecał, i tak dołożyłby wszel- kich starań, by wszystkie panie Faber były bezpieczne.

– O jakiej pracy mówił Josef? – spytał. – Czym wy się zajmujecie?

Wiosną Elena skończyła szkołę i choć mówiło się, że ma się zapisać na uniwersytet w Wiedniu – Frederick życzył sobie, by studiowała literaturę – plany te zostały odłożone ze względu na anszlus. Kristoff nie był pewien, co dziewczyna porabia całymi dniami, zakładał jednak, że gdy Miriam jest w szkole, starsza córka pomaga matce w licznych obowiązkach domowych.

Elena lekko podskoczyła i usiadła na blacie. Nogi dyndały jej teraz w po- wietrzu, a Kristoff musiał się trochę przesunąć, by jej nie dotykać.

– Zastanawiamy się, jak by tu powstrzymać Niemców – odparła. – I próbu- jemy zorganizować pomoc dla Żydów, którzy chcą wydostać się z Austrii. Tu już nie jest bezpiecznie. Niemcy się wszędzie panoszą, a teraz zaczęli jeszcze podpalać. – Westchnęła. – Mamy do dyspozycji te narzędzia – powiodła ręką po blacie – więc postanowiliśmy z tego skorzystać i zacząć podrabiać papie- ry. Dokumenty...

– Dlatego nie chciałaś, żeby twój tata się dowiedział? – Kristoff był prze-

konany, że Frederick nie dopuściłby do sytuacji, w której jego córka uczy się grawerstwa po to, by prowadzić nielegalną działalność.

Elena skinęła głową i zeskoczyła z blatu.

– Ojcu musi być zimno. Wezmę koc i wyjdę mu naprzeciw. Pewnie jest gdzieś w lesie. Nie po to uciekał z pożaru, żeby potem zamarznąć na śmierć.
– Zerwała koc z fotela i zgrabnie go złożyła.

– Nigdzie teraz nie pójdziesz – zaproponował Kristoff.

Elena podeszła do drzwi.

– Josef kazał ci czekać – powiedział. – Niemcy...

– Mam ich w nosie – zadrwiła Elena. – Znam te lasy lepiej niż oni. Nic mi nie będzie. Nie mogę tu siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy mój ojciec gdzieś się błąka. Nie obchodzi mnie, co Josef powiedział.

Otworzyła drzwi i zanim Kristoff zdołał ją zatrzymać, wybiegła na dwór. Chłopak nie miał wyboru. Wziął latarnię i pospieszył za nią.

*

W milczeniu szli przez las. Wydawało się, że nawet sowy, sarny i jelenie wyczuwają niebezpieczeństwo czające się od strony miasteczka. Kristoff nie pamiętał równie spokojnej nocy. Takiej ciszy, takiego bezruchu. I takiego zimna. Jedynym dźwiękiem, jaki im towarzyszył, był chrzęst zmarzniętych liści i trzask gałązek pod stopami. W powietrzu dawało się wyczuć delikatny swąd dymu. Kristoff próbował wymyślić, co zrobi, jeśli natkną się na Niemców. Groźba Josefa nie zrobiła na nim wrażenia. Bał się tylko o Elenę. Trzymał ją teraz za rękę – w naiwnym przekonaniu, że nad nią czuwa. Gdyby trafili na Niemców, oczywiście na nic by się to nie zdało. Na szczęście żołnierzy w lesie nie było – wszyscy zgromadzili się w miasteczku.

Kiedy zbliżyli się do skraju lasu, dziewczyna wyrwała mu się i pierwsza pobiegła do granicy drzew. Przed nimi, u stóp wzgórza, rozciągało się miasteczko. Mimo ciemności widzieli je doskonale. Oświetlał je jaskrawy pomarańczowoczerwony blask bijący od słupów płomieni; nad dachami unosiły się kłęby dymu.

Elena podniosła rękę do ust.

– Nie tylko synagoga. Wszystko płonie – wyjąkała. Nie wierzyła Josefowi, dopóki nie zobaczyła tego na własne oczy. – Całe miasto zniszczone...

Kristoff czuł, że powinien coś powiedzieć, ale milczał. Oczy i gardło szczypały go od dymu. Instynktownie złapał dziewczynę za rękę w obawie, że ta rzuci się w dół – w stronę domów, pożaru i ojca. Niepotrzebnie. Elena stała jak zamurowana.

Chciał się odwrócić od falujących płomieni rozdzierających nocne niebo. Widok był straszny, lecz Kristoff przez długi, długi czas po prostu nie mógł oderwać od niego wzroku.

*

Tej nocy nie położył się spać. Udało mu się namówić Elenę do powrotu, przekonać ją, że lepiej będzie czekać na Fredericka i wieści od Josefa w domu, a teraz siedzieli razem w warsztacie. Narzędzi i płyt grawerskich nawet nie tknęli, chociaż często o tej porze w najlepsze pracowali.

Elena w milczeniu wpatrywała się w ogień płonący w kominku. Kristoff zastanawiał się, czy widzi w nim, podobnie jak on, pożar miasteczka – wyraźnie i nieprzerwanie.

W końcu wziął do rąk szkicownik i zaczął ją rysować. Robił to niemal instynktownie, palce wręcz świerzbiły go do węgla. Do tego, co dobrze znał. Co potrafił. Co kochał. Co nadal miał. Nienaruszone, wciąż doskonałe. Nakreślone na papierze linie uspokajały go. Przywracały bezpieczeństwo.

Ogień wygasł, pozostawiając po sobie kupkę popiołu, a za górą wstało słońce. Zaczął padać śnieg – delikatne białe płatki pokrywające podwórze wydawały się dziwnie nie na miejscu.

Wreszcie Elena wstała. Miała podkrążone oczy, potargane włosy i wymiętą, naderwaną przy dolnym szwie sukienkę. Do synagogi szło się nie dłużej niż dwadzieścia minut. Jeżeli Frederick się uratował, już dawno dotarłby do domu.

– Muszę powiedzieć mamie – stwierdziła.

– Iść z tobą? – spytał Kristoff.

Twarz dziewczyny, poza stanowczo wysuniętym podbródkiem, wskazującym, że podjęła trudną decyzję, nie zdradzała cienia emocji. Stoicka postawa Eleny była niewiarygodna – a nawet w pewnym sensie piękna. Kristoff żałował, że nie zdołał uchwycić jej na szkicu, który nagle wydał mu się płaski i nieudany.

– Elena. – Wstał i spróbował wziąć ją za rękę, tak samo jak w nocy. Czuł, że jest na skraju łez. Za żadne skarby nie chciał się przy niej rozpłakać.

– Nie. – Wyszarpnęła się. – Ty tu zostań i czekaj na Josefa. Pójdę sama.

LOS ANGELES, 1989

Z zadziwiająco głębokiego snu wyrywa mnie natrętny dzwonek telefonu. W sypialni jest jeszcze ciemno, według budzika dopiero co minęła szósta. Wstaję i na chwiejnych nogach okrążam łóżko, bo aparat stoi po drugiej stronie, na szafce nocnej Daniela. Odbieram w panice. Telefon o tej porze nie wróży dobrych wiadomości.

– Kochanie, włącz telewizor – odzywa się bez powitania babcia.

Jestem zdumiona. Rozmawiamy ze sobą regularnie, raz w tygodniu, w sobotę przed południem, a parę razy w roku jeżdżę ją odwiedzić. Wszystko jest z góry zaplanowane. Babcia nie lubi niespodzianek. Ja też nie, jeżeli już o tym mowa.

– Coś się stało, babciu? – pytam.

– Po prostu włącz telewizor, Katie. Obalają mur. W końcu!

Mówię, żeby zaczekała i ziewając, idę do drugiego pokoju włączyć telewizor. Relację z Berlina nadają wszystkie stacje. Mur obalony. Ludzie tańczą. „Niemcy z sektora wschodniego i zachodniego wreszcie razem” – informuje reporter.

– Całą noc patrzyłam – mówi babcia, gdy podnoszę słuchawkę w salonie. Wychowała się na terenie obecnej NRD, ale jeszcze przed wojną wyemigrowali z dziadkiem do Stanów. Babcia była wtedy w ciąży z moją mamą. Mama zawsze twierdziła, że ją i tatę połączyły wspólne niemieckie korzenie. Poznali się na małej wysepce Coronado – mama pracowała jako kelnerka w meksykańskiej knajpce, a tata przyszedł tam coś zjeść. Choć do Stanów przyjechał jako chłopiec, a mama urodziła się już tutaj jako obywatelka amerykańska, od razu wiedzieli, że mają ze sobą wiele wspólnego. Zarówno mój tata, jak i babcia oraz dziadek uzyskali obywatelstwo wiele lat przed moim przyjściem na świat. Babcia jednak, mimo że ma osiemdziesiąt cztery lata, w głębi serca nadal uważa Niemcy za swoją ojczyznę. Ja zaś, jako jedyny członek rodziny, który jej jeszcze pozostał, czuję się w obowiązku dzielić

z nią radość dzisiejszego poranka. – Czy to nie cudowne? – pyta.

– Cudowne, babciu – odpowiadam. Cieszę się, że jest szczęśliwa, a równocześnie zdaję sobie sprawę, że obalenie tego muru to naprawdę wielka sprawa o globalnym znaczeniu. Choć od mojego życia bardzo, bardzo odległa.

– Wiesz, że zawsze marzyłam, aby tam pojechać – ciągnie babcia. – I nie przypuszczałam, że za mojego życia będzie to możliwe.

Dziarską staruszką może bym jej nie nazwała, ale doskonale daje sobie radę – mieszka sama w małym domku na wyspie, gdzie dorastała moja mama. W zeszłym roku przestała prowadzić samochód i najęła panią do sprzątanía. Umysłowo trzyma się jednak świetnie. O wiele, wiele lepiej niż tata, choć przecież jest od niego o pokolenie starsza. Spokojnie dałaby radę wyruszyć w daleką podróż, lecz do tej pory podział Niemiec i żelazna kurty-na uniemożliwiły jej odwiedzenie rodzinnych stron.

– Nie obudziłam Daniela? – pyta babcia, jakby właśnie przyszło jej to do głowy.

– Znasz go, babciu, zawsze śpi jak zabity. – Tak dobieram słowa, żeby móc sobie wmówić, że przecież nie skłamałam. Bo on rzeczywiście zawsze śpi jak zabity. Gdyby tu był i spał obok mnie, to zgodnie z tym, co sądzi babcia, nawet by nie drgnął. Mam do siebie pretensje, że do tej pory nie powiedziałam babci prawdy. Teraz też nie powiem – jest taka szczęśliwa. A poza tym niby jak miałabym jej to wyjaśnić? Sama nie wierzę w to, co nas spotkało.

*

W redakcji aż kipi. Wszyscy mówią tylko o murze berlińskim i zjednoczeniu Niemiec. Sądząc po tym, co się dzieje na wszystkich kanałach telewizyjnych, wrze na całym świecie. W gabinecie Daniela, przed małym czarno-białym telewizorem, który stoi na metalowej szafce na teczki z dokumentami, ciśnie się grupka moich kolegów. Słuchają i oglądają. Jestem zadowolona, że już widziałam wiadomości, przetrawiłam je, omówiłam i ucieszyłam się z nich razem z babcią. Przynajmniej nie muszę iść do gabinetu Daniela, mogę spo-

kojnie zostać przy biurku.

Nadal mam w torbie foliową koszulkę z listem. Noszę ją ze sobą cały tydzień, nie potrafię się z nią rozstać. Nie mogę też zapomnieć tego, co powiedział Benjamin o siostrach Faber. A jeżeli wy dostały się z Austrii, uciekły przed hitlerowcami? Bądź co bądź, moja rodzina na czas wyjechała z Niemiec. Tyle że dużo wcześniej niż data stempla na „moim” liście. No dobrze, ale jeżeli im też się udało? A ten list, po tylu latach, mógłby znaczyć coś dla nich, a może dla ich dzieci? Dostarczyć jakichś nowych informacji o utraconym ojcu lub w ogóle o życiu rodziny w tamtych czasach?

Podczas naszej ostatniej rozmowy Benjamin oświadczył, że chciałby zgłębić tajemnicę tego znaczka, ustalić jego pochodzenie i potencjalną wartość. Powiedział, że w najbliższy weekend wybiera się na konferencję filatelistyczną w okolicy San Francisco i zamierza wziąć ze sobą zdjęcie znaczka z nadzieją, że się czegoś dowie. „Daj mi jeszcze tydzień – rzucił – a jeśli nic z tego nie wyjdzie, wtedy sobie odpuścimy”. Nie protestowałam. Postanowiłam tylko, że w przyszłym tygodniu zadzwonię i umówimy się na odbiór reszty kolekcji.

Wyciągam z dolnej szuflady biurka wizytownik i szukam namiarów na Jasona Hirscha. Zanim związałam się z „LA Lifestyles” i wyszłam za Daniela, pracowaliśmy razem w dziale miejskim gazety „Tribune”. Straszna to była harówka – streszczanie sesji rady miasta, raporty z imprez organizowanych pod patronatem burmistrza i tak dalej – więc nie wahałam się jej rzucić dla pisania recenzji filmowych. Jason oszedł zaraz po mnie i zrobił błyskotliwą karierę w ukazującym się w całych Stanach magazynie „Voice”. Chyba ostatnio pisał coś o ludziach, którzy przeżyli Holocaust, a dziś mieszkają w Los Angeles. Może będzie mógł mi podpowiedzieć, jak się zabrać do poszukiwania rodziny Faberów.

– O, Katie, co u ciebie? – wita mnie Jason.

Nie kontaktowaliśmy się od dobrych paru miesięcy. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy go ostatnio widziałam. Tak, spotkaliśmy się przypadkiem na jakiejś imprezie branżowej, chyba w zimie. Byłam wtedy z Danielem. Jeszcze. Kusi mnie, by skłamać, że w porządku, jak to zwykle robię. Ale znamy się

z Jasonem jak łyse konie, poza tym on doskonale odczytuje ludzi.

– Bywało lepiej – odpowiadam więc i jestem prawie zaskoczona swoim wyznaniem, tym, jak brzmi wypowiedziana na głos prawda. Mówię mu, że rozstajemy się z Danielem, a tata musiał się przenieść do domu opieki ze względu na utratę pamięci, więc ogólnie życie mi się trochę skomplikowało.

– Jasna cholera – odzywa się Jason przepraszającym tonem. – Przykro mi, Katie. Nie miałem pojęcia. Gdybym wiedział, na pewno bym do ciebie zadzwonił.

– Dzięki. – Nie chcę dłużej mówić o sobie, przechodzę więc do sedna sprawy. – Słuchaj, chciałabym kogoś odnaleźć. Rodzinę. Dwie żydowskie dziewczynki, siostry, które w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku mieszkały w Austrii.

– A co to za temat? – dopytuje się Jason. Opowiadam mu więc w skrócie o kolekcji znaczków taty i o liście adresowanym do Fräulein Faber z naklejonym nietypowym znaczkiem.

– Ha, to dopiero! – mówi Jason, a potem przez dłuższą chwilę się zastanawia. – Gdybyś wiedziała, gdzie dokładnie mieszkały, mogłabyś zacząć od sprawdzenia tamtejszych archiwów. W każdym razie ja zwykle tak robię.

– Ale jak miałabym je sprawdzić? Jechać tam? Osobiście? – Brzmi to nieodrzecznie. Mam lecieć na drugi koniec świata, do Austrii, dla głupiego znaczka i listu, który równie dobrze może być nic nie warty?

– To zależy. Być może tak – wyjaśnia Jason. – To znaczy, jeżeli chodzi o sam Wiedeń, mogłabyś znaleźć namiary na archiwum i tam zadzwonić. Ale jeśli to była jakaś wioska, która już nie istnieje? – Zawiesza głos, a ja próbuję zmierzyć się z kalibrem tego, co właśnie usłyszałam. Wioska sprzed pięćdziesięciu lat, obecnie nieistniejąca? – Ale założmy, że się stamtąd wydostały – ciągnie Jason. – Jeżeli trafiły do Stanów, trzeba by ich szukać w archiwach Urzędu Imigracyjnego.

– Byłoby cudownie – mruczę, mając na myśli ewentualność, że dziewczęta wydostały się z okupowanej Austrii, nie zaś perspektywę przeszukiwania archiwów. Choć znaleźć je też byłoby świetnie.

– Jest parę organizacji, które zajmują się łączeniem rodzin. Tworzą bazy danych ludzi szukających swoich zaginionych krewnych. Mogłabyś do nich zadzwonić.

Jason twierdzi, że to wszystko da się zrobić. Zaraża mnie swoim optymizmem. Perspektywa, że dowiem się, co się stało z tymi dziewczynkami, zaczyna mnie ekscytować. Pamiętam, że czułam się podobnie, kiedy jako młoda, początkująca dziennikarka napisałam niezły tekst i byłam z niego dumna.

– Miałabyś ochotę spotkać się na drinka? – pyta Jason. – Zamienilibyśmy dwa słowa, a przy okazji podrzuciłbym ci telefony do tych organizacji. Pogrzebię w papierach i poszukam.

– Chętnie – odpowiadam. Miło będzie się spotkać ze starym znajomym, wyskoczyć gdzieś po pracy.

*

Po rozmowie z Jasonem postanawiam jechać do biblioteki i spróbować ustalić, gdzie dokładnie mieszkali Faberowie. Początkiem poszukiwań mógłby być adres na kopercie. Trzeba go tylko rozszyfrować.

Przed wyjściem zaglądam do biura Daniela. Telewizor nadal jest włączony, a Daniel, Janice i Rob, nasz redaktor językowy, gapią się w niego jak za hipnotyzowani. Na ekranie ktoś stoi na murze berlińskim i żongluje, a ktoś inny trzyma duży radiomagnetofon, z którego na cały głos leci amerykańska muzyka. Bruce Springsteen? Chyba tak.

– Wychodzę pisać materiał – kłamię, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi.

*

– O, znowu pani – mówi na mój widok bibliotekarka. – Chyba niedługo sama pani zostanie filatelistką, co?

Jestem zaskoczona, że mnie pamięta, ale być może niezbyt często się zdarza, by kobieta w moim wieku zapuszczała się między regały z filatelistyką. Choć Benjamin Grossman stanowi wyjątek, mnie zbieranie znaczków nadal

kojarzy się z hobby dla emerytów.

Wyjmuję list i pokazuję go bibliotekarce. Gdybym lepiej znała niemiecki i miała choćby znikome pojęcie o austriackich wzorach adresowych, bez trudu poradziłabym sobie ze znalezieniem tego miejsca na mapie.

– Muszę znaleźć adres z tego listu.

– Znaczkę już pani nie interesują? – Bibliotekarka, zbita z tropu, marszczy brwi.

– Skądże, interesują, tylko próbuję dowiedzieć się czegoś więcej o tym konkretnym. Z tego listu. Chcę sprawdzić, dokąd miał trafić, gdzie mieszkała ta kobieta. Znaczek pochodzi z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, może znajdzie mi pani jakąś mapę Austrii z tego okresu?

– Chwileczkę. – Kobieta podchodzi do katalogu tematycznego, przeszukuje fiszki z tytułami, po czym znika. Chwilę później wraca z naręczem książek. Wszystkie wyglądają jak wielkie, zakurzone tomiszcza, po które od wieków nikt nie sięgał. – Geografia Europy, mapy i atlasy sprzed drugiej wojny – wyjaśnia. – Może gdzieś namierzy pani ten adres.

Dziękuję jej i podaję kartę biblioteczną, bo chcę wypożyczyć pozycje do domu.

– Wie pani, że ten list nie został nadany, prawda? – pyta.

Kiwam głową, choć nie jestem tego pewna; zastanawiam się też, skąd ona to wie.

– Nie ma na nim stempla pocztowego – dodaje.

– Oczywiście – mówię i czuję się jak idiotka. Benjamin musiał to zauważyć. Pewnie założył, że ja też.

Wychodząc z biblioteki obładowana książkami, myślę, że skoro list nie został wysłany, może to ja powinnam go wysłać. Teraz. Jeśli uda mi się ustalić, co się stało z rodziną Faberów.

*

Kilka godzin później myję włosy, ujarzmiam niesforne loki za pomocą pian-

ki, ubieram się w sukienkę, a nawet delikatnie maluję usta. Wybieram się na drinka z Jasonem. Nie szykuję się dlatego, że traktuję to spotkanie jak randkę lub chcę, żeby się w nią zamieniło. Bardziej dlatego, że od kilku miesięcy nigdzie nie bywałam, wychodziłam tylko do pracy, do taty i ostatnio w różne miejsca w sprawie znaczka. Pamiętam, że jeśli się postaram, potrafię całkiem ładnie wyglądać. A to miłe uczucie.

Kiedy docieram do hotelu Beverly Hilton, gdzie się umówiliśmy, Jason już czeka. Zamawiam wino, on piwo, po czym od razu przechodzę do rzeczy. Wyciągam list.

– To list miłosny – mówię i tłumaczę mu, czego się dowiedziałam o znaczeniu znaczka przyklejonego do góry nogami. Wyjaśniam też, że znaczek jest niezwykle z powodu małego, ledwie widocznego kwiatuszka.

Jason zerka na znaczek.

– Przyznaję – zaczyna z uśmiechem – że miałem swoje powody, żeby cię zaprosić na drinka. – Ma miły uśmiech, choć trochę krzywe dwa przednie zęby.

– Jakie? – pytam drżącym głosem. Może jednak nie powinnam była się malować.

– Materiał. – Nie odrywa wzroku od listu, szminki nawet nie zauważył. Przesuwa palcem po znajdującym się w koszulce znaczku. – Chyba ci nie mówiłem, ale dostałem awans. Jestem szefem działu felietonu.

– Wspaniale, gratuluję. – Unoszę kieliszek, jakbym wznosiła toast. Mam nadzieję, że w moim głosie nie zabrzmiała gorycz, bo wcale nie jestem rozgoryczona. Przeciwnie, cieszę się z jego sukcesu. Kupę lat temu zaczęliśmy razem, a tu proszę, znalazł się lata świetlne przede mną.

– Jak rozpracujesz tę historię – mówi – koniecznie musisz z niej zrobić dobry materiał. Dla mnie.

Ach, więc to były te jego „powody”. Chce, żebym dla niego pracowała?

Nawet mi nie przyszło do głowy, by o tym pisać. Ani prosić Jasona o zlecenie. Doznaję dziwnego *déjà vu* – przeżywałam coś podobnego z Danielem, gdy zaproponował mi współpracę. Spotykaliśmy się od paru miesięcy, a ja

byłam tak znużona codziennym wałkowaniem nudów z życia miasta, że dział kulturalny w magazynie lifestylowym jawił mi się jako Święty Graal, a bliskość Daniela była dodatkową zaletą. Nie pozwalałam sobie na rozmyślenia, co będzie, kiedy przestanie się między nami układać. Bo wiedziałam, że wszystko pójdzie dobrze. I szło. Aż do niedawna.

– Nie musisz tego robić ze względu na to, co ci powiedziałam o Danielu – mówię do Jasona.

– Ależ skąd – zaprzecza Jason. – Po prostu fajnie byłoby znów coś razem zrobić. Poza tym zatrudnię cię, dopiero jak rozpracujesz tę historię.

Tłumaczę sobie, że Jason to nie Daniel. A „Voice” i „LA Lifestyles” to niebo i ziemia.

– Nie wiem, czy coś z tego będzie – mówię. – I czy w ogóle się dowiem, co się stało z tą rodziną.

– Będzie, będzie – odpowiada Jason. – Na pewno się dowiesz. – Wyciąga z torby teczkę i podaje mi ją. – Tu masz listę moich kontaktów. Telefony do ludzi, którzy mogą ci pomóc w odnalezieniu Faberów. Może się przydadzą. – Podnosi butelkę z piwem i lekko trąca nią mój kieliszek. – A teraz wypijmy za to, co się zaczyna. I za wszystkie dobre rzeczy, które przyniesie przyszłość.

„Albo za to, co się kończy – dopowiadam sobie w myśli. – I za wszystkie złe, które już się wydarzyły”.

AUSTRIA, 1938

Noc, podczas której Faberowie i Kristoff stracili Fredericka, w gazetach została nazwana „die Kristallnacht”. Noc kryształowa. Noc tłuczonego szkła. Kristoff sądził jednak, że do tego, co się zdarzyło w Grotzburgu, lepiej pasowałyby nazwa „Feuernacht” lub „Tränennacht” – noc ognia lub noc łez.

Rankiem po koszmarnych wydarzeniach w Grotzburgu rozpętała się śnieżycy i nie ustawała przez wiele, wiele dni. *Gefrorene Tränen*^[1] – powiedziała Miriam bez cienia dotychczasowej beztroski, patrząc przez kuchenne okno na zimne, bezlitosne płatki. Sypało tak mocno, że przez kilka dni Kristoff nie wyszedł nawet do warsztatu, bo tylnych drzwi, przyciśniętych zaspą, nie dało się otworzyć. Po latach doszedł do wniosku, że to właśnie śnieg uratował dom i pracownię grawerską Faberów przed zniszczeniem podczas Kristallnacht. Lasy były zbyt gęste, a śnieg zbyt głęboki, by tu trafić. Niemcy zrezygnowali i zawrócili w stronę Wiednia, pozostawiając za sobą pustkę i zgliszcz.

Jednak to, że ich wizyta w Grotzburgu była bardzo krótka, prawie nie miało znaczenia, bo ogień, podłożony w synagodze, pochłonął ogromną część miasteczka. Zabudowa była gęsta, w większości drewniana. Ogień łatwo się przenosił i budynki płonęły, dopóki nie ugasił ich śnieg. W ciągu jednej nocy wiele rodzin straciło dach nad głową, pracę i swoje dotychczasowe życie. Cokolwiek się uratowało, było okopcone i zniszczone. A dodatkowo przysypane śniegiem.

Kiedy kilka tygodni później Kristoff pierwszy raz po pogromie wybrał się do miasteczka, miał wrażenie, że znajduje się w wiosce duchów i popiołów. Jednym z nielicznych ocalałych i nienaruszonych budynków był urząd pocztowy na Wien Allee. Chłopak nie sądził, że to przypadek. Mimo wszystko Niemcy nadal będą potrzebować poczty.

Uwięziony w domu Faberów w towarzystwie córek i żony swojego nauczyciela, której ciałem co chwila wstrząsał rozpaczliwy szloch, Kristoff czuł się całkowicie bezużyteczny, zdezorientowany i zagubiony. Dobrze, że mieli zapas żywności w puszkach, zgromadzony latem przez przezorną gospodynię z myślą o srogiej zimie, więc przynajmniej nie groził im głód.

Kiedy Frederick udawał się do Wiednia, Kristoffowi nawet nie przyszło do głowy, że żegna się z nim na zawsze – tak samo zresztą jak jego żonie i córkom. Czego stary grawer by teraz od nich oczekiwał? Kristoff niespokojnie krążył po swoim poddaszu. Chodził w tę i z powrotem, aż rozległo się stukanie do drzwi i naraz do środka, nie czekając na zaproszenie, wtargnęła Elena.

– Zniszczysz całą podłogę – rzuciła wrogo, wzięwszy się pod boki. Miała na sobie za duże brązowe spodnie i złachaną koszulę, strój, jak się domyślał Kristoff, należący do Fredericka. Włosy zaplotła w warkocz; zdaniem Kristoffa i tak wyglądała prześlicznie.

– Przepraszam – powiedział chłopak, nie przestając krążyć.

– Kristoff! – Elena złapała go za rękaw i dopiero wtedy przystanął. Nie dlatego, że go prosiła, lecz ponieważ go dotykała. Czuł ciepło jej palców. Przenikało przez koszulę aż do samej skóry.

– Próbuję coś wymyślić – odparł. – A na siedząco nie potrafię.

Puściła go, podeszła do jego łóżka i usiadła na nim. Zanim zdążył zareagować, wzięła do rąk jego szkicownik i zaczęła go kartkować.

– Jak to, wszędzie ja? Jestem taka interesująca? Czemu to?

Kristoff wzruszył ramionami i poczuł, że oblewa się gorącym rumieńcem. Elena dalej przeglądała rysunki.

– Rysujesz mnie... od tak dawna? – Zaśmiała się lekko i zatrzasnęła szkicownik. – Lepiej byś poćwiczył grawerowanie zamiast marnować czas na moją nieciekawą twarz.

Kristoff przysiadł przy niej na łóżku.

– Nie ma w niej nic nieciekawego – rzekł i zanim zdążył się powstrzymać, delikatnie położył dłoń na jej policzku i powiódł po nim kciukiem. – Idealne rysy – dodał. W tym momencie było mu wszystko jedno, czy Josef go zabije

czy nie. Nie chciał zabierać dłoni z policzka Eleny.

Ona poruszyła się pierwsza. Spuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

– Nie mogę – powiedziała cicho.

– Ze względu na Josefa? – rzucił niezręcznie. Od wielu miesięcy nurtowało go pytanie, czy dziewczyna rzeczywiście jest zakochana w tamtym.

Elena nie odpowiedziała od razu.

– W tej chwili zależy mi tylko na odzyskaniu Austrii. Żeby wszystko było jak dawniej. Żeby wyrzucić Niemców – dodała. – Nie mam czasu na nic innego. Ani na nikogo.

I nagle, nie wiedzieć czemu akurat w tej chwili, Kristoff z całą jasnością zrozumiał, czego pragnąłby dla swojej rodziny Frederick. Życzyłby sobie, by jego bliscy wyjechali z kraju. Wszyscy bez wyjątku, nawet Elena. Tu, w ich ojczyźnie, nie było już bezpiecznie. Austria nie mogła dłużej być ich domem.

*

Pierwszą osobą, która dotarła do Faberów, gdy tydzień później zaczął topnieć śnieg, był nie niemiecki żołnierz, lecz Josef. Zastawszy Kristoffa w warsztacie, tym razem poprosił go o wspólną przechadzkę po lesie. O Elenę nie pytał. Choć Kristoff wiedział, że dziewczyna jest w domu i pomaga matce przy kolacji, nie zaproponował, że po nią pójdzie.

W lesie nadal leżał głęboki śnieg. Kristoffowi, który miał mokre, zmarzniete nogi, sięgał po kolana. Gdy oddalili się od zabudowań, z całą stanowczością, na jaką był w stanie się zdobyć, powiedział do Josefa:

– One muszą stąd wyjechać. Pani Faber i dziewczęta. Muszą uciekać w jakieś bezpieczne miejsce. Niemcy tu wrócą, jak tylko zejda śniegi. Ja sobie poradzę, ale one... niekoniecznie. – Mówiąc to, bynajmniej nie był pewien, że sobie poradzi. Lub co to w ogóle miałyby oznaczać.

– Jesteś sprytniejszy, niż przypuszczałem – rzucił szorstko Josef. Kristoff sądził, że powinien uznać te słowa za komplement, choć wcale tak nie zabrzmiały. – Miasto jest prawie całkiem zniszczone. Masz rację. Nie mają tu żadnej przyszłości. – Josef zboczył z dróżki prowadzącej do Grotsburga. –

Przepadło wielu mężczyzn. Albo zginęli w pożarach, albo zostali aresztowani. Siedzą w więzieniach lub już nie żyją... – Josef zawiesił głos, a Kristoff dopiero teraz się zorientował, że doszli do drewnianego domku lub raczej chatki czy też czegoś pomiędzy, z którego wracała Elena tamtej marcowej nocy, gdy Austria była jeszcze Austrią, a największym zmartwieniem dziewczyny to, że jej ojciec odkryje, iż jego starsza córka wykradła się z domu w szabat. Tamte czasy wydawały się teraz tak odległe, jakby dzieliły ich od nich lata czy dekady, a nie zaledwie parę miesięcy. Chłopak przez skorupę odrętwienia poczuł zdziwienie, że ta marna chałupka ciągle stoi w środku lasu, gdy tymczasem tyle innych rzeczy wokół przestało istnieć.

– Co tu robimy? – spytał. Czy Josef przyprowadził go tu, żeby go zabić, tak jak mu kiedyś zagroził? W głębi duszy nie wierzył, że Josef byłby do tego zdolny. Poza tym chyba zgadzali się co do dziewcząt.

Zamiast odpowiedzieć, Josef ruszył do drzwi. Nie miały żadnego zamka, każdy mógł wejść do środka.

– Niemcy nie wiedzą, że ten domek istnieje. Nie ma go na mapie – powiedział Josef, bawiąc się klamką, jakby czytał w myślach Kristoffa. – Mówią, że kiedyś żyła tu samotna starucha, która nocami zmieniała się w *Tatzelwurm* i odstraszała nieproszonych gości.

– *Tatzelwurm*? – Kristoff z niedowierzaniem pokręcił głową. Pamiętał, jak Soren, starszy chłopak z sierocińca, z upodobaniem straszył go opowieściami o legendarnej istocie, pół kocie, pół wężu.

– Tak czy inaczej – ciągnął Josef, otworzywszy w końcu drzwi – ta chatka nie ma żadnego adresu. Oficjalnie nie istnieje. Nikt tu nie trafi, chyba że będzie wędrował przez las i specjalnie zboczy ze ścieżki. A po co Niemcy mieliby to robić? Już i tak zniszczyli pół miasteczka – dodał z goryczą.

– Ale co masz na myśli? Co sugerujesz? – Kristoff nie pojmował, do czego Josef zmierza. – Że dziewczęta mogłyby się tu schronić? – To byłoby zbyt proste, zbyt oczywiste. Gdyby tu zamieszkały, tak blisko domu i pracowni, mógłby do nich zaglądać, kiedy tylko by zechciał. Nie musiałby się wcale z nimi rozstawać.

– Nie – odpowiedział szybko Josef. – One nie byłyby tu bezpieczne.

– Ale przed chwilą mówiłeś...

Josef otworzył drzwi i wszedł do środka. Gestem nakazał Kristoffowi zrobić to samo. W chacie było ciemno i wilgotno, czuć było pleśnią. Kristoff posłusznie wszedł.

– Dziewczęta nie – dodał Josef po chwili milczenia, po czym odsunął się na bok, by Kristoff mógł zobaczyć, co się kryje w ciemnym wnętrzu. A raczej kto.

Na ziemi, przykryty podartym kocem, leżał Frederick Faber.

LOS ANGELES, 1989

W sobotę rano wrzucam do hatchbacka wszystkie książki z biblioteki i wyruszam w dwugodzinną podróż autostradą I-5 na Coronado, gdzie mieszka babcia. Zdecydowałam się ją odwiedzić po pierwsze dlatego, że długo się z nią nie widziałam, a po drugie – chcę, aby miała z kim dzielić radość z upadku muru berlińskiego, które to wydarzenie tak bardzo przeżywała w zeszłym tygodniu. Może pójdziemy na brunch i uroczystego drinka do eleganckiego hotelu Del Coronado, znajdującego się kilka przecznic od jej domu. Tak samo jak wtedy, gdy przyjechałam do niej z Danielem, by ogłosić nasze zaręczyny.

Mam też inne pobudki, bardziej egoistyczne. Babcia zna niemiecki, a większość informacji zawartych w książkach i na mapach, które wręczyła mi bibliotekarka, jak również adres na kopercie, jest dla mnie nie do rozszyfrowania. Mam nadzieję, że z jej pomocą dowiem się, gdzie mieszkali Faberowie i co mogło się z nimi stać.

Wyjeżdżam wcześniej, o wpół do szóstej rano, żeby zdążyć przed weekendowymi korkami. Przed ósmą jestem już prawie u celu, wjechałam właśnie na ogromny most prowadzący na wyspę, ale nie obawiam się, że zbudzę babcię. Na pewno już wstała. Mam wyrzuty sumienia, że tak rzadko u niej bywam – ostatni raz ładnych parę miesięcy temu. Wówczas tata mieszkał jeszcze sam, a między mną a Danielem panowała sielanka. No, może nie taka sielanka, jak mi się wtedy wydawało, ale moja nieświadomość, że jest inaczej, była iście sielankowa.

Nienawidzę tego mostu – nie ma tu bocznych barier, muszę więc patrzeć prosto przed siebie i zabraniać sobie myśleć o przepaści, która otwiera się pode mną, a kończy w wodach zatoki. Rozumiem, czemu babcia już nie prowadzi auta i dlaczego nigdy nie rusza się z wyspy. Zresztą po co miałyby to robić? Choć do centrum San Diego jedzie się tylko kilkanaście minut, w niewielkim Coronado ma wszystko na wyciągnięcie ręki.

Parkuję na ulicy przed jej małym biało-szarym domkiem, wysiadam z sa-

mochodu i głęboko oddycham. Coronado Island wcale nie leży daleko od Los Angeles, lecz odwiedzający to miejsce człowiek ma wrażenie, jakby znalazł się w innym świecie. Wciągam do płuc świeże morskie powietrze i czuję się jak w miasteczku z epoki wiktoriańskiej. Nie ma smogu, spokój zakłóca jedynie huk silników wojskowego samolotu podchodzącego do lądowania w bazie na końcu wyspy, gdzie kiedyś, wiele lat temu, pracował mój dziadek.

Zbieram książki z tylnego siedzenia i ruszam w stronę białego płotka ze sztachet; babcia właśnie otwiera drzwi i wychodzi mi na spotkanie.

– Katie, witaj, kochanie. – Omijając książki, którymi jestem obładowana, całuje mnie w policzek, a potem spogląda w stronę samochodu. – A gdzie twoja druga połówka?

Odwracam się i patrzę przez ramię na pusty samochód, jakbym sama była zaskoczona, że nie ma w nim Daniela. Pewnie dlatego, że nie wiem, co odpowiedzieć babci. Z drugiej strony Daniel od lat tu ze mną nie bywał. Ale babcia nie czeka na odpowiedź. Pyta o książki, które taszcze w ramionach.

Idąc za nią do domu, opowiadam jej trochę o liście, o sugestii Jasona, że bym zaczęła poszukiwania od odnalezienia miejsca, w którym mieszkali Faberowie, a dopiero potem spróbowała ustalić, jaki spotkał ich los. I o mapach, które dała mi bibliotekarka.

– Wszystko jest po niemiecku – kończę, odkładając stos na stylowy stół, chroniony grubą ceratą. Dotykam tej ceraty i nagle wracają do mnie szczęśliwe chwile z dziecięcych lat: Święta Dziękczynienia i wieczerze sederowe w czasie święta Pesach, które spędzałam tu razem z rodzicami, jeszcze wtedy będącymi w pełni sił. I oczywiście z dziadkiem, który dostał wylewu i zmarł zaledwie kilka miesięcy po odejściu mamy.

Odpędzam te myśli, wyciągam z torebki list, wciąż chroniony koszulką, i wręczam go babci. Ta wsuwa na nos okulary do czytania, które normalnie wiszą na cienkim złotym łańcuszku na jej szyi, i uważnie, z bliska przygląda się kopercie i znaczкови.

– Marissa nigdy tego nie rozumiała – mówi, przesuwając wykręcony artretyzmem palec po gładkiej plastikowej powierzchni. – Tej obsesji Teda.

Tata, biorąc mnie za mamę w The Willows, powiedział dokładnie to samo.

I miał rację. Mylił się tylko co do tego, gdzie jest i z kim rozmawia.

– Wiem – odpowiadam babci. – Ja chyba też nie.

– Więc czemu teraz cię to interesuje? Akurat teraz, skarbie?

Wzruszam ramionami. Sama nie do końca znam odpowiedzi na te pytania.

– Tata zawsze mówił, że szuka klejnotu. Jako dziecko myślałam, że ma na myśli wartościowy znaczek, na którym się wzbogacimy. – Babcia się śmieje, ja zaś lekko uśmiecham. W dzieciństwie naprawdę sądziłam, że kiedyś będziemy milionerami i zamieszkamy w rezydencji w Malibu, wysoko na klifie. – Ale może wcale nie o to mu chodziło. – Przerywam i odbieram jej koszulkę z kopertą. – Może dla niego bardziej liczyły się historie, które wiążą się ze znaczkami. – Nie mam pojęcia, czy to prawda czy tylko projekcja moich własnych myśli i uporczywych sugestii Jasona, że za tym listem, nietypowym znaczkiem i rodziną związaną z jego powstaniem na pewno kryje się jakaś ciekawa historia.

– Musi być ci teraz ciężko z tatą – mówi babcia – skoro tylu rzeczy nie pamięta. – Ostatni raz widzieli się, kiedy przywiozłam go tu na jej urodziny, chyba dwa lata temu. Już wtedy gubił się w faktach, a ona, o trzynaście lat starsza, była błyskotliwa jak zawsze. Tata zadawał te same pytania, po parę razy w ciągu godziny, i za każdym razem nie pamiętał, że słyszał już odpowiedź. Ale babcia zbyła to machnięciem ręki, zrzuciła na karb jego zmęczenia. Było gorąco, a tata wypił za mało wody.

Babcia zdejmuje okulary i delikatnie opuszcza je na łańcuszku, a potem pociera łzawiące oczy.

– Weźmiesz mnie kiedyś do LA, żebym mogła go odwiedzić? – pyta rzewnie.

– Jasne – odpowiadam, ale nie sądzę, że to zrobię. Przecież ostatnio tata zachowywał się okropnie, krzyczał na mnie i kazał mi nigdy nie wracać. Po co ją tym obciążać? Niech raczej pamięta go takiego, jaki był dawniej. Choćby wtedy, ostatnim razem. Kiedy jeszcze mniej więcej przypominał siebie.

– Chodź. Idziemy na śniadanie – mówi babcia. – I przyjrzymy się tym twoim niemieckim mapom.

*

Siedzimy w restauracji hotelu Del Coronado, tuż nad samą zatoką, popijamy drinki i gapimy się na chłodną, błękitną taflę. Poranna mgiełka już się podniosła, słońce świeci, ale jest rześko. Babcia owinęła się grubym wełnianym swetrem. Jest taka drobna! Dżinsowa kurtka nie chroni mnie przed zimnym powiewem znad wody, więc po drinku zamawiam kawę, żeby się rozgrzać.

Nie rozmawiamy już o ojcu. Ani o upadku muru berlińskiego, ani o liście. Babcia ogląda mapy i książki, raz po raz pomrukuje coś po niemiecku, jakby nie mogła się opędzić od nieoczekiwanych wspomnień.

– Patrz tutaj – mówi po jakimś czasie, rysując palcem kółko wokół nazwy jakiegoś miasta czy wioski na mapie.

Popycha do mnie książkę i widzę, że zamiast na Austrię, patrzyła na Niemcy.

– Hertzscheimer – odczytuję na głos. Pewnie źle wymawiam, ale babcia mnie nie poprawia.

– Tu się urodziliśmy, dziadek i ja. I tu dorastaliśmy.

– Tata też? – pytam. Zdaję sobie sprawę, że moich rodziców połączyły wspólne niemieckie korzenie, ale niewiele umiem powiedzieć na ich temat. Ani mama, ani tata nigdy o tym ze mną nie rozmawiali.

Babcia kręci głową.

– Nie, skarbie. Twój tata urodził się chyba w Bremie. Nasze miasteczko było bardzo małe. Wszyscy się tam znali. Kiedyś... Bo teraz nawet nie ma go na mapie. Zostało spalone. Po naszym wyjeździe. – Ręka zaczyna jej drżeć. – Tyle lat nie widziałam jego nazwy zapisanej na mapie. Teraz wierzę, że naprawdę istniało.

Klepię ją po pomarszczonej dłoni, ale nie reaguje. Milcząc, dalej przerzuca strony książki, w myślach żegna się z rodzinnym domem. Zmierza w stronę Austrii.

Odkąd pamiętam, wiedziałam, że dziadkowie za młodu mieszkali w tej części Niemiec, która potem znalazła się w granicach NRD, ale babcia zawsze mówiła o tym oględnie, z przelotnym smutkiem na twarzy. Nigdy, aż

do dziś, nie pokazała mi tego miejsca na mapie. A jej – a tym samym moje – pochodzenie ujawniało się wyłącznie w ledwie uchwytnym obcym akcencie oraz pysznym strudlu jabłkowym, który piekła na Rosz Haszana, żydowski Nowy Rok.

– Naprawdę wszystko spalili? – pytam, ciekawa, co się stało z jej znajomymi i krewnymi, którzy tam zostali. – Nigdy o tym nie wspominałaś, babciu.

– Nie lubię o tym mówić – odpowiada i milknie, ale nie przestaje przeglądać map. – O, to będzie tu – rzuca po chwili.

– Co?

– Ten twój adres z koperty. – Koślawy palec zatrzymuje się nad kolejnym kółkiem na mapie, podpisanym Grotsburg. Ja sądziłam, że Grotsburg to ulica, ale według mapy to nazwa miasteczka. – Kiedyś, wysyłając list do małej miejscowości czy wsi, nie pisało się nazwy ulicy – wyjaśnia babcia, widząc, że nie rozumiem. – Nie było takiej potrzeby. – Odchrząkuje i zamyka książkę. – Byliśmy tam kiedyś. Opowiadałam ci?

– W Grotsburgu? – pytam. – Byłaś w Grotsburgu, babciu?

– Nie, nie. Skądże. W Wiedniu. Rodzice zabrali mnie tam na wakacje. Poszliśmy do opery. Na *Die Frau ohne Schatten*, *Kobietę bez cienia*. Przepiękne widowisko. Nigdy go nie zapomnę.

Uderza mnie ironia jej słów. W świetle tego, co spotkało tatę. I mam nadzieję, że babcia się nie myli. Że rzeczywiście nigdy nie zapomni. Że będzie żyła jeszcze wiele, wiele lat, a pamięć będzie jej służyła do końca.

– Została zniszczona podczas wojny. Opera Wiedeńska. Wiedziałaś?

Kręcę głową. Nie, nie wiedziałam. Pewnie powinnam i może nawet kiedyś się o tym uczyłam. Jeżeli tak, to zapomniałam.

– Odbudowali ją, ale to już nie to samo. Nic nie jest takie samo.

Babcia milknie, dopija drinka i patrzy w dal, na ocean. Przyglądam się jej przez chwilę. Wyjechała ze swojego rodzinnego miasteczka w Niemczech, zanim ucierpiało od wojny, a cała ta część kraju, w którym leżało, znalazła się za żelazną kurtyną. Jest równie rodowitą Kalifornijką jak ja – jada brunch w hotelu nad zatoką, a zimą, gdy wieje wiatr i temperatura spada do osiemna-

stu stopni, otula się wełnianym swetrem. Tu ma swój dom i swoje życie. Ciekawe, czy podobnie ułożyło się życie córek Faberów. Gdzieś, w jakimś miejscu na świecie.

*

Wieczorem, już w domu, rozkładałam mapę, na której babcia znalazła Grotzburg, oraz otwieram współczesny atlas świata, należący do Daniela, a zdjęty z półki w pokoju, który kiedyś był naszym wspólnym gabinetem. Geograf i historyk ze mnie żaden – w przeciwieństwie do taty i mojego byłego męża. Wspólne zainteresowania były chyba jedyną rzeczą, która ich łączyła i o której potrafili rozmawiać. Cieszę się, że Daniel nie zabrał tego atlasu. Przynajmniej nie muszę specjalnie jechać do biblioteki.

Porównuję starą, przedwojenną mapę z tą nową i odnajduję Wiedeń. Nadal leży w tym samym miejscu, lecz z tego, co babcia mówiła o operze, wnioskuję, że bardzo różni się od dawnego Wiednia, czego na mapie oczywiście nie widać. Przesuwam palec na zachód, ale tam, gdzie na mapie z 1932 roku zaznaczono Grotzburg, na tej nowej nie ma nic. Pustka, zupełnie jak w przypadku Hertzscheimer, rodzinnego miasteczka babci.

Spoglądam to na jedną mapę, to na drugą, wypatrując różnic. Inne małe miasteczka też zniknęły. I kiedy tak porównuję obie mapy, nagle dociera do mnie, że oto mam przed sobą namacalny dowód spustoszenia, jakie poczyniła w tych – i nie tylko tych – krajach II wojna światowa. Widzę to z taką jasnością, z jaką nigdy wcześniej tego nie dostrzegałam. Że te kropki na mapie to domy, przedsiębiorstwa, ludzie. Starte, wymazane, unicestwione. Ot tak.

Sugestia Jasona, by szukać Faberów w archiwach, wydaje mi się pozbawiona sensu. Miasto, które od dawna nie istnieje, nie będzie przecież miało archiwum. Córki grawera oraz wszelkie informacje na ich temat przepadły pewnie wraz z całym miasteczkiem. A jeśli udało im się wyjechać, zanim do tego doszło? Przecież to możliwe.

Kładę się spać. Prześladowają mnie słowa Benjamina, że żyjących w tamtych czasach i w tamtym miejscu żydowskich dziewcząt nie mogło spotkać nic do-

brego. Zapadam w głęboki, niespokojny sen, wypełniony obrazami płonących domów i obracających się w popiół ciał nieznanymi mi kobiet.

AUSTRIA, 1938

– Frederick? – Kristoff przyskoczył do nauczyciela, by się przekonać, czy to nie zwidy. Frederick nie odpowiedział, ale stojąc nad nim, Kristoff widział, że oddycha. Jego pierś unosiła się powoli i opadała, broda była osmalona, a lewa ręka owinięta czymś, co przypominało prowizoryczny opatrunek.

– Znalazłem go w lesie – rzekł cicho Josef, a Kristoff poczuł nagłe ukłucie zazdrości, że to właśnie Josef, a nie on ani Elena, znalazł Fredericka. Natychmiast po zazdrości pojawiło się poczucie winy, że w ogóle przyszło mu to do głowy. Najważniejsze, że Frederick tu jest. Że żyje!

– Poparzył rękę w czasie pożaru? – spytał Kristoff. Próbował się zorientować, w jakim stanie jest jego nauczyciel.

– Nie, odmroził – wyjaśnił Josef.

Jak długo biedaczysko leżał w śniegu, na mrozie? Kristoff poczuł jeszcze większe wyrzuty sumienia. I on, i Elena tak łatwo zaniechali poszukiwań. A okazuje się, że nie powinni byli się poddawać.

– Pytał o ciebie – dodał Josef. – Cały czas o ciebie pytał. – Odchrząknął i odwrócił się tyłem. – Przyprowadziłem cię, kiedy tylko dało się przejść przez las.

Elena mówiła, że Josef ma złote serce. Może to i racja.

Frederick lekko się poruszył, więc Kristoff przyklęknął obok niego.

– Mój chłopcze, to ty? – zapytał mistrz i wyciągnął zdrową rękę, którą uczeń natychmiast ujął. – Co w domu? Jak moja rodzina?

– Wszystko w porządku – odpowiedział Kristoff. – Nikomu nic się nie stało. Ależ się ucieszą, kiedy im powiem.

– Na razie nie mów – zastrzegł Josef.

– Oczywiście, że powiem – oświadczył Kristoff. Nie mógł przecież dopuścić, by pani Faber, Elena i Miriam opłakiwały męża i ojca, który przecież żyje.

– Naraziłbyś je tylko na niebezpieczeństwo – wyjaśnił Josef. – Kiedy zejda śniegi, Niemcy zaczną go szukać, a wtedy Minna powie im to, co uważa za prawdę: że Frederick nie żyje. – Josef przerwał. – No i druga sprawa, ona i dziewczynki nigdy by go tu nie zostawiły, a przecież musimy je jakoś nakłonić do wyjazdu.

Kristoff sam stwierdził, i to raptem parę minut wcześniej, że dziewczęta i ich matka muszą stąd zniknąć. Wiedział, że Josef w gruncie rzeczy ma rację, lecz jego postawa wydawała się bezwzględna, wręcz nieludzka.

– Ma rację – wtrącił Frederick.

Kristoff znów na niego spojrzał. Ciągle nie wierzył, że jego nauczyciel tu jest. Oddycha. Mówi do niego.

– Ale jak to, chce pan, żeby wierzyły, że pan zginął? – sprzeciwił się Kristoff. Chętnie powiedziała by Frederickowi, że jego żona stale ma zapuchnięte oczy, Miriam całymi dniami siedzi bez ruchu, a Elena zachowuje kamienną twarz, lecz spod tej maski, z jej spojrzenia, wyziera głęboki smutek. Ale żeby jeszcze bardziej nie martwić swojego mistrza, zachował to dla siebie.

– Wywieziemy je z kraju – powiedział Josef. – A Frederick dołączy do nich za jakiś czas, jak się trochę podkuruje. Wkrótce będą razem. Ta sytuacja jest tylko chwilowa.

– Ale przecież Niemcy nigdy nie zostawią Fredericka w spokoju...

Josef uciszył go jednym gestem.

– Postaramy się dla niego o nowe dokumenty.

Kristoff przypomniał sobie swoją rozmowę z Eleną, tamtej nocy w warsztacie, gdy powiedziała mu, czym ona i Josef chcą się zajmować, jaki użytek zamierzają zrobić z narzędzi grawerskich jej ojca.

– Podrobicie je z Eleną? – spytał.

– Nie! – krzyknął nagle Frederick. – Nie z Eleną!

Obaj młodzieńcy aż podskoczyli. Nie spodziewali się takiej siły po człowieku jeszcze przed chwilą tak słabym, że ledwie mówił. Josef spojrzał na Kristoffa wilkiem, jakby chciał powiedzieć: „O proszę, właśnie dlatego ci nie ufam. I cię nie lubię”. Elena zachowywała w ścisłej tajemnicy to, że uczy się

fachu ojca. Nie chciała, by Frederick dowiedział się o jej zaangażowaniu w nielegalną działalność. Mówiąc „postaramy się”, Josef musiał w takim razie mieć na myśli ich dwóch, siebie i Kristoffa. Przecież Elena nie mogła się dowiedzieć, że jej ojciec żyje, jak mogłaby więc uczestniczyć w przygotowaniu dla niego fałszywych papierów? Josef chciał, by to Kristoff je podrobił. I może właśnie dlatego go tu przyprowadził.

Josef ponownie ukląkł obok Fredericka i delikatnie położył mu rękę na ramieniu.

– Najpierw wywieziemy z kraju panią Faber z dziewczynkami. A pan do nich dołączy, kiedy odzyska siły.

Słowa Josefa zapadły Kristoffowi w serce. „Wywieziemy z kraju”. A więc ich ojczyzna nie jest już bezpieczna. Faberowie nie mogą już nazywać Austrii domem.

*

Tej nocy Elena przyszła na poddasze. Miriam i pani Faber od dawna spały, było późno. Pokoik Kristoffa oświetlał jedynie blask księżyca, wpadający ukosem przez maleńkie okienko. Chłopak próbował zasnąć, ale nie mógł przestać myśleć o Fredericku – żywym, lecz rannym, pozostającym w ukryciu, leżącym na zimnej podłodze chatki zagubionej w leśnej głuszy. Wstał z łóżka, by pomyśleć, i dopiero gdy Elena otworzyła drzwi, uzmysłowił sobie, że znowu krąży po pokoju.

– Przepraszam – powiedział, gdy weszła i stanęła obok niego przy oknie. Miała pomyśleć, że przeprosza ją za chodzenie w tę i z powrotem, za to, że nie daje jej spać. Lecz on w głębi serca miał na myśli coś innego. Twój ojciec żyje. Tak bardzo chciał powiedzieć jej prawdę. Choć było mu ciężko, nie zrobił tego. Nie dlatego jednak, że Josef mu tak kazał; milczał, ponieważ zażądał tego sam Frederick.

– Śnieg stopniał już na tyle, że można dostać się do miasta – odezwała się dziewczyna. – Kolega taty ze szkoły rzemiosł artystycznych mieszka w Ameryce. Napisałam do niego z pytaniem, czy mama i Miriam mogą się u niego

przez jakiś czas zatrzymać. Jutro rano pójde nadać list.

– Nie, Elena – zaprotestował Kristoff. – Nie możesz iść do miasteczka.

– Nie boję się Niemców. Co mi mogą zrobić? Za to, że chcę wysłać list?

– Powinnaś. Bać się, oczywiście.

Kristoff pamiętał, co powiedział Josef: że miasteczko jest w opłakanym stanie i wywieziono z niego większość mężczyzn. Niemcy pozostawili po sobie ślady w postaci śmierci i zniszczenia. Chłopak czytał w gazecie, którą Josef przyniósł mu do warsztatu, że następnego ranka po Kristallnacht aresztowano tysiące Żydów w Austrii i całej Rzeszy. Ich jedynym przewinieniem, jak się domyślał, była narodowość.

– Ale czego tu się obawiać prócz śmierci? – spytała Elena. – Bo ja się jej nie boję.

Za to Kristoff się bał. Nie wyobrażał sobie nawet świata – swojego świata – bez ożywionego głosu Eleny, jej różowych policzków i bladej cery, przypominającej białe płatki szarotki.

– Rano zaniosę twój list na pocztę, dobrze? Sam to zrobię.

– A dlaczego tobie nie miałoby grozić to samo co mnie? – Dziewczyna założyła ręce na piersi. Miała na sobie długą, białą, luźną nocną koszulę, lecz stanowcza poza, jaką przybrała, sprawiła, że tkanina nieco się opięła i Kristoff mógł sobie łatwo wyobrazić ukryte krągłości jej ciała.

Odwrócił wzrok.

– Bo nie jestem Żydem – wyjaśnił. Zabrzmiało to okropnie, wstrętnie, i żałował, że te słowa przeszły mu przez gardło. Najchętniej by je cofnął. Choć niestety były prawdziwe.

Elena początkowo milczała, lecz po chwili niechętnie się zgodziła.

– Dobrze – mruknęła.

Ale nie wyszła z pokoju. Dalej wyglądała przez okno, a gdy Kristoff ostrożnie sięgnął po jej dłoń, nie wyrwała jej i nie uciekła, jak się tego spodziewał. Tym razem nawet nie drgnęła.

Długo tak stali, ramię przy ramieniu, trzymając się za ręce i patrząc na nocne niebo oraz na nową Austrię, której żadne z nich nie rozumiało ani na-

wet już nie poznawało.

*

Rano Kristoff wyruszył w drogę przez las z listem Eleny. Adresat, Mr. Lester, jak się Kristoff domyślał, był znajomym Fredericka, choć chłopak nigdy o nim nie słyszał. Zgodnie z przepisami obowiązującymi od początku okupacji Elena nakleiła na kopertę dwa znaczki, niemiecki i austriacki, przy czym ten drugi był ostatnim, jaki wyszedł spod ręki jej ojca – przedstawiał pagórkowaty ojczysty krajobraz wiosną. Kristoff patrzył na niego ze smutkiem. Choć pagórek nadal istniał i znajdował się tuż za obejściem Faberów, znaczek przywoływał wspomnienie tego wszystkiego, co już zostało utracone.

Tego ranka pierwszy raz od Kristallnacht, kiedy to ze skraju lasu obserwowali z Eleną pożar, Kristoff wybrał się do miasteczka. Gdy wyszedł z lasu, przekonał się na własne oczy, że Josef miał rację. Tam, gdzie dawniej stały domy, teraz czerniały zgliszcza i pobojowisko. Nietkniętych pozostało tylko kilka budynków – głównie na leżącej na skraju zabudowań Wien Allee, gdzie mieścił się również urząd pocztowy. Pozostała część miasteczka była w ruinie. Domy nie miały okien, ścian, a niektóre nawet dachów, zaś po chodnikach walał się gruz. Pod butami Kristoffa chrzęściło potłuczone szkło. Z każdym krokiem chłopakowi coraz bardziej chciało się krzyczeć z poczucia straty i buntu w obliczu otaczających go zniszczeń. Cóż za potworne marnotrawstwo. Obrócono wniwecz tyle ludzkiej pracy i wysiłku – i to bez żadnego powodu.

Kiedy był już blisko poczty, zauważył niemieckiego żołnierza, który marszerował w tę i z powrotem ulicą. Jego buty miarowo uderzały o chodnik, a prawa ręka swobodnie spoczywała na kolbie schowanej w kaburze broni. „Patroluje ulice” – pomyślał Kristoff. Nie wiedział tylko, czego tu pilnować, skoro miasteczko dosłownie ziało pustką. Na ulicach nie było prawie nikogo, tylko parę osób sprzątało chodniki, zamiatało z nich gruz. Rozpoznał pana Himmlego, sklepikarza i właściciela targowiska. Pan Himmle podniósł na chwilę wzrok, rozpoznał nadchodzącego Kristoffa, po czym szybko spuścił oczy i wrócił do swojego zajęcia. Chłopak zaczął się denerwować, choć nie

zrobił przecież nic złego. Chciał tylko nadać list. Nawet w nowej Austrii wciąż było to legalne.

Wszedł do urzędu pocztowego, lecz zamiast dziewczyny, która tam pracowała, za ladą stał niemiecki żołnierz. Kristoff był ciekaw, co się stało z poprzednią urzędniczką, ale po chwili uznał, że może lepiej nie wiedzieć. Pewnie nic dobrego. Była Żydówką? Kristoff nie pamiętał. Szczerze mówiąc, nie wiedział nawet, jak miała na imię – po prostu, odkąd on sam pojawił się w miasteczku, zawsze ją tam widział. Elena kiedyś wspomniała, że chodziły razem do szkoły, dopóki tamta nie rzuciła nauki, by pomóc ojcu na poczcie.

Kristoff drżącą ręką podał żołnierzowi list. Ten rzucił mu takie spojrzenie, jakby się dziwił, że chłopak w ogóle zjawił się na poczcie. Bo kto w takich czasach wysyła listy? Jego czarne brwi, wygięte w stanowcze łuki, teraz dodatkowo uniesione, zdawały się zadawać właśnie to pytanie.

Żołnierz oddał list Kristoffowi.

– Chciałbym to nadać. – Kristoff usłyszał własny głos, dziwnie piskliwy, który od razu przypomniał mu o myszy za ścianą pokoju Miriam.

Żołnierz wręczył mu broszurę – oficjalny informator Reichspostministerium. Otworzył ją na właściwej stronie i wskazał palcem ustęp zawierający, jak domyślił się Kristoff, stosowną informację: mianowicie, że z dniem 31 października 1938 roku znaczki Poczty Austriackiej straciły ważność. Kristoff pobieżnie przejrzał resztę tekstu i dowiedział się, że nieużyte znaczki można wymieniać na niemieckie, przy czym obowiązuje przelicznik trzy za dwa.

– Przepraszam – usłyszał, jak kaja się przed żołnierzem. Nie cierpiał tego tonu, który brzmiał tak, jakby rzeczywiście żałował. Nie jakby się gniewał. Nie jakby nienawidził. – W takim razie kupię dobry znaczek. Mój błąd.

Żołnierz przyjął od niego pieniądze i zakrył śliczne znaczki Fredericka niemieckimi, z podobizną Hitlera. Kristoff obawiał się, że Niemiec będzie go jeszcze o coś pytał. Na przykład, co to za list, do kogo i w jakiej sprawie. Ale po ofrankowaniu żołnierz wyjął mu go z ręki i przestał zwracać na niego uwagę.

*

Kiedy Kristoff wracał do domu, niebo już szarzało – zapadał zmierzch. Chłopak rozmyślał o godzinie policyjnej dla Żydów, zarządzanej przez Niemców. Ciekawe, co zrobiłby żołnierz patrolujący ulice, gdyby Elena zbyt późno wybrała się na pocztę. Kristoff zadrżał i z ulgą opuścił nieosłoniętą przestrzeń, by zanurzyć się w mrocznym lesie. W jego gęstwinie, między ośnieżonymi drzewami, czuł się dziwnie bezpiecznie. Nagle przypomniał sobie, co Josef mówił o chatce. Że nikt o niej nie wie. Że Niemcy nigdy by do niej nie trafili.

Niemcy. Na myśl o ciężkiej pracy Fredericka, o mozolnym tworzeniu matryc do drukowania znaczków, które teraz, za sprawą niemieckiego rozporządzenia, stały się niepotrzebne i bezwartościowe, ogarnął go bezbrzeżny smutek. Postanowił, że nie wspomni o tym mistrzowi ani jego córce, choć Elena pewnie niedługo sama się dowie.

Kiedy jednak dotarł do domu, natychmiast zapomniał o znaczkach. Coś tu było nie tak – główne drzwi stały otworem. O tej porze, w dodatku w zimie? Nikt nie zapomniałby ich zamknąć.

Wbiegł do środka, nawołując panią Faber. Potem Elenę. I Miriam. Ale żadna z nich się nie odezwała.

Na kuchni stał czajnik, w którym wrzała woda. Z dziobka unosiły się kłęby pary.

Dom był pusty. Rodzina grawera zniknęła.

LOS ANGELES, 1989

W niedzielę jadę do taty. Wizyta przebiega zwyczajnie. Nie wspominam o kolekcji znaczków, o liście ani o odwiedzinach u babci. Tata znowu mnie poznaje i chyba nie pamięta, że byłam u niego w tygodniu, wieczorem. I że kazał mi tu nigdy nie wracać. Rozmawiamy o pogodzie – listopad mamy dość chłodny (jak na Los Angeles). Wspominam, że muszę dziś obejrzeć film, by potem napisać jego recenzję. To będzie *Woźąc panią Daisy* z Jessicą Tandy, która kilka lat temu bardzo nam się obojgu podobała w *Kokonie*. Gawędzimy więc chwilę na ten temat. Potem przechodzimy do Święta Dziękczynienia, które zbliża się wielkimi krokami. Tata pyta, czy do tego czasu będziemy już w domu. Czy znajdziemy te bilety i poznamy wreszcie datę wyłotu?

– Ciągłe szukam – odpowiadam mu jak zwykle. Pochylam się i całuję go w łysiejącą głowę. Dodaję, że zajrzę w następną niedzielę.

– Wiem – odpowiada.

Wychodząc, mam nadzieję, że rzeczywiście wie.

*

Dojeżdżam do domu i dostrzegam na moim podjeździe jakiś obcy samochód, białego forda. Parkuję więc na ulicy i stamtąd idę pieszo. W fordzie siedzi Benjamin. Pukam w okno kierowcy; filatelista podskakuje i opuszcza szybę.

– Nie było cię w domu – mówi zmieszany – więc postanowiłem zaczekać.

– Od dawna tu siedzisz? – pytam, a on wzrusza ramionami. Czyli od jakiegoś czasu. – Myślałam, że jesteś na konferencji w San Francisco.

Benjamin wysiada i idzie za mną do drzwi.

– Byłem. Dziś rano wróciłem – mówi. – Czegoś się dowiedziałem.

– Tak? – Otwieram i oboje wchodzimy do środka. W domu panuje bałagan niespotykany za czasów Daniela, który ma obsesję na punkcie porządku.

W salonie na stoliku leżą książki z biblioteki, a na bocznym oparciu kanapy piętrzy się stos prania, którego nie zaniiosłam do szafy. Dobrze, że chociaż czyste. Zsuwam książki na bok, a pranie odnoszę do kuchni i kładę na blacie, by zniknęło z widoku.

– Miły dom – rzuca Benjamin, nie zwracając uwagi na bałagan.

– Dzięki – odpowiadam.

Benjamin ma rację, dom jest piękny, mimo nieporządku. Stary, w amerykańskim stylu typowym dla początku XX wieku, ale odnowiony. Poprzedni właściciel praktycznie go rozebrał i zbudował od nowa, tak że teraz przypomina unowocześnioną wersję dawnego siebie. Nie wspominam jednak, że od chwili, kiedy Daniel tak hojnie mi go podarował, noszę się z zamiarem, by go sprzedać.

– Kawy? – proponuję.

Benjamin usadowił się tymczasem na kanapie i przygląda się porozkładanym wszędzie książkom i mapom Austrii.

– Poproszę – mówi.

Nastawiam ekspres, a potem idę do salonu i siadam obok mojego gościa. Nagle nasza bliskość zaczyna mnie krępować, więc trochę się odsuwam, by przypadkiem nie dotknąć go kolanem.

– Opowiedz, co takiego odkryłeś w San Francisco – proszę.

– Zaprezentowałem twój znaczek całemu gremium – mówi, wciąż patrząc na książki, nie obdarzając mnie choćby przelotnym spojrzeniem. – Żaden z uczestników z niczym podobnym się nie spotkał, to znaczy oczywiście mam na myśli ten kwiatek na wieży. – Hm, dla mnie nie brzmi to jak „coś”, tylko raczej jak nic. Benjamin wreszcie odwraca wzrok od książek i kieruje go na mnie. Twarz ma bardziej ożywioną niż zazwyczaj. Jest wyraźnie podniekscytowany tym, co za chwilę powie: – Ale potem zacząłem pytać o Fabera, czy ktoś ma jego znaczki lub wie, co się z nim stało po anszlusie.

– Zginął. – Przypominam sobie daty z encyklopedii filatelistycznej, wypożyczonej z biblioteki.

– Zgoda, ale w takim razie skąd ten kwiatek na wieży?

– Cóż, po prostu ktoś inny go wykonał – mówię.

Dla mnie to oczywiste, Benjamin wzrusza jednak ramionami, jakby miał wątpliwości. Zastanawiam się, czy to możliwe, by znaczek powstał wcześniej niż wskazuje data.

– Czekaj, przyniosę kawę. – Idę do kuchni, nalewam kawy do dwóch kubków i wracam z nimi do salonu.

Benjamin bierze ode mnie jeden i dziękuje.

– Wracając do sprawy – zaczyna – poznałem faceta, który jest wielkim, ale to naprawdę wielkim specjalistą od znaczków z czasów drugiej wojny. Ma w swojej kolekcji oryginalny znaczek z katedrą Świętego Szczepana. Ten bez kwiatka. Pamiętasz, wspominałem ci o nim. – Wyciąga z torby polaroidowe zdjęcie tego znaczka, wykonane, jak się domyślam, na konferencji. Znaczek jest tak podobny do tego mojego, że nie dostrzegłabym między nimi żadnej różnicy, gdybym nie wiedziała, że ona istnieje. W tym ze zdjęcia brakuje płatków małego kwiatka na szczycie wieży.

– Więc co to niby znaczy? Że znaczek taty to jakieś specjalne wydanie?

Benjamin upija łyk kawy.

– Tego jeszcze nie wiem. Ale nie to jest najciekawsze. Ten facet powiedział, że parę lat temu skontaktowała się z nim pewna kobieta. Poszukiwała znaczków Fabera. Chciała wiedzieć, jakie ma w kolekcji, a nawet je od niego odkupić. Proponowała okrągłą sumę. Więcej, niż te znaczki są warte.

Benjamin mówi szybko, jest podekscytowany. Ale ja jak na razie nic z tego nie rozumiem.

– No dobrze – mówię. – I co z tego?

– Powiedziała, że jest córką Fabera.

– Fräulein Faber? – Próbuję sobie wyobrazić tę dziewczynkę, dziś starszą panią i zapewne już od dawna nie Fräulein. W takim razie wydostała się z Austrii i żyje. – Gdzie mieszka? Wiesz?

– Ten gość twierdzi, że kilka lat temu mieszkała w Cardiff.

Dopiero co przejeżdżałam przez Cardiff-by-the-Sea. Po drodze do babci.

– W San Diego? – Trudno uwierzyć, że córka Fabera miałaby się znajdo-

wać tak blisko.

– Nie, w Cardiff w Anglii. A właściwie w Walii.

Nagle Fräulein Faber znowu się oddała. Dzieli mnie od niej cała szerokość kontynentu amerykańskiego i ocean. Musiałabym kupić górę znaczków, gdybym chciała jeszcze dziś odesłać jej ten list. Nie jestem jednak pewna, czybym się na to zdobyła. Tak po prostu włożyć list do koperty, obkleić znaczkami lotniczymi i beztrąsko wrzucić do skrzynki, żeby poleciał sobie na drugi koniec świata? A gdyby po drodze zaginął?

– Jack, ten filatelista, po powrocie do domu sprawdzi, czy jeszcze ma do niej kontakt. Będzie do mnie dzwonił w przyszłym tygodniu. Chciałbym do niej napisać, zapytać o ten znaczek i w ogóle o list – mówi Benjamin, kończy kawę i odstawia kubek na stolik. – Jeżeli nie masz nic przeciwko, oczywiście.

Kiwam głową, że nie.

– Jeśli się okaże, że znaczek ma dla tej pani szczególną wartość, może być gotowa dobrze za niego zapłacić – dodaje Benjamin. – Zresztą Jack powiedział, że za wszystkie jego Fabery i tak dała dużo więcej, niż się spodziewał.

Klejnot, powtarzał ciągle tata. Dlatego w ogóle trafiłam do Grossmana. Chciałam się dowiedzieć, czy w klaserach rzeczywiście jest coś wartościowego. Pytałam oczywiście w kontekście choroby taty, pokrycia kosztów jego długotrwałej terapii i opieki nad nim. Ale czy mogłabym sprzedać list komuś, do kogo wiele lat temu był adresowany? Nawet gdyby proponowano mi górę złota, nie godzi się brać pieniędzy za coś, co jest czyjąś własnością.

Jason uważał, że kryje się za tym ciekawa historia. Możliwe jednak, że wiąże się ona nie z samym znaczkiem, lecz z tą starszą panią, obecnie mieszkającą w Walii, a kiedyś, dawno temu, młodą, zakochaną austriacką dziewczyną. Jaki los rzucił ją do Walii i jaki spotkał jej ukochanego?

– Nie mogę sprzedać jej listu, skoro do niej należy – odzywam się w końcu. – Zwrócę go jej, ale chciałabym do niej napisać sama. Poprosić, aby opowiedziała tę historię. Czy dasz mi jej adres, kiedy dostaniesz go od tego Jacka?

– Jasne – odpowiada Benjamin, bardziej przyjaźnie, niż mogłabym się spo-

dziewać, zważywszy, że zmarnował na kolekcję taty sporo czasu i najpewniej nie dostanie za to zapłaty. – Pod warunkiem, że przy okazji zapytasz ją o znaczek. To znaczy o kwiatek na znaczku – nalega.

– A czemu ci na tym zależy, skoro nie zamierzam go sprzedawać? – Nie mówię tego niezyczliwym tonem, tylko stwierdzam fakt. No bo jaki interes może mieć w tym Grossman?

– Po prostu chcę się dowiedzieć. Zrozumieć to – odpowiada.

Po raz pierwszy nasze spojrzenia się spotykają. Ma ciemnoniebieskie, prawie czarne oczy. Takiego koloru jest ocean, gdy się na niego patrzy z Santa Monica. Te oczy są zarazem piękne i smutne i zdradzają więcej emocji, niżbym się spodziewała. Uderza mnie myśl, że przecież wcale nie znam tego człowieka. Nie wiem, czy oprócz filatelistyki ma jeszcze jakieś inne życie. Nagle ogarnia mnie ciekawość.

– Wiesz – dodaje. – Na wypadek gdybym się jeszcze kiedyś z czymś takim zetknął.

– Jasne – mówię. – Oczywiście, że zapytam. – Zastanawiam się, czy Benjaminą też zaintrygowała ta historia. Czy, tak jak ja, chciałby ją poznać.

AUSTRIA, 1938

Na kuchni gotowała się woda, Kristoff odstawił więc czajnik z płyty. Wrzątek chlusnął mu na rękę i poparzył ją, ale chłopak prawie tego nie poczuł.

Gdzie się podziały dziewczynki?

Biegał po domu, nawołując je, z góry na dół i z dołu na górę, ale jego głos odbijał się echem od ścian w pustych pokojach. Nikt nie odpowiadał. Rzucił się do tylnych drzwi i jeszcze raz uważnie je obejrzał. Czyżby przeciąg otworzył je na oścież? Nie, na środku przejścia, prawie w samym progu, dokładnie odbiła się podeszwa buta – dużego, podkutego buta – i Kristoff oczyma duszy ujrzał scenę, w której niemiecki żołnierz jednym kopniakiem otwiera drzwi i wyciąga panią Faber, Miriam i Elenę na dwór.

Załamany i oszołomiony usiadł na ganku i oparł się plecami o główne drzwi do domu. Na oparzonej dłoni zrobił mu się pęcherz, więc zanurzył ją w śniegu. Dziewczynek nie było. Ale jak to? Elena nigdy by do tego nie dopuściła.

Może uciekły, słysząc głosy Niemców? Tylko dokąd? W jakie bezpieczne miejsce zaprowadziłyby siostrę Elena? Do chatki w lesie, tam, gdzie na podłodze leżał chory Frederick? Chybaby go zabiła, gdyby się dowiedziała, że on, Kristoff, cały czas wiedział, że jej ojciec żyje – o ile Josef nie zrobiłby tego pierwszy za to, że nie pilnował dziewcząt i zostawił je w domu, a sam poszedł do miasta. A może po prostu schowały się w warsztacie? Tam jeszcze nie sprawdzał.

Wstał, przebiegł przez dom i wypadł na zasypane śniegiem podwórze.

– Halo! – zawołał, otworzywszy drzwi pracowni Fredericka.

W środku było jednak ciemno i pusto. Kristoff ciężko usiadł w fotelu nauczyciela. Drżał na całym ciele.

– Nie, nie, nie – powtarzał. Jego głos znowu rozległ się echem w pustym pomieszczeniu.

Nie miał wyboru – pozostało mu iść do chatki i modlić się, by dziewczęta tam były. Uświadomił sobie, że jeżeli ich tam nie znajdzie, będzie zmuszony powiedzieć Frederickowi, co się stało: że dziewczynki nie ma, zniknęły, a na progu domu znalazł tylko odcisk podeszwy buta niemieckiego żołnierza. To na niego spadnie ten straszliwy obowiązek.

Nagle usłyszał dźwięk. Ledwie słyszalne piśnięcie. Dźwięk się powtórzył – ale co to było? Czkawka? Czy to... Miriam?

Zapalił świecę i rozejrzał się po warsztacie, a potem zbadał go centymetr po centymetrze. Nikogo jednak nie znalazł.

– Miri, Elena? – zawołał cicho. – Jesteście tu? – Nie odpowiedziały, spróbował więc jeszcze raz. – Niemców już nie ma. To ja, Kristoff. Jestem sam. Halo!

Panowała zupełna cisza – wtem rozległo się skrzypienie, a deska tuż obok jego buta lekko się poruszyła. Potem przesunął się cały fragment podłogi i spod ziemi wygramoliła się Miriam.

Kristoff nie miał pojęcia, że pod warsztatem jest piwniczka.

– Tata składował tam płyty grawerskie – wyjaśniła Elena, strzepując ubranie i strząsając z siebie pajęczyny, kurz i inne paprochy. – Nieduża, ale da się wejść.

– Czuję się jak we własnym grobie – odezwała się Miriam. Wyglądała żałośnie, łzy rozmazały brud na jej buzi.

Elena przez chwilę patrzyła w ziemię i milczała, jakby słowa młodszej siostry odebrały jej mowę. Jak we własnym grobie. Nie dalej jak wczoraj twierdziła, że nie boi się śmierci. Ale gdyby to Miri miała umrzeć? Kristoff wiedział, że to zupełnie zmienia postać rzeczy.

– Zabrali ją, tak? – zapytała po chwili Elena drżącym głosem, wciąż nie patrząc na Kristoffa. – Pytali mamę, gdzie ojciec, a ona na to, że nie żyje. Wtedy złapałam Miri i przybiegłam tutaj. Schowałyśmy się i nic więcej nie widziałyśmy. – W końcu podniosła oczy. W świetle świecy Kristoff dokładnie widział jej twarz. W przeciwieństwie do młodszej siostry nie płakała. Jej zielone oczy patrzyły spokojnie, stanowczo. – Ale ją zabrali, prawda?

– Nie wiem – odparł Kristoff, z trudem przełykając ślinę. Był prawie pewny, że Elena ma rację i panią Faber rzeczywiście zabrali Niemcy. – Kiedy wróciłem z miasteczka, w domu nikogo nie było. Drzwi frontowe stały otworem. W piecu się paliło. Woda gotowała się na kuchni... – Zawiesił głos. Wszyscy wiedzieli ze stuprocentową pewnością, że pani Faber, gdyby tylko była w domu, nigdy by do tego nie dopuściła.

– Nie mamy już mamy ani taty. Oboje przepadli tak nagle – zaczęła Miriam piskliwie. – Zostałyśmy same na świecie. Jak sieroty.

– Nie. – Kristoff wyciągnął do niej rękę. – Nie zostańcie same. Chodźcie ze mną.

*

Prowadząc dziewczęta przez las, do chaty, Kristoff nie myślał o konsekwencjach. O tym, że Frederick się zmartwi, a Josef – rozgniewa. Miał na względzie tylko i wyłącznie Miriam i Elenę, które musiały się dowiedzieć, że ich ojciec jednak żyje. Od początku czuł, że ukrywanie tego przed nimi było głupotą. Josef twierdził, że robi to, by chronić dziewczynki i żonę Fredericka, ale okazało się, że pani Faber wcale to nie uratowało. Co gorsza, opuściła dom w przeświadczeniu, że jej mąż nie żyje. Kristoff wiedział, że nigdy sobie tego nie wybaczy. Nie miał zamiaru dłużej oszukiwać Miri i Eleny.

– Czemu tam idziemy? – zapytała Elena, kiedy się zorientowała, dokąd zmierzają. Zatrzymała się w pół kroku, położyła ręce na biodrach i chwyciła Miri tak mocno, że dziewczynka też przystanęła.

Kristoff nie zamierzał mówić jej o Fredericku, tylko od razu jej go pokazać, tak samo jak zrobił Josef w jego przypadku. Miał nadzieję, że gdy dziewczyna zobaczy ojca żywego, skoncentruje się na nim, a nie na tym, że on, Kristoff, trzymał to przed nią w tajemnicy.

– Zaufaj mi – powiedział.

Elena zawahała się i przyciągnęła Miri do siebie.

– Proszę – dodał. – Położył jej rękę na ramieniu, a ona w końcu puściła siostrę i znowu za nim ruszyła. Niebawem dotarli do chaty.

Kristoff wszedł pierwszy, zapalił świecę i oświetlił Fredericka, który leżał na podłodze i sprawiał wrażenie, że śpi. Otworzył jednak oczy i spojrzał wprost na przybyłych.

– Coś ty najlepszego zrobił, chłopcze? – spytał chrapliwie, jakby krztusił się własnymi słowami.

Kristoff odwrócił się do niego plecami – nie chciał patrzeć na rozczarowanie, jakie malowało się na zmęczonej twarzy nauczyciela. Zamiast tego spojrzał na Miri.

– Patrz, nie jesteś sierotą – rzekł, ale ona go nie słuchała. Była zbyt pochłonięta podskakiwaniem, krzyczeniem i tuleniem się do ojca.

*

– W przyszłym tygodniu z Wiednia odjeżdża specjalny pociąg – powiedział Josef, kiedy pewnego wieczora wracali z Kristoffem z chaty, do której zanieśli Faberom nową porcję zapasów. Po pani Faber zaginął wszelki słuch, Niemcy też się więcej nie pokazali. Josef twierdził, że w najlepszym wypadku żona Fredericka została wywieziona do obozu pracy w Mauthausen w Górnej Austrii i że trzeba mieć nadzieję, iż tak właśnie się stało. Kristoff wolał nie myśleć, co w takim razie oznacza najgorszy wypadek. W miasteczku chodziły słuchy, że Niemcy zastrzelili pana Himmlego – tak po prostu. Miało to miejsce na Wien Allee, gdy pan Himmle próbował uciec z aresztu domowego, w którym go osadzono. Kristoff nie był pewien, czy to prawda, w każdym razie dawny sklep pana Himmlego prowadził teraz Niemiec, a wybór towarów był znacznie skromniejszy niż wcześniej.

– Pociąg? – spytał Kristoff, nie wiedząc, do czego Josef zmierza.

– Brytyjski. Zaczyna się akcja Kindertransport. Wywożą dzieci w wieku do siedemnastu lat do rodzin zastępczych, organizują ich ewakuację do Londynu. Dostałem informację z Kultusgemeinde.

Kristoff znał tę nazwę, działała pod nią wiedeńska organizacja żydowska. Wiele razy przechodził obok jej biura, które było oddalone o przecznicę od sierocińca.

– Wezmą Miri i Elenę – ciągnął Josef. – Mam już dla nich bilety.

– Dostałeś dla nich bilety, tak po prostu? – Kristoff nie mógł w to uwierzyć.

– Jako sieroty miały pierwszeństwo.

– Przecież nie są sierotami.

Josef zatrzymał się i rzucił Kristoffowi ostre spojrzenie. Wciąż był na niego zły, że chłopak przyprowadził dziewczęta do ojca. Z drugiej strony, czy w domu byłyby bezpieczne? Owszem, ale tylko do powrotu Niemców. A ci na pewno wrócą, prędzej czy później.

– Są – rzekł z naciskiem. – Praktycznie rzecz biorąc.

Kristoff nie zdradził się przed Josefem, że nie wyobraża sobie odjazdu Miri i Eleny. Oczyma duszy widział, jak wsiadają do pociągu, potem pewnie na statek, i płyną aż do Londynu. Gdzie będzie im lepiej. To oczywiste. Ale z drugiej strony nie chciał, by odjeżdżały.

– Mówiłeś już Elenie? – spytał.

– Nie. Ty powinieneś jej powiedzieć. Dlatego ci to mówię.

– Ja? – wyjąkał Kristoff.

– Ty. Lubi cię. Ciebie posłucha.

– Ale ja myślałem, że wy... Ty i ona...

– Elena? – Josef zaśmiał się gorzko. – Traktuje mnie jak brata. – Zawiesił na chwilę głos. Milczenie przeciągało się na tyle długo, że Kristoff domyślił się, iż Josef najpewniej czuje do Eleny coś więcej niż tylko braterskie przywiązanie. – Zresztą obie, i ona, i Miriam. Mój ojciec i Frederick znali się od lat. Kiedyś razem malowali.

– Twój tata jest artystą? – Kristoff nie zdołał ukryć zdumienia, że ktoś tak gburowaty jak Josef może pochodzić z artystycznej rodziny.

– Był – poprawił go Josef, niczego nie wyjaśniając. – Znam Elenę od małego, całe dzieciństwo ganialiśmy razem latem po łąkach. A zimą jeździliśmy na sankach. – Spuścił wzrok. Może wolał nie wracać myślami do szczęśliwych czasów. Do tych lat i zim przepięknych wolnością.

Doszli do chatki, ale przed drzwiami Josef się zatrzymał.

– Zaprowadzę Miri do domu, żeby się spakowała i była gotowa wyjechać za parę dni. Ty przekonaj Elenę. – Powiedział to tak, jakby to była bułka z masłem.

*

Kristoff poprosił Elenę, żeby poszła z nim na spacer, i choć znowu padał śnieg i zrobiło się zimno, dziewczyna zgodziła się bez problemu. Chatka była maleńka, jednoizbowa, na szczęście z kominkiem, więc Faberowie przynajmniej nie marzli. Ale nie było tam nic do roboty, Kristoff zaś zdawał sobie sprawę z tego, że Elena nienawidzi siedzieć beczynn timer. Przyniósł jej z domu cały stos angielskich powieści, które znalazł w jej pokoju, no i oczywiście stale dostarczał jedzenie i picie. Elena nie należała jednak do osób, które dobrze czują się w zamknięciu, podczas gdy wokoło tyle się dzieje.

Szli przez parę minut w ciszy, dopasowując do siebie kroki i robiąc równoległe ślady, aż wreszcie Kristoff się przełamał.

– Josefowi udało się znaleźć sposób, żeby was stąd wywieźć. Ciebie i Miri – rzucił lekko, starając się, by w jego głosie zabrzmiała nadzieja.

Elena zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do niego.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedziała zdecydowanym tonem.

Zadarła głowę i patrzyła mu teraz prosto w oczy. Minę miała stanowczą, nieprzejednaną. Lekko drżała, więc Kristoff wyjął rękę z kieszeni i przyłożył wewnątrz dłoni do jej policzka. Jej skóra była lodowata.

– W przyszłym tygodniu z Wiednia odjeżdża specjalny pociąg – wyjaśnił. – Kindertransport. Zabiera sieroty do Londynu, do rodzin zastępczych. Tylko na jakiś czas, dopóki to wszystko nie minie.

Elena przez chwilę nie odzywała się ani nie poruszała. Stała tak nieruchomo, że zdawało się, iż nie oddycha. Pod dotykiem Kristoffa jej skóra powoli się ogrzewała.

– W porządku – rzekła w końcu.

Chłopak zupełnie się tego nie spodziewał. Zamiast ulgi poczuł coś w ro-

dzaju wewnętrznej niezgody. Z jednej strony cieszył się, że tak łatwo zgodziła się wyjechać, a z drugiej martwił, że bez żalu zdoła go opuścić. Że nic jej to nie kosztowało.

– Dobrze – powiedział. Chciał brzmieć jak człowiek, który zachowuje spokój i kieruje się zdrowym rozsądkiem, okazało się jednak, że głos omal mu nie zadrżał. – Coś wymyślę, żeby twojego tatę też stąd wydostać.

– I pomożesz Josefowi? – spytała. – Będziecie z nimi walczyć, dobrze, Kristoff?

Jak artysta może stawić czoła żołnierzowi? A raczej całemu wojsku? Czym jest rylec grawera w porównaniu z walką zbrojną, pożogą, zniszczeniem? Ku swemu zdumieniu Kristoff usłyszał jednak, że się zgadza, zapewnia ją, że tak, oczywiście, będzie walczył.

Elena jeszcze raz zadarła głowę i spojrzała mu w oczy. Miała zaróżowione od mrozu policzki, a usta bardziej czerwone niż zwykle. Na grzbiecie jej nosa Kristoff wypatrzył trzy piegi, których przedtem nie zauważył. Zwalczył chęć, by przesunąć po nich palcem.

A więc odjeżdżała. Nawet się z nim o to nie spierała, w każdym razie nie na poważnie. Będzie bezpieczna, a on, choć przepełniała go wdzięczność, nie potrafił oderwać dłoni od jej policzka, oczu od jej twarzy, od tych pięknych ust i od tych piegów.

Nachylił się i zrobił to, o czym marzył od wielu miesięcy – pocałował ją. Kiedy dotknął ustami jej zimnych warg, odruchowo drgnęła. Zaskoczył ją, a może po prostu nigdy sobie nie wyobrażała, że go całuje. W przeciwieństwie do niego, który myślał o tym tak wiele razy.

Elena wyciągnęła ramiona i ujęła w dłonie jego twarz. Miał szorstkie policzki. Prawie urosła mu broda. Nie golił się od wielu tygodni, właściwie od Kristallnacht. Jakby ogień, który zniszczył większą część Grotzburga, strawił też jego przyzwyczajenia.

Elena przesunęła palcami po jego twarzy, a potem przechyliła się i oddała mu pocałunek. Jej wargi były miękkie, ale mocne, tak samo jak ona. Pocałunek trwał nie dłużej niż ułamek sekundy – potem dziewczyna odsunęła się i zakryła usta dłonią.

– Co my robimy? – Jej słowa zabrzmiały miękko, łagodnie, bez zwykłej stanowczości.

– Nie wiem – odparł. – Przepraszam. Ja tylko... chciałem się pożegnać. Chyba.

Dziewczyna zrobiła krok w tył i włożyła rękę do kieszeni wełnianego palta.

– Nie lubię pożegnań – rzuciła.

– W takim razie to nie było „żegnaj” – stwierdził Kristoff. – Tylko „do zobaczenia niebawem”.

Elena nie odpowiedziała. Nie czekając na niego, odwróciła się i szybkim krokiem poszła w stronę leśnej chaty.

LOS ANGELES, 1989

– Chyba tu niedługo zamarznę – słyszę w słuchawce kilka dni później. Benjamin się nie odezwał, a ja nie mogę się doczekać obiecanych namiarów na Fräulein Faber. Nie chcę mu się jednak narzucać, dzwonię więc do przyjaciółki, Karen, i pytam, co u niej słychać. A ona natychmiast zaczyna narzekać, jaka okropna pogoda jest w Connecticut.

– To za karę, że mnie opuściłaś – odpowiadam półżartem. Przecież to nie jej wina, że jej mąż dostał pracę w Hartford i musieli się wyprowadzić akurat wtedy, gdy Daniel dojrzał do decyzji, by mnie rzucić, a ja, by umieścić tatę w The Willows. Przyjaźnimy się z Karen od przedszkola i z wyjątkiem wyjazdu na dwie różne uczelnie nigdy, aż do teraz, nie byliśmy na dobre rozdzielone.

– To jak, podpisałaś wreszcie te papiery? – Karen jak zawsze szybko przeskakuje z tematu na temat.

Tylko z nią (teraz już także z Jasonem) od początku byłam szczerą, jeśli chodzi o sytuację z Danielem.

– Jeszcze nie. – Spoglądam na kopertę, która nadal leży na kuchennym blacie. Na razie nawet jej nie tknęłam, nawet nie przesunęłam, nie wspominając o otwieraniu czy tym bardziej podpisywaniu czegokolwiek.

– Musisz. Ulży ci, jak będziesz to miała za sobą. Będzie po sprawie.

– Czyżby? – zapytałam.

Karen wyszła za Marka, swojego chłopaka z liceum. Tworzą zgodną do bólu parę, na pytania często odpowiadają chórem i podobnie się ubierają, oczywiście całkowicie przez przypadek, tylko i wyłącznie dlatego, że są do tego stopnia zgrani. Kiedyś to ich podobieństwo, jak również upodobanie do spokojnego domatorstwa, wydawały mi się nudne. My z Danielem rozkoszowaliśmy się wówczas weekendami w Napa, wystawnymi kolacjami i premiami filmowymi na koszt firmy. Ale kiedy te błogie czasy minęły, a mnie po-

chłonęła choroba ojca, doszłam do wniosku, że może to, co mają Mark i Karen, wcale nie jest takie złe.

– Tak, i kiedy zmienisz pracę – ciągnie Karen. – Bo szukasz, tak?

– Można tak powiedzieć – mówię wymijająco i opowiadam Karen o niezwykłym znaczku, liście miłosnym i o tym, że Benjamin wpadł na trop jednej z panien Faber. Wspominam też, że Jason chce, żebym zrobiła mu o tym materiał, oczywiście kiedy już rozwiążę zagadkę.

– Dobrze, zatem masz się czym zająć, żeby nie myśleć o rozwodzie – oświadcza Karen rzeczowo; brzmi to jak stwierdzenie faktu, a nie pytanie. Zanim dwa lata temu urodziła Jeffreya, pracowała jako psychoterapeutka. Przywykłam już, że każda rozmowa z nią przypomina sesję u psychologa.

– Wcale nie – protestuję. Ale może ma rację, może tak właśnie jest. Dostałam fioła na punkcie cudzej historii miłosnej, aby uciec przed rozpamiętywaniem własnego niepowodzenia.

– A ten cały Benjamin... Jaki jest? Chociaż fajny? – pyta.

Parskam śmiechem.

– Nie, Kar, nic z tych rzeczy. Po prostu pomaga mi z tym znaczkiem. Nic więcej.

– No dobra, ale powiedz, czy fajny?

Przypominam sobie jego oczy, kiedy siedział obok mnie na kanapie. I to, jak się lekko uśmiechał, rozmyślając o historii, która może kryć się za znaczkiem.

– Chyba tak, w sensie... Wiesz, to taki trochę dziwak.

– Czeka, jak to szło? – Karen zniża głos. – Najlepszym sposobem, by zapomnieć o facecie, jest znaleźć sobie innego?

– Karen, nie! Serio, to tylko filatelista.

Karen wybucha śmiechem. Wiem, że żartuje. A przynajmniej w pewnym sensie. Nagle wrzeszczy na Jeffreya, żeby natychmiast przestał robić to, co właśnie robi.

– Przepraszam – mówi. – Powinien już być w łóżku, a właśnie próbuje ubrać kota w swój strój na Halloween. Muszę lecieć kotu na ratunek.

Też się śmieję.

– Jasne. Zadzwoń do mnie któregoś dnia, jak będziesz mogła pogadać.

Karen obiecuje zadzwonić i się rozłączamy. Wszystkie nasze rozmowy wyglądają podobnie – są trochę sztywne, czuć, że prowadzone na odległość, urwane i niedokończone. Nie chodzi tylko o to, że Karen wyprowadziła się do Connecticut, rzecz również w tym, że urodziła Jeffreya, a ja nie mam dzieci. Na początku zgodnie twierdziliśmy z Danielem, że nie jesteśmy gotowi na rodzicielstwo, a potem, gdy uznałam, że już chyba pora, stan taty nagle się pogorszył. Późnym wieczorem, gdy wracałam do domu, Daniel już spał, a jeżeli nawet nie, to ja byłam zbyt zmęczona i emocjonalnie wyczerpana, by myśleć o seksie, nie wspominając już o dzieciach.

W mojej obecnej sytuacji pewnie powinnam być za to wdzięczna losowi, ale na myśl, że być może nigdy nie zostanę mamą, robi mi się smutno.

Teraz jednak nie zaprzątam sobie tym głowy. Kładę się do łóżka i biorę ze sobą notatnik. Zamierzam pomyśleć nad listem do Fräulein Faber. Nie obchodzi mnie, co Karen sądzi o przyczynach, dla których dostałam obsesji na punkcie tego listu i znaczka. Chcę po prostu powiedzieć Fräulein Faber, co być może straciła, a na co ja natknęłam się pośród bezwartościowych przedmiotów wchodzących w skład gigantycznej kolekcji taty. Pragnę poznać historię jej miłości i przelać ją na papier. Mam nadzieję, że w przeciwieństwie do mojej miała szczęśliwe zakończenie.

*

Następnego dnia rano, w pracy, zamiast wykonywać obowiązki służbowe, czyli pisać recenzję filmu *Woźąc panią Daisy*, kończę list. Tak mi pilno, by poznać Fräulein Faber, że nie mogę się skupić na niczym innym.

O jedenastej mówię Janice, że wychodzę na lunch, a Danielowi, że oddam mu recenzję, kiedy wrócę. Nie jestem jednak głodna. Wsiadam do samochodu i jadę do Sherman Oaks.

Na dworze jest ładnie, przyjemnie ciepło, a na autostradzie – całkiem luźno. Parkuję przy centrum handlowym, tam, gdzie wcześniej, gdy przywio-

złam tu w bagażniku, jak się wydawało, całe życie taty. Tym razem do sklepu filatelistycznego udaję się z pustymi rękami.

Nad drzwiami wisi mały dzwonek, który pobrzękuje, gdy wchodzę. Benjamin siedzi za zawalonym papierami biurkiem; na głos dzwonka podnosi wzrok. Telewizor jest włączony, leci jakiś serial, a ja rozpoznaję na ekranie Ericę Kane (dawną ulubienicę mamy).

– *Wszystkie moje dzieci?* – pytam i choć staram się powstrzymać, parskam śmiechem.

Benjamin wyłącza odbiornik.

– Zaczęło się po wiadomościach. Pracuję, nie zwracam uwagi, co puszcza ją.

– Yhm... – Śmieję się nadal.

– Co tu robisz? – Benjamin wstaje, przybierając niemal obronną pozę, a mnie robi się głupio, że się z niego natrząsam.

– Przepraszam – mówię. – Po prostu nie mogę się doczekać. Chciałam się dowiedzieć, czy Jack się odzywał.

Benjamin kiwa głową i szpera między leżącymi na biurku papierami.

– Dał mi numer do notariusza z Nowego Jorku, który prowadził ich transakcję. Dzwoniłem do niego dziś rano. Powiedział mi, że pani Kleinfelter ostatnio zapadła na zdrowiu.

– Kleinfelter?

– To nazwisko po mężu. – Jasne. Przecież nie jest już Fräulein Faber. – No, w każdym razie niedawno musiała się przenieść do domu opieki. Wnioskuje z tego, że może już nie być zainteresowana skupowaniem znaczków.

– Ale ja nie chcę go jej sprzedać.

– Wiem – mówi łagodniej, jakby właśnie sobie przypomniał, że to wszystko coś dla mnie znaczy. – Ma się dowiedzieć o nazwę i adres tego ośrodka. Nadal chcesz do niej napisać?

– A mówił, co jej jest? – pytam. – Z jakiego powodu się tam znalazła?

Benjamin kręci głową. A mnie nagle dopada poczucie porażki. Nie będzie

żadnej historii do odkrycia, żadnej opowieści do napisania, bo jej główna bohaterka być może nie zdoła mi nawet odpowiedzieć na list. No bo jak, jeżeli na przykład jest w stanie podobnym do taty?

*

Po wizycie u Benjaminą nie wracam już do pracy. Wiem, że powinnam, bo obiecałam oddać recenzję, ale zamiast tego jadę do domu i dzwonię do Janice. Kłamie, że złapała mnie grypa żołądkowa. A może to nie grypa, tylko zaszkodził mi lunch (którego, oczywiście, wcale nie jadłam)? Janice życzy mi zdrowia. Rozłączamy się, a ja czuję zaledwie szczątkowe wyrzuty sumienia.

Choć dopiero minęła trzecia, otwieram wino, zgarniam książki na podłogę, siadam na kanapie i wyciągam nogi na stolik. Sięgam po gazetę. Omiatam wzrokiem rubrykę z ogłoszeniami o pracy, lecz nic ciekawego nie rzuca mi się w oczy. Włączam telewizor. Leci *Szpital miejski*. Nie oglądałam tego od lat, ostatnio chyba na studiach, ale teraz, przy winie, wciągam się bez najmniejszego trudu. Edward Quartermaine najwyraźniej umarł – nie wiem, w jakich okolicznościach – i Lila właśnie rozmawia z jego duchem. Cha, cha, a jednak są tacy, których życie jest bardziej skomplikowane niż moje. Pewnie powinnam zmienić kanał, znaleźć jakieś wiadomości, sprawdzić, co się dzieje w Berlinie Wschodnim. A może po prostu w Berlinie, skoro Niemcy mają zostać zjednoczone? Ale nie zmieniam kanału. W ogóle się nie ruszam. Wypijam pół butelki wina, zwijam się w kłębek, zamykam oczy i zasypiam.

*

Jakiś czas później budzi mnie stukanie do drzwi. W pokoju jest ciemno. Telewizor nadal gra – miga i coś gada, ale z początku nic do mnie nie dociera. Ktoś chce kupić samogłoskę. A, *Koło Fortuny*.

Znów rozlega się stukanie. Zwlekam się z kanapy. Patrę przez wizjer i ze zdumieniem stwierdzam, że na progu stoi Benjamin z rękami wepchniętymi w kieszenie brązowej kurtki.

Otwieram drzwi i zastaję go w pół ruchu, z ręką uniesioną, by jeszcze raz

zapukać. W pierwszej chwili zamiera, mierzy mnie tylko zdziwionym spojrzeniem. No tak, pewnie jestem w nieładzie. Skonsternowana, próbuję trochę przyklepać włosy. Mam na ramionach jaskrawy, pomarańczowo-zielony koc zrobiony przez babcię na szydełku, pod którym przed chwilą spałam na kanapie.

– Źle się czujesz? – pyta Benjamin.

Zastanawiam się, czy troszczy się o moje czy o swoje zdrowie. Może się boi, że go czymś zarazę.

– Nie, nie – odpowiadam, przy okazji przypominając sobie kłamstwo o grypie żołądkowej. – Po prostu jestem zmęczona.

Benjamin waha się przez chwilę.

– Przepraszam. Późno jest, wiem... Po prostu myślałem... No, założyłem, że ty też mało sypiasz, tak jak ja.

Zastanawiam się nad pytaniem Karen, czy on jest fajny, i stwierdzam, że w pewnym sensie tak, zwłaszcza kiedy się trochę jąka, jakby przebywanie w pobliżu mnie go stresowało. Pąsowieję na myśl o sugestii, żeby go wykorzystać jako pocieszenie po rozstaniu z Danielem. Odsuwam jednak tę niedorzeczną myśl na bok i szerzej otwieram drzwi.

– Proszę, wejdz. Rzeczywiście ostatnio raczej nie sypiam. Tylko dziś napiłam się wina i kimnęłam na kanapie.

Benjamin patrzy na opróżnioną do połowy butelkę chardonnay stojącą na stoliku. Szybko wynoszę ją do kuchni i odstawiam na blat.

– Też mi się czasem zdarza – wyznaje i od razu wydaje się skrępowany, jakby wyznał coś osobistego, co nie powinno było mu się wymknąć.

– Proszę. – Wskazuję na kanapę.

– Nie, dzięki. Nie będę się rozsiadał. Chciałem tylko ci to przekazać. – Wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki kopertę.

Biorąc ją od niego, w pierwszej chwili myślę, że to kolejny list, następny element w łańcuchu o Fräulein Faber, ale nie – nie ma ani znaczka, ani adresu. Koperta jest czysta, niezapisana.

– Co to?

– Zaraz po twoim wyjściu zadzwonił Jack i podał mi ten adres. Widziałem, że byłaś niepokieszona. Więc pomyślałem sobie, że... No że może w przyszłym tygodniu będziesz miała trochę wolnego. Jest Święto Dziękczynienia. Okazja, żeby pojechać i osobiście zobaczyć się z panią Kleinfelter.

– Chwileczkę, słucham? – Wcześniej, w sklepie, nie sprawiał wrażenia w najmniejszym choćby stopniu zainteresowanego dalszym zgłębianiem historii znaczka. Poza tym zdawało mi się, że pani Kleinfelter ma problemy ze zdrowiem i nie należy jej męczyć. – Nie mogę tak po prostu wsiąść sobie w samolot i lecieć do Anglii – mówię, gdy już otrząsam się z pierwszego szoku. – To... kosztuje.

– Mam mile lotnicze – mówi Benjamin. – Sporo podróżuję. Jeżdżę po wszystkich konferencjach filatelistycznych. Nazbierało mi się mnóstwo darmowych mil.

– Nie mogę ich przyjąć – protestuję.

– Już to zrobiłaś. – Benjamin wskazuje na kopertę, którą trzymam w ręku.

Kręcę głową. Jestem zdezorientowana. Zaglądam do koperty i rzeczywiście – w środku znajduje się bilet lotniczy do Londynu wystawiony na moje nazwisko.

Benjamin odchrząkuje.

– Nie musisz jechać. Mogę zwrócić bilet. Kiedy ode mnie wyszłaś, postanowiłem, że polecę. Na pewno. To dobry czas, żeby stąd uciec. Przyszły tydzień. Zapragnąłem, żebyś ty też mogła. – Brnie dalej i coraz bardziej się czerwieni. To urocze, że próbuje włączyć mnie w swój szalony plan. – To znaczy zrozumieć, jeżeli nie będziesz mogła, nie będziesz chciała lub nie znajdziesz czasu... Jeżeli masz inne plany na Święto Dziękczynienia.

Wszystkie Święta Dziękczynienia w moim dorosłym życiu spędziłam albo u taty, albo – przez ostatnich kilka lat – u mamy Daniela. Tym razem planowałam lunch w The Willows, a potem indyka i wino tu, w domu; nie był to zatem jakiś szczególnie atrakcyjny plan. A w każdym razie nie taki, którego nie dałoby się zmienić.

– A ty? Nie masz planów na święto? – pytam, choć nie jestem w stanie

uwierzyć, że mógłby odpowiedzieć twierdząco.

– Nienawidzę Święta Dziękczynienia.

– Kto nienawidzi Święta Dziękczynienia?

Benjamin ignoruje moje pytanie.

– Wyjeżdżam we wtorek. Wracam w następną niedzielę – oznajmia. Po chwili dodaje: – Jeżeli nie chcesz jechać, czy mógłbym wziąć ze sobą twój list?

Ale ja nie chcę oddawać mu listu. Chcę tam jechać. Chcę zawieźć list pani Kleinfelter, chcę poznać ją osobiście i wysłuchać jej opowieści, w czym, mam nadzieję, stan jej zdrowia jednak nie przeszkodzi.

– Pojadę – oświadczam.

Benjamin otwiera usta i lekko unosi brwi, jakby był zaskoczony, że przyjmuję jego propozycję, co również wydaje się dziwne, zważywszy, że pojawił się u mnie z biletem lotniczym w ręku.

– Dziękuję, że to robisz – dodaje. – Naprawdę. To dużo dla mnie znaczy. I jakoś oddam ci za bilet. A także zapłacę za poświęcony czas.

– Nie trzeba. – Benjamin odwraca się i już jest w połowie drogi do drzwi. Nagle wydaje się bardziej zakłopotany niż parę minut temu, kiedy w myślach nazwałam jego plan szalonym. Na pewno spodziewał się, że odmówię.

– Ale chcę – upieram się.

– Nie musisz mi oddawać. To nic takiego. Naprawdę mam uzbieranych sporo mil, już mówiłem.

Kładę mu rękę na ramieniu, żeby nie uciekł. Odwraca się i patrzy na mnie przez chwilę.

– Dla mnie to nie jest nic takiego – mówię.

Benjamin odwraca wzrok, strząsa z siebie moją dłoń i rusza w stronę podjazdu, gdzie zaparkował samochód.

– W takim razie do zobaczenia w przyszłym tygodniu na lotnisku! – woła przez ramię. A potem dodaje: – Tylko nie zapomnij listu!

AUSTRIA, 1938

Elena i Miriam wyjechały do Wiednia, by dostać się na Kindertransport. Kristoff wrócił do warsztatu po kilku tygodniach nieobecności; miał wrażenie, jakby pracował tu z Frederickiem całe życie. W tym czasie wprowadzono zarządzenie, w myśl którego wszystkie przedsiębiorstwa należące do Żydów miały przejść w ręce Aryjczyków. Była połowa grudnia, a zima tak sroga, że podobnej Kristoff nie pamiętał. Zdawało się, że cały świat zamarznął – lecz najpierw został do żywego wypalony.

Rylec znowu nie leżał Kristoffowi w dłoni, tak jak na samym początku jego nauki. Młody grawer nie miał ochoty brać go do ręki, robić wprawek, koncentrować się na szczegółach i zmuszać metal, by ustąpił i pozwolił wyżłobić w sobie zawiły, drobny wzór. Poza tym nie miał po co pracować. Znaczków tworzyć nie mógł, nawet gdyby chciał. Odłożył więc rylec, wziął węgiel i papier i zamiast grawerować, zaczął szkicować.

Wyobrażał sobie Miriam i Elenę w pociągu – podczas podróży, której celem miało być nowe życie w Anglii. Rysował je tak długo, aż ręka zdrętwiała mu od ściskania węgla, a pracownia wypełniła się portretami dziewcząt – jakby mogło to przywrócić ich obecność. Sprawić, by znowu znalazły się tu, przy nim.

*

Parę dni po wyjeździe córek Fredericka do warsztatu po raz pierwszy przyszedł Herr Bergmann w towarzystwie dwóch niemieckich żołnierzy.

Kiedy się zjawili, Kristoff siedział w warsztacie i rysował. Niedawno wrócił od Fredericka, któremu zaniósł obiad. Mistrz powiedział mu, że chciałby wrócić do domu i zacząć znowu pracować. „To zbyt niebezpieczne – odparł Kristoff – poza tym teraz także nielegalne”. Frederick stwierdził na to, że wszystko mu jedno. Jednak widok trzech Niemców wyłaniających się zza

rogu domu i zmierzających prosto do pracowni utwierdził chłopaka w przekonaniu, że postąpił słusznie, przekonując Fredericka, by nie opuszczał swojej kryjówki. Przerazenie na widok intruzów dopadło go dopiero w drugiej kolejności, sekundę potem.

Kristoff szybko zgarnął szkice na kupkę i odwrócił je wierzchnią stroną do dołu, po czym otworzył drzwi, zanim przybysze zdążyli zapukać lub wybić je kopniakiem. Prawdę mówiąc, spodziewał się tej wizyty. Oczywiście nie oczekiwał tych trzech ludzi, którzy właśnie zbliżali się do warsztatu, ale było pewne, że Niemcy nie zapomną o pracowni grawerskiej Fabera. Teraz, gdy Frederick nie mógł już wykonywać zawodu, chłopak nie miał pojęcia, czy ktoś w Austrii jeszcze trudni się jego fachem; jeżeli jednak nikt, to niemieccy grawerzy i drukarze z pewnością będą mieli problem, by poradzić sobie z nawałem pracy wynikającym z zapotrzebowania na znaczki potrzebne do ofrankowania zarówno własnych, jak i tych wysyłanych z zaanektowanego kraju listów.

– Dzień dobry! – zawołał Kristoff, machając do przybyszy. Starł się zachowywać przyjaźnie i nie okazywać strachu, wściekłości czy wrogości wobec nich oraz wszystkiego, co reprezentują. Nie dać po sobie poznać, że ich nienawidzi, bo zabrali dokądś panią Faber, zmusili Miriam i Elenę do natychmiastowego wyjazdu w nieznaną, a Fredericka skazali na samotny pobyt w pustelni w głębi lasu.

Dowódca grupy przedstawił się jako Herr Bergmann, szef Ministerstwa Poczty, po czym wraz z towarzyszącymi mu żołnierzami bezceremonialnie wtargnął do warsztatu i zaczął po nim chodzić, jakby był u siebie. Przyglądał się narzędziom grawerskim leżącym na stole.

– Gdzie Faberowie? – spytał. Miał kamienną twarz, pozbawioną wszelkich emocji. Wydawało się, że nie pyta o ludzi, rodzinę, która mieszkała tu i pracowała, lecz o porcję mięsa zamawianą u rzeźnika.

– Frederick kilka tygodni temu zginął w pożarze. A pani Faber... – Kristoff wzruszył ramionami z nadzieją, że może dowie się czegoś o jej losie, ale przybysze milczeli. Herr Bergmann skinął tylko głową na znak, że przyjmuje jego słowa do wiadomości. Zapewne wiedział, że żona grawera została aresz-

towana; Kristoff odczuwał pokusę, by zapytać, czy nic jej nie jest i czy będzie mogła wrócić do domu, ale strach skutecznie zasznurował mu usta.

– A dzieci? – spytał ostro Herr Bergmann.

Kristoff nie miał pojęcia, czy Niemców rozgniewałaby wiadomość, że dziewczęta dostały się na Kindertransport i opuściły Austrię. Dlatego odpowiedział po prostu, że wyjechały do Wiednia, co również było prawdą.

Herr Bergmann skinął głową. Był wyraźnie zadowolony.

– A ty... terminowałeś u grawera?

– Tak.

– Znasz się na fachu? Umiesz posługiwać się narzędziami?

– Tak – powtórzył Kristoff.

– Dobrze. Żydów nie ma, wyposażenie jest kompletne, a ty możesz pracować. – Przejechał ręką po stole, po rylcach i dłutach. Kristoff przełknął ślinę, powstrzymując gniew, który w nim wzbierał. – Przyjechałem ze zleceniem. Od samego Führera. Powinieneś czuć się zaszczycony – wyjaśnił.

Kristoff gotował się ze złości. Nie chciał spełniać oczekiwań Herr Bergmanna ani nawet samego Hitlera. Wiedział jednak, że Niemcy nie proszą. A on nie może im odmówić. Może właśnie dlatego ten Bergmann przyprowadził ze sobą żołnierzy. Na wypadek gdyby Kristoff jednak nie zechciał współpracować.

– Tak? – usłyszał swój własny głos. Starał się odpowiedzieć z gorliwością, lecz miał świadomość, że mu się nie udało. I że Herr Bergmann zaraz przejrzy go na wylot.

Niemiec jednak najwyraźniej niczego nie dostrzegł.

– Führer pragnie zamówić kilka nowych niemieckich znaczków jako wyraz szacunku dla naszych pięknych nowych terytoriów. Chodzi o znaczki z krajobrazami Austrii.

– Krajobrazy Austrii? – powtórzył chłopak. „Szacunek dla nowych terytoriów? Czy szacunek nie wyklucza podpalania i niszczenia?” – pomyślał. Ale znowu nic nie powiedział.

– Tak. Przedstaw propozycje. To mają być charakterystyczne, rozpozna-

walne miejsca. Jesteśmy dumni z Austrii i chcemy, by było to widoczne na znaczkach. – Mówiąc to, Niemiec z bliska przyglądał się twarzy Kristoffa, który ze wszystkich sił starał się nie dać po sobie poznać, że jest przerażony. – Za parę tygodni wrócę i sprawdzę, co przygotowałeś. Führer osobiście wybierze prace, które mu się najbardziej spodobają, a ty przeniesiesz je na matryce, z których wydrukujemy znaczki. – Przerwał na chwilę i pogładził się po wąsach. – Oczywiście otrzymasz stosowne wynagrodzenie.

– Oczywiście – wymamrotał Kristoff. Na myśl, że będzie rysował krajobrazy, które mają się spodobać Führerowi, i w dodatku brał za to pieniądze, żołądek podszedł mu do gardła. Kiedy wyobraził sobie, że Hitler dotyka jego prac i patrzy na nie z zadowoleniem, zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze.

Herr Bergmann uniósł rękę i wyrzucił ją przed siebie w nazistowskim pozdrowieniu.

– *Heil Hitler!* – zakrzyknął, a żołnierze zrobili to samo.

Kristoff powtórzył ich gest, a gdy mężczyźni odeszli, wybiegł z warsztatu i zwymiotował.

*

Trudno było mu jednak przywołać piękno Austrii i wzbudzić w sobie ten sam zachwyty, jaki czuł w dzieciństwie, patrząc na wiedeńskie ulice. Aby dostać się do terminu, Kristoff przywiózł ze sobą szkic przedstawiający katedrę Świętego Szczepana, a Frederick na jego podstawie ocenił, że chłopak ma oko. Teraz Kristoff przypomniał sobie, jak kiedyś rysował gmach Opery Wiedeńskiej, stojąc po przeciwnej stronie placu. Był leniwy, letni dzień, a on wziął ze sobą drugie śniadanie – kawałek czerstwego chleba z dżemem brzoskwiniowym (latem siostra Marta robiła słodkie przetwory specjalnie dla chłopców), przysiadł na skrawku trawnika z blokiem na kolanach i przenosił na papier piękno budowli; przenikała go na wskroś wdzięczność za przepastne błękitne niebo nad głową, świergot ptaków i zapach świeżo rozkwitłych kwiatów, i za wolność, którą czuł wokół siebie.

Siedząc teraz w warsztacie, w chłodzie i samotności, marzył, żeby czuć się równie wolnym i szczęśliwym jak wtedy, tamtego dnia w Wiedniu. Wolałby nie rozumieć bólu wywołanego spaleniem synagogi, zabraniem pani Faber z jej własnego domu, zmuszeniem Fredericka do porzucenia ukochanego fachu, a Miriam i Eleny – do ucieczki. Elena. Och, żałował, że w ogóle ją poznał. Że pocałował jej zimne usta, wtedy w lesie. Pustka, jaką po sobie zostawiła, była nieskończona i nie do wypełnienia. Czy dałby radę uciec od tych wspomnień i od tego miejsca? Po prostu porzucić narzędzia grawerskie, dom Faberów, Fredericka i Josefa? Zniknąć na ulicach Wiednia, które kiedyś były jego domem? Czy zdołałby odzyskać poczucie zadowolenia i wewnętrznego spokoju? Zapomnieć o Grotzburgu, płomieniach, płytach grawerskich, rylcach i ustach Eleny?

Widział ją za każdym razem, gdy zamykał oczy. Wciąż czuł jej smak i zapach brzoskwiń w jej włosach. Wiedział, że o niej nie zapomni – dokądkolwiek by uciekł.

Zresztą i tak nie mógł uciec. Nie był dezercerem. Nie opuszczał ludzi w potrzebie, tak jak zrobiła jego matka, porzucając go na schodach sierocińca. Ucieczka kusila, ale wiedział, że nie może powierzyć Josefowi dalszych losów Fredericka. Ani porzucić domu Faberów i pracowni swojego nauczyciela. Obiecał dopilnować obejścia i zająć się warsztatem. A Kristoff nie łamał danego słowa.

Rysował więc to, czego zażądał Herr Bergmann. Krajobrazy Austrii. Przywoływał z pamięci piękne budowle Wiednia, choć nagle do niego dotarło, że przecież nawet nie wie, czy jeszcze stoją. Przenosił je jednak na papier takie, jakie je pamiętał. Rysował Austrię, którą znał i którą kiedyś kochał.

*

Kilka dni później pokazał szkice Frederickowi. Wziął je ze sobą do chaty, gdy niósł jedzenie dla starego grawera. Po drodze co chwila przystawał i sprawdzał, czy na pewno nikt go nie śledzi – nie wiedział przecież, kiedy wróci Herr Bergmann z żołnierzami. Nikt jednak za nim nie szedł. Kristoff był sam – wiódł życie samotnika, jak nigdy dotąd. Cisza wręcz go prześlado-

wała, a w nocy, leżąc samotnie w łóżku w wielkim, pustym domu Faberów, nie mógł spać.

Wszedł do chaty i zastał Fredericka na podłodze, opartego o ścianę i pogrążonego w lekturze książki, którą przyniósł mu kilka dni wcześniej. Zdjął szereg tomów z półki w dawnym gabinecie pana Fabera i właśnie jeden z nich, *Edelweiss* Bertholda Auerbacha, ujrzał teraz w rękach swojego nauczyciela.

– Dobra książka? – spytał Kristoff, kładąc na stole chleb i kawałek żółtego sera.

Stary mistrz miał wychudłą twarz, a jego broda, nadpalona w czasie pożaru, sterczała krzywo, pod nienaturalnym kątem. Lewa, odmrożona ręka nadal nie wyglądała za dobrze – bandaż skrywał ni to sine, ni to zielonkawe palce. Na szczęście Frederick był praworęczny, będzie mógł znów rysować i grawerować. Kiedyś, w przyszłości.

– Już ją wcześniej czytałem – powiedział Frederick ciszej niż zazwyczaj. W jego głosie pobrzmiwała nostalgia. Być może lektura przywołała wspomnienia dawnych, szczęśliwych lat. – Wiesz, co Auerbach pisze o szarotce?

Kristoff pokręcił głową. W sierocińcu nigdy nie natknął się na tę książkę.

– „Jej posiadanie to dowód niezwykłej odwagi” – zacytował Frederick; zamilkł i odgryzł kęs suchego chleba.

Kristoff wiedział, że dla mieszkańców Austrii szarotka była rośliną szczególną, symbolem czystości i miłości, a także szlachetności. Rosła i kwitła w najbardziej nieoczekiwanych i trudno dostępnych miejscach, przeważnie wysoko w górach. Ale akurat tego powiedzenia nigdy wcześniej nie słyszał.

– Wiesz, że wielu mężczyzn ginie podczas wspinaczki na skały, na których rosną szarotki? Chcą okazać miłość swojej wybrance, zrywając dla niej tę piękną, szlachetną roślinę. Być może. Jeżeli tak, są głupi. Zresztą kto wie. – Skrzywił się.

– Dowód niezwykłej odwagi – powtórzył Kristoff.

– Właśnie dlatego zrobiłem ten znaczek z szarotką, wiesz? – Głos mistrza zabrzmiał teraz głośniejszym, chrapliwie. – Też chciałem podarować swojej Min-

nie szarotkę, ale nie miałem zamiaru stracić przy tym życia. – Oczy mu się zaszkliły i odwrócił się od Kristoffa.

Chłopak pochylił się i lekko dotknął ramienia mistrza. Pragnął go pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale nie miał co do tego pewności, a do kłamstwa nie mógł się zmusić.

– To był piękny znaczek – rzekł tylko. – Niezwykły prezent. Na pewno zapadł jej w serce.

Frederick otarł oczy zdrową ręką.

– Przynajmniej dziewczynki będą bezpieczne – mruknął. – Największe osiągnięcie mojego życia. Żaden znaczek nie może się z nimi równać.

Kristoff zastanowił się, jak to jest – powołać do życia inną osobę, dziecko – ale nie był pewien, czy sam kiedykolwiek tego zapragnie. Czy będzie gotów zostać ojcem, wiedząc, jak okrutny i straszliwy potrafi być świat?

– Jeżeli mam stracić wszystko – powiedział Frederick – to niechby chociaż one były całe i zdrowe w tej Anglii. – Odłożył książkę i przełknął ostatni kęs chleba. – Co to? – spytał, wskazując szkicownik przyniesiony przez Kristoffa.

Chłopak się zawahał, ale po chwili opowiedział Frederickowi o zajściu z Herr Bergmannem i żołnierzami.

Frederick wziął do rąk blok i zaczął przeglądać prace swojego ucznia.

– Bardzo dobre – ocenił. – Führer będzie zadowolony.

– Nienawidzę nawet o tym myśleć. – Kristoff poczuł, jak wzbiera w nim złość. Na szyję wystąpił mu rumieniec, mimo że w chacie panował chłód. – Nienawidzę go – prawie krzyknął. Znowu zebrało mu się na mdłości.

– Wiem – odparł spokojnie Frederick, oddając Kristoffowi szkicownik. – Ale lepiej będzie, jeżeli go zadowolisz, niż rozczarujesz, chłopcze.

*

Podczas lodowatego, samotnego spaceru przez las do domu Kristoff rozmyślał o tym, co usłyszał od Fredericka. Że lepiej zadowolić szaleńca niż go

rozniewać. Lepiej być wobec niego uległym niż mu się sprzeciwić? Ale przecież obiecał Elenie – wtedy, w lesie, gdy ją pocałował.

„Będziesz z nimi walczył, prawda?”

Praca dla Niemców – projektowanie na ich zamówienie znaczków przedstawiających piękno Austrii – niewiele miała wspólnego z walką. Właściwie była czymś wręcz przeciwnym.

Kristoff wziął parę drewn z sągu przykrytego topniejącym śniegiem i wszedł do jadalni, by napalić w kominku. Stół, długi i pusty, wyglądał złowieszczo. Był piątkowy wieczór, a w domu panowały pustka i ziąb. Nikt nie upiekł dziś chałki, a on nie miał zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Dom Faberów został pozbawiony wszystkich smakowitych, ciepłych aromatów, jakie unosiły się w nim w każdy piątek i każdy szabat.

Kristoff próbował sobie przypomnieć, gdzie pani Faber trzymała świece szabatowe. Poszedł do kuchni i przeszukiwał szafki tak długo, aż je znalazł. Wtedy wrócił do jadalni, ustawił świece na ich zwykłych miejscach na stole i zapalił je.

Pamiętał hebrajską modlitwę, która tyle razy płynęła z ust Faberów.

„Żydów nie ma” – rzekł Herr Bergmann.

Chłopak zaśpiewał lekko drżącym głosem:

– *Baruch, Ata, Adonaj, Elohejnu...*

„Będziesz z nimi walczył, prawda, Kristoff?”

W tamtej chwili poczuł, że właśnie zaczął.

CARDIFF, 1989

Kiedy docieramy do Walii, padam z nóg. Dwa długie loty i podróż pociągiem z Londynu do Cardiff sprawiają, że tracę rachubę czasu. Nie wiem, jaki jest dzień ani która godzina. W każdym razie jest widno, a mój żołądek domaga się jedzenia. Chyba pominęłam posiłek. Lub dwa. Wszystko, co miga za oknem pociągu, jest oszałamiające, magiczne. To świat tak odległy od południowej Kalifornii, że równie dobrze mógłby leżeć w innej galaktyce. Angielski krajobraz jest urokliwy, zielony i trochę zamglony, a kończy się burym Kanałem Bristolskim, po którego przekroczeniu wjeżdżamy do Cardiff, miasta pełnego starych domów, zamków i wież oraz trawników, nad którymi – zdaje się, że bez przerwy – unosi się delikatna mgiełka.

W samolocie próbuję nawiązać towarzyską rozmowę z Benjaminem. Kiedy ponawiam swoje pytanie o jego niechęć do Święta Dziękczynienia, wzrusza tylko ramionami i burczy, że akurat mu pasowało, aby wyjechać w tym terminie. Potem wkłada słuchawki, włącza walkmana i otwiera książkę, z czego wnioskuję, że nie jest zainteresowany kontynuowaniem pogawędki. Gdy pociąg wreszcie wjeżdża na dworzec w Cardiff, dochodzę do wniosku, że chyba jestem gotowa się z nim zgodzić. To cudowne znaleźć się w tych dniach poza Los Angeles, gdzie – tysiące kilometrów ode mnie – ludzie, których kiedyś kochałam i nazywałam rodziną, będą nadużywać wina i opychać się suchym jak wiór indykiem i przypalonymi ziemniakami z rozmarynem, przyrządzonymi przez mamę Daniela. Wczoraj, przed wyjazdem, byłam u taty. Powiedziałam mu, że wybieram się na wycieczkę do Wielkiej Brytanii i w związku z tym nie spędzę z nim Święta Dziękczynienia. Czułam się winna, mimo że tata nie wyglądał na przejętego. Wypytywał, dokąd jadę, a ja powiedziałam tylko, że do Londynu, a stamtąd pociągiem do Cardiff, ani słowem nie wspominając o znaczku ani o pani Kleinfelter.

– Pięknie tu – mówię do Benjaminu, kiedy pociąg zwalnia, dojeżdżając do stacji.

Benjamin chrząka, właśnie się obudził. Nie mogę się nadziwić, jak potrafił zasnąć na tym twardym siedzeniu. W samolocie też spał, podczas gdy ja przez cały lot nie zmrużyłam oka.

– Nigdy nie byłaś w Walii? – pyta, prostując się i ziewając.

– Nie. – Kręcę głową. – A ty?

– Ja tak – odpowiada. – Raz, dawno temu. Z żoną.

– Z żoną? – A więc Benjamin ma żonę? Ogarnia mnie dziwne rozczarowanie. Założyłam, że skoro wyjeżdża za granicę akurat w tym terminie, to nikt go nie ma, tak jak ja. Że to nas jakoś łączy. Zarezerwowałam nam hotel (dwa oddzielne pokoje) przez to samo biuro podróży, w którym parę lat temu kupowałam sobie i Danielowi wycieczkę na Hawaje. Postanowiłam, że kursem wymiany funtów na dolary będę się martwić później, jak już przyjdzie rozliczenie karty kredytowej. Nie mieści mi się jednak w głowie, że żona Benjamin mogła się zgodzić na taki wyjazd, nawet mimo oddzielnych pokoi. – Jak to? I wyjeżdżasz na Święto Dziękczynienia? – pytam.

– Moja żona nie żyje – odpowiada Benjamin i natychmiast zasłania ręką usta, jakby sam nie wierzył, że o niej wspomniał. Domyślałam się, że nie miał takiego zamiaru. Trwająca dwa długie dni podróż i chaos w trybie snu i czuwania sprawiły, że powiedział mi coś, o czym w Los Angeles nawet by nie pisał.

– Przepraszam – mówię. Naprawdę jest mi przykro. – Nie wiedziałam.

Pociąg się zatrzymuje. Benjamin wstaje i ściąga z półki nasze walizki.

– Wezmę swoją – proponuję.

– Nie trzeba. – Szybkim krokiem rusza w kierunku przodu pociągu. Jest obładowany bagażami, ale nie wydaje mi się, że to przez czystą uprzejmość. Raczej chce się czymś zająć i uciec przede mną, tak samo jak w zeszłym tygodniu u mnie w domu.

*

Zasypiam po zjedzeniu zamówionego do pokoju posiłku – tradycyjnej walijskiej kiełbasy glamorgan, która jest smaczna, pomijając fakt, że w niczym nie

przypomina żadnej znanej mi kielbasy. Opinia, że brytyjska kuchnia jest obrzydliwa, na razie się nie potwierdza. Albo po prostu ja byłam zbyt głodna.

Śpię dużo lepiej niż w domu od wielu tygodni, a nawet miesięcy. Nie mam żadnych snów i nie budzę się aż do rana, gdy rozlega się stukanie w drzwi i dochodzi zza nich głos Benjamina.

Jest dzień, w pokoju zrobiło się jasno, deszcz stuka o szyby. Wstaję, narzucam szlafrok i otwieram drzwi.

– Która godzina? – pytam. Nie jestem też pewna, jaki jest dziś dzień. Środa? Czwartek?

– Dziesiąta – informuje mnie Benjamin, wchodząc do środka. Niesie dwa styropianowe kubki; podaje mi jeden z nich.

Upijam łyczek, spodziewając się, że to kawa, ale nie – to herbata, mocna i gorzka. Robię minę.

– Myślałem, że już wstałaś – mówi Benjamin. – Nie chciałem cię obudzić. – Jego głos jest łagodny, miły i dobry.

Przypominam sobie, co wczoraj wyznał o swojej żonie. Żał mi go.

– Nie, nie, nic się nie stało. Najwyższa pora. – Odpoczęłam, czuję przyływ energii, by zrobić to, po co tu przyjechaliśmy: dostarczyć list jego adresatce sprzed wielu dziesiątków lat. – Daj mi dziesięć minut. – Odstawiam kubek. – I muszę się napić kawy. Mają tu w ogóle kawę?

Benjamin się śmieje, mówi, że tak, na pewno mają tu kawę, i że spotkamy się w holu na dole. Wygląda inaczej niż wczoraj. Jest bardziej odprężony. Odwraca się i powoli wychodzi z pokoju. Cieszę się: wszystko wskazuje na to, że tym razem chyba ode mnie nie ucieka.

*

Pół godziny później siedzimy w taksówce, która wiezie nas do domu opieki. Kiedy się szykowałam, Benjamin znalazł dla mnie kawę. Piję ją po drodze, chociaż jest gorzka i kwaśna, ohydna. Żałuję, że nie poprzestałam na herbatce.

Dom opieki, w którym przebywa pani Kleinfelter, nazywa się Raintree

i leży nad rzeką Taff, niezbyt daleko od naszego Marriotta, lecz nie na tyle blisko, by iść tam pieszo. Zresztą leje tak, że nawet nie miałabym ochoty na spacer. Moich włosów i tak jest cztery razy więcej niż zwykle, poza tym zapomniałam parasola. Benjamin przygotował się lepiej i użycza mi swojego.

Raintree mieści się w ceglany budynku, liczącym sobie – dałabym za to głowę – co najmniej dwieście lat; wygląda na bardzo stary, poza tym jest za-tęchły, brudny i zaniedbany. W niczym nie przypomina The Willows w Santa Monica. I choć w środku wszystko wydaje się względnie nowe, lśniące i wypucowane, to i tak śmierdzi lizolem, a recepcja tonie w niezdrowym, jaskrawym, zielonkawym świetle, które płynie z brzęczących pod sufitem jarzeniówek.

– Chcielibyśmy zobaczyć się z panią Kleinfelter – zwracam się do dyżuru-jącej pielęgniarki.

– Amerykanie, jak słyszę? – Kobieta spogląda na nas spode łba. Możliwe, że jesteśmy pierwszymi przybyszami zza oceanu, jacy odwiedzają Raintree. W dziejach.

– Tak – odpowiada Benjamin. – Przyjechaliśmy z Kalifornii.

Szturчам go łokciem, żeby siedział cicho. Nieważne, jak złą opinię my, Kalifornijczycy, mamy o brytyjskiej kuchni, oni, Brytyjczycy, mają o nas, „tych z LA”, dziesięć razy gorszą.

– Należycie państwo do rodziny?

Nie jestem pewna, czy nas wpuści, jeżeli powiemy, że nie. Dlatego, zanim Benjamin zdąży zaprzeczyć, szybko potakuję.

– Dalekiej – dodaję.

Pielęgniarka unosi cieniutkie, wyrysowane brązową kredką brwi. Nie jestem pewna, czy to znak zdziwienia czy niedowierzania.

– W takim razie chwali się, że przyjechaliście z tak daleka, chwali – stwierdza po chwili. – Sala numer dwanaście – informuje nas przesadnie z brytyjska, a potem sucho się śmieje. – Najlepszy miejscowy akcent, specjalnie dla gości zza oceanu.

– Jak ona się dziś miewa? Jest w formie? – pytam z niepokojem, a zarazem

nadzieją, że pani Kleinfelter ma się znacznie lepiej niż tata.

Pielęgniarka znowu się śmieje.

– O, tak. W znakomitej. Na pewno tryska energią.

Nie jestem pewna, jak to rozumieć, ale za parę minut sama się przekonam, mamrocze więc tylko pod nosem: „Dziękuję”. Kobieta wskazuje nam kierunek do sali numer 12.

Kiedy idziemy słabo oświetlonym, żółtawym korytarzem, w którym lekko zalatuje moczem, nagle robi mi się żal pani Kleinfelter. Po drodze zaglądam do maleńkich szpitalnych pokoików. Wnętrze tego budynku robi jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż jego widok z zewnątrz.

Zatrzymujemy się przed drzwiami z tabliczką z numerem 12. Są lekko uchylone, ze środka dochodzą dźwięki telewizora. Zaczynam się stresować. Drżącą ręką wyciągam z torby list, który od paru tygodni wszędzie ze sobą noszę. Klej not. A może wcale nie. Albo ona nie będzie nic pamiętać, nawet jeżeli to klejnot.

Benjamin wysuwa się naprzód i lekko stuka.

– Pani Kleinfelter? – pyta cicho.

– Już mówiłam, że nie chcę więcej tych tabletek! – krzyczy ktoś ze środka.

Benjamin popycha drzwi i wchodzi dalej. Podążam za nim, wstrzymując oddech, niezdolna wydusić z siebie choćby słowa. Benjamin dodaje:

– Nie przynieśliśmy żadnych tabletek.

Pani Kleinfelter siedzi na wózku inwalidzkim przy oknie. Lewą nogę ma usztywnioną i nienaturalnie wyciągniętą przed siebie. Jej siwe, delikatne, splecione w warkocz włosy tu i ówdzie przetykane są ciemniejszymi brązowymi plamkami, dającymi wyobrażenie, jak ich właścicielka wyglądała w młodości. Myślałam, że jest dużo starsza, ona tymczasem sprawia wrażenie młodszej od babci. A może nawet od taty.

Pani Kleinfelter przenosi wzrok z Benjamin na mnie i marszczy czoło.

– Nie ta cholerna sala, dzień dobry – mówi.

– Ta, ta. – Wreszcie odzyskuję głos i wysuwam się naprzód. – Dzień dobry. Mam na imię Katie. Nie znamy się, ale jestem w posiadaniu czegoś, co

jak sędzę, miało kiedyś trafić do pani. – Ręce wciąż mi się trzęsą, gdy wyjmuję list z plastikowej koszulki i podaję go jej. – Mój tata przez całe życie zbierał znaczki. Przeglądając jego kolekcję, natknęłam się na to.

Na dźwięk słowa „znaczek” starsza pani lekko się ożywia. Bierze ode mnie kopertę i wskazuje na metalową szafkę przy łóżku.

– Proszę podać mi okulary.

Benjamin spełnia jej prośbę. Pani Kleinfelter wkłada okulary i przysuwa sobie kopertę pod sam nos.

– To pani jest Fräulein Faber, prawda? – pytam z nadzieją, że nie przyjechaliśmy tu na darmo.

Starsza pani opuszcza list na kolana.

– Byłam Fräulein Faber. Kiedyś. – Oddaje mi list i marszczy czoło. – Ale to pomyłka. Ten list nie jest adresowany do mnie, tylko do mojej siostry.

AUSTRIA, 1938

Siostra ciągnęła mnie za rękę. Szliśmy przez las, zostawiając za plecami dom i wszystko, co bliskie i znajome. Obie niosłyśmy niewielkie worki z bagażem. Ona spakowała trochę ubrań i książek, a ja – ubrań i przyborów do rysowania, które zabrałam z pokoju Kristoffa na poddaszu. Nie byłam pewna, czy po moim wyjeździe zauważy, że ich nie ma. Wyobraziłam sobie, jak zdezorientowany przegląda swoje rzeczy i odkrywa, że czegoś mu brakuje, ale czy będzie mnie posądzał? Ba, czy kiedyś w ogóle o mnie pomyśli? Pewnie nie. Byłam tylko małą dziewczynką, która drażniła go swoim bezsensownym gadaniem, jak mówiła mama. „Przestań wreszcie dręczyć Kristoffa tą swoją nieustanną paplaniną” – powtarzała. Miała na myśli tę mysz za ścianą, którą sobie wymyśliłam – tylko po to, żeby Kristoff czasem zajrzał do mojego pokoju i ze mną porozmawiał. No dobrze, miałam trzynaście lat, a on osiemnaście lub dziewiętnaście, ale czy różnica pięciu lat to tak wiele? Tata na przykład był o siedem lat starszy od mamy. Kristoff oczywiście nawet na mnie nie spojrzął, jeżeli Elena była akurat w pokoju.

– Miri, szybciej – popędziła mnie Elena. Śnieg był głęboki, a powietrze chłodne, ale ja chciałam iść powoli, żeby na zawsze wszystko zapamiętać: jak przemakają mi znoszone buty, jak pachną świerki, jak wygląda bladoszare zimowe niebo. Elena mówiła, że jest organizowany Kindertransport, więc pojedziemy pociągiem do Anglii i będziemy tam szczęśliwe i bezpieczne, i że to tylko na jakiś czas. Jednak tego ranka, kiedy wlokła mnie przez śnieg, podejrzewałam, że to wszystko kłamstwa.

– A gdybyśmy tak zostały? – spytałam, gdy dotarliśmy do gospodarstwa Bauerów. Pamiętam, jak przychodziłam tu w dzieciństwie, gdy Herr i Frau Bauerowie jeszcze żyli. Nie mieliśmy żadnych bliskich krewnych, bo rodzina taty wyrzekła się go wiele lat przed moim urodzeniem, kiedy ożenił się z mamą, nie czekając, aż jego starsze siostry pierwsze powychodzą za mąż, a ze strony mamy prawie wszyscy już zmarli. Bauerowie byli dla nas jak ro-

dzina i właśnie z nimi wielokrotnie świętowaliśmy Pesach i Rosz Haszana, aż wreszcie kilka lat temu starsi państwo rozchorowali się i w ciągu kilku miesięcy odeszli, jedno po drugim.

Josef był o kilka lat starszy od Eleny i zawsze dużo od nas obu większy. Gdy byłyśmy małe, lubił nas ganiać wokół zagrody dla kurczaków. Kiedyś przewróciłam się w błoto i zaczęłam płakać, a on – miał wtedy może z dziesięć lat – wymyślił mi przezwisko: *Hampelmann*^[2]. Mama powiedziała, że pani Bauer wyszorowała mu język mydłem za to, że zachował się tak niegrzecznie wobec niewinnej małej dziewczynki. A ja byłam zadowolona, że zesłałam na niego taką karę – na tego niedobrego dużego Josefa.

Teraz Josef był jednak mężczyzną, poważnym i zatroskanym, i wyglądał dokładnie tak samo jak kiedyś jego ojciec. Zawsze marszczył czoło. Teraz też – kiedy stał i czekał na nas przed domem.

– Spóźniłyście się – warknął do Eleny.

Ona jednak nie przeprosiła. Moja siostra za nic nie przeproszała. Nigdy. Zawsze taka była.

– Nadrobimy to w drodze – powiedziała, zadzierając brodę, jakby chciała zrównać się wzrostem z górującym nad nią Josefem.

Nasz sąsiad znał kogoś, kto miał samochód i był skłonny wozić Żydów. Ukrył nas na tylnym siedzeniu i tak przejechałyśmy dwieście kilometrów do Wiednia. Elena powiedziała mi o wszystkim dopiero rankiem tego dnia, kiedy miałyśmy ruszać. Nie pytałam, skąd zna tego pana lub co się z nami stanie, jeśli nas złapią. Nie mogłam przestać myśleć o mamie, którą niemieccy żołnierze wywlekli z domu, podczas gdy ja z Eleną siedziałyśmy w piwniczce pod pracownią. Próbowалам sobie nie wyobrazać, co się z nią stało. Gdzie teraz była. Wiedziałałam jednak, że na pewno nie w Anglii.

Josef sięgnął do kieszeni i podał Elenie kopertę. Domyśliłam się, że to nasze bilety.

– Pamiętaj, masz szesnaście lat – przypomniał jej szorstko. – Biorą tylko dzieci poniżej siedemnastego roku życia, więc gdyby ktoś pytał... – Moja siostra miała prawie osiemnaście lat, była jednak niska i na tyle ładna, że żaden

mężczyzna nie będzie kwestionował jej wieku, tego mogłam być pewna.

Elena wzięła bilety i schowała je do torby, po czym zagoniła mnie na tylne siedzenie obcego samochodu i kazała mi się skulić. Sama też chciała wsiąść, ale Josef złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i przytulił. Była przy nim taka drobna.

– Uważaj na siebie – rozkazał jej, ale nie odpowiedziała. Wyszarpnęła mu się i wsunęła za mną na siedzenie. Próbowałam nie płakać, starałam się być dzielna, tak jak kazałby mi tata, gdyby tu był.

– A gdybyśmy zostały... – zaczęłam znowu, gdy samochód szarpnął do przodu, a my stoczyłyśmy się z siedzenia na podłogę – ...to mogłybyśmy dalej ukrywać się w chatce razem z tatą. – Za wszelką cenę chciałam się wydostać z tego samochodu. Było mi niedobrze i miałam wrażenie, że się pochoruję na żołądek. A Elena by mnie chyba zabiła, gdybym na nią zwymiotowała.

– Miri – odpowiedziała ostro moja siostra. – Musimy to zrobić. Siedź cicho, to bezpiecznie dojedziemy do Wiednia.

*

Ostatnio byłam w Wiedniu, kiedy skończyłam dziesięć lat. Było to latem, rodzice zabrali nas na przedstawienie w operze. Wszyscy mieliśmy na sobie najlepsze stroje. Mama kupiła mi na tę okazję nową sukienkę, co się rzadko zdarzało, ponieważ normalnie musiałam nosić rzeczy po Elenie. Ta nowa sukienka miała koronkową górę i spódnicę w najcudowniejszym odcieniu niebieskiego, jaki w życiu widziałam. Uważałam wtedy, że Wiedeń to najświetniejsze i najpiękniejsze miasto świata.

– Jak się nazywała ta opera? – spytałam Elenę, gdy kierowca wysadził nas na dworcu kolejowym i natychmiast odjechał, włączając się w wielkomięjski ruch.

– Co? – odparła.

Na stacji panował tłok. Tyle tu było dzieci. Elena wspierała się na palce, by rozejrzeć się ponad ich głowami. Większość czekających na pociąg wydawa-

ła się młodsza ode mnie i zdecydowanie gorzej ubrana. Mały chłopiec, na oko ośmio-, dziewięciolatek, trzymał na rękach płaczące niemowlę i patrzył na nie w oszołomieniu, nie wiedząc, jak je uspokoić. „Ciekawe, co się stało z mamą tego malucha – pomyślałam – i czemu ten chłopiec musi się nim opiekować”. Ale na podstawie tego, co już słyszałam i czytałam o Kristallnacht, miałam prawo sądzić, że niemowlak nie miał już mamy, bo została zabita.

Odwróciłam wzrok.

– No, ta opera, którą widziałyśmy, jak byłyśmy w Wiedniu z rodzicami – wyjaśniłam. – Jaki miała tytuł?

– Miri. – Elena sapnęła z irytacją i mocniej ścisnęła mnie za ramię, bojąc się, że mnie zgubi w tym tłumie opuszczonych dzieci, choć byłam już o wiele za duża, by się zgubić. – Czemu ty zawsze musisz mówić o takich głupotach? Próbuję się zorientować, który to nasz pociąg.

– Po prostu szukam w głowie doskonałego wspomnienia – odparłam cicho. Nie byłam pewna, czy mnie usłyszała, bo nie odpowiedziała. A ja rzeczywiście właśnie tego szukałam: jednego pełnego, idealnego wspomnienia naszej rodziny z Wiednia, kiedy miasto było jeszcze cudowną całością, i kiedy my byliśmy całością, i wystrojeni w piękne ubrania słuchaliśmy pięknej muzyki.

– Chodź. – Elena pociągnęła mnie za rękaw i popchnęła do przodu. Przeciśkałam się przez tłum, wpadałam na inne dzieci, młodsze ode mnie i smutniejsze. Zatrzymałyśmy się dopiero na końcu kolejki, w której stali ci, którzy chcieli wsiąść do pociągu.

Ten był już podstawiony. Dzieci posiadające bilety okazywały je umundurowanemu pracownikowi kolei i jedno za drugim wsiadały do wagonu. Niektóre płakały, ale nie miał ich kto przytulić, uspokoić. Elena też ustawiła się w kolejce i wyjęła z torby nasze bilety.

Powoli posuwałyśmy się do przodu. Mimo że było zimno, prawie tak zimno jak w lasach wokół Grotsburga, mnie zrobiło się gorąco. Strużka potu spływała mi spod warkocza na plecy. Rozpięłam trochę palto. Nikt nie zwrócił na to uwagi, nikt mi nie zabronił.

Kiedy wreszcie dotarłyśmy na początek kolejki, Elena wręczyła nasze bile-

ty kolejarzowi, który ledwie rzucił na nie okiem. Nie pytając nas nawet o wiek, zwyczajnie kazał nam wsiadać. Elena znalazła wolne miejsce i głęboko odetchnęła.

– Miri – zwróciła się do mnie, gdy usiadłam. – Chcę, żebyś mi coś obiecała.

Wciąż było mi gorąco, więc rozpięłam do końca płaszcz.

– Niezależnie od tego, co się dalej stanie, co będzie ze mną, ty masz zostać w pociągu, robić to, co ci każą, i jechać do Anglii. Obiecuj mi. – Złapała mnie za ramiona i lekko potrząsnęła.

– Dobrze – odparłam. – Obiecuję. Pojedziemy razem.

Ona nic nie odpowiedziała. Odwróciła się ode mnie tak, żeby na mnie nie patrzeć, i wzięła mnie za rękę, a ja ścisnęłam jej dłoń. Mocno splotłyśmy palce. Kiedy byłam mała i gdzieś razem szłyśmy, mama zawsze kazała Elenie trzymać mnie za rękę. Palce mojej siostry były wtedy dużo dłuższe od moich, ale teraz już nie – zrównały się i wyglądały podobnie. Elena nadal uważała mnie za małą dziewczynkę. Lecz ja już nią nie byłam.

Pociąg drgnął i powoli ruszył ze stacji. Elena puściła moją dłoń.

– Elena... – zaczęłam, ale w głębi duszy już wiedziałam, co ona chce zrobić, co się za chwilę stanie. – Nie! – krzyknęłam rozdzierająco.

Ona jednak się nie odwróciła. Przepchnęła się przez stłoczone dzieci aż do drzwi, którymi wsiadłyśmy.

Mrugnęłam i już jej nie było.

– *Giuditta* – mówi Miriam i pstryka palcami, jakby nagle sobie przypomniała. – Na tym byliśmy w operze, w Wiedniu. – Po jej minie widać, że myślami błądzi gdzieś bardzo daleko. Może na nowo przeżywa tamten wieczór, który stanowił idealną całość, tak jak tego kiedyś pragnęła.

– A więc posłuchała pani Eleny? – pyta Benjamin, przerywając tę chwilę cichego zamyślenia starszej pani.

Lekko go szturcham, ostrzegając, żeby nie wyprowadził jej z równowagi. Nie chcę, żeby przestała opowiadać i kazała nam sobie iść. Pragnę usłyszeć z jej ust resztę tej historii.

– Tak – odpowiada. – Posłuchałam. Przejechałam pociągiem całą Holandię i Belgię. Potem wsiadłam na statek do Harwich. Trafiłam do państwa Winslowów z Bristolu i mieszkałam u nich do końca wojny. Miałam szczęście. W przeciwieństwie do wielu innych.

– A Elena? – pytam i ogarnia mnie strach o siostrę Miriam, właściwą, jak się okazuje, adresatkę listu.

Pani Kleinfelter kręci głową.

– To był ostatni raz, kiedy widziałam moją siostrę. – Ociera oczy. Biedaczka. Jako nastolatka została zmuszona do opuszczenia domu, wysłana do Anglii, porzucona w pociągu. A po tylu latach w jej przygnębiającym pokoiku w domu opieki nagle zjawiamy się my i każemy jej przeżywać to wszystko na nowo.

– Co się później stało z Eleną? – pyta Benjamin. – Co zrobiła?

– Domyślałam się, że wróciła do Grotsburga. Zapewne po to, by walczyć z Niemcami. Tak by powiedziała. – Starsza pani gorzko się śmieje. – Ale tak naprawdę wiem, że wróciła do Kristoffa. Była w nim zakochana. A z miłości człowiek jest zdolny do najgłupszych rzeczy pod słońcem. – Milknie, po czym dodaje: – Kochała go bardziej niż mnie.

– Jestem pewna, że wcale tak nie było – mówię.

Benjamin gapi się w ziemię. Ciekawe, czy myśli o swojej żonie. Mnie i Daniela nigdy nie łączyła miłość, dla której bylibyśmy gotowi postąpić choćby odrobinę głupio. Może tu należy szukać przyczyny naszych kłopotów.

– Pojechałam raz do Austrii. Wiele lat po wojnie. Razem z moim Herbiem. Ale okazało się, że na próżno, bo nic już nie zostało. – Składa ręce na podółku i spuszcza wzrok.

Kiwam głową. Pamiętam różnice między starą mapą a nową, którą pokazała mi babcia.

– Po wojnie długo szukałam rodziny i w końcu dowiedziałam się, że mama zginęła w Mauthausen. Ale tata, Elena, Kristoff, a nawet Josef... Nie udało mi się ustalić, co się z nimi stało. – Wzrusza ramionami. – To dlatego przez te wszystkie lata poszukiwałam znaczków taty. Zawsze myślałam, że jeśli Elena przetrwała, jeżeli gdzieś jest, żyje, to na pewno też będzie szukać jego śladów. I mnie, swojej siostry. Prawda? Ale nikt, żaden filatelista, żaden kolekcjoner znaczków, z którym rozmawiałam, nikt o niej nie słyszał ani nie przypominał sobie, aby taka osoba pytała o znaczki Fabera.

– A to nie jest znaczek wykonany przez pani tatę? – pyta Benjamin, jeszcze raz wręczając jej list. – Jest pani pewna?

– Jestem pewna. Nigdy takiego nie widziałam – mówi starsza pani. – No i został wydany przez Rzeszę, o, tu jest napis: „Deutsches Reich”. Niemożliwe, żeby to tata był jego twórcą. – (To brzmi logicznie: ze względu na swoje żydowskie pochodzenie po zajęciu Austrii przez Hitlera Faber nie mógł dalej pracować). – Może to dzieło Kristoffa – ciągnie. – Ale nie wiem. Za moich czasów dopiero się uczył. Chyba nie poradziłby sobie z takim wyzwaniem.

– To Kristoff nie był Żydem? – pytam.

Pani Kleinfelter kręci głową i sprawia wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

– W głowie się nie mieści, jakie to wszystko musiało być straszne – dodaje.

– Tak, zapewne – mówi. – Ale ja tego tak nie zapamiętałam. Żyło nam się

bardzo dobrze. Byliśmy szczęśliwi. Aż do Kristallnacht. – Przerywa, zagubiona we wspomnieniach. – A po tej strasznej nocy spędziłam już w Austrii tylko parę tygodni. W Anglii żyło mi się dobrze. Państwo Winslowowie, gdyby mogli, nieba by mi uchylili. Sami nie mieli dzieci, a tu proszę, nagle z nieba im spadła nastolatka. Byli dla mnie jak prawdziwi rodzice. I ona, i on. Panie, świeć nad ich duszami. – Śmieje się. – To zabawne, że mnie tu znaleźliście. Akurat tutaj. Czuję się, jakbym tu odbywała pokutę.

– Pokutę? – Unoszę brwi.

– Tyle pieniędzy wydałam, latami skupując znaczki taty. W końcu upadłam, złamałam to piekielne biodro i operacja się nie udała. Lekarz powiedział, że może już nigdy nie będę chodzić. A ponieważ wszystkie oszczędności poszły na znaczki, nie mogliśmy sobie pozwolić na opiekę i rehabilitację w domu. I wylądowałam tutaj. Publiczna służba zdrowia, czego się więcej spodziewać? – mówi szybko, a ja w pierwszej chwili myślę, że zaraz się rozpłaczę. Ale nie, przeciwnie, jest od tego daleka. – Biedny Herbie. Jest załamany. Bo z nas dwojga to ja jestem silniejsza. Jakoś przeżyję. – Śmieje się. – Poza tym nie będę tu przecież siedzieć wiecznie.

Uśmiecham się na myśl o biednym, zgnębnym Herbie i uporze, z jakim jego żona twierdzi, że ten przykry stan jest tylko przejściowy. Dzięki Bogu.

– Zatem proszę. – Miriam oddaje mi list. – Nie mogę go od pani kupić. Po pierwsze, nie mam za co, a po drugie, nie należy do mnie. Nie dla mnie był przeznaczony.

– Ale jest pani pewna? – pyta Benjamin. – Nie chciałaby pani otworzyć i się przekonać? Upewnić? – Wyraźnie się niecierpliwi, nie może się doczekać, by się przekonać, co jest w liście, tak jak i ja od wielu tygodni. Nie mieści mi się jednak w głowie, że rzeczywiście zaproponował jej otworenie listu. Przecież do tej pory twierdził, że źle by to wpłynęło na wartość znaczka. Patrzę na niego z ukosa.

– Och tak, jestem pewna – odpowiada Miriam. – List nie należy do mnie. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku nikt w Grotzburgu nie napisałby do mnie listu miłosnego. – Przerywa na chwilę. – Szarotka to symbol miłości. Dowód niezwykłej odwagi, jak mawiał mój ojciec. Tak się wy-

znawało dziewczynie miłość. Szło się na najniebezpieczniejszy szczyt, by zerwać ten kwiatek i wręczyć go swojej ukochanej. – Wzdycha. – A jedyną Fräulein Faber, jaką w ogóle zauważał i kochał Kristoff Mueller, była moja siostra.

*

W drodze powrotnej do hotelu oboje z Benjaminem milczymy. Zanim wyszliśmy z domu opieki, Miriam wymogła na nas obietnicę, że damy jej znać, jeżeli będziemy mieli więcej szczęścia w poszukiwaniu informacji o Elenie i pozostałych członkach jej rodziny. Zostawiłam jej swoją wizytówkę i zapewniłam, że będę z nią w kontakcie, ale w głębi duszy mam przeczucie, że Elena od dawna nie żyje. A my przejechaliśmy taki kawał drogi tylko po to, by zamiast intrygującej opowieści z czasów wojny poznać zwariowaną starszą panią ze złamanym biodrem, zadłużoną w wyniku uporczywej gonitwy za przeszłością. Dobrze, że przynajmniej ma Herbiego. Ja w jej wieku będę sama jak palec.

– Jesteś głodna? – pyta Benjamin, gdy wysiadamy z taksówki przed hotelem. Deszcz trochę zelżał i przeszedł w mżawkę. Taką, że nie trzeba się chować pod parasol, a równocześnie taką, od której moje włosy zwiększają objętość. Trochę przyglądam grzywkę, ale efekt jest żaden. Nie jestem głodna, nie mam jednak ochoty wracać do pokoju, więc kiwam głową. Chyba wszystkie przejawy samotnego życia, które pojawiły się po odejściu Daniela – robienie jednej kawy, nalewanie wina do jednego kieliszka czy spanie w pojedynkę w wielkim, podwójnym łóżku – bledną przy samotnym wracaniu do hotelowego pokoju.

Zamiast wracać, idziemy więc za róg, znajdujemy małą knajpkę, wchodzimy i siadamy. Benjamin zamawia tradycyjny miejscowy przysmak o nazwie walijski królik, a ja, obawiając się królika, zostaję przy sprawdzonej już kiełbasie glamorgan.

– Ale wiesz, że to nie jest prawdziwa kiełbasa? – pyta Benjamin, gdy kelnerka odchodzi po przyjęciu zamówienia.

Nic nie mówię, nie chcę się przyznać, że nie wiedziałam.

– To są pory – wyjaśnia. – Z serem.

– Nieważne, wczoraj zamówiłam sobie to do pokoju i było pyszne.

Benjamin wydaje się szczerze zdziwiony, że komuś mogą smakować pory udające kielbasę, a ja jestem ciekawa, czy dziś, kiedy nie umieram z głodu, nie zmienię o nich zdania. Ale nie, nie zmieniam.

„Królik” Benjamina też wygląda nieźle, zwłaszcza kiedy już się dowiaduję, że to coś w rodzaju grzanki z serem. Cokolwiek myślałam o brytyjskiej kuchni, było nieprawdą. Gdzie te kiełbaski zapiekane z purée ziemniaczanym? A czerstwe pieczywo i ciemne piwo? Walia sprawia wrażenie pięknego, odrębnego świata. Żałuję, że nie jestem tu na wakacjach, na przykład z Danielem. „Nie, nie myśl o nim!” – nakazuję sobie stanowczo. Niedługo będzie szedł, beze mnie, obsadzoną bugenwillą ścieżką do domu swojej matki, wejdzie na teren jej pięknej posiadłości w Hidden Hills, usiądzie przy wielkim stole w jadalni, w otoczeniu swoich kuzynów, ciotek i wujów...

„Dość” – ganię się w duchu. Chcę wymazać z głowy obraz Daniela. I dawnych Świąt Dziękczynienia. Podnoszę do ust herbatę, podaną w delikatnej porcelanowej filiżance w kwiatki, mimo że knajpka, w której siedzimy, nie należy do wykwintnych.

– Wesołego Święta Dziękczynienia – mówię do Benjamina. Bo przecież to nasz świąteczny posiłek. Grzanka z serem, kiełbasa z pora, a do tego herbata.

Benjamin mnie ignoruje, nie przerywa jedzenia. Wielokrotnie powtarzał, że nie cierpi tego dnia. Właśnie dlatego zdecydował się na wyjazd akurat w tym terminie. Czuję się jak idiotka.

– Przepraszam – mówię. – Zmiana. Może: wesołego deszczowego dnia w Cardiff?

– Czyli dnia jak co dzień. – Benjamin lekko się uśmiecha i podnosi filiżankę, by stuknąć nią o moją.

– Przykro mi, że straciłeś na to swoje mile – mówię, gdy oboje upijamy kilka kolejnych łyków herbaty.

– Rezygnujesz? – Benjamin zjada ostatni kęs grzanki i wyciera ręce

w cienką papierową serwetkę, którą wyciąga z podajnika na brzegu stołu. – Poszukiwania zakończone? Poddajesz się?

Kręcę głową.

– Biedna Miriam nie wie, co się stało z jej siostrą. Nie mogę się poddać. Tylko na razie nie mam pomysłu co dalej.

Elena dopilnowała, by Miriam znalazła się w bezpiecznym miejscu, a potem wyskoczyła z pociągu, narażając własne życie. Ja za nic bym się na to nie zdobyła. Nie skoczyłabym, gdyby ziemia uciekała mi spod nóg. Poddałabym się panice. Bałabym się Niemców, którzy zagrażaliby mojemu domowi. Z opisu Miri wynika jednak, że w najmniejszym stopniu nie przypominam Eleny. Ona była nieustraszona, piękna i niepokorna. Co się z nią zatem stało? Wróciła do Grotsburga, do chłopaka, którego kochała, a który terminował u jej ojca? Czy została pojmana, zanim dotarła do domu?

*

Dzielimy się rachunkiem po połowie i w milczeniu wracamy do hotelu. Już nie pada, prawie wyszło słońce. W holu Benjamin rzuca mi zdawkowe pożegnanie i czmycha. Znowu ucieka. A w drodze powrotnej był jeszcze bardziej pogrążony w myślach niż zwykle. Cieszę się, że sobie poszedł.

Sama nie mam jeszcze ochoty wracać na górę. Postanawiam wyjść i trochę pozwiedzać Cardiff, skoro już tu jestem. Czy naprawdę, żeby obejrzeć nowe miasto, potrzebny mi jest Daniel lub ktokolwiek inny?

Kluczę uliczkami i całą sobą chłonę piękną, bujną zieleń, wilgoć, zapachy ziemi. Docieram do porośniętych bluszczem zabudowań uniwersytetu. Potem, wracając, kieruję się w stronę ogromnego, otoczonego murem zamku, który przyczał się na porośniętym trawą wzgórzu. Wspinam się na nie po wielu dziesiątkach stopni.

Spaceruję już bardzo długo. Sycę się gęstym od wilgoci powietrzem, które mnie otacza, cichym stukaniem własnych kroków o bruk, ciężarem swojej samotności. Chodzę tak i chodzę, aż zaczynają mnie piec obtarte stopy. Do hotelu wracam dopiero o zmroku.

AUSTRIA, 1938

Kristoff wpatrywał się w płomyki świec szabatowych pani Faber, drżące nad stołem w jadalni. Dwa małe, chwiejne światełka. To wszystko. Zdawał sobie sprawę, że gdyby Herr Bergmann pojawił się właśnie teraz, z miejsca by go zabił lub aresztował. Mimo to na głos, zdecydowanym tonem, odmawiał modlitwę: *Baruch, Ata, Adonaj, Elohejnu, Melech ha-Olam...*

– Źle wymawiasz. – W ciemności rozległ się cichy głos.

Kristoff odruchowo pomyślał, że to tylko jego wyobraźnia. Odmawiał więc modlitwę dalej, aż skończyła się słowami *szel Szabat*.

– Nie „mi-laik”, tylko „melik”. – Tym razem głos był silniejszy.

– Elena? – wyszeptał w obawie, że jeżeli wypowie jej imię donośniej, wytwór jego wyobraźni, duch, zniknie. Bo to przecież niemożliwe, żeby ona tu była. Odjechała razem z Miri pociągiem z Wiednia. Tydzień temu.

Usłyszał szuranie przesuwanego krzesła i spod stołu wygramoliła się dziewczyna.

– Słyszałam, że ktoś wchodzi do domu, ale nie byłam pewna kto to, dopóki nie zaczęłaś kaleczyć naszej modlitwy. – Podniosła się, wykonała trzykrotny ruch dłońmi nad świecami i sama szybko wyszeptała modlitwę, po czym odwróciła się do Kristoffa i z uniesionymi brwiami zapytała:

– Hm... o co chodzi? Zostałaś żydem?

– Elena? – Kristoff powtórzył jej imię nieco głośniej i wyciągnął rękę, by jej dotknąć. Dopiero gdy położył dłoń na jej policzku, przekonał się, że to naprawdę ona. Jej skóra była równie miękka i prawie tak samo zimna jak tamtego dnia w lesie, gdy ją pocałował. Na samo wspomnienie poczuł gorąco na wargach. – Skąd się tu wzięłaś? – spytał. – Przecież nie może cię tu być. – Przesunął dłoń z jej policzka na ramię; tak się cieszył, że jej dotyka, że czuje jej bliskość, ale z drugiej strony tak bardzo się o nią bał. – Powinnaś już być w Anglii.

– Wsadziłam Miri do pociągu. Będzie bezpieczna.

– A co z tobą?

– Już ci mówiłam. Wszystko mi jedno, co się ze mną stanie. – Odsunęła się od niego, by nie czuć ciepła jego ręki, które oznaczało, że jemu nie jest wszystko jedno, więc jej też nie powinno. – Ktoś musi walczyć, Kristoff. Jeżeli wszyscy uciekniemy, to kto się im sprzeciwi?

– Ja – odparł, choć nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to jak kłamstwo. Co sobie Elena pomyśli o szkicach, które przygotował na zlecenie Herr Bergmanna?

– Ale ja nie chcę uciekać – oświadczyła Elena. – Tu jest mój dom. – Kiedy wymawiała to ostatnie słowo, głos jej drgnął, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że miejsce, w którym spędziła całe życie, a Kristoff najlepszy rok swojego, już nigdy nie będzie prawdziwym domem. Frederick ukrywał się w nędznej norze, Miri była w drodze do Anglii, a pani Faber przepadła.

– Podobno ma być drugi transport dzieci – powiedział Kristoff. – Wtedy pojedziesz. Sam cię odwiozę do Wiednia.

Dziewczyna zaśmiała się i skrzyżowała ręce na piersiach. Zrobi, co jej się podoba, jak zawsze zresztą. Odwróciła się i ruszyła w stronę kuchennego wyjścia.

– Elena, czekaj! – zawołał za nią.

Przystanęła.

– Dokąd idziesz?

Zamiast odpowiedzieć, poszła dalej.

– Niemcy tu byli – powiedział. – I wrócą. Mam dla nich projektować nowe austriackie znaczki.

– Niemcy – prychnęła pogardliwie dziewczyna. – Szkoda, że cię teraz nie widzą przy tych twoich szabatowych świecach. – Wyszła i trzasnęła za sobą drzwiami.

Jej słowa zapiekły Kristoffa do żywego. Wywołały nowy rodzaj fizycznego bólu, jakiego dotąd nie znał. Chwilę trwało, zanim doszedł do siebie. Chwytał latarnię, zapalił ją od jednej ze świec, po czym zdmuchnął obie – tę,

którą trzymał, i tę, która została na stole (choć wiedział, że tak się nie robi). Pomachał ręką, by rozwiać dym i upewnić się, że świece zgasły, wziął latarnię i wybiegł za Eleną.

Na początku jej ślady na śniegu były bardzo wyraźne. Idąc za nimi, minął skręt do chatki Fredericka i zagłębiał się coraz bardziej w las. Potem stracił je z oczu – padający śnieg zasypywał każde zagłębienie – ale był już pewien, że dziewczyna nie poszła od razu do ojca, tylko postanowiła najpierw odwiedzić Josefa. A przynajmniej taką miał nadzieję. Liczył też na to, że nie będzie na tyle głupia i zbuntowana, by udać się do miasteczka.

Dotarłszy na skraj gospodarstwa Bauerów, stwierdził, że w domu palą się światła. Przez szybę widział barczystą postać Josefa, nachylającego się, by objąć Elenę, więc zdeglustowany i zażenowany odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do domu.

Położył się do łóżka, lecz nie mógł zasnąć. Nasłuchiwał, czy nie trzasną drzwi od podwórza, czy nie skrzypnie podłoga, ale nic takiego się nie stało. Panowała cisza. Zmęczony czuwaniem, w końcu zapadł w sen.

Obudził się jakiś czas później. Było całkiem ciemno, środek nocy. Elena jednak wróciła – wyczuwał jej obecność. Łóżko ugięło się pod jej ciężarem, gdy położyła się obok niego. I to tak blisko, że owiewała mu ucho swoim ciepłym oddechem. A więc naprawdę tu była. Bał się cokolwiek powiedzieć, bał się nawet drgnąć. Elena leżała w jego łóżku.

– Mogę tu spać? Tylko dziś? – spytała.

– Tak – odparł chrapliwym, ledwie słyszalnym szeptem.

Jej ciało ciężko zapadło się w materac, a potem podsunęło się w jego stronę. Kristoff wyciągnął rękę, objął drobne ramiona dziewczyny i przyciągnął ją do siebie, a ona oparła mu głowę na piersi. Ciepły policzek spoczywał dokładnie nad jego sercem. Kiedy zasnęła, jej mięśnie zwiotczały, a oddech się wyrównał. Kristoff nadal trzymał ją w ramionach. Wiedział, że już nigdy jej nie puści. Obiecał to sobie.

*

Rano, gdy się obudził, był sam, a przez okno wlewało się słońce. Czy to, że Elena z nim spała, tylko mu się śniło? Czy przyciągnął ją tu siłą swojej wyobraźni i pragnienia? Nadal jednak czuł na piersi ciężar jej głowy, a w powietrzu – lekki zapach brzoskwiń, którymi pachniały jej włosy. Nie, to nie było urojenie.

Ubrał się i poszedł do pracowni. Zastał tam Elenę – siedziała przy stole i przeglądała szkice przygotowane dla Herr Bergmanna, którego wizyty Kristoff spodziewał się w każdej chwili.

– Są świetne – odezwała się, słowem nie komentując ani jego przybycia, ani wydarzeń ostatniej nocy. Zresztą wcale nie musiała. Kristoff cieszył się, że do niego przyszła, mimo że teraz czuł się przy niej trochę skrępowany. – Ale uważasz, że dasz radę je wygrawerować? Te wszystkie szczegóły... – Elena delikatnie powiodła palcem po finezyjnych detalach, małych okienkach i zgrabnych łukach gmachu Opery Wiedeńskiej, który Kristoff odtworzył z pamięci.

– Nie wiem. – Szczerze mówiąc, nie był przekonany, czy poradzi sobie z przeniesieniem swoich szkiców na metal. Tym się jednak na razie nie martwił. Póki co interesowały go tylko te szkice. I Herr Bergmann: czy wróci i czy rysunki spodobają mu się na tyle, by uznał Kristoffa za dobrego rzemieślnika i pozwolił mu zatrzymać dom oraz pracownię, a w przyszłości zlecał projektowanie kolejnych znaczków pocztowych. Obiecał wszak Frederickowi, że dopilnuje obejścia, a wszystko wskazywało na to, że jedynym sposobem, aby dotrzymać danego słowa, jest pójść na współpracę z Niemcami. – Będę musiał – dodał.

– Hmmm – mruknęła i zamknęła szkicownik. – Wieczorem zastanawialiśmy się z Josefem, jak wywieźć stąd ojca – powiedziała rzeczowo, jakby załatwiała interesy. Wszelkie emocje, które towarzyszyły jej w jego pokoju, zanurzonym w ciemności nocy, najwyraźniej pierzchły ze światłem poranka.

Kristoff skinął głową. Ciekawe, jak na widok dziewczyny poczuł się Josef. I Frederick. Bał się rozmów, które będzie musiał z nimi później przeprowadzić. Zwłaszcza tej z Josefem, który na pewno obarczy go winą za powrót Eleny.

– Chcę go wysłać do Ameryki, do znajomego.

– Do Ameryki? Nie do Anglii, do Miri?

– W Anglii nie miałby gdzie się podziać. Poza tym pociągi z Wiednia zabierają tylko dzieci. A w Ameryce ma znajomego. Miri może potem do niego dojechać, kiedy już ojciec się urządzi. I mama... też, kiedyś. – Zamilkła, a Kristoff dopiero teraz zrozumiał, że to był prawdziwy powód, dla którego Elena zdecydowała się wrócić do domu. Wysłała już Miri w bezpieczne miejsce, a teraz chce zadbać o rodziców. – Chcę mu wyrobić papiery. Wizę wyjazdową na nowe nazwisko. Nie może być Żydem.

– Czyli fałszowanie dokumentów – stwierdził Kristoff.

Wiedział już, w jaki sposób Josef i Elena zamierzali wykorzystać narzędzia grawerskie Fredericka. Ostatnim razem, gdy dziewczyna wspomniała o ich planach, wydały mu się one odległe i mało konkretne. Teraz nagle stały się rzeczywiste, niebezpieczne i w dodatku dotyczyły go bezpośrednio. Kristoff poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Nie było jednak innego sposobu, by pomóc Frederickowi. Niemcy sądzili, że grawer nie żyje, a nawet gdyby było inaczej, jako Żydowi i tak nie wolno było mu opuścić kraju, chyba że zapłaciliby wysoki podatek na rzecz Rzeszy. Frederick nie mógłby sobie na to pozwolić, zwłaszcza w perspektywie długiej i kosztownej podróży do Ameryki.

– Zabiją nas, jeśli nas złapią – dodał.

– A mój ojciec umrze, jeżeli jeszcze trochę posiedzi w tej chacie – wypaliła Elena bez zastanowienia. – Potrzebuje lekarza, to po pierwsze. W sprawie ręki. A po drugie, brakuje mu normalnego jedzenia. I świeżego powietrza.

Miała rację. Kristoff nie wiedział, jak długo jeszcze Frederick wytrzyma bez wychodzenia z kryjówki. A skoro Elena zostawiła Miri samą w pociągu i wróciła tu, by walczyć, on tym bardziej nie mógł stchórzyć.

– Jeżeli uda wam się zdobyć oryginalne papiery pozwalające na wyjazd, skopiuję je. Damy tylko inne nazwisko – powiedział.

Elena uśmiechnęła się do niego, lekko zadzierając brodę.

– A ja przygotuję matrycę.

Kristoff przypomniał sobie, jak Frederick kiedyś nieświadomie skrytykował umiejętności córki, będąc przekonany, że trzyma w rękach dzieło swojego ucznia. Niedokładna, zbyt pospieszna, niedbała robota. Ale niewprawne oko niczego nie zauważy. Zresztą Elena na pewno zrobi to lepiej niż on.

– Tylko jak je wydrukujemy? – spytał.

Frederick zawoził gotowe matryce do Wiednia, do drukarni Herr Schweitzera, ale to oczywiście nie wchodziło w grę. Poza tym nie wiedzieli, czy drukarnia nadal działa. A nawet jeżeli działa, to przecież Herr Schweitzer na pewno już jej nie prowadzi.

– Josef ma znajomego, który jest skłonny nam pomóc – oświadczyła Elena.

No jasne. Josef ma gotowe rozwiązania na wszystko. Kristoff próbował zdusić w sobie złość. Przeniósł wzrok na Elenę. Jej rysy złagodniały – podobnie jak w nocy, gdy spała z głową złożoną na jego piersi.

– Dla ciebie też sfalszujemy papiery – oświadczył. – Wiem, że chcesz zostać i walczyć, ale ty też powinnaś wyjechać. Nie pozwolę ci zginąć.

Dziewczyna patrzyła na niego z kamienną twarzą.

– Nie pozwolę – powtórzył.

WALIA, 1989

Wracając do hotelu, omal nie mijam Benjamina, który siedzi przy barze w głównym holu. On jednak dostrzega mnie i woła:

– Kate! Halo, tutaj!

Dziwne, że nagle mówi do mnie „Kate” – nikt z wyjątkiem taty tak się do mnie nie zwraca. Macha do mnie, więc wlokę się w jego stronę na obolałych nogach.

Siedzi nad kuflem ciemnego piwa, nie pierwszym, jak się domyślam, widząc jego rumiane policzki. Może to wyjaśnia ten dziwny, poufaly ton, jakim się do mnie zwraca.

– Napijiesz się ze mną? – proponuje i gestem zaprasza, żebym się przysiadła.

Siadam i zamawiam białe wino.

– Wino? W Walii? – śmieje się.

– Nie przepadam za piwem – odpowiadam i powoli upijam łyk wina.

– To tak jak ja. – Benjamin unosi kufel. – Ale w Walii robię wyjątek. – Znowu się śmieje.

– Ile już wypijeś? – pytam.

Benjamin nie odpowiada. Zresztą to nie moja sprawa.

– Szukałem cię w pokoju – mówi za to. – Ale cię nie było.

– Postanowiłam trochę pozwiedzać. – Opowiadam mu o pięknym zamku, setkach schodów i starych murach obronnych.

– Wiesz, czym powinnaś się zająć? – mówi ciut niewyraźnie, odrobinę bełkotliwie. – Pisanie przewodników turystycznych.

– Co takiego? – parskam śmiechem i upijam kolejny łyżeczek.

– No, przecież zajmujesz się pisanem, tak? Zamiast recenzji filmowych mogłabyś tworzyć przewodniki.

Nie mam pojęcia, skąd Benjamin wie, że zajmuję się pisaniem (przeprowadził śledztwo?) i że koniecznie muszę znaleźć nową pracę. Może nie wie. Może po prostu za dużo wypił.

– Nieważne – kwituję. – Mówiłeś, że mnie szukałeś?

– Tak sobie myślałem... Ten uczeń Fabera. Kristoff. Nigdy dotąd o nim nie słyszałem.

– I?

– Załóżmy, że to on wykonał nasz znaczek. Może projektował też inne dla Trzeciej Rzeszy.

Wzruszam ramionami. Nadal nie wiem, do czego zmierza.

– Miriam twierdzi, że to on jest autorem listu i być może twórcą znaczka. Że jej siostra dla niego wróciła do domu. I że nie był Żydem. Może zaprojektował więcej znaczków. A nawet przeżył wojnę? – Benjamin milknie i dopija piwo. – Możliwe, że szukaliśmy niewłaściwej osoby. Może nie powinniśmy się koncentrować na Elenie, Fräulein Faber, tylko na Kristoffie?

– Więc mile lotnicze nie poszły na marne? – No tak, gdyby nie wizyta u Miriam, nie dowiedzielibyśmy się o istnieniu Kristoffa.

Benjamin mówi dalej:

– Znam jednego profesora z Oksfordu, specjalistę od historii drugiej wojny światowej.

– Oksford? To daleko?

– Nie. Jedzie się pociągiem.

– Możemy się z nim umówić? I zapytać go o Kristoffa i nasz list? – Słyszę swój własny, podekscytowany głos. Oczywiście się przejęzyczyłam: list wcale nie jest nasz. Jest mój, to znaczy mojego taty, a właściwie Eleny, a nawet nie, należy do Kristoffa. Z całą pewnością jednak nie jest nasz, mój i Benjamina.

On nie zwraca na to uwagi.

– Tak – mówi. – Zadzwoń do niego, zanim zszedłem na dół. Możemy jechać jutro, jeżeli chcesz.

Kiwam głową. Chcę. Benjamin gestem dłoni przyzywa kelnerkę i zamawia kolejnego double dragona. Po włączędze po mieście umieram z głodu, proszę więc o „walijskiego królika”.

Siedzimy chwilę w milczeniu, ale kiedy kelnerka wraca z jedzeniem, pytam Benjamina, czy był kiedyś w Oksfordzie.

Z początku nie odpowiada, a ja nadgryzam grzanekę. Jestem tak głodna, że najchętniej wciągnęłabym tłusty ser i zrumieniony chleb w całości. A więc żadnego indyka ani ciasta dyniowego, zamiast tego pyszna gorąca kanapka, a Święto Dziękczynienia – oraz moja codzienność – gdzieś hen, daleko. Siedzę w niewyszukanym hotelowym barze w Cardiff i tylko to dzieje się naprawdę.

– Tak – odpowiada w końcu Benjamin. – Byłem w Oksfordzie.

– Z żoną? – dociekam ostrożnie, acz odważnie, widząc, że nie zamierza więcej wyjaśniać.

– Byłaś kiedyś mężatką? – pyta.

Chwilę się waham.

– Jestem w trakcie rozwodu – wyznaję wreszcie. Po raz pierwszy wypowiadam to na głos. Lekko się przy tym krzywię.

– Przykro mi. – Brzmi, jakby naprawdę było mu przykro. – Co się stało?

– Nie wiem. Chciałabym umieć wskazać konkretny dzień, godzinę i kłótnię i stwierdzić, że to wtedy nastąpił koniec naszego małżeństwa. Ale my się prawie nie kłóciliśmy. Stan taty się pogarszał, coraz częściej do niego jeździłam, opiekowałam się nim. Chyba po prostu oddaliliśmy się od siebie z mężem. A potem on mnie zostawił. Szczerze? Naprawdę nie umiem tego wyjaśnić.

– Samo życie, nie? Błahostki, których nie da się wytłumaczyć. – Napoczy na nowe piwo. – W tym tygodniu miną dwa lata... od śmierci Sary i Davisa. – Benjamin krzywi się, wymieniając imiona.

Chcę wiedzieć więcej, zrozumieć siedzącego naprzeciwko mnie mężczyznę, który od paru tygodniu obdarza mnie wyłącznie swoją życzliwością. Z drugiej strony nie mogę być natrętna i wypytywać go o szczegóły, którymi

on nie ma ochoty się dzielić. Poprzestaję więc na stwierdzeniu, że bardzo mi przykro. Wyciągam rękę nad stolikiem i kładę ją na jego ramieniu.

– To dlatego nie znosisz Święta Dziękczynienia? – pytam.

Żałuję, że nie poszedł ze mną do miasta, nie wspiął się po kamiennych schodach do zamkowej warowni, nie wciągał powietrza przesyconego tysiącletnią wilgocią, która zawładnęłaby jego zmysłami, tak jak zawładnęła moimi.

– To straszne święto. Każdy ma rodzinę, coś, za co można dziękować. A ja... wspomnienie śmiertelnego wypadku na czterysta piątce. – Wzdycha i dopija piwo, teraz sprawia jednak wrażenie trzeźwego, dziwnie znużonego. – Sara je, kurwa, uwielbiała. Najbardziej z całego roku. – Ostre przekleństwo kłóci się z łagodnym tonem jego głosu.

Próbuję go sobie wyobrazić u boku żony, energicznej, mocno kochającej życie kobiety. Może wtedy, dwa lata temu, był zupełnie innym człowiekiem. Żywiołowym, otwartym, także lubiącym Święto Dziękczynienia.

– A Davis? – pytam niepewnie.

W pierwszej chwili nie odpowiada. Boję się, że posunęłam się za daleko. Ale jednak nie.

– Mój syn – mówi w końcu. – To było zderzenie czołowe. Ktoś prowadził po pijanemu, jechał pod prąd. Śmierć na miejscu. Davis za miesiąc skończyłby trzy lata.

Te słowa ranią mnie do żywego. Potworna krzywda.

Dwa lata temu Benjamin był czyimś mężem i ojcem. Kimś więcej niż dziwak, którego świat ogranicza się do znaczków i podróży na konferencje filatelistyczne, dzięki którym ma tysiące darmowych mil do wylatania. Był częścią rodziny. I nagle przestał.

– To okropne – mówię po chwili milczenia. – Naprawdę, bardzo, bardzo mi przykro.

– Taa – wzdycha. – Mnie też. – Podnosi rękę, chce zamówić kolejne piwo, ale zmienia zdanie i odpycha pusty kufel na środek blatu. – Zwykle o tym nie gadam. Nie wiem, co mnie naszło.

– Rozmawialiśmy o Oksfordzie – przypominam mu delikatnie. – Że byłeś tam z Sarą. – Ciekawe, czy zawsze zajmował się znaczkami, czy znalazł sobie takie hobby dopiero podczas żałoby, a ono z czasem zmieniło się w biznes.

Benjamin kiwa głową.

– Sara tam studiowała, kiedyś, zanim ją poznałem. Raz wybraliśmy się z wizytą. Jeszcze przed urodzeniem Davisa. Wtedy poznałem doktora Grimesa.

Hm, więc to dlatego Benjamin ma ochotę jechać do Oksfordu? A cała ta podróż to nie żadna wyprawa poszukiwawcza ani ucieczka przed Świętem Dziękczynienia, i nie chodzi w niej o mój znaczek, tylko o powrót do przeszłości? Do wspomnień o kobiecie, którą kiedyś kochał?

Dopijam wino i też odsuwam kieliszek na środek blatu.

– Idę się położyć – mówię. – Jeżeli mamy rano jechać, trzeba wcześniej wstać.

– Racja – zgadza się Benjamin, ale żadne z nas nie rusza się z miejsca. On wygląda na takiego smutnego. Chcę go jakoś pocieszyć, coś powiedzieć, ale nie mam pojęcia co. W końcu Benjamin wstaje; ja też się podnoszę.

Idziemy do windy. Na trzecim piętrze – moim – Benjamin przytrzymuje ręką drzwi, żeby się za mną nie zasunęły.

– Mogę wpaść do ciebie? – pyta gwałtownie, szybko. – Obejrzelibyśmy jakiś film, pograli w karty albo... coś? Po prostu nie chcę być sam. – Stoi ze wzrokiem wbitym w swoje znoszone adidas.

– Jasne – słyszę swoją odpowiedź, zanim zdążam ją w ogóle przemyśleć.

Benjamin puszcza drzwi i wysiada z windy, a potem rusza za mną do pokoju.

Gdy idziemy korytarzem, tłumaczę sobie w myślach, że nie chodzi mu o seks. Czuje się tylko samotny i po prostu nie chce być sam. Przez cały tydzień nawiedzały go duchy zmarłej żony i syna, mimo że uciekł tak daleko od domu. Smutek, jaki przeżywa ten człowiek, musi mu zadawać nieustanny ból.

W pokoju jest ciemno. Pod moją nieobecność była tu pokojówka. Kiedy włączam światło, widzę, że łóżko zostało zasłane, a rozrzucone po podłodze ubrania – zebrane i równo poukładane na walizce.

Rozglądam się i dopiero teraz stwierdzam, że prócz łóżka i podłogi nie ma tu na czym usiąść. Benjamin wybiera łóżko, a ja podchodzę do telewizora, żeby go włączyć i jednocześnie jeszcze trochę odwlec krępującą sytuację. Benjamin bierze z szafki nocnej pilota i zaczyna przerzucać kanały. W końcu zatrzymuje się na BBC. Reporter z Berlina Zachodniego mówi o *Mauer-spechte*, tak zwanych ściennych dzięciołach – mieszkańcach NRD uwolnionych z żelaznej kurtyny, którzy niczym dzięcioły kują w mur, rozbijając go kawałek po kawałku. Operator kieruje kamerę na kobietę w zielonej kurtce przeciwdeszczowej, walącą kilofem w betonową ścianę.

Strasznie bolą mnie nogi. Chcę zdjąć adidas i unieść stopy. Sadowię się na przeciwległym krańcu łóżka, najdalej jak to możliwe od Benjamin, żeby przypadkiem nie szturchnąć go łokciem lub nie trącić ręką.

– Mur runął – mówi mój towarzysz – ale nadal stoi.

Kobieta, której zbliżenie pokazuje kamera, to drobna blondynka, a kurtka jest na nią o wiele za duża. Bierze zamach i uderza kilofem, a małe kawałki odpryskują od muru i zmieniają się w pył. Dziennikarz pyta ją, czemu tak zapalczywie wali w beton, a ona odpowiada, oczywiście po niemiecku. Tłumaczenie ukazuje się na ekranie: „Bo ta ściana odgradzała mnie od rodziny”.

Gdyby tę relację transmitowała jakaś amerykańska stacja, babcia z radością patrzyłaby na kruchą istotę, z mozołem rozbijającą mur, który przez długi czas ograniczał ją i izolował, by wreszcie połączyć się z rodziną.

– Co za piękna scena – mówię.

Benjamin nie odpowiada, ale jego ręka powoli, powolutku przesuwają się po łóżku i sięga po moją, a ja ją chwytam. Splatamy palce. Jego dłoń jest dwa razy większa od mojej, ale ściskam ją i jesteśmy połączeni. Pasujemy do siebie jak dwa elementy układanki. Odwracam lekko głowę, lecz on ma zamknięte oczy. Przymykam powieki i zasypiamy, trzymając się za ręce.

AUSTRIA, 1939

Herr Bergmann wrócił zaraz po Nowym Roku. Przybył tak niespodziewanie, że Elena ledwie zdążyła się schować do skrytki pod podłogą pracowni. Niemiec wszedł bez pukania, jakby stary warsztat Fredericka naprawdę należał teraz do Rzeszy. „Może i należy” – pomyślał Kristoff.

Kristoff nie miał czasu ukryć prawie już ukończonych przez Elenę stalowych płytek, które miały posłużyć do wydrukowania fałszywych dokumentów dla jej ojca. A raczej dla niejakiego Herr Charlesa Darnaya, mężczyzny wyznania katolickiego, który przez przypadek nosił to samo nazwisko, co jeden z ulubionych bohaterów Dickensowskich Eleny.

– Skoro ma być nowe, to równie dobrze może nieść jakieś znaczenie – oświadczyła, gdy wybierali nazwisko dla jej ojca. – Charles to ten, który ocalał w *Opowieści o dwóch miastach*, tak samo jak tata, gdy dostanie nowe papiery.

Teraz Kristoff modlił się, by Niemiec nie zauważył płytek i nie zaczął się im przyglądać.

– Mam nadzieję, że miałeś dość czasu, by przygotować szkice dla Führera? – spytał ostro Herr Bergmann.

Kristoff nie miał pojęcia, co się stanie, jeżeli jego rysunki nie spodobają się ministrowi lub samemu Hitlerowi. Lub jeżeli ten pierwszy usłyszy stłumiony oddech Eleny pod podłogą. Lub zrozumie, że tuż przed jego nosem, na blacie roboczym, leżą dowody przestępstwa – fałszerstwa w toku.

– *Jawohl, Herr Bergmann!* – odparł Kristoff i nie zwracając uwagi na płytki, sięgnął po szkicownik. „Jeżeli nie będę na nie patrzeć – myślał – to on nie będzie miał powodów, żeby się nimi interesować”. Podając Niemcowi rysunki, nie mógł jednak opanować drżenia rąk.

Herr Bergmann zaczął je przeglądać – tak samo jak kilka tygodni wcześniej robiła to Elena. Cmokał przy tym z aprobatą i co chwila kiwał głową.

– Führer będzie zadowolony – osądził. – Masz talent.

Kristoff spuścił głowę. Nie był pewien, czy powinien odpowiedzieć, ale kiedy Herr Bergmann pchnął w jego stronę blok, podniósł wzrok i wyciągnął rękę. Szkicownik był otwarty na rysunku przedstawiającym katedrę Świętego Szczepana, podobnym do tego, który chłopak zaprezentował Frederickowi, gdy mistrz przyjmował go do terminu.

– Zacznij od tego. Bardzo przyjemny obrazek z Österreich – rzucił. – Masz wszystkie potrzebne narzędzia, żeby to przenieść na metal?

– *Jawohl* – powtórzył posłusznie Kristoff, oddychając z trudem, był bowiem przekonany, że Herr Bergmann, podobnie jak on, wyczuwa obecność Eleny pod podłogą.

Niemiecki urzędnik niczego jednak nie zauważył. Nie żywił żadnych podejrzeń – najwyraźniej uwierzył w słowa Kristoffa, że o wszystkich Faberach słuch już zaginął. Wyjął z kieszeni munduru kopertę i wręczył ją chłopakowi.

– Mam nadzieję, że to wystarczająca zapłata – powiedział.

Kristoff, nie zajrzawszy do środka, kiwnął głową.

– Dobrze. W takim razie wrócę za parę tygodni po gotową matrycę.

Odwrócił się, by odejść, ale nagle przystanął, jakby o czymś sobie przypomniał. Położył Kristoffowi wielką, ciężką dłoń na ramieniu i dodał:

– To wielki honor przygotować znaczek dla Deutsches Reich.

Uniósł drugą rękę do czoła, by zasałutować, lecz nie zdjął dłoni z ramienia chłopaka, dopóki ten się nie wyprostował i nie powtórzył jego gestu.

– *Heil Hitler* – wydusił z siebie w końcu Kristoff z takim entuzjazmem, jaki tylko zdołał wykrzesać.

Herr Bergmann uśmiechnął się, pokazując złoty ząb, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł równie prędko, jak się pojawił.

*

Kristoff patrzył w ślad za nim. Dopiero gdy Niemiec zniknął za rogiem domu i chłopak usłyszał odgłos zapuszczanego silnika, zawołał do Eleny, że może

wychodzić.

– *Heil Hitler?* – natarła na niego dziewczyna, gramoląc się z kryjówki i strzepując ubranie. Miriam kiedyś powiedziała, że w tej piwniczce czuje się jak we własnym grobie. Elenie to najwyraźniej nie przeszkadzało. Założyła ręce na piersiach i patrzyła na Kristoffa wilkiem.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. – Podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu, którą ona jednak natychmiast strząsnęła. – Elena, musiałem to powiedzieć, inaczej by sobie nie poszedł. – Kristoff nie miał pojęcia, czy dziewczyna naprawdę jest na niego wściekła czy po prostu załamana beznadziejnością ich sytuacji.

Kristoff wręczył jej kopertę, którą przed chwilą dostał od Herr Bergmanna.

– Co to? – Elena zajrzała do środka i przeliczyła banknoty delikatnymi palcami. – Nie chcę ich pieniędzy – prychnęła i oddała kopertę Kristoffowi.

– Odłóż je na bilet do Ameryki dla ojca – rzekł Kristoff. – Jak możemy im bardziej zaszkodzić, niż wykorzystując przeciw nim ich własne pieniądze?

– Lepszego sposobu nie widzę – sapnęła, wetknąwszy kopertę do kieszeni starych spodni Fredericka, które miała na sobie. Codziennie ubierała się do pracy w robocze ubrania swojego taty, choć Kristoff nie rozumiał, czemu to robi: czy dlatego, że żał jej było brudzić swoje rzeczy, czy może czuła, że wkładając ubranie należące do prawdziwego gawera, nabywa część jego umiejętności – jakkolwiek dziecinnie by to zabrzmiało. Ale nawet w tych starych, zniszczonych ciuchach, z potarganym warkoczem i smugą brudu na policzku wyglądała przepięknie.

Nigdy nie rozmawiali o tamtej nocy, kiedy przyszła do Kristoffa i spała przytulona do jego boku, a jej włosy, gdy wtulał w nie twarz, pachniały brzoskwiniami. Ta noc już się jednak nie powtórzyła. Przez kilka ostatnich tygodni krążyli wokół siebie na palcach i choć oboje mieszkali w tym samym domu i pracowali ramię przy ramieniu, odzywali się do siebie tylko przelotnie, wymieniali uwagi na codzienne tematy lub krótko omawiali kwestie dotyczące dokumentów, które mieli podrobić.

Kristoff cały czas marzył, by jej dotknąć lub wziąć ją w ramiona. Na marzeniach jednak poprzestał.

– Zaraz będzie ciemno – powiedział. – Dziś piątek.

– To nie twój szabat – rzuciła ostrzegawczo. Wciąż była na niego wściekła.

– A co, jeżeli już uważam go za swój? – Dlaczego by nie? Był przecież sierotą. Nikt nie znał jego prawdziwej przeszłości, jego życiowego dziedzictwa.

– To tak nie działa – sprzeciwiła się Elena. – Żydem nie zostaje się z wyboru, poza tym dlaczego miałbyś chcieć... tutaj? – Zatoczyła ramionami krąg obejmujący przytulną pracownię, ale Kristoff wiedział, że ma na myśli Grotzburg. Austrię. Europę. Tu i teraz. Czasy i miejsce, w których być Żydem oznaczało najniebezpieczniejszą, najgorszą rzecz pod słońcem. Żydzi nie mogli już prowadzić interesów, chodzić do niemieckich szkół, nie wspominając o miliardowych grzywnach nałożonych przez Hitlera za dobra zniszczone podczas Kristallnacht.

Kristoff chciał jej powiedzieć, że jeszcze nigdzie nie czuł się bardziej w domu. Że żadna rodzina nie była mu bliższa niż Faberowie. Zamiast tego rzekł jednak:

– Chcę, żebyś zrozumiała, że nie jestem jednym z tamtych.

– Ale jednym z nas też nie – odparła dziewczyna, a następnie wyszła z pracowni do domu.

Tego wieczora, gdy na dworze zapadł zimowy mrok, Kristoff stał w drzwiach warsztatu i patrzył na dwa chwiejne, małe płomyki po drugiej stronie kuchennego okna.

*

Tej nocy dłużej niż zwykle został w pracowni. Starał się przenieść na metal swój szkic katedry Świętego Szczepana, ale Elena miała rację. Rysunek składał się z wielu drobniutkich linii i Kristoff nie mógł zmusić ryłca do takiej precyzji, jakiej oczekiwał. Po kilku godzinach prób zniechęcił się, zrezygnował i poszedł do domu.

Elena zostawiła mu w kuchni parę kromek chleba zamiast szabatowej chałki, bo jajka bardzo podrożały i stały się rarytasem. Chleb, który dziewczyna

upiekła tego ranka, był ciemny, suchy i niewyrośnięty. Lichy zamiennik, ale jednak – czekał na niego niczym ręka wyciągnięta na zgodę. Kristoff wziął talerzyk, posmarował sobie kromki odrobiną dżemu brzoskwiniowego, który wydzielali sobie po troszeczkę, i poszedł z jedzeniem do jadalni. Dołożył drew do ognia i rozejrzał się wokoło, sprawdzając, czy Elena gdzieś tu się nie chowa. Zajrzał nawet pod stół, ale jej nie było.

Przed jedzeniem szybko, cicho i tylko do siebie wypowiedział modlitwę.

*

Kilka godzin później niespokojnie krążył po poddaszu, w tę i z powrotem. Martwił się, że nie zdoła wygrawerować katedry i tym samym nie będzie mógł liczyć na pozostawanie w łaskach u Herr Bergmanna.

Nagle drzwi do jego pokoju otworzyły się i stanęła w nich Elena. Weszła bez pukania, tak samo jak wcześniej tego dnia Herr Bergmann wtargnął do warsztatu, i przysiadła na skraju łóżka.

– Kristoff – odezwała się łagodnie. Już się nie gniewała.

Kristoff stanął jak zamurowany. Zatrzymał się tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, prawie mógłby jej dotknąć.

– Dziękuję za chleb – powiedział. – Był pyszny.

– Wcale nie – odparła sucho dziewczyna. – Ale najlepszy, jaki udało mi się zrobić z tego, co miałam. – Złożyła ręce na kolanach i zaczęła wykręcać palce. – Nie mogę spać. Nie powinnam była się na ciebie złościć. Tyle dla nas zrobiłeś. Dla taty. – Spuściła oczy. – Wiem, że nie jesteś jednym z nich i że nie masz wyboru, musisz z nimi współpracować.

Kristoff postąpił krok naprzód. Teraz stał już tak blisko Eleny, że czy tego chciał czy nie, musiał jej dotknąć.

– Wiesz, że nie zrobiłbym niczego, co mogłoby narazić cię na niebezpieczeństwo. – Położył ręce na jej ramionach. Dziewczyna lekko zadrżała, lecz zanim zdążyła wstać i uciec z pokoju, przyciągnął ją do siebie, objął i mocno przytulił. Jeżeli w jego życiu miało się wydarzyć coś jedyne w swoim rodzaju, cudownego i niepowtarzalnego, to ta chwila właśnie nadeszła: trzymał

w ramionach Elenę, czuł jej zapach i ciepło bijące od jej policzka.

– Będziemy z nimi walczyć – odezwała się dziewczyna. – I zwyciężymy. Razem.

W uszach Kristoffa zabrzmiało to jak zapewnienie, że będą razem – deklaracja, że ona chce z nim być i cokolwiek dalej zrobią, zrobią to wspólnie. I mimo iż wiedział, że nie powiedziała tego wprost, usłyszał, jak jej odpowiada:

– Chcę, żebyśmy zawsze byli razem. Ja i ty.

Elena wspięła się na palce, przysunęła twarz do jego twarzy i pocałowała go.

Pierwsze wrażenie było piorunujące, dotyk jej ust odebrał mu dech. Myślał o tej chwili właściwie bez przerwy od tamtego dnia, kiedy pocałowali się na pożegnanie w lesie, na śniegu. „Nie lubię pożegnań” – powiedziała wtedy. Tamten pocałunek przepełniała rozpacz, że być może już nigdy się nie spotkają. Ten był zupełnie inny – niespieszny, bardziej czuły i słodki. Oznaczał początek, a nie koniec.

Kristoff przesunął ręce na jej dekolt i zaczął niezdarnie rozpinąć guzik koszuli. Elena przytrzymała jego dłoń, jakby chciała, żeby przestał. Tak też zrobił. Opuścił ramiona, oderwał usta od jej ust i odsunął się o krok. Oddychał ciężko. Zauważył, że policzki Eleny pokrywa płomienny rumieniec.

– Przepraszam – powiedział, choć wcale nie było mu przykro.

Dziewczyna szybko rozpięła koszulę, ściągnęła ją przez głowę i odrzuciła na podłogę. Nie miała nic pod spodem. Na widok jej nagiego ciała, gładkiej, bladej skóry i delikatnych wzniesień piersi Kristoff ostro wciągnął powietrze.

– Nie podoba ci się to, co widzisz? – spytała swoim zwyczajnym, zadziornym tonem, właśnie tym, który sprawiał, że była uparta, niemądra, piękna i błyskotliwa jednocześnie. I który zagrzewał ją do walki. Wyglądała zachwycająco, a linie i krągłości jej ciała były tak doskonałe, że Kristoff wiedział, iż nie udałoby mu się wiernie ich oddać, gdyby próbował narysować ją z pamięci.

Znowu wyciągnął rękę. Oparł kciuk na jej obojczyku i delikatnie po nim przeciągnął, jakby szkicował, jego kciuk był węglem, a jej skóra – kartką w szkicowniku. Przesunął palec po jej ramieniu na górną część piersi, a po chwili wahania – niżej. Nigdy nie dotykał w ten sposób kobiety. Mimo to jego ręka przemieszczała się tak, jakby instynktownie wiedziała, co należy robić; dotykane Eleny przychodziło mu z taką łatwością jak jej rysowanie.

– Jesteś taka piękna – powiedział schrypniętym głosem.

Podniósł ją i położył na łóżku. Poczuł, jak rozluźnia się w jego ramionach. Nie myślał o niczym innym. Ani o Niemcach, ani o znaczkach, ani o niebezpieczeństwie, jakie im w każdej chwili groziło. Tylko o Elenie. I o jej gładkiej skórze pod swoimi dłońmi.

– Kristoff. – Wypowiedziała jego imię nie jak żądanie albo pytanie, lecz jak coś pewnego. Właśnie tego pragnęła, równie mocno jak on.

OKS FORD, 1989

Podróż pociągiem do Oksfordu to rozmazana wstęga zielonego angielskiego krajobrazu. Siedzę przy oknie i obserwuję łagodne wzgórza i małe miasteczka. Benjamin nasunął na oczy daszek czapki z logo Dodgersów – pewnie ma lekkiego kaca, więc zostawiam go w spokoju. Dziś rano, gdy się obudziłam, już go nie było. Zostawił karteczkę, że dzwonił do informacji i dowiedział się, że pociąg mamy o dziewiątej, więc proponuje, żebyśmy się spotkali w holu o wpół do. Do tej pory żadne z nas nie wspomniało o wydarzeniach ostatniej nocy. W taksówce na dworzec Cardiff Central nie rozmawialiśmy ze sobą, a teraz, podczas dwugodzinnej jazdy, też raczej milczymy. Ja gapię się w okno. Ta zieleń działa na mnie wręcz hipnotyzująco.

Kiedy dojeżdżamy do Oksfordu, znowu mży, mimo to ze stacji idziemy piechotą. Uniwersytet robi na mnie ogromne wrażenie. Budynki z jasnej cegły, gdzie nie spojrzeć kopuły, wieże i wieżyczki. Czuję się jak w baśni, nie w miasteczku studenckim, i tylko czekam, kiedy zza rogu wychynie król Artur lub sir Gawain na koniu. Jednak nic takiego się nie dzieje. Wszędzie kręcą się grupy zwyczajnych młodych ludzi, ubranych w bluzy i dzinsy o wąskich, podwiniętych nogawkach. Dziewczyny mają natapirowane grzywki i trwałe. Wyglądem nie różnią się wcale od studentów Uniwersytetu Kalifornijskiego, których codziennie widuję w Westwood.

Benjamin unosi daszek bejsbolówki i informuje mnie, że Sara pisała pracę dyplomową pod kierunkiem doktora Grimesa, do którego właśnie się udajemy. Idzie tuż obok mnie, ale wyraźnie uważa, żeby się zanadto nie zbliżyć, nie otrzeć ramieniem, nie wspominając już o wzięciu za rękę, co zrobił wczoraj.

– Więc twoja żona zajmowała się drugą wojną światową? – Wciąż nie mogę sobie wyobrazić żonatego Benjamina, a tym bardziej żonatego z kobietą naukowcem.

Benjamin kiwa głową i wyciąga z kieszeni brązowej skórzanej kurtki kar-

teczkę, na której ma zapisany adres.

– Tędy – mówi. – To na George Street.

Skrećam za nim w kierunku trójkątnego budynku, który bardziej przypomina kościół niż uniwersytecki biurowiec. Tabliczka w holu informuje nas, że jednak trafiliśmy we właściwe miejsce. Jesteśmy na Wydziale Historycznym.

Gabinet doktora Grimesa mieści się na drugim piętrze. Ruszamy po schodach – Benjamin pierwszy, powoli. Czy pokonując te stopnie, myśli o Sarze, która wiele lat temu też stawiała na nich stopy? Ja – owszem. Zastanawiam się, jak wyglądała. Drobna, ciemne, obcięte na boba włosy i wyraźnie zielone oczy. Tak ją sobie wyobrażam.

– Ben Grossman, jeśli mnie oczy nie mylą! – Doktor Grimes czeka na nas u szczytu schodów, jakby się nas spodziewał. Zgaduję, że Benjamin go uprzedził, którym pociągiem przyjedziemy. Historyk jest starszy i dużo bardziej pulchny, niż się spodziewałam. Łysieje i nosi za dużą o na oko dwa rozmiary tweedową marynarkę. Wyciąga do mnie rękę.

– Katie, bardzo mi miło – przedstawiam się.

– Miło panią poznać.

– To klientka, o której wspominałem – mówi Benjamin.

Doktor Grimes zaprasza nas do środka. Panuje tam mrok, gabinet jest wypełniony książkami stojącymi na regałach i leżącymi luzem, gdzie się tylko da. Naukowiec zdejmuje kilka tomów z dwóch krzeseł, ustawionych po przeciwnej stronie jego biurka.

– Opowiedziałem już przez telefon, o co chodzi – informuje mnie Benjamin.

Doktor Grimes podnosi z biurka okulary, wkłada je i z uwagą przygląda się listowi oraz znaczкови.

– Ten kwiatek. – Lekko przesuwa grubym palcem po znaczku, osłoniętym plastikową koszulką. – To niesamowite. Jak oni go tu umieścili? Jest prawie niewidoczny. – Wstaje, by zdjąć z półki jakąś książkę. Choć ja odnoszę wrażenie, że panuje tu bałagan, on dokładnie wie, czego i w którym miejscu szu-

ka.

Kładzie książkę na biurku, otwiera ją na właściwej stronie i wskazuje palcem to, co mamy zobaczyć.

– Proszę, tutaj – mówi.

Na górze strony widzę tytuł *Znaczki konspiracyjne w Trzeciej Rzeszy*, a poniżej zdjęcie niemieckiego znaczka, na którym znajduje się profil jakiegoś nieznanego mi mężczyzny.

Rzucam okiem na tekst, ale zanim wyławiam z niego jakiś sens, doktor Grimes zaczyna tłumaczyć:

– Podczas wojny próbowano występować przeciwko Niemcom na rozmaite sposoby. Każda próba bezpośredniej walki byłaby z góry skazana na porażkę, to nie ulegało wątpliwości. Podejmowano więc najprzeróżniejsze działania konspiracyjne tuż pod nosem Niemców. Początkowo przesyłano tajne wiadomości w listach. Zmieniano słowa w wierszach i tak dalej, ale Niemcy to wykryli. Chwytano się więc coraz to nowych sposobów, by przekazywać wiadomości drogą pocztową.

– Używano do tego znaczków? – pytam i jednocześnie zastanawiam się, czy Benjamin zdawał sobie z tego sprawę. Bo dla mnie, laika, brzmi to wręcz niewiarygodnie.

– Owszem, znaczków – przytakuje doktor Grimes i znów wskazuje coś w książce. – O, choćby ten tutaj. Stanowił jeden z elementów działań dywersyjnych prowadzonych przez tajną brytyjską służbę SOE^[3], której celem było obalenie Hitlera. Wydrukowano tysiące fałszywych znaczków z twarzą Himmlera, oczywiście zamiast twarzy Hitlera. Himmler był wysoko postawionym hitlerowcem. Wszyscy wiedzieli, że chce się pozbyć Hitlera i zająć jego miejsce jako nowy Führer. Ktoś w SOE wpadł więc na pomysł, by wypuścić znaczek z jego podobizną. Udało się ten znaczek nielegalnie rozpowszechnić w Niemczech. Akcja miała na celu podsycenie konfliktu wewnętrznego na najwyższym szczeblu. Zamiarem konspiratorów było utwierdzenie Hitlera w przekonaniu, że Himmler konkuruje z nim o władzę. Żywiono nadzieję, że osłabi to cały system dyktatury. – Grimes przerywa i przerzuca kartki, by znaleźć inne miejsce w książce. – Tyle że nic takiego nie nastąpiło. Akcja nie

wzbudziła żadnego zainteresowania. – Kładzie palec na innej stronie, gdzie widnieje znaczek z podobizną Hitlera, prawie taki sam jak ten, który znalazłam w przewodniku filatelistycznym z biblioteki. Różnica jest taka, że na tym tutaj Hitler ma twarz kościotrupa. – Potem była operacja Cornflakes – ciągnie historyk. – Te znaczki, z podpisem „Futsches Reich”, czyli „Rzesza przepadła”, zamiast zwyczajnego „Deutsches Reich”, zostały naklejone na listy propagandowe, których tysiące zrzucono z samolotów, by przyciągnąć uwagę grup oporu, a w rezultacie wywołać powstanie.

– A ten nasz? – pytam. – Też powstał w podobnych okolicznościach?

Doktor Grimes wzrusza ramionami.

– Jak dotąd nigdy się na taki nie natknąłem. Ale stworzenie fałszywego znaczka w Europie podczas...

– Więc uważa pan, że jest fałszywy? – przerywam mu.

– Tak. – Kiwa głową. – I niewiele widzę sensownych powodów dla stworzenia takiego znaczka, biorąc pod uwagę ówczesne uwarunkowania.

Oboje z Benjaminem wpatrujemy się w naszego rozmówcę jak zahipnotyzowani, żeby na pewno usłyszeć to, co za chwilę powie.

– Pierwszy powód jest taki, że zamierzano przekazać komuś wiadomość i nie było innego sposobu, by to zrobić. Drugi to konspiracyjna walka z Niemcami. Bo czy niewinny list z wiadomością ukrytą w znaczku przyciągnąłby ich uwagę? Pomysł był genialny, jeśli się nad tym zastanowić.

– A ten kwiatek? – pytam. – Na liście miłosnym?

– Oczywiście – stwierdził pan Grimes. – Całość wyglądała całkiem nieszkodliwie. Ale podejrzewam, że to wcale nie jest list miłosny. Pozycja znaczka do góry nogami też mogła coś oznaczać. Być może nadawca chciał zachować pozory, że to banalny list miłosny, bo kto by się takiego czepiał?

Miriam twierdziła, że jej siostra kochała Kristoffa i by do niego wrócić, zrezygnowała z szansy na bezpieczne, nowe życie w Anglii. Chcę, by doktor Grimes się mylił. Wolę, aby to jednak był zwyczajny list miłosny. Aby się okazało, że Elena i Kristoff odnaleźli się i pokochali. A znaczek i list były tego dowodem.

Spoglądam na uśmiechniętego Benjamina. Odkąd go znam, nie widziałam, by był aż tak ożywiony.

– No tak, oczywiście – mówi lekko piskliwym, podekscytowanym głosem.
– To wszystko trzyma się kupy.

– Więc co mógł oznaczać ten kwiatek? – Ja nadal jestem sceptyczna. – Przecież to tylko kwiatek.

Doktor Grimes podnosi rękę.

– To nie jest pierwszy lepszy kwiatek, skarbie. To szarotka. W Niemczech i Austrii jest uznawana za symbol czystości i miłości, w dodatku kwiat ten jest bardzo trudny, prawie niemożliwy do zdobycia. Rośnie tylko w najwyższych, niedostępnych, skalistych partiach gór. Zdarzało się, że wspinaczka po szarotkę dla ukochanej kończyła się śmiercią śmiałka. Niektórym się jednak udawało. Tak oto szarotka stała się symbolem zmagania się z przeciwnościami.

Pochylam się nad biurkiem i jeszcze raz przyglądam znaczkowi. Patrę na niego z nowej perspektywy, opisanej przed chwilą przez doktora Grimesa, jako na symbol zmagania się z przeciwnościami. Miriam powiedziała wczoraj, że to „symbol niezwyklej odwagi”.

– A co z tym Kristoffem Muellerem, uczniem Fredericka Fabera? – pyta Benjamin. – Słyszał pan kiedyś o nim?

Historyk ciężko opada na oparcie i splata ręce na wydatnym brzuchu.

– Obawiam się, że nie. – Zastanawia się przez chwilę. – Ale znaczki w Trzeciej Rzeszy wydawało ministerstwo. Nie podpisywano ich nazwiskiem twórcy, grawera, jak dziś lub w czasach przedwojennych. Nie, nie słyszałem o nim. A ty, Ben?

– Nie – odpowiada Benjamin. – Najprawdopodobniej po wojnie rzucił fach.

– Być może zaprojektował wiele znaczków na zlecenie Niemców – zauważa historyk. – A może nie. Może to jego jedyne dzieło. – Zniża głos. – Jeżeli tworzył takie fałszywki, działał w ruchu oporu, jest spora szansa, że go zlikwidowano.

– A jeżeli nie? – pytam, bo chciałabym, by zarówno Benjamin, jak i doktor Grimes byli w błędzie.

– Podoba mi się pani optymizm – mówi nieco posępnie naukowiec. – Jeżeli nie zginął, to mogło się z nim stać dosłownie wszystko. Może być teraz wszędzie, i to żywy lub umarły.

*

Kiedy opuszczamy gabinet naszego rozmówcy i ruszamy przez teren uniwersytetu, znowu leje. Rzęsisty deszcz przesłania piękno ceglanych budynków, a wilgoć przedostaje się przez moją cienką kurtkę i przenika mnie na wskroś. Drzę i na chwilę ogarnia mnie tęsknota za domem, za niegasnącym słońcem Los Angeles. Benjamin dostrzega to i wykonuje ruch, jakby chciał mnie objąć, ale zmienia zdanie i zamiast tego wyjmuje z plecaka parasol. Otwiera go, unosi nad moją głowę i sam daje pod niego nura.

– Myślisz, że pan Grimes ma rację? – pytam już w pociągu, który mknie z powrotem do Cardiff.

– Co do czego? – pyta Benjamin.

– Że być może to wcale nie jest list miłosny.

– To ma jakieś znaczenie?

– Chyba nie – odpowiadam, ale prawda jest taka, że dla mnie ma, tylko nie umiem powiedzieć czemu.

– Myślałem, że masz na myśli to, że ten list ma związek z ruchem oporu. – Wyczuwam w jego głosie ożywienie. – Bo ja sądzę, że to prawdopodobne. I pomyśl tylko: możliwe, że na prawdę wiąże się z nim jakaś ciekawa historia.

Początkowo odnoszę wrażenie, że chodzi mu o pieniądze, o wartość znaczka. Ale potem dochodzę do wniosku, że chyba jednak nie. Jest podekscytowany perspektywą dokonania odkrycia, odsłonięcia nieznanego fragmentu historii, wojennego epizodu. Jakiejś opowieści – miłosnej lub nie.

– Po powrocie do LA zacznę szukać Kristoffa – oświadczam. Pójdę za radą Jasona, wykorzystam namiary do organizacji, które od niego dostałam.

Czy napiszę o tym materiał? O Kristoffie, ruchu oporu i wiadomości ukrytej w znaczku?

– Ja też – stwierdza Benjamin. – Jeżeli był grawerem, to ktoś ze środowiska filatelistów mógł o nim słyszeć.

To, co doktor Grimes wspomniał o niebezpieczeństwach związanych z pracą dla hitlerowców, jak i z działaniem przeciwko nim, każe mi wątpić, czy się czegoś dowiemy. Być może Kristoff jest już tylko duchem.

AUSTRIA, 1939

Zaangażowanie w przygotowania do wywiezienia Fredericka za granicę sprawiło, że Kristoff nie mógł się skupić na grawerowaniu matrycy znaczka dla Herr Bergmanna; sprawę dodatkowo komplikowało to, że siedząca obok niego Elena pracowała nad płytkami mającymi posłużyć do wydrukowania fałszywych dokumentów. Kiedy te zostały odesłane do znajomego Josefa, który prowadził drukarnię w Wiedniu, Elena zaproponowała Kristoffowi pomoc w przeniesieniu jego rysunku na stal. Chłopak, wiedząc, że dziewczyna graweruje sprawniej od niego i matryca, która wyjdzie spod jej ręki, będzie ładniejsza, niż gdyby to on ją wykonał, przystał na to z ochotą. Och, gdyby Herr Bergmann lub sam Führer zdawali sobie sprawę, że twórcą zamówionego przez nich znaczka jest osoba narodowości żydowskiej, w dodatku kobieta... Myśl, że nigdy się o tym nie dowiedzą, dawała Kristoffowi sporo satysfakcji. Jakby ten drobiazg, ten maleńki akt buntu zmieniał postać rzeczy. Kristoff wiedział, że w istocie nie zmienia niczego, ale i tak czuł przyjemne zadowolenie.

Za dnia, w pracowni, on i Elena prawie się do siebie nie odzywali, chyba że musieli omówić coś, co dotyczyło wykonywanej akurat pracy. Wówczas porozumiewali się krótkimi, obcesowymi zdaniami: „Podaj to, odłóż tamto”. Całą uwagę koncentrowali na wykonywanym zadaniu. A Kristoff co wieczór się zastanawiał, czy Elena tej nocy znów do niego przyjdzie. Na poddasze, do jego łóżka.

Przychodziła zawsze. Po kolacji szła za nim na górę, wślizgiwała się pod kołdrę i przytulała do niego. Czasem wcale nie rozmawiali, słowa nie były im potrzebne: kochali się, a potem bez trudu zapadali w sen. Kiedy indziej, w dni, gdy Elena ostrzegała, że może zająć w ciążę, leżeli w ciemnościach i godzinami rozmawiali. Jakby wkraczali w inny świat – całkowicie różny od tego, który otaczał ich w ciągu dnia w warsztacie. W nocy, w łóżku Kristoffa, nie znajdowali się w okupowanej przez nazistów Austrii, lecz w jakimś cu-

downym, bezpiecznym miejscu. Tylko we dwoje.

Elena wyznała mu, że wcale nie zamierzała uczyć się fachu ojca. Jako dziewczynka nie interesowała się grawerstwem. Zawsze marzyła o tym, by iść na uniwersytet i studiować literaturę, a potem pisać książki, podobne do tych, które uwielbiała czytać. Swoją ulubioną lekturę w języku angielskim – *Małe kobiety* – uwielbiała tak bardzo, że mogłaby do niej wracać bez końca. Dawno temu, gdy Elena była jeszcze mała – o wiele za mała, by czytać, w dodatku po angielsku – Frederick sprowadził jej egzemplarz z Ameryki. Kiedy w końcu nauczyła się angielskiego, przeczytała tę książkę kilkanaście razy.

– Ja jestem jak Amy – stwierdziła, opowiedziawszy Kristoffowi o wszystkich siostrach.

– Ale ona jest najmłodsza, tak? – spytał zdezorientowany.

– Tak, ale równocześnie ma najwięcej pasji, jest artystką. Zawsze dostaje to, na czym jej zależy. No i ostatecznie jest z Lauriem.

– A ja? Jestem jak Laurie? – zaśmiał się chłopak, pragnąc usłyszeć, że tak. Że to on jest mężczyzną, którego wybrała Elena.

Dziewczyna roześmiała się, odwróciła na bok i pocałowała go, a on ujął jej policzki w dłonie i oddał pocałunek. Mógł ją całować bez przerwy. A przynajmniej przez całą noc. A przynajmniej do późna w nocy, kiedy oboje zasnęli ze zmęczenia.

Elena potrafiła zasnąć w pół zdania. Była wykończona, ale nie poddawała się, dopóki ciało do końca nie odmówiło jej posłuszeństwa. Kristoff walczył z sennością. Czekał, aż Elena zaśnie pierwsza. Rozkoszował się każdą chwilą spędzoną przy niej.

– Kocham cię – szeptał jej we włosy, upewniwszy się, że odpłynęła. Nie miał odwagi wyznać jej tego na jawie; bał się, że dziewczyna nie odwzajemnia jego uczuć. Że pewnej nocy bez uprzedzenia zniknie w lesie, podjąwszy nagłą decyzję, by odwiedzić ojca lub Josefa.

*

Podczas przygotowań do wyjazdu Fredericka i oczekiwania na jego nowe dokumenty stary grawer bardzo się zmienił. Wydawał się teraz kruchy, stracił na wadze, trudno było w ogóle poznać, że to on. Josef twierdził, że to dobrze, bo Niemcy też go nie rozpoznają. Kristoff martwił się jednak, jak jego nauczyciel przetrwa długą i trudną podróż do Ameryki, nawet jeśli uda mu się bezpiecznie opuścić ojczyznę. Wszystko wskazywało jednak na to, że nie mają wyboru. Frederick albo wyjedzie, albo umrze, żyjąc w takich warunkach.

Dzień przed wyjazdem Fredericka Elena poszła do Bauerów, by omówić z Josefem ostatnie sprawy organizacyjne, a Kristoff wybrał się do leśnej chaty – chciał pokazać swojemu nauczycielowi matrycę znaczka, którą wspólnie z Eleną przygotowali dla Niemców.

Chłopak od powrotu Eleny nie rozmawiał z Frederickiem w cztery oczy i w głębi serca trochę się obawiał tego spotkania. Czy stary mistrz domyśla się, co zaszło między jego córką a uczniem? Zapewne nie ucieszyłby się na wieść, że Elena spędza każdą noc na poddaszu.

– Mój chłopcze, wciąż krzywo, wciąż krzywo – ocenił Frederick, rzuciwszy okiem na stalową płytkę. Głos miał zachrypnięty, lecz mówił normalnym tonem. Nie sprawiał wrażenia rozgniewanego. Kristoff postanowił na wszelki wypadek nie wspominać, że niektóre z tych nierównych linii wyszły spod palców Eleny. Nauczyciel lekko poklepał go po ramieniu. – Ale ogólnie nie jest źle. To, że zdecydowałeś się zrobić znaczek dla Niemców, potwierdza tylko siłę twojego charakteru.

– Wcale nie jestem silny – zaoponował Kristoff. – I nie chcę z nimi współpracować. Ale nie mam wyboru.

– Czasem jedynym sposobem, by walczyć z wrogiem, jest stanąć w jego szeregach – powiedział Frederick.

Kristoff skinął głową, choć gotował się na myśl, że właśnie tak uczynił.

Frederick oddał mu płytkę i przez dłuższą chwilę milczał. Patrzył tylko na Kristoffa szeroko otwartymi oczami, zapadniętymi między ostro wystającymi kośćmi policzkowymi, jakby widział wszystko, co chłopak chce przed nim ukryć, co woli przemilczeć. Kristoff poczuł się prześwietlony na wylot. Po-

winien coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia co. Przepraszam? Nie miał za co. Kochał Elenę.

– Zaopiekujesz się nią? – spytał w końcu grawer i chwycił rękę swojego ucznia. Niezbyt mocno, ale Kristoff nawet nie próbował się uwolnić.

– Tak – obiecał chłopak.

Frederick go puścił, westchnął lekko i oparł się plecami o ścianę.

– Przyniesiesz jej szarotkę? – spytał z rezygnacją.

Kristoff przypomniał sobie opowieść o tym, jak wiele lat temu powstał znaczek z szarotką, zaprojektowany i wykonany jako podarunek dla wybranki serca Fredericka, Minny. Ogarnął go dojmujący smutek, że nie ma jej przy mężu, który będzie musiał opuścić Austrię sam, nie wiedząc nawet, co się z nią stało. Frederick zawsze się starał, by żonie niczego nie brakowało, a teraz zostali rozdzieleni, ot tak, niespodziewanie i bez żadnej sensownej przyczyny. Pani Faber przepadła bez wieści wiele miesięcy temu i wraz z upływem czasu Kristoff coraz bardziej niepokoił się jej losem i obawiał, że już nigdy jej nie ujrzy. Czytał o przemowie Hitlera, wygłoszonej pod koniec ubiegłego roku, w której niemiecki dyktator oświadczył, że wojna będzie oznaczała eksterminację europejskich Żydów. Słyszał też plotki o rozrastającym się z dnia na dzień obozie pracy w Mauthausen w Górnej Austrii. Te straszne wieści nakładały się na siebie, potęgowały nawzajem i czasem nie pozwalały mu zmrużyć oka przez wiele nocy z rzędu, mimo że Elena spokojnie spała obok niego.

– Dopilnuj, by nic jej się nie stało – powtórzył Frederick. Tym razem jego głos był przepełniony żalem. Może w duchu oskarżał się o to, co spotkało panią Faber, choć przecież w niczym nie zawinił. W niczym. Kristoff chciał mu to powiedzieć, ale w tej samej chwili Frederick odezwał się głośniejszym i bardziej stanowczym głosem: – Obiecuj.

– Obiecuję. – Chłopak wiedział, że nie pozwoli, by Elena podzieliła los swojej matki. Nie pozwoli.

*

Następnego ranka Kristoff i Elena pomogli Frederickowi przejść przez las do gospodarstwa Bauerów, gdzie czekał już samochód. Kristoff nie znał kierowcy, ale Elena – tak. Powiedziała, że nazywa się Henrik Schwann i chodził z nią do szkoły. Henrik nie był Żydem, jak Josef i Elena. Nie był też nazistą, a w okolicach Grotzburga znalezienie osoby, która łączyła obie te cechy, wcale nie było takie proste. Schwann miał dowieźć Fredericka – a raczej Charlesa Darnaya – najpierw do granicy, a potem do Bremy, skąd – o ile wszystko pójdzie dobrze – stary grawer odpłynie statkiem do Nowego Jorku, gdzie z kolei spotka się ze swoim dawnym znajomym, Mr. Lesterem. Fabera czekało więc wiele godzin, dni i tygodni podróży, ale wszystko zostało już dopięte na ostatni guzik. Niebawem miał być bezpieczny.

– Jakże żałuję, że ze mną nie jedziesz. – Frederick, zanim wsiadł do samochodu, przyłgął na moment do ramienia córki. Wszyscy doskonale wiedzieli, że to niemożliwe, i przez ostatnie tygodnie często powtarzali to panu Faberowi. Elena nie miała ani fałszywych papierów, ani pieniędzy na drugi bilet. Josef odsunął się, by dać ojcu i córce chwilę prywatności. Kristoff poszedł w jego ślady.

– Już niedługo – obiecała Elena – wszyscy do ciebie dojedziemy. Jak najszybciej się da – zapewniła i mocno uściskała ojca. W jej oczach zalśniły łzy, a Kristoff odwrócił wzrok, udając, że ich nie widzi. Wiedział, że Elena nie chciałaby zostać przyłapana na chwili słabości. Wcale się jej nie dziwił. Jemu też chciało się płakać. – Odnajdę mamę, ściągnę Miri z Anglii i wszyscy się spotkamy. Nawet się nie obejrzysz.

– Wiesz, gdzie szukać Gideona Lestera? – spytał Frederick. – Przyjedziesz do Ameryki i się do niego zgłosisz. Będę czekał.

Kristoff przypomniał sobie list, napisany przez Elenę, który osobiście nadawał do Mr. Lestera. Słyszał też, jak dziewczyna potwierdza, że wie, gdzie go szukać. Frederick wsiadł do samochodu.

– Do zobaczenia niebawem! – zawołała Elena za odjeżdżającym pojazdem, po którym zostały odcisnięte w śniegu ślady opon. Nie użyła słowa „żegnaj”, tak samo jak kiedyś nie chciała pożegnać się w ten sposób z Kristoffem.

Josef objął dziewczynę ramieniem. Kristoff trochę się skrzywił, chociaż

wiedział, że Josef chce jedynie dodać jej otuchy. Zresztą nie tylko jej było smutno.

– Słusznie postąpiliśmy – powiedział Josef, chcąc pocieszyć Elenę. – Ocaliliśmy mu życie.

Dziewczyna, wyraźnie wstrzymując łzy, skinęła głową. Kristoff nie mógł oderwać wzroku od ręki Josefa, która ją obejmowała, i od palców ściskających jej ramię tak, jakby stanowiło jego własność.

– Ale w przyszłym tygodniu odchodzi kolejny Kindertransport do Londynu – dodał Josef – i zamierzam osobiście wsadzić cię do pociągu.

Elena wyślizgnęła się spod jego ramienia.

– Nie jestem dzieckiem – syknęła w odpowiedzi.

– Wróciłaś, by pomóc ojcu. I pomogłaś. A teraz sama potrzebujesz pomocy – oznajmił Josef, spokojnie i stanowczo.

– Nigdzie nie jadę. – Elena odwróciła się do Kristoffa, jakby właśnie sobie o nim przypomniwała. Josef obrzucił go spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

Kristoff potrzebował Eleny. Nie chciał, by odchodziła – ani z jego łóżka, ani z pracowni. Musiała dalej pomagać mu w grawerowaniu, bo dzięki temu w ogóle żyli. Z drugiej strony obiecał Frederickowi, że zadba o jej bezpieczeństwo. Wiedział, że w tych okolicznościach to niewykonalne i że nigdy by sobie nie darował, gdyby Niemcy odkryli obecność dziewczyny, przyszli i wywlekli ją z domu...

– Ja... – zaczął, ale nie potrafił dokończyć myśli.

Elena gwałtownie odwróciła się do Josefa.

– Owszem, pomogłam ojcu – warknęła. – Ale jest jeszcze mama. Co z nią? A inni? Przecież tylu ludzi potrzebuje pomocy. Potrafimy z Kristoffem podrabiać dokumenty. Może jeszcze komuś ułatwimy wyjazd z Austrii.

– Jeżeli dalej będziecie wyrabiać fałszywe papiery, w końcu was złapią – rzekł Josef. – I rozstrzelają. Bez ceregieli.

Kristoffowi stanęła przed oczami śnieżnobiała skóra na piersi Eleny, rozerwana i zakrwawiona, i nagle zabrakło mu tchu.

– Na twoim miejscu bym się go posłuchał – usłyszał własny głos.

Elena przeniosła na niego wzrok i zapadła się w sobie – jakby naprawdę doznała jakiejś krzywdy. Nie od niemieckiego oprawcy, tylko z jego rąk. Zmrużyła oczy i spoglądała to na Josefa, to na Kristoffa.

– Jesteście obaj *Dummköpfe*^[4] – rzuciła, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła przed siebie, w las.

Kristoff chciał pobiec za nią, lecz Josef chwycił go za ramię i osadził w miejscu.

– Czekaj, niech trochę ochłonie – powstrzymał go. – Później z nią pogadasz, jak jej przejdzie. Teraz jest w złym nastroju z powodu wyjazdu ojca.

– Ona nie pojedzie do Londynu – powiedział cicho Kristoff, żałując swoich poprzednich słów. Elena powinna być tutaj, przy nim, a nie chodzić sama po lesie. – Nie ruszy się stąd bez matki. Poza tym chce walczyć. I raczej nie wybijemy jej tego z głowy.

Josef przytaknął. Też to rozumiał, ale uważał, że warto próbować. Poprosił Kristoffa, by na niego poczekał, i poszedł po coś do domu. Po paru minutach wrócił, wyjął z kieszeni pistolet i podał go Kristoffowi. Gładki, lodowaty metal był nieprzyjemny, wręcz bolesny w dotyku, a ciężar tego niewielkiego przedmiotu – zaskakująco duży. Kristoff nigdy nie miał w ręku broni, co więcej – nigdy tego nie pragnął.

– Po co mi to dajesz? – spytał.

– Są rzeczy, których nie da się zrobić narzędziami grawerskimi – odparł Josef.

Sfałszować wizę i wykonać matrycę z nieprawdziwymi danymi to jedno. A walczyć przeciwko Niemcom z bronią w ręku to coś zupełnie innego.

– Nie chcę. – Kristoff próbował oddać broń.

– Weź, przyda ci się – powiedział Josef, odpychając jego rękę.

Kristoff wiedział, że Herr Bergmann może w każdej chwili wtargnąć do pracowni. Wyobraził sobie, jak to będzie: chwycić pistolet, wycelować prosto w szerokie czoło Niemca i nacisnąć na spust. W wyobraźni zobaczył, jak tamten pierwszy unosi broń i mierzy w głowę Eleny.

Pistolet zbyt mocno ciążył mu w dłoni. Kristoff zaczął się pocić, poczuł mdłości. Odwrócił się szybko i wymiotował na śnieg.

– Boże – mruknął Josef, odbierając mu czarny, gładki przedmiot – ty się do tego nie nadajesz. Jesteś za delikatny. Może to ciebie powinniśmy odwieźć na pociąg.

Kristoff otarł usta wierzchem dłoni. Josef z pożałowaniem pokręcił głową i wetknął sobie broń za pasek.

LOS ANGELES, 1989

Po powrocie do domu mam wrażenie, że nie było mnie co najmniej parę tygodni, nie dni. Mam ciężką głowę – jet lag, który ją rozsadza i sprawia, że brakuje mi powietrza, jest bezlitosny, gorszy niż jakikolwiek kac, który pamiętam. Odczuwam też dziwne wrażenie pustki. Znowu jestem sama. Rozstaliśmy się z Benjaminem na lotnisku. Okazuje się, że przywykłam do jego towarzystwa.

– To do usłyszenia – rzucił na pożegnanie. Wykonał ruch, jakby chciał mnie uściskać, ale najwyraźniej zmienił zdanie, bo poprzestał na wyciągnięciu ręki. Potrząsając jego dłonią, spojrzałam na nasze palce, splecione tak jak wtedy, gdy zasnęliśmy razem na hotelowym łóżku. Od tamtej pory oboje udawaliśmy, że nic takiego nie miało miejsca. Ale nasz pożegnalny uścisk dłoni na lotnisku trwał o parę sekund dłużej niż zwykle w takich przypadkach.

Po drodze do łóżka sprawdzam automatyczną sekretarkę. Z zaskoczeniem stwierdzam, że mam nagranych aż siedem wiadomości. Pięć pierwszych z The Willows – personel informuje, że tata jest niespokojny, cały czas rozprawia o mamie. Sama nie wierzę, że zostawiłam go samego, by wyjechać na drugi koniec świata, a on mnie w tym czasie potrzebował. Że wsiąkałam w cudze życie, a w zasadzie nie życie, tylko potencjalną historię i rodzinę do tego stopnia, by opuścić własną w potrzebie. A on tu cierpiał, tysiące kilometrów ode mnie. Wiadomości pochodzą jednak tylko z dwóch pierwszych dni mojej nieobecności, potem cisza. Mam nadzieję, że ojcu się polepszyło, a nie że obsługa ośrodka po prostu zrezygnowała z prób skontaktowania się ze mną. Teraz dochodzi dziesiąta – za późno, by tam dzwonić. Z wyjaśnieniem sprawy muszę się wstrzymać do rana.

Następna wiadomość jest od Daniela, który mówi krótko, że musi ze mną pogadać. Głos ma pozbawiony emocji, nie wyluszcza żadnych konkretów, a ja jestem teraz zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Na końcu odsłuch-

ję wiadomość od babci. Dzwoni tylko tak, kontrolnie. Bo zapomniałam się odezwać w sobotę. Czyżbym jej nie powiedziała, że wybieram się do Walii? Wszystko działa się tak szybko, że może rzeczywiście zapomniałam. Ale teraz i tak jest za późno na telefon.

Jestem wykończona, a równocześnie niespokojna, bezsilna i bardzo martwię się o tatę. Ale zmęczenie wygrywa. Szybko zapadam w głęboki sen na kanapie, otulona kolorową narzutą od babci.

*

Budzę się o czwartej rano. Początkowo nie wiem, gdzie jestem, wydaje mi się, że nadal w Cardiff. Za ciepło tu jednak i za sucho, nie ma Benjamina i przypominam sobie, że wróciłam do domu, do Westwood, a tata przez cały tydzień miotał się w The Willows.

Biorę prysznic, ubieram się, wypijam dwie kawy, mimo to nie mogę się otrząsnąć z przytłaczającego strachu, który potęguje złe samopoczucie wywołane jet lagiem. Chcę jechać do The Willows, sprawdzić, co z tatą, ale odwiedziny zaczynają się o ósmej. Jest dopiero szósta. Korci mnie, by zadzwonić do babci, ale nie chcę jej budzić.

Dokładnie w tym momencie odzywa się telefon. Biegnę odebrać. Jestem pewna, że to właśnie babcia, że ściągnęłam ją myślami. Bo kto by dzwonił o tej porze? Zapytam, czy nie wie nic o ojcu i opowiem jej o wyprawie do Walii. Tymczasem w słuchawce odzywa się głos Benjamina – tak wyraźnie i jak gdyby blisko, że w pierwszej chwili głupieję.

– Hej. – Brzmi równie swojsko i znajomo, jakby dzwonił z holu na dole, żeby ustalić plany na kolejny dzień w Walii. Hm, czy nasze stosunki weszły już na taki poziom, że poufałe, osobiste i tak wczesne poranne powitanie jest na porządku dziennym? – Myślałam, że już nie będziesz spała.

– Nie śpię – potwierdzam. – Mój organizm nie ma pojęcia, gdzie jestem i która to godzina.

Benjamin się śmieje.

– Tak. Ja wczoraj od razu padłem i w środku nocy obudziłem się jak nowo

narodzony. Mam zupełnie przestawiony zegar – mówi, a ja uśmiecham się na myśl, że przeżywamy to samo. – Nie miałabyś ochoty wyskoczyć na śniadanie? – pyta szybko, jakby sam był zdziwiony tą propozycją, mimo że właśnie wypowiedział ją na głos. – No wiesz, oboje już nie śpimy, możemy się napić kawy i obgadać dalszy plan.

– Muszę przed pracą jechać do taty. Podobno były z nim jakieś problemy.

– Oj, to mi przykro. W takim razie trudno, nie musimy...

– Ale to dopiero o ósmej – wchodzę mu w słowo, bo nie chcę, żeby się wycofał. Mam ochotę się z nim zobaczyć i porozmawiać o poszukiwaniach Kristoffa, zanim stanę twarzą w twarz z brutalną rzeczywistością: z domem opieki, tatą, pracą i Danielem. – Może spotkalibyśmy się w Santa Monica, byłabym praktycznie na miejscu.

– W porządku – mówi Benjamin. – Choć nie jestem pewien, czy w Santa Monica podają twoją ulubioną kiełbasę z pora – dodaje ze stoickim spokojem, jak zawsze, gdy próbuje zażartować.

– Jakoś przeżyję – odpowiadam.

*

Godzinę później siedzimy naprzeciwko siebie w Pete's Cafe. Przy tej samej ulicy, dokładnie po drugiej stronie, mieści się The Willows. Benjamin sprawia wrażenie zmęczonego, jego brązowe falujące włosy są zmierzwiłone, ale niebieskie oczy patrzą jakoś jaśniej niż w Cardiff. Może to po prostu kwestia słońca, które właśnie wychyla się zza wzgórz i posyła ostre promienie prosto na nasz stół.

– Więc nie masz pomysłu, co powinniśmy dalej robić? – pytam.

Benjamin wzrusza ramionami. Chyba jest zmieszany.

– Szczerze mówiąc, to nie. Po prostu... brakowało mi twojego towarzystwa. Chyba przywykłem. Nie chciałem sam jeść śniadania.

– Czyli byłeś na głodzie? – reaguję lekko, żartobliwie, ale prawdę mówiąc, sama się do niego przyzwyczaiłam i cieszę się, że znowu go widzę.

– Uhm, coś w tym guście.

Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy, więc odwracam się i wyglądam przez okno. Niebo jest różowofioletowe. Na nowo doceniam ten kolor – przynajmniej nie jest szary. Los Angeles nie ma sobie równych, mimo smogu i wszelkich pozostałych mankamentów.

– Powinnaś powiedzieć tacie o Miriam. I o Kristoffie – odzywa się Benjamin. Odwracam się w jego stronę. Rzucił się na jajecznicę, jakby nic nie jadł od paru miesięcy.

Sama nie jestem głodna. Bawię się jedzeniem, popycham je widelcem po talerzu.

– Wymusił na mnie obietnicę, że zostawię ten znaczek w spokoju i odbiorę od ciebie resztę kolekcji. Nie chcę go znowu denerwować.

– No ale skoro całe życie pasjonował się filatelistyką – oponuje Benjamin – to nasze odkrycie by mu się spodobało. Przecież wszyscy chcemy tego samego. Odkryć coś nowego, ważnego.

Klej not. To po to tata latami kolekcjonował znaczki, a w każdy niedzielny poranek ciągał mnie po wyprzedazach i sklepach z rupieciami.

Trudno mi to przyznać, nawet przed samą sobą, ale nie sądzę, by tacie nadal na tym zależało. Jeżeli za tym listem kryje się jakaś historia, to możliwe, że należy ona do mnie. Tak samo jak znaczek. Jest mój. Mój i Benjamin. Nasz. A czy nie tego pragnął zawsze ojciec? Żebym odziedziczyła jego kolekcję? I coś z nią zrobiła? Zrozumiała ją? Może właśnie o to chodzi.

Benjamin kończy jeść. Zerkam na zegarek i stwierdzam, że już prawie ósma. Kładę na stole pięciodolarówkę.

– Muszę lecieć – mówię. – Do... – Miałam na końcu języka słowa „do zobaczenia”, ale tak naprawdę nie wiem, czy powinnam to mówić. Czy się jeszcze spotkamy?

Benjamin nachyla się nad stołem i nakrywa moją dłoń swoją.

– Zadzwoń, gdybyś się czegoś dowiedziała, dobrze? – Ma nieco schrypnięty głos i wyraźnie się waha, czy coś jeszcze dodać. Jego dotyk sprawia mi przyjemność. Czekam, aż dokończy. Ale nawet jeśli chciał powiedzieć coś więcej, nie robi tego. Poklepuje mnie tylko po dłoni i zabiera swoją, a ja my-

śle, że może niepotrzebnie dopatrywałam się w tym geście bliskości. Może to była czysta uprzejmość.

*

Idąc do The Willows, żałuję, że nie zostałam dłużej w kawiarni, nie pogadałam więcej z Benjaminem, nie posiedziałam jeszcze trochę z ręką pod jego dłonią.

– Pani Nelson! – wykrzykuje na mój widok zza recepcyjnej lady Sally.

Jej głos przywraca mnie do rzeczywistości, do taty, który ma za sobą ciężki tydzień. Macham do niej, ona mi odmachuje, a wielki diament w jej pierścionku odbija blask żyrandola, który wisi w holu przy drzwiach. Niesamowite, jak to miejsce różni się od Raintree. Dobrze, że tata może być tutaj, a nie w jakimś ośrodku podobnym do tamtego.

– Pani Nelson, świetnie, że pani przyszła – mówi Sally, gdy podpisuję się na liście odwiedzających.

– Proszę mi mówić Katie. – I choć Sally miło się uśmiecha, nic więcej nie dodaje. Chcę rozmawiać o tacie, nie o sobie. – Jak tata? – pytam.

– Miał parę ciężkich dni – odpowiada dziewczyna. – Ale święta to zawsze trudny czas dla naszych pacjentów.

– Odsłuchiłam wiadomości. Przykro mi, że nie reagowałam, byłam za granicą.

Sally unosi brwi. Widocznie nie zaliczała mnie do osób, które gdziekolwiek i kiedykolwiek wyjeżdżają.

– Co za pech, że ominęło panią Święto Dziękczynienia.

Benjamin twierdził, że musi wyjechać na Święto Dziękczynienia. Jestem zadowolona, że też to zrobiłam, że spędziłam z nim ten czas. Z drugiej strony nadal czuję się winna, że nie było mnie tu, przy tacie.

– Bardzo z nim źle? – pytam. Wiem, że skoro tyle razy do mnie dzwoniли, musiało być fatalnie. Dotychczas nic podobnego nie miało miejsca. I choć mam wrażenie, że wyjechałam na dłużej, nie było mnie u taty tylko przez tydzień, czyli tyle, ile zawsze. Logicznie rzecz biorąc, niczego straszniejszego nie

zrobiłam. Mimo to nadal nie mogę się pozbyć poczucia winy.

– Przez kilka dni był bardzo niespokojny. Pogrążony w przeszłości – wyjaśnia Sally. – Była pani w Anglii? – pyta.

Kiwam głową.

– Nie przestawał mówić o Anglii i o pani mamie, teraz rozumiem czemu. Nie wiedziałam. – Przerywa. – Sądziliśmy, że jest pani tu, na miejscu. Dlatego dzwoniliśmy. Pacjentowi czasem pomaga spotkanie z żyjącym współcześnie członkiem rodziny. Łatwiej mu wrócić do rzeczywistości.

Nagle zalewa mnie smutek i łzy napływają mi do oczu.

– No już, Katie. – Sally sięga przez ladę i kładzie mi rękę na ramieniu. – Dziś czuje się dobrze. Na pewno się ucieszy na pani widok. – Lekko popycha mnie w stronę holu, a ja dziękuję i ruszam w tamtą stronę.

Zatrzymuję się przed wejściem do jego pokoju i głęboko oddycham. Tata siedzi przy oknie. Jest już ubrany, w koszuli w kratkę i spodniach khaki wygląda dziwnie szykownie. Na głowie ma kapelusz – stary brązowy melonik, który dawno temu, w czasach mojego dzieciństwa, lubił wkładać w weekendy. Dziś nakrycie głowy zasłania jego łysinę i odejmuje mu lat.

– Tatusiu – odzywam się, choć wcale nie miałam zamiaru tak się do niego zwrócić. To się stało samo, nie zdołałam powstrzymać tego słowa. Tata podnosi wzrok, widzi mnie i na jego twarzy maluje się zaskoczenie. Tak bardzo pragnę, żeby mnie rozpoznał. Chcę zrobić to, co Benjamin zaproponował przy śniadaniu: opowiedzieć mu o wyprawie i znaczku – o jego znaczku – który być może podczas wojny był wykorzystywany do przesyłania tajnych wiadomości i z którym wiąże się – prawdopodobnie – historia miłości między uczniem grawera a młodą kobietą, silniejszą, niż potrafię sobie wyobrazić.

– Wróciłaś – mówi tata i gestem zaprasza mnie do środka. Na powitanie nie mówi jednak jowialnie: „Caryca Katarzyna!”, nie jestem więc pewna, czy wie, że ja to ja, czy może bierze mnie za mamę.

– Wróciłam – potwierdzam, siadając obok niego. – Stęskniłam się za tobą. Przepraszam, że nie było mnie tu w Święto Dziękczynienia.

– Tak długo cię nie było – mówi tata w zamyśleniu i przenosi wzrok za okno.

– Tylko tydzień. Anglia i Walia zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Podobałoby ci się tam.

– Powinnaś była tam zostać – stwierdza. Nie brzmi to niemiło, ale stanowczo. Mimo to czuję się odrzucona. Nie chce mnie. „On cię nie poznaje” – tłumaczę sobie w myślach.

– Nie miałam takiego zamiaru, tato. Nigdy bym cię nie zostawiła ot tak sobie.

Tata kiwa głową. Wie, że to ja. Gdzieś głęboko w zniszczonej przez chorobę głowie mnie poznaje. Na pewno.

Odwraca się, patrzy na mnie i kładzie mi ręce na ramionach. Oddycham z ulgą, bo dopiero teraz go widzę – człowieka, którego zawsze kochałam i któremu ufałam. Mojego tatę. I jestem pewna, że on też mnie widzi.

– Musisz odnaleźć Gida – mówi.

Jakbym dostała obuchem w głowę. Dziadek od lat nie żyje i od dawna nie słyszałam, by tata o nim wspominał.

– Tato – mówię łagodnie, a potem jeszcze raz, głośniejszym głosem, z nadzieją, że przywrócę go do rzeczywistości, do tu i teraz. – Tato, to ja, Katie, twoja córka. Caryca Katarzyna.

– Katarzyna – powtarza tata. Trudno powiedzieć, czy to, co słyszę w jego głosie, to zrozumienie czy ciekawość. Na Heathrow, tuż przed odlotem, kupiłam mu serię angielskich znaczków w ładnej twardej obwolucie, ale na razie nie wyciągam jej z torebki. Nie mam pojęcia, czy taki upominek, w dodatku z Anglii, jeszcze szczelniej nie zamknąłby taty w przeszłości.

Słyszę ciche stukanie w otwarte drzwi. W progu stoi Sally.

– Ted – zwraca się do taty. – Za pięć minut plastyka. – Uśmiecha się do mnie; wspominała kiedyś, że to ulubione zajęcia taty. – Domyślam się, że nie chcesz jej przegapić. A córka musi chyba zbierać się do pracy?

Tata odwraca się do mnie i delikatnie kładzie mi rękę na policzku.

– Namaluję ci coś – mówi.

– Proszę, jak miło! – wykrzykuje nieco zbyt entuzjastycznie pielęgniarka, po czym wchodzi do pokoju, by zaprowadzić tatę na zajęcia. Mijając mnie, szepcze bezgłośnie:

– Zachowam dla pani to dzieło.

*

Ostatnim miejscem, do którego mam ochotę teraz jechać, jest redakcja. Cóż, muszę. Nie byłam tam cały tydzień.

Prawie się cieszę, że jest taki korek. Nie mogę przestać myśleć o dziadku. Na długo o nim zapomniałam. Tak całkiem. Ale jego imię, wypowiedziane przed chwilą przez tatę, przywołało wspomnienia.

Dziadek pracował jako tłumacz w bazie marynarki wojennej na Coronado Island. Był dumny, że pełni służbę na rzecz państwa, które, jak uważał, uratowało jego i babcię. Kiedyś bardzo się go wstydziłam. Lubił publicznie śpiewać (po niemiecku, a jakże) i koniecznie chciał zabierać mnie do sklepów i kupować mi ciuchy. Która nastolatka chciałaby iść do centrum handlowego z dziadkiem? Straszny obciach. Zawsze się cieszyłam, że nie znam nikogo z San Diego.

Tatę łączyła z dziadkiem bliska więź. Ale nadal nie pojmuję, czemu wspomniał o nim akurat dzisiaj i czemu kazał mi go odnaleźć. Próbuję zrozumieć, jak musi się czuć, pogrążony w swoim dziwnym świecie pełnym zmartwychwstałych duchów. Wśród starych, dawno porzuconych wspomnień, które nagle ozywają, stają się barwne i namacalne. Tata nie pamięta tylu rzeczy – tych dobrych i tych złych – które spotkały jego bliskich. Ciekawe, czy ból wywołany utratą ukochanej osoby jest łatwiejszy do zniesienia, jeżeli się nie pamięta, że się ją utraciło.

*

Kiedy wreszcie docieram do pracy, na biurku czeka na mnie stos zadań od Daniela oraz ręcznie napisana notka z tą samą informacją, którą odsłuchiłam po powrocie z Walii: „Musimy pogadać. D.”.

Nawet nie chce mi się o tym myśleć. Kiedy w zeszłym tygodniu wędrowałam sama po Cardiff, prawie poczułam się znowu sobą – kobietą, którą byłam przed Danielem. Teraz mój eks macha do mnie ze swojego gabinetu, próbuje przyciągnąć moją uwagę, a ja wskazuję palcem na telefon, że niby najpierw muszę zadzwonić w pilnej sprawie. Podnoszę słuchawkę i wykręcam numer babci.

– O, Katie, jak dobrze cię słyszeć. W zeszłym tygodniu tyle razy do ciebie dzwoniłam i nic, nie mogłam cię zastać. Już zaczynałam się martwić.

– Przepraszam, babciu, wyjechałam – odpowiadam. – Nie zdążyłam ci powiedzieć. To wyszło tak nagle.

– Nagle? Ale wszystko w porządku?

– Tak, wszystko gra. Wiesz, badałam sprawę tego listu. Miałam okazję polecieć na parę dni do Anglii.

– Do Anglii? To cudnie – cieszy się babcia. – No właśnie, ja też w tej sprawie do ciebie dzwoniłam. – Mówi teraz wyższym, wyraźnie podekscytowanym tonem. – Znalazłam coś, co może cię zainteresować. Miałabyś ochotę wpaść w ten weekend i rzucić na to okiem?

Zerkam w stronę gabinetu Daniela. Mój szef wisi na telefonie i już nie zwraca na mnie uwagi.

– Mogłabym zajrzeć dziś po południu.

– Dziś? Jak to nie pracujesz?

Zniżam głos.

– Pracuję, ale chyba niedługo przestanę. – Po wyrzuceniu z siebie tej prawdy, w dodatku na głos, czuję wyraźną ulgę. Tak. Muszę to zrobić. I to nie kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, tylko teraz. Między mną a Danielem wszystko skończone. Moje życie powinno pójść dalej, w każdej sferze. Szybko wtajemniczam babcię w sprawę rozwodu i dopowiadam resztę. Uf, jak to dobrze wreszcie mieć to za sobą.

– Och, kochana – wzdycha babcia, a potem przez dłuższą chwilę milczy. Nie wiem, czy jest smutna, rozczarowana czy może zdezorientowana. – Pójdę do sklepu po jakieś wino i pogadamy. Jedź ostrożnie, dobrze? – odzywa

się w końcu.

Rozłączamy się i ostatni raz zerkam na Daniela. Nadal z ożywieniem rozmawia, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Hm, a gdyby tak go zaskoczyć i bez uprzedzenia złożyć wypowiedzenie? Tak po prostu? Natychmiast opadają mnie wątpliwości. Ale nie na tyle poważne, żeby się wycofać. Naprawdę jestem ciekawa, co takiego znalazła babcia i jaki to ma związek z listem Eleny. Nie mogę się doczekać, żeby o tym napisać. Właśnie o tym, a nie o sprawach, które należą do moich służbowych obowiązków i czekają przygotowane na biurku.

Bazgrzę naprędce wypowiedzenie i wkładam je do przegródki na biurową korespondencję Daniela. Wyjmuję z szuflady wizytownik. Macham do Janice i bez oglądania się za siebie wychodzę z redakcji „LA Lifestyles”.

*

Czuję się dziwnie wolna. Wsiadam do samochodu, wrzucam do odtwarzacza swoją ulubioną kasetę, The Bangles, i podkręcam głośność. Być może piosenka *Walk Like an Egyptian* pochodzi z epoki dinozaurów, ale w tej chwili mam ją tylko dla siebie i śpiewam na cały głos, trochę fałszując. Wjeżdżam na autostradę, ale w złym kierunku – spontanicznie podejmuję decyzję, by najpierw podjechać do Benjamin. Nie mam pojęcia, co ma w zanadrzu babcia. Równie dobrze może to nie być nic ważnego. Benjamin podarował mi jednak swoje darmowe mile i zawiózł mnie aż do Anglii. Mogę mu się chyba odwdzięczyć skromną wycieczką do Coronado.

AUSTRIA, 1939

Kiedy Herr Bergmann zjawiał się w warsztacie, Kristoff oddał mu matrycę, w której wykonanie Elena włożyła tyle samo – o ile nie więcej – pracy, co on sam. Niczego nieświadomy Niemiec przyjął stalową płytkę i w zamian wręczył chłopakowi kolejną kopertę pełną niemieckich marek. Kristoff postanowił odłożyć je na podróż Eleny do Ameryki, która, miał nadzieję, rychło dojdzie do skutku. W tajemnicy zaczął już szykować dla niej papiery na nazwisko Amata Marsch, co było zniemczoną wersją nazwiska jej ulubionej bohaterki z *Małych kobietek*. Zaplanował, że później ją przekona, aby wygrawerowała matrycę, a jeśli odmówi, to zrobi to sam i pośle przez Josefa do wydrukowania. Napisał też do Gideona Lestera z pytaniem, czy Charles Darnay dotarł na miejsce, oraz prośbą o pomoc w zorganizowaniu podróży Eleny. Do tej pory nie zdobył się jednak na odwagę, by wysłać ten list. Gdy naklei na niego znaczek i nada go na pocztę, Niemcy, jeżeli tylko zechcą, będą mogli go przeczytać. A to oznaczałoby wyrok śmierci dla niego i Eleny.

Aktualnie oboje pracowali nad kolejnym zleceniem od Führera i Herr Bergmanna – tym razem był to znaczek przedstawiający budynek Opery Wiedeńskiej. Skończyła się zima, minęła wiosna i nadeszło lato. Niemcy zajęli Czechosłowację i zmuszali Żydów do oddawania swoich kosztowności. Tymczasem na wzgórzach wokół Grotsburga wciąż kwitły szarotki, a znaczek z katedrą Świętego Szczepana wszedł do obiegu w całej Austrii. Kristoff spodziewał się, że kiedy pierwszy raz zobaczy go na kopercie, poczuje choć trochę dumy. Przecież było to jego dzieło. A raczej ich wspólne, jego i Eleny. Ale poczuł tylko smutek, strach i tęsknotę. Ani krztyny dumy.

*

Po wyjeździe Fredericka Kristoff, Elena, Josef i kierowca Henrik Schwann (który zaklinał się, że bezpiecznie odstawił Fabera do Bremy) zaczęli regularnie spotykać się w leśnej chacie. Robili to raz na tydzień, nocą. Elena twier-

działa, że nawet we czwórkę mogą dużo zdziałać na rzecz odzyskania dawnej Austrii. I choć Kristoff nie bardzo wiedział, co o tym sądzić, przystał do grupy. Właściwie zrobił to tylko ze względu na Elenę, by jej pilnować i znać jej zamiary.

Często brał ze sobą szkicownik i podczas gdy inni wymieniali się pomysłami, przysłuchiwał się i rysował. Większość propozycji nie miała większego sensu: na przykład Schwann, który studiował matematykę na Uniwersytecie Wiedeńskim i raz w tygodniu jeździł na zajęcia, zadeklarował, że mógłby rekrutować do grupy chętnych studentów. Dyskusje zawsze kończyły się tym samym – Schwann chciał uzbroić Żydów i zorganizować powstanie. Choć miał dziewiętnaście lat, czyli tyle co Kristoff, według młodego gawera zachowywał się jak mały chłopiec, którego ciągnie do niebezpiecznych zabaw. Kristoffowi nie podobały się te pomysły. Siedział więc i rysował, co działało kojąco na jego skołatane nerwy. Nie chciał, by Elena dostrzegła jego lęk, gdy Schwann z głupią zuchwałością opowiadał o podjęciu walki zbrojnej z Niemcami.

Pewnej nocy Josef odchrząknął i klepnął Kristoffa w ramię, by oderwać go od szkicowania.

– Mam w Wiedniu krewnych – zaczął, patrząc mu prosto w oczy. – Elisę i Roberta. Robert wykładał fizykę na uniwersytecie, ale od czasu Kristallnacht jest bez pracy. Nie dość, że zostali wyrzuceni z domu i nie mają z czego żyć, to jeszcze Elisa spodziewa się dziecka.

Kristoff pokręcił głową, nie rozumiejąc, do czego Josef zmierza.

– Potrzebują papierów? – spytała ściszym głosem Elena.

– Właśnie – przytaknął Josef, nie spuszczać wzroku z oczu Kristoffa. – Potrzebują papierów. Nie mają pieniędzy na wizę wyjazdową dla Żydów, a muszą się wydostać z kraju przed narodzinami dziecka.

Kristoff odwrócił głowę. Było mu niedobrze. Fałszowanie dokumentów narażało ich na ogromne niebezpieczeństwo. Josef sam to przyznał tamtego ranka, gdy Kristoff zwymiotował na śnieg.

– Przygotujemy im te papiery – oświadczyła Elena, zanim Kristoff zdążył cokolwiek powiedzieć. – Prawda, Kristoff? – Położyła rękę na ramieniu chło-

paka i zajrzała mu w oczy. Miała duże, rozszerzone podnieceniem źrenice.

Jak mógłby jej odmówić? I jak mógłby odmówić biednym kuzynostwu Josefa i ich nienarodzonemu dziecku?

Po chwili skinął głową, a Josef odetchnął z ulgą.

– Ale tylko im, nikomu więcej – zaznaczył Kristoff. – Nie możemy się tym dłużej zajmować. Nie i koniec.

Nikt tego nie skomentował. Słowa Kristoffa dźwięczały w pustej chacie. Już brzmiały nieprawdziwie, nawet w jego własnych uszach.

*

Następnego ranka Kristoff obudził się pierwszy. Latem na strychu było ciepło, spali więc nago, bo tak już się przyzwyczaili do własnej nagości, że w nocnej bieliźnie czuliby się dziwnie, nieswojo. Elena zarzuciła na niego nogę i Kristoff, chcąc wstać tak, aby jej nie zbudzić, musiał ją delikatnie odsunąć.

Poszedł do warsztatu, by popracować nad jej papierami, zanim dziewczyna pojawi się i zacznie go wypytywać. Od wczoraj, czyli od chwili, gdy na nocnym spotkaniu zgodzili się podrobić papiery dla kuzynostwa Josefa, przygotowanie fałszywych dokumentów dla Eleny stało się dla Kristoffa sprawą najważniejszą. Gdyby ktoś odkrył, czym się tu zajmują, córka Fabera powinna mieć gotową drogę ucieczki.

Prawie godzinę pracował w ciszy, a kiedy zobaczył, że Elena wychodzi z kuchni, szybko schował płytkę do szuflady.

Dziewczyna wkroczyła do pracowni boso i w koszuli Kristoffa, która wisiała na niej jak za duża sukienka. Przyniosła dwa kubki kawy; jeden postawiła na roboczym stole. Chłopak wychylił się i podziękował jej pocałunkiem. Odpowiedziała mu powoli i głęboko.

– Wyjedźmy stąd, teraz. – Kristoff odruchowo złapał ją za rękę. – Do Ameryki. Znajdziemy twojego ojca, będziemy mogli się pobrać. I żyć.

Elena się roześmiała. Myślała, że to żart.

– Naprawdę – powiedział. – Mówię poważnie.

Puściła jego rękę.

– Nie mogę wyjechać z Austrii bez mamy. Poza tym... kim wtedy będę? To znaczy, kim my będziemy? Dezerterami?

– Wszystko jedno – rzucił sfrustrowany.

Elena odwróciła głowę i spuściła wzrok.

– A właściwie nie, nie jest mi wszystko jedno – poprawił się. Starał się nie okazywać emocji. – Chcę tylko, żebyś była bezpieczna. I żebyśmy byli razem.

Dziewczyna uniosła głowę. Jej rysy złagodniały, a oczy przybrały odcień dojrzałych gruszek.

– Będziemy – zapewniła go. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem wskazującym jego policzka. Kristoff nie golił się już od wielu dni. Jej palec sunął po ostrym zarostcie. – Kiedyś.

– Kiedyś – powtórzył chłopak, uświadamiając sobie, ile waży to jedno słowo. Tyle, ile sobie obiecali. Przyszłość.

Zdjął jej rękę ze swojej twarzy i pieścił ją, wodząc ustami po kostkach dłoni, a potem otwierając ją i składając pocałunek na jej wnętrzu.

– Idę się ubrać – powiedziała. – A potem możemy zaczynać pracę nad tymi dokumentami dla krewnych Josefa.

Kristoff chciał ją powstrzymać. Korciło go, by pokazać jej już prawie gotową matrycę dokumentów na nazwisko Amaty Marsch, wyjaśnić, że od Führera może ich dzielić ocean, a Ameryka to bezpieczny ląd, podczas gdy w Austrii czeka ich okrutny los. Ale przypomniał sobie smutną twarz i łamiący się głos Fredericka, gdy wspominał panią Faber. Kuzynostwu Josefa nie długo urodzi się dziecko. Przed oczami stanęły mu dymiące ruiny synagogi w Grotzburgu. Gdyby teraz opuścili Austrię... Elena miała rację. Odwróciliby się i od pani Faber, i od wszystkich, którzy zostali w kraju i potrzebują pomocy. Zostawiliby ojczyznę w potrzebie. W głębi serca Kristoff wiedział, że Elena nigdy nie zdecyduje się na podróż przez ocean, wiedząc, że opuszcza matkę i swój dom.

CORONADO, 1989

Benjamin nigdy nie był w Coronado. Kiedy skręcam w ulicę babci, mówi, że bardzo tu urokliwie, trochę jak w Nowej Anglii.

– Zupełnie inaczej niż w LA – dodaje, a ja zaczynam żałować, że przyjechaliśmy tu w konkretnym celu, nie zaś, by beczynnienie posiedzieć z drinkiem nad wodą. Babcia, stając w drzwiach, rzuca szybkie spojrzenie na Benjamina. Na widok jej uniesionych brwi dociera do mnie, że odniosła niewłaściwe wrażenie.

– Babciu, to Benjamin Grossman. Filatelista, który pomaga mi badać sprawę znaczka – mówię, by uprzedzić jej pytanie lub komentarz. Nachylam się i całuję ją w policzek, dając jej chwilę na oswojenie się z sytuacją. Mam nadzieję, że nie palnie niczego głupiego.

– Dzień dobry, bardzo mi miło. – Babcia wyciąga rękę, którą Benjamin ujmuję i potrząsa nią z uśmiechem. – Zapraszam do środka. Właśnie zrobiłam sobie herbatę. Któreś z was ma ochotę?

Oboje kręcimy głowami.

– Och, przepraszam, zapomniałam, z kim mam do czynienia. Przecież to Pani Wielka Kawoszka. Zaparzyć, kochanie? Czy napijemy się tego obiecanego wina? – Rzuca mi złośliwy uśmieszek i strzela kolejnym spojrzeniem w stronę Benjamina. – Grossman, powiadasz? – mruczy pod nosem. – Skąd pochodzi pańska rodzina?

– Kawy, bardzo chętnie – odpowiadam szybko.

– Z Litwy – mówi Benjamin. – Moi dziadkowie w młodości wyemigrowali do Stanów. Więcej niestety nie wiem.

Babcia kiwa głową. Jest zadowolona, że dostała odpowiedź.

– My jesteśmy z Niemiec. Ale z czasów, gdy Niemcy były krajem żydowskim. Katie pewnie panu opowiadała?

– Troszkę – przytakuję. W samochodzie w wielkim skrócie zrelacjonowa-

łam Benjaminowi historię dziadków. Czyli opowiedziałam mu mniej więcej tyle, ile sama wiem.

– Panie Grossman, panu też kawy?

– Chętnie – odpowiada. – I proszę mi mówić po imieniu. Benjamin.

Babcia uśmiecha się i idzie do swojej maleńkiej, niemalże okrętowej kuchni, by nastawić ekspres. Zaczyna od nalania wody.

– Po twoim wyjeździe, Katie, cały czas rozmyślałam o tym liście. Nie mogłam przestać. Coś mnie nurtowało. Tak mi się zdawało, że jest w nim coś znajomego.

– Chodzi o Grotzburg? – pytam. – Babcia znalazła to miejsce na mapie Austrii – wyjaśniam Benjaminowi.

– Nie – mówi babcia. – O to nazwisko w adresie. Faber. Cały czas mi się zdawało, że gdzieś już je widziałam. – Babcia wsypuje kawę do filtra i włącza ekspres, po czym wyciera ręce w ściereczkę. Potem podchodzi do małego kuchennego stołu i sięga do dużego plastikowego pojemnika, jak się okazuje, pełnego papierów. – W zeszłym tygodniu wybrałam się na strych. Trzymam tam trochę korespondencji dziadka, której nie miałam serca wyrzucić. Listy od jego matki z Niemiec, sprzed wojny, i tak dalej. – Wyciąga coś ze środka i podaje mi.

Stara, pożółkła koperta prawie rozpada się w palcach. Adresatem listu jest dziadek, a na kopercie naklejono kilka ostemplowanych datownikiem niemieckich – jak sądzę – znaczków.

– Znaczki lotnicze Trzeciej Rzeszy? – Benjamin pokazuje palcem. – Z trzydziestego dziewiątego roku.

– To od jego mamy? – pytam babcie. Próbuję sobie wyobrazić matkę mojego dziadka, ale nie potrafię. Dziadek nigdy nie opowiadał o swojej rodzinie, jej historii i życiu sprzed przyjazdu do Ameryki. Dziś żałuję, że go o to nie spytałam. Po prostu jakoś nie poruszaliśmy tego tematu. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nawet nie wiem, jak się nazywała moja niemiecka prababcia.

– Nie, nie od niej – odpowiada babcia. – Ale przyszło razem z listami od

niej. Śmiało, otwórz.

Benjamin zagląda mi przez ramię, a ja niepewnie wyciągam z koperty delikatną, skruszałą kartkę.

– Po niemiecku? – pytam. Tekst jest dla mnie nie do rozszyfrowania.

Babcia wsuwa okulary na nos.

– Twój dziadek uczył się w szkole rzemiosł artystycznych w Berlinie.

– Nie miałam pojęcia.

– Cóż. Nie ukończył nauki, bo wyemigrowaliśmy do Ameryki. A tu, na miejscu, jego pasja wygasła. Po wyjeździe z kraju zarzucił rysowanie. Nawet o nim nie wspominał. Wiele lat, aż do dnia, kiedy otrzymał ten list. Jego kolega, właśnie z tej szkoły, musiał wydostać się z Austrii, która była pod niemiecką okupacją. Córka tego kolegi napisała do Gida i poprosiła go o pomoc.

Próbuję poskładać sobie to wszystko w głowie. Babcia opowiada mi o dziadku z czasów, kiedy go jeszcze nie znałam, kiedy jeszcze nie był moim dziadkiem. Jako młodzieniec uczył się w szkole rzemiosł artystycznych w Berlinie? Jego kolega znalazł się w Austrii zaanektowanej przez Hitlera? Choć zawsze wiedziałam, że dziadkowie urodzili się w Niemczech, to uważałam ich za amerykańskich Żydów, których nie dotknęła wojna, ponieważ wyjechali z Europy na długo przed jej wybuchem. Babcia opowiadała mi jednak, że jej rodzinne miasteczko zostało spalone. Teraz myślę o tych wszystkich, których musieli zostawić w ojczyźnie.

– Chyba niezbyt dużo wiem o waszym życiu sprzed przyjazdu tutaj – mówię. – Głupio mi, że nigdy o to nie pytałam.

– To nic, kochanie – odpowiada babcia. – Dziadek nigdy o tym nie opowiadał. Zresztą ja też nie. Tak woleliśmy. – Podnosi rękę i dotyka moich włosów, tak samo, jak robiła to, gdy byłam dzieckiem, i uśmiecha się jak babcia, która kocha swoją wnuczkę bezwarunkowo, tak jak mnie zawsze kochała i nadal kocha, mimo że jestem już dorosła, a do tego bezrobotna i prawie rozwiedziona.

Jej ręka zsuwa się z moich włosów, a wykrzywiony palec wskazujący kieruje się na dół kartki.

– Tu. Spójrz na podpis, kochanie.

Na kartce widnieją słowa: „Hochachtungsvoll, Elena Faber”. „Z poważaniem, Elena Faber”, tłumaczy babcia.

Ręka zaczyna mi drżeć i odkładam list na stół.

– Więc dziadek Gid znał Fredericka Fabera? To on był tym jego kolegą ze szkoły? – pytam.

Benjamin odzywa się równocześnie:

– Więc pomogliście mu wydostać się z Europy?

– Dwa razy tak – mówi babcia, spoglądając najpierw na mnie, a potem na Benjaminą. – Tyle tylko, że Herr Faber przed przyjazdem tutaj zmienił nazwisko. Domyślam się, że wyjechał z kraju na podrobionych papierach. Ja w każdym razie poznałam go jako Charliego. Wcześniej nie widziałam tego listu na oczy. Dziadek mi go nie pokazywał, po prostu opowiedział mi o swoim dawnym znajomym. Wtedy zapewne nazywał go Frederickiem czy Faberem, ale już tu, na miejscu, od początku mieliśmy do czynienia z zupełnie innym człowiekiem, Charliem Darnajem. – Babcia wraca do kuchni po kubki. – To dlatego nie skojarzyłam od razu, gdy mi pokazałaś ten list.

– Więc Frederick Faber nie zginął w Austrii? – pyta Benjamin z szeroko otwartymi z przejęcia oczami. – Tylko przyjechał tutaj? I zamieszkał w Kalifornii pod zmienionym nazwiskiem?

Babcia przytakuje, a Benjamin zwraca się do mnie:

– W takim razie rozumiem już, jak ten list trafił w ręce twojego ojca. Dostał go od samego Fredericka, czyli Charliego.

– Nie – zaprzecza babcia. – Biedny Charlie, kiedy tu dotarł, był w bardzo kiepskim stanie. Odszedł rok po przyjeździe, może trochę później. Zanim jeszcze pojawił się twój tata – mówi do mnie. – Marissa była wtedy, ja wiem? Może w pierwszej klasie liceum, kiedy Charlie zmarł. A twojego tatę poznała dopiero po maturze. Więc twój tata nie poznał Charliego.

Kawa jest prawie gotowa. Babcia nalewa jej z dzbanka do dwóch kubków, po czym jeden wręcza mi, a drugi Benjaminowi.

– Ale może tata Katie znalazł ten list tutaj – sugeruje Benjamin. – W prze-

ciwnym razie należy to uznać za niesamowity zbieg okoliczności, że znalazł go na jakiejś wyprzedazy albo w sklepie ze starzyzną.

– Nie widywaliśmy się za często z Charliem. Ja go za dobrze nie znałam, szczerze mówiąc – ciągnie babcia. – Był kolegą Gida, Gid znalazł mu mieszkanie i od czasu do czasu do niego zaglądał. Ja parę razy zaprosiłam go na obiad, ale potem... – Babcia rozkłada ręce i zawiesza głos. Najwyraźniej sama nie rozumie, czemu właściwie nie poznała tego człowieka. W dodatku to wszystko działo się tak dawno. Może zwyczajnie nie pamięta.

– A ta Elena? – pytam. – Słyszałaś o niej coś jeszcze, babciu?

– Nie – odpowiada babcia. – Tak jak mówiłam, nie zastanawiałam się, kim była ani jak się nazywała, aż do chwili, gdy mi pokazałaś ten list. W rzeczach Gida nic więcej od niej nie znalazłam. Jeżeli wysyłała jeszcze jakieś listy, to już ich nie ma.

– Więc ona tu nie przyjechała? Po wojnie?

– Może przyjechała. Ale mnie na ten temat nic nie wiadomo.

*

W drodze powrotnej oboje z Benjaminem milczymy. Niebo ciemnieje, ruch na drodze nie ustaje, jestem więc skoncentrowana na prowadzeniu auta. Myślę o liście Eleny – nie tylko o tym, który od paru tygodni noszę przy sobie, a którego jest adresatką, lecz także o tym drugim, napisanym przez nią do mojej go dziadka z prośbą o udzielenie pomocy jej ojcu. Wyobrażałam ją sobie jako piękną nieznajomą, uwięzioną przez Niemców, tymczasem wcale tak bardzo się ode mnie nie różniła. Nie była aż taka odległa. Ja po prostu miałam to szczęście, że moi dziadkowie zdecydowali się na wyjazd do Stanów, zanim naziści doszli do władzy. I że urodziłam się trochę później. W bezpiecznym miejscu.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – odzywa się Benjamin, kiedy jesteśmy już prawie w domu. Jedziemy przez hrabstwo Orange. Ruch na piątce znacznie zwalnia. Widzę przed sobą tysiące czerwonych tylnych świateł samochodów. Jadą zderzak w zderzak, sznurem do Los Angeles.

– Co masz na myśli?

– No to, że twój tata miał w zbiorach ten list. A twój dziadek znał Fredericka Fabera i ściągnął go do siebie do Ameryki. Podejrzewam, że ten list rzeczywiście był wśród rzeczy dziadka, a twój tata go po prostu przejął. Być może dziadek opowiedział mu o Fredericku.

Ja założyłam, że ojciec natknął się na list w sklepie ze starzyzną przypadkowo – w ten sposób nabył przecież sporą część swojej kolekcji. Biorąc jednak pod uwagę to, co powiedziała o powiązaniach naszej rodziny z Faberami babcia, Benjamin mógł mieć rację.

– Może dlatego tak się zdenerwował, kiedy mu go pokazałam. Bo coś dla niego znaczył. Albo dla dziadka. A on ostatnio wspominał o dziadku. Możliwe, że ma to wszystko jakoś połączone w mózgu. – Och, jak bardzo chciałabym wiedzieć więcej.

– Nie mogłabyś go zapytać? – podsuwa Benjamin. – Może by sobie przypomniał?

– Nie wiem. – Zanim tata przeniósł się do ośrodka, fantastycznie opowiadał o dawnych czasach. – Ostatnio jest jakiś nieswój. A kiedy pokazałam mu list, tak się wzburzył, że boję się drugi raz zaryzykować.

– Tak – wzdycha Benjamin. – Zdenerwował się, że możesz wpaść w kłopoty przez posiadanie tego listu?

Kiwam głową.

– Może zabrał go dziadkowi bez pozwolenia? – pyta.

– Nie, tak by nie postąpił – oponuję. – Kochał dziadka jak ojca. Jego własny ojciec zmarł, kiedy tata był mały, więc dziadek Gid mu go zastępował. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł mu coś ukraść.

Dojeżdżamy do mojego zjazdu z autostrady. Zastanawiam się, czy nie zaprosić Benjamin na drinka. Miło się jadło razem śniadanie – to było ledwie dziś rano, a zdaje się, że upłynęło parę dni. Nie mogę też przestać myśleć o tamtej nocy, kiedy spokojnie zasnęliśmy, trzymając się za ręce.

– Dzięki, że mnie ze sobą wzięłaś – mówi Benjamin. – Od jakiegoś czasu nie ruszałem się na południe. Unikałem tej części obwodnicy od czasu... –

Zawiesza głos i wbija wzrok w okno.

Nie musi kończyć, wiem, co ma na myśli. Wypadek, w którym zginęli jego najbliżsi.

– To ja dziękuję, że ze mną pojechałeś – odpowiadam, mijam swój zjazd i nie wspominam o żadnym drinku czy odwiedzinach. To był głupi pomysł. Benjamin wciąż oplakuje żonę. Ze mną łączy go tylko znaczek.

Wysiada pod sklepem, a ja wracam do siebie – sama.

AUSTRIA, 1939

Josef i Schwann szukali pociechy w obcowaniu z bronią, a Kristoff – z węglem, farbami, papierem, a nawet rylcem. Dlatego codzienna, trwająca od rana do nocy, dzielona z Eleną praca, polegająca na przygotowaniu matryc do fałszywych dokumentów, nie była dla niego ciężarem – o ile nie pozwalał sobie na myślenie, co by było, gdyby Herr Bergmann odkrył ich tajemnicę.

Kiedy płytki były już prawie gotowe i mogły trafić do znajomego drukarza Josefa, podczas nocnego spotkania w chacie zastanawiano się, jak przekazać gotowe dokumenty Robertowi i Elisie, którzy mieszkali w Wiedniu. Wysłanie ich pocztą nie wchodziło w grę – Niemcy otwierali i cenzurowali większą część listów, a osobiste przekazanie papierów również było bardzo ryzykowne. Podobnie jak wszyscy wiedeńscy Żydzi, Robert i Elisa nie mieli już prawa wynajmować mieszkania. Zostali przesiedleni do specjalnego domu dla Żydów, gdzie żyli pod ścisłym nadzorem żołnierzy, gotowych aresztować ich za najdrobniejsze przewinienie.

– Każdy sposób jest zbyt niebezpieczny. – Elena rozłożyła ręce poirytowana.

Kristoff wiedział, że powodem zdenerwowania dziewczyny jest ta beznadziejna sytuacja, a nie zachowanie któregoś z nich. On sam rysował szarotkę, myśląc o złożonej Frederickowi obietnicy, że podaruje ten kwiatek jego córce, nie narażając się przy tym na niebezpieczeństwo.

Kristoff gapił się na swój szkic, podczas gdy pozostali rozmawiali. Szarotka przywodziła mu na myśl znaczek Fredericka, ten sam, który podziwiał w dzieciństwie. Stary grawer, słaby i wychudły po długim pobycie w ukryciu, powiedział, że ten znaczek był wyrazem jego miłości do żony. A szarotka jest dowodem niezwykłej odwagi. „Czasem jedynym sposobem, by walczyć z wrogiem, jest stanąć w jego szeregach” – dodał wtedy.

I nagle doznał olśnienia. Już wiedział, jak powiadomić Roberta i Elisę, że ich dokumenty są gotowe. Był na to sposób – i cały czas mieli go przed no-

sem.

– Znaczki – powiedział na głos. Pozostali wciąż rozmawiali, a właściwie kłócili się o to, co jest mniej, a co bardziej niebezpieczne. – Znaczki – powtórzył głośniejszym głosem. Na tyle głośno, by zwrócić na siebie ich uwagę.

– Co, znaczki? – spytał Josef, krzyżując ramiona na piersiach.

– Znaczek z katedrą Świętego Szczepana jest już w obiegu. A gdybym tak go nieco zmienił? Dodał jakiś szczegół, który dałby im do zrozumienia, że ich papiery są gotowe? Mógłbyś im wysłać jakiś nudny list o pogodzie albo czymś innym, tak niewinnym, że nawet gdyby Niemcy go przeczytali, nie wpadliby na to, że coś jest na rzeczy. Kluczem byłby znaczek. I katedra. Można by im tam przekazać dokumenty. Niemcy nie będą przecież obserwować kościoła.

Elena spojrzała na niego tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Na jej twarzy najpierw odmalowało się zaskoczenie, a potem zachwyt. Wyciągnęła rękę i splótła palce z jego palcami. Chłopak nie chciał obnosić się z ich uczuciem przed Josefem i Schwannem, ale Elena przyciągnęła go do siebie i mocno przytuliła. Musiał odłożyć szkicownik, żeby też ją objąć. Josef patrzył to na jedno, to na drugie, ale nie skomentował ich zachowania. Dopiero po dłuższej chwili rzekł:

– Podejmujesz wielkie ryzyko. Jeżeli Niemcy zauważą zmianę w wyglądzie znaczka, nie będą mieli wątpliwości, czyja to robota.

– Wiem – odparł Kristoff.

– Zabiją cię – dodał Josef.

– Tak. – Kristoff z trudem przełknął ślinę.

Pamiętał, jakim spojrzeniem obrzucił go Josef tamtego poranka, kiedy on, Kristoff, wzięwszy do ręki broń, zwymiotował w śnieg. I jak na niego od tamtego czasu patrzył. Jak na przysparzające kłopotów dziecko. „Może to ciebie powinniśmy odwiedzić na pociąg” – rzekł wtedy z pogardą. Teraz jednak spojrzał na Kristoffa inaczej – jakby po raz pierwszy dostrzegł w nim mężczyznę.

*

Następnego dnia rano Elena nadal była upojona propozycją Kristoffa. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Krążyła, a w zasadzie niecierpliwie podskakiwała, po całym warsztacie. Chłopak siedział ze szkicownikiem na kolanach. Bał się, że złożył obietnicę na wyrost i nie zdoła jej dotrzymać. Miał wrażenie, że każda drobniotka linia, składająca się na wizerunek wiedeńskiej katedry, drażni się z nim, kryjąc przed nim swój sekret. Musiał wkomponować w te linie szarotkę, i to tak zmyślnie, żeby kwiatek nie rzucił się w oczy Niemcom na pocztce, lecz jednocześnie był dostrzegalny dla Roberta i Elisy. Próbował lekko, luźno wrysować płatki w spirale wieży. Następnie pokazał efekt swojej pracy Elenie, by go oceniła.

Dziewczyna zamarła z przejęcia.

– Nie widzę... Och. – Wyciągnęła rękę i lekko powiodła palcem po konturze płatków. – Identyczna jak taty... – dodała ze łzami w oczach.

Kristoff wyjął jej szkicownik z rąk i odłożył go na blat. Potem przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Twojemu tacie już nic nie grozi – wyszeptał w jej włosy – a my niedługo też wyjedziemy.

– Kristoff, wiesz, że nie zostawię tu mamy. Nie...

Pocałował ją, by nie kończyła, nie mówiła tego, co miała na myśli, nie protestowała.

– Chodź, coś ci pokażę. – Podeszedł do półki, na której za starymi podręcznikami grawerstwa ukrył płytki przygotowane do wydrukowania papierów na nazwisko Amaty Marsch. – Dla ciebie też szykuję dokumenty. Już prawie skończyłem. – Podawszy jej matryce, z niepokojem czekał na jej reakcję. Bał się wybuchu gniewu, tymczasem dziewczyna zaczęła się śmiać. – Co w tym śmiesznego? – spytał. Czuł się nieco urażony. Wyśmiewa się z niego? Z tego, nad czym tak ciężko pracował?

Elena podeszła do obluźowanej deski w podłodze, wyciągnęła ją i wydobyla spod niej stalową płytkę grawerską.

– A ja... dla ciebie – oświadczyła, podając mu swoje dzieło. Nazwisko,

które dla niego wybrała, Theodor Laurenz, idealnie pasowało do Amaty Marsch.

– Więc jestem twoim Lauriem – powiedział miękko Kristoff. Po raz pierwszy odważył się sięgnąć wzrokiem dalej i dostrzegł, że jednak mają przed sobą przyszłość. Że rysuje się ona za koszmarem, który ich otacza, i za pięknymi chwilami, które ze sobą dzielili. – Kocham cię – wyznał z trwogą. Bał się złożyć to wyznanie nie w nocy, gdy Elena już spała, lecz za dnia, gdy patrzył jej w oczy, które teraz, we wpadającym do pracowni świetle, wydały mu się srebrzystozielonkawe i lśniły niczym monety.

Elena odłożyła swoją płytkę i wspięła się na palce, tak by jej twarz znalazła się tuż obok twarzy Kristoffa. Pocałowała go – krótko, ale czule. Doskonale wiedział, co ona czuje. Nie musiała mówić tego na głos.

Ale powiedziała.

– Ja ciebie też.

LOS ANGELES, 1989

Następnego dnia budzę się opornie i dopiero po chwili dociera do mnie wszystko, co się wczoraj zdarzyło: że babcia znalazła list, że okazało się, iż Frederick Faber jest powiązany z moją rodziną, a Benjamin nie wierzy w zbiegi okoliczności. Nie wspominając o tym drobnym fakcie, że rzuciłam robotę, więc nie idę dziś do redakcji. Wstaję, ubieram się i robię sobie kawę. Na myśl, że jestem bezrobotna, czuję jednocześnie obezwładniającą ulgę i przerażenie.

Korci mnie, by jechać do The Willows, zobaczyć się z tatą, porozmawiać z nim o odkryciu babci. Wczoraj tata był jednak do tego stopnia nieobecny, a wręcz obcy, że na razie nie mogę się do tego zmusić. Zaczynam więc przeglądać teczkę, przekazaną mi przez Jasona, gdy spotkaliśmy się na drinka, która do tej pory leżała na kuchennym stole. Czytam notatki, zapoznaję się z organizacjami działającymi na rzecz łączenia rodzin rozdzielonych podczas wojny. Otwierając listę Stowarzyszenie Ofiar Holocaustu w LA wydaje się najłatwiej dostępne, postanawiam więc zadzwonić tam w pierwszej kolejności.

Rozmawiam z kobietą nazwiskiem Jackie Goldberg, która proponuje mi przeszukanie stworzonej przez siebie na przestrzeni ostatnich lat bazy danych zawierającej nazwiska ofiar Holocaustu oraz tych, którzy go przetrwali. Informuje mnie, że zbiór ten nadal nie jest kompletny, lecz nie przeszkadza to sprawdzić, czy figurują w nim Elena i Kristoff.

– On nawet nie był Żydem – mówię. – Więc szanse są pewnie marne.

– Szanse tak czy siak są marne – wzdycha kobieta. – Mnóstwo ofiar zostało pochowanych w zbiorowych mogiłach, część tych, którzy przeżyli, nadal nie chce się ujawniać, nierzadko żyją pod zmienionym nazwiskiem.

„Jak Frederick Faber, którego babcia znała jako Charliego” – myślę i głośno pytam:

– Więc jak ich państwo szukacie? To musi być bardzo frustrujące zajęcie.

– Owszem – odpowiada. – Ale czy można go zaprzestać? Przecież musimy szukać, prawda?

Zabawne, że mówi w liczbie mnogiej: „my”. Wyjaśniam, że ja tak naprawdę jeszcze się do tego nie zabrałam, poszukuję tylko nadawcy i adresata pewnego listu. Zależy mi, żeby poznać pewną historię z tamtych lat.

– W porządku – mówi Jackie Goldberg. W jej głosie pobrzmiwa nuta sceptycyzmu, jakby wątpiła w moje słowa, ale obiecuje zadzwonić, gdy się czegoś dowie.

*

Ledwie odkładam słuchawkę, rozlega się stukanie do drzwi. Wyglądam przez okno. Na ulicy przed domem parkuje srebrne bmw Daniela.

– Katie! – słyszę jego głos zza drzwi. – Wiem, że jesteś w domu. Widzę twój samochód. Otwórz.

Przypominam sobie naprędce nabazgrane wypowiedzenie umowy o pracę, które wczoraj wrzuciłam mu do przegródki, i mimo że mam ochotę uciec do sypialni, wczołgać się pod łóżko i udać, że mnie nie ma, wiem, że trzeba wziąć byka za rogi. Idę otworzyć.

Daniel patrzy na mnie z pewnym zaskoczeniem, jakby się nie spodziewał, że się ujawnię, mimo że przecież sam mnie do tego nawoływał.

– Proszę – mówię.

Daniel jednak się waha, zagląda w głąb mieszkania, omiata wzrokiem salon – tak jak bada się miejsce niegdyś własne, a teraz cudze. Ja przeżyłam to podczas wakacji po pierwszym roku studiów, kiedy przyjechałam do taty. To było tuż po śmierci mamy, i choć dom nie zmienił się z wyglądu, nie był już dla mnie tym samym domem.

– Zmieniłaś zasłony. – Daniel w końcu wchodzi do środka i wskazuje na okno, to za kanapą.

Owszem, zmieniłam wykwintne, drogie welurowe zasłony, które dostaliśmy na rocznicę ślubu od jego mamy, na tanie z marketu. Są w niebieskie ptaki – błękitniki, sprawdziłam w atlasie – i pasują do bladobłękitnych ścian.

Te welurowe wyrzuciłam do śmieci – pamiętam, że przez krótką chwilę czułam nawet satysfakcję.

– Dostałeś moje wypowiedzenie? – pytam, nie reagując na uwagę o zasłonach.

Daniel kiwa głową. Jest poważny, ale raczej się nie gniewa.

– Nie musisz rezygnować z pracy, Katie. Możemy nadal widywać się w redakcji.

– Nie, ja tak nie potrafię – odpowiadam.

– Jak uważasz – mówi, jakby rozumiał, ale nie sędzę, żeby tak było. Sam poszedł dalej, wyprowadził się, i to już dawno. – Nieważne, nie po to przyjechałem. – Siada. – Próbowałem zamienić z tobą słowo wczoraj, ale nie zdążyłem, bo wyszłaś. – Spuszcza wzrok i przeciąga ręką po brązowym obiciu kanapy, zupełnie jakby było dla niego nowe, obce, nieznanne, tak jak zasłony, choć przecież sam wybierał tkaninę w sklepie. – W zeszłym tygodniu dzwonił do mnie z The Willows. Z tobą, jak rozumiem, nie mogli się skontaktować.

– Co? – pytam, bo tego się nie spodziewałam. The Willows i Daniel, tata i Daniel zajmują w mojej głowie dwie całkowicie oddzielne przegródki. Jakby nie istnieli w tym samym wszechświecie.

– Najwidoczniej jestem na liście osób do kontaktu – stwierdza.

Robi mi się głupio, że wczoraj tak go unikałam, skoro właśnie to chciał mi przekazać.

– Przepraszam – mówię. – Wypełniałam te papiery, zanim... Następnym razem, jak tam będę, każę cię wykreślić. – Zawieszam głos. – Wyjechałam na Święto Dziękczynienia. Dlatego nie mogli mnie złapać. Ani oni, ani ty.

– Wyjechałaś? – Unosi brwi; pewnie się zastanawia, dokąd to mogłam się udać. Ja jednak milczę. To już nie jego sprawa, gdzie byłam i z kim. – No, w każdym razie pojechałem tam i się z nim widziałem. To znaczy z twoim tatą. Po tym, jak zadzwonili.

– Ty? – Nie mogę uwierzyć. – Po co?

Daniel wzrusza ramionami.

– Twierdzili, że nie odbierasz telefonu, a ja byłem następny na liście. Nie wiedziałem, co robić. Na ile poważna to sprawa. No wiesz... Niezależnie od tego, czy jesteśmy małżeństwem czy nie, nie życzę mu źle.

Daniel, kiedy jeszcze byliśmy razem, nigdy nie zaproponował mi pomocy w opiece nad tatą. Ignorował go i jego stan zdrowia przez dobry rok przed naszym rozstaniem, a kiedy choroba taty pochłaniała już całą moją uwagę, ja z kolei zaczęłam ignorować Daniela. Zdaję sobie jednak sprawę – pomijając to, co między nami zaszło – że Daniel jest miłym, z natury życzliwym facetem. I może właśnie dlatego tak trudno było mi zrozumieć i zaakceptować to, że nasze małżeństwo się rozpadło.

– Dziękuję – mówię. – To dla mnie dużo znaczy.

– Wiesz, co mi twój ojciec powiedział? – pyta Daniel. Kręcę głową, na co on się śmieje. – Że sam dopuścił do tego, by przepadła miłość jego życia, więc ja jestem idiotą, tracąc swoją.

Podchodzę i siadam obok niego na kanapie.

– On często nie wie, co mówi. Prawdopodobnie nie miał na myśli ciebie i mnie. Zresztą nawet o nas nie wie. – Więcej nie powiem, bo nie chcę się rozplakać. Nie z powodu Daniela ani tego, co straciliśmy, zaprzepaściliśmy, o co przestaliśmy walczyć i jak się od siebie oddaliliśmy. Bo to wszystko już minęło, zostawiłam to za sobą. Mam oczy pełne łez z powodu taty, który niby jest z nami, a wcale go nie ma. – Ostatnio z nim nie najlepiej. Nie powinien brać sobie tych słów do serca.

Daniel kiwa głową, jakby rozumiał.

– Kiedy przyszedłem, właśnie wrócił z zajęć plastycznych i pokazał mi obraz, który namalował. Portret twojej mamy. Więc może masz rację, może rzeczywiście miał na myśli ją i siebie, ale mimo wszystko... – Zawiesza głos, spogląda na mnie i przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Ładne ma te oczy, bladoniebieskie. Przypominam sobie, jaka byłam nim oczarowana, kiedy go poznałam, kiedy spojrzał na mnie tak, jakbym była kimś wyjątkowym i ważnym. I jak powiedziałam tacie, że już go Kocham, jeszcze zanim go poznałam.

Ale to było dawno. Tyle się od tego czasu zmieniło. U mnie, u nas. Może

nasza miłość nie należała do tych trwałych? Elena wyskoczyła z pociągu, ryzykując życie, by ocalić ojca i wrócić do Kristoffa. Okoliczności były trudne, wokół same niebezpieczeństwa, a ona kochała tak mocno, że była gotowa do poświęceń. A Benjamin? Dziwaczny, miły Benjamin, który stracił rodzinę i dwa lata później nadal cierpi? Daniel i ja nie kochaliśmy się tak jak oni. Kiedy okoliczności przestały nam sprzyjać, nasze drogi się rozeszły i Daniel zrezygnował. I proszę – nic wielkiego się nie stało, nawet nieźle się trzymamy.

– Dał mi ten obraz – mówi w końcu Daniel. – Mam go w bagażniku. Wziłem go cały tydzień, chciałem ci go oddać i opowiedzieć, jak to było. – Przerzywa i czeka, aż skomentuję jego słowa lub może zasugeruję, że tata miał rację, twierdząc, że Daniel rzeczywiście jest idiotą, skoro mnie zostawił. Jeszcze parę miesięcy temu na pewno bym tak zrobiła. Ale teraz milczę. Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Pójdę go przynieść – dodaje Daniel. – Zaczynam wracam.

Kiedy znika za drzwiami, wstaję i idę do kuchni. Tam rozcinam kopertę z głupimi kwiatkami na znaczkach, która nadal leży na blacie, i wyciągam z niej papiery rozwodowe. Biorę pierwszy lepszy długopis i podpisuję się w zaznaczonych miejscach. Gdy Daniel wraca, niosąc pod pachą zwiniętą w rulon pracę taty, podaję mu dokumenty.

– Co to? – pyta, ale na jego twarzy natychmiast pojawia się zrozumienie. – Nie musisz mi tego dawać teraz. Możesz je wysłać pocztą.

Jakie znaczki wybrałabym na list z taką zawartością? Nie wiem, jaki symbol byłby tu stosowny. Może kwiaty to wcale nie najgorszy pomysł, bo koniec naszego małżeństwa jest banalny, zwyczajny i wcale nie aż tak brzydki jak te kwiatki na znaczkach.

– Nie – mówię. – Weź to teraz. Przepraszam, że tak długo je trzymałam.

Daniel bierze papiery i wręcza mi obraz. Rozwijam karton i moim oczom ukazuje się portret pięknej kobiety, która zdecydowanie nie jest moją mamą. Mama miała ciemną karnację, długie brązowe loki i niebieskie oczy, jak ja. Oczy tej kobiety są zielone, a faliste włosy – jasnobrązowe, prawie blond. Rysy też ma zupełnie inne. Nigdy nie wzięłabym jej za mamę.

– To nie jest moja mama – stwierdzam. – Pewnie kopiowali jakiś przypadkowy portret – śmieję się.

– Hm, ja jej nie poznałem – odpowiada Daniel.

Zerkam na fotografię mamy, ustawioną na gzymsie naszego – przepraszam, mojego – nigdy nie używanego kominka. To moja ulubiona. Czarna-biała, niepozowana, zrobiona na plaży w Coronado. Ja mam może z pięć lat, a ona mnie przytula. To zdjęcie stoi na kominku od dnia, kiedy wprowadziliśmy się tu z Danielem, ale jak widać, nigdy mu się nie przyjrzał.

Daniel coś mówi – przeprasza za pomyłkę – lecz ja go już nie słucham. W obrazie taty jest coś, co mnie intryguje, przyciąga moje spojrzenie... Kryje się chyba we włosach, w falujących jasnobrązowych puklach tej kobiety. Wygląda prawie jak... nie, to absurd. Niemożliwe.

Ustawiam obraz tak, by padało na niego światło z frontowego okna. Teraz widzę dobrze. A więc to nie żaden mój wymysł. We włosach kobiety rozkłada swoje płatki kwiat szarotki. Jest ukryty, prawie niewidoczny – tak samo jak na znaczku.

AUSTRIA, 1939

We wrześniu Niemcy wkroczyli do Polski, a Francja i Wielka Brytania wypowiedziały im wojnę. Kristoff, dowiedziawszy się tego od Josefa, poczuł dziwną ulgę – teraz z Niemcami walczyli też inni, i to prawdziwi żołnierze. Nie tylko oni – zwyczajni cywile.

– Może uda się to zatrzymać – rzekł do Eleny pewnego wrześniowego ranka, gdy oboje byli zajęci w warsztacie. – Francuzi i Brytyjczycy poradzą sobie z Niemcami.

Mimo stanowczych zapewnień Kristoffa, że fałszywe dokumenty dla Roberta i Elisy były ostatnimi, jakie przygotowali, podrabiali już z Eleną dwa kolejne zestawy – jeden dla innych kuzynostwa Josefa, małżeństwa, które dowiedziało się o tej możliwości od Roberta, a drugi dla pewnego Żyda, znajomego Schwanna z uniwersytetu. Josef wydrukował zaś piętnaście egzemplarzy zmienionego znaczka z katedrą Świętego Szczepana, co sugerowało, że wszyscy prócz Kristoffa są przekonani, że chłopak dalej będzie podrabiał dokumenty.

Poza fałszywymi papierami dla Żydów Kristoff z Eleną pracowali też nad nowym znaczkiem dla Herr Bergmanna, którego wizyty spodziewali się lada dzień. Kristoff co rano budził się z obawą, że Niemiec zjawi się właśnie dzisiaj.

– Kristoff, to tylko pobożne życzenia – wzdychała Elena, gdy wyrażał swoją nadzieję, że reszta Europy przyjdzie Austrii z pomocą. Chłopak zdawał sobie sprawę, że jego stałe zamartwianie się ją wykańcza. – Mówiłam ci, że nie musisz tego robić, jeżeli nie chcesz.

– Nie o to chodzi, że nie chcę. – Chętnie pomógłby wszystkim Żydom bezpiecznie wydostać się z Austrii. Ba! Nie marzył o niczym innym jak tylko o tym, by naziści poszli precz, a Austria i dom Faberów znowu były piękne, pełne światła. – Po prostu czuję, że Josef miał rację, twierdząc, że jeżeli dalej będziemy to robić, to nas złapią. I wszyscy zginiemy.

Elena pokręciła głową.

– To było jeszcze przed twoimi fantastycznymi znaczkami.

– Ale gdyby jakiś niemiecki żołnierz wypatrzył szarotkę... – Kristoff przypomniał sobie słowa Josefa: „Zabiją cię”. Wziął je sobie do serca na tyle dosłownie, że za każdym razem, gdy je przywoływał, coś kłuło go w piersi.

– Oni nie zwracają sobie głowy takimi bzdurami jak znaczki – stwierdziła z absolutnym przekonaniem Elena.

Kristoff chciałby jej wierzyć.

– Nie możesz tego wiedzieć. I pamiętaj, że kto zginie, ten nie będzie już walczyć z Niemcami – dodał. Był to jeden z tych próżnych sporów, które często ze sobą toczyli. Kristoff pragnął zaplanować ucieczkę Eleny, a w zasadzie ich obojga, ze szczegółami, ona natomiast nawet nie chciała o tym słyszeć.

Dziewczyna odłożyła rylec i wyciągnęła rękę. Gest pojednania. Nie chciała się kłócić. Na dworze robiło się ciemno i warsztat powoli pogrążał się w mroku. Kiedy oboje wyszli na podwórze, nie byli już grawerami, którzy niestrudzenie przez cały dzień żłobili w stalowych płytach, na swój własny, mały sposób włączając się w walkę z wrogiem, lecz dwojgiem zakochanych, którzy pragnęli kochać się tak długo, jak się tylko da.

*

Za każdym razem, gdy kończyli pracę nad jakąś partią dokumentów i Kristoff miał nadzieję, że wreszcie uda mu się nakłonić Elenę do wyjazdu, pojawiał się Josef z kolejną prośbą. Każda opowieść była smutniejsza od poprzedniej, a jej bohaterowie – jeszcze bardziej zdesperowani, by uciec z ojczyzny. Odmowa nie wchodziła w grę, Kristoff nie mógłby tego zrobić. Pracowali więc z Eleną do późna, przesiadywali nocami w warsztacie i nabierali coraz większej wprawy w fachu. Potem Josef drukował dokumenty i wysyłał trywialny list, opisujący pogodę i kondycję stada owiec na farmie Bauerów, przyklepiając w prawym górnym rogu koperty znaczek z szarotką, dzieło Kristoffa. Schwann zawoził fałszywe papiery do Wiednia i przekazywał je ich

nowym właścicielom w katedrze.

Kristoff często łapał się na tym, że żyje na wstrzymanym oddechu, cały czas podświadomie czekając, aż pojawią się Niemcy i zaaresztują ich za fałszerstwo. Zastanawiał się, czy mimo wszystko nie poprosić Josefa o broń, ale szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, jak jej w ogóle używać. Zresztą w walce z uzbrojonymi żołnierzami i tak nie miałyby najmniejszych szans.

*

Pewnego październikowego poranka obudziło ich walenie w drzwi. Kristoff poderwał się z łóżka. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi – Niemcy.

W zeszłym tygodniu Josef przekazał im wiadomość, że z Wiednia wywieziono setki Żydów. Jeżeli wierzyć plotkom, wysłano ich do getta znajdującego się na terenie okupowanej Polski. W tej sytuacji ich praca nabrała jeszcze większego znaczenia, podkreślił Josef. Lub, jeśli spojrzeć na to inaczej, jak pomyślał Kristoff, niebawem zostaną aresztowani.

Walenie się powtórzyło. Kristoff był już pewien. Odkryli jego znaczek.

Potem usłyszał głos Josefa nawołujący Elenę i zamarł na skraju łóżka. Ulga była tak wielka, że omal nie osunął się z powrotem na materac.

Elena, usłyszawszy, że to Josef ją woła, szybko narzuciła na siebie koszulę Kristoffa. On zaś wciągnął spodnie i oboje pobiegli na dół, do drzwi.

Josef wszedł za próg i spojrzał prosto na Elenę, a ona ciaśniej owinęła się za dużą koszulą, jakby nagle się zawstydzila, poczuła zbyt obnażona.

– Co? – rzuciła obronnym tonem.

– Przyszedł list – odparł Josef i wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał kartę pocztową. Jego ręka drżała, co było do niego zupełnie niepodobne.

Kristoffowi nadal łomotało serce. Ciągle był przekonany, że zostali nakryci, że już po nich. „Jak szybko zdołamy stąd zniknąć?” – myślał gorączkowo.

– Od twojej mamy – dodał Josef łamiącym się głosem.

– Co? – spytała Elena z niedowierzaniem, wyrywając mu kartę. – Jak to?

– Przeczytaj – poprosił Josef.

Kristoff zajrzał dziewczynie przez ramię i w górnym rogu listu zobaczył napis „Konzentrationslager Mauthausen”. Pod spodem widniały instrukcje dotyczące porozumiewania się i korespondencji z więźniem. Z więźniem? Przecież pani Faber nie zrobiła nic złego – była tylko austriacką Żydówką, która żyła własnym, zwyczajnym życiem. Po prawej stronie kartki znajdował się adres Josefa, natomiast nad nim – znaczek Kristoffa, ten z katedrą. Autentyczny, zamówiony przez Niemców i dla nich wykonany.

– Znaczek – powiedział Kristoff i w jednej chwili przepełniła go rozpacz, że dzieło jego rąk zostało wykorzystane przez panią Faber, więźniarkę.

Elena przekreśliła kartę. Na odwrocie znajdowała się wiadomość dla Josefa. Elena przesuwiała palcem po literach, jakby dotykając odręcznego pisma mamy, mogła ją poczuć, zobaczyć tuż obok, żywą, oddychającą. Przeczytała na głos:

Drogi Josefie, piszę, by Cię zapytać o dziewczynki. Czuję się dobrze i tak też pracuję. Mam co jeść i na razie nie jest za zimno. Nastrój mi dopisuje. Ale codziennie myślę o moich córkach i modlę się, by były bezpieczne. Proszę, napisz, że tak jest. Odpowiedz, kiedy dostaniesz ten list.

Pozdrowienia

Minna Faber

Elena przycisnęła list do piersi i głęboko wciągnęła powietrze. Jej mama żyła, była cała i zdrowa, przynajmniej na razie.

– Dziś jej odpiszę – postanowiła.

– Nie rób tego – odparł Josef. – Poczta jest cenzurowana. Niemcy myślą, że wyjechałaś. Nie możesz do niej pisać.

– W takim razie ty musisz to zrobić! – wykrzyknęła Elena. – Trzeba dać znać mamie, że Miri jest w Anglii, tata żyje i jest w Ameryce, a ja tutaj. I że za nią walczę. Za nią i za całą Austrię.

Spojrzała na Kristoffa, licząc na jego wsparcie, ale go nie znalazła – chłopak zgadzał się z Josefem.

– Przykro mi – odparł – ale Josef ma rację.

– Napiszę – obiecał Josef – że ty i Miri wyjechałyście do Londynu i macie się dobrze.

– Kiedy to nieprawda! A co z tatą? Przecież mama sądzi, że on nie żyje.

– Lepiej będzie dla niej i dla nas wszystkich, jeżeli nie pozna prawdy. Niemcy uważają, że twój ojciec nie żyje – stwierdził Josef. – I niech tak dalej myślą.

Josef przygarnął Elenę do siebie i choć gest ten nie spodobał się Kristoffowi, chłopak nie skomentował go ani nie zaprotestował.

– Spójrz na to inaczej – rzekł Josef. – Twoja mama żyje. Pisze, że ma siłę. To dobra wiadomość.

– To prawda – zgodziła się niepewnie Elena.

– Dziś jej odpiszę, żeby się nie martwiła i uważała na siebie. To dla nas najważniejsze. Żeby nikomu nic się nie stało.

Ten jeden raz Kristoff musiał się z nim zgodzić.

*

– Opowiedz mi o naszej przyszłości – poprosiła Elena kilka dni później. Leżeli w łóżku, było ciemno. Jej udo spoczywało na nogach Kristoffa. Miała zimną skórę, więc chłopak opatulił ich szczelnie kocem. Teraz, jesienią, na poddaszu zrobiło się dużo chłodniej.

– Hm – zaczął Kristoff. – A więc będzie tak: pojedziemy do Ameryki i odnajdziemy twój tatę. Kupimy sobie mały domek. Mniejszy niż ten, ale własny.

– Gdzieś nad wodą – poprosiła Elena cicho, sennie. – Zawsze chciałam mieszkać nad wodą.

– W takim razie nad wodą – oświadczył Kristoff. Nie znał zbyt dobrze geografii Stanów Zjednoczonych, ale postanowił jutro zerknąć na mapę i wybrać miejsce, które spodoba się Elenie. Pocałował ją w czubek głowy, wdychając brzoskwiniowy zapach jej włosów.

Elena wtuliła się w niego i trochę rozluźniła.

– Spotkamy się z mamą i z Miri. A potem będziemy mieć dziecko, dziewczynkę – dodała. – A może dwoje. Dziewczynkę i chłopca.

– Dziewczynkę i chłopca – powtórzył Kristoff.

Zastanawiał się, jak to będzie – nie odczuwać tego straszego ciężaru przyniatającego serce. Nieustającego, wszechogarniającego strachu. Próbował sobie wyobrazić, że czuje się lekko i swobodnie. I że tak samo czuje się Elena jako matka ich dzieci. I to, jak będą one wyglądać. Widział je w wyobraźni – miały oczy koloru skórki dojrzalej gruszki i brązowe falujące włosy Eleny. Dwie śliczne małe istotki bawiące się w płytkiej wodzie przy samym brzegu morza. Słyszał śmiech Eleny pośród szumu fal.

Oboje przez chwilę milczeli, pogrążeni we własnych myślach. Kristoff uświadomił sobie, że nigdy w życiu nie pragnął niczego bardziej, niż żeby spełniła się ta wizja, którą właśnie na głos opisał Elenie.

– Chcę, żebyś pokochał inną – odezwała się w końcu dziewczyna niewyraźnym, sennym głosem. – Gdyby coś się ze mną stało, chcę, żebyś spełnił to marzenie. Z inną.

– Nigdy nie pokocham innej – odpowiedział Kristoff. – Nie chcę. Chcę je spełnić z tobą.

Ale Elena nie odpowiedziała. Oddychała równo, rytmicznie. Po wielu nocach spędzonych w warsztacie przy mozolnej pracy wreszcie twardo zasnęła.

LOS ANGELES, 1989

Jeżeli Benjamin się nie myli, to obecność tego znaczka w zbiorach taty nie może być kwestią przypadku. Tata musiał skądś wiedzieć o powiązaniach babci i dziadka Gida z Frederickiem Faberem. I musiało mu to mocno zapaść w pamięć. Ten wycinek historii akurat zatrzymał się na sicie w jego głowie, mimo że tyle innych bezpowrotnie przez nie przeleciało. Bo gdyby było inaczej, to jak wyjaśnić tę szarotkę wkomponowaną w obraz?

Jadę do The Willows. Mam ze sobą otrzymany od Daniela portret nieznamym kobiecie z szarotką we włosach. Jadę z nadzieją, że dziś czegoś się dowiem. Może gdzieś głęboko w głowie taty kryje się klucz do zagadki, co się stało z Kristoffem i Eleną.

– O, dobrze, że trafił w pani ręce. – Kiedy wchodzę, Sally wskazuje na rulon, który niosę pod pachą. – W zeszłym tygodniu przekazałam go pani mężowi.

– Eksmężowi – poprawiam ją. Mówienie prawdy na głos wyzwala. Karen miała rację. Czuję się dużo lepiej, gdy wreszcie mam to za sobą.

Sally skinieniem głowy przyjmuje do wiadomości moją poprawkę i więcej nie porusza tematu. Bo i po co?

– Ted ma się dziś dobrze – mówi tylko.

Wypuszczam powietrze, by się uspokoić. Denerwowałam się, jadąc tutaj. To głupie tak się stresować przed każdym spotkaniem z własnym ojcem. Nie wiem jednak, czy kiedykolwiek przywyknę do tego, że nigdy nie wiadomo, jak się potoczy nasza rozmowa.

– Och – dopiero teraz słyszę, że Sally mówi dalej – i mam jeszcze kilka, gdyby pani chciała je zabrać. – Jeszcze raz wskazuje na rulon.

– Rysunków?

Pielęgniarka kiwa głową.

– Tak. Wszystkie są takie same. Ostatnio na każdym zajęciach tata rysuje

pani mamę. To takie urocze.

– To nie jest moja mama.

– Naprawdę? Och... Cóż. Wszystko jedno. W każdym razie zachowałam je dla pani.

– Skąd przypuszczenie, że to moja mama? – pytam. To dziwne i ciekawe, że i ona, i Daniel tak samo, niewłaściwie i bezpodstawnie, zinterpretowali obraz.

Sally zastanawia się przez chwilę.

– Mówił, że maluje swoją ukochaną. Założyłam, że... Ale może... – jąka się, jakby kopała pod sobą coraz głębszy dołek i nie wiedziała, jak się z niego wydostać. Po chwili uśmiecha się do mnie smutno. – Proszę do niego iść – mówi. – Ja tymczasem wyjmę prace z magazynku. Wychodząc, zadecyduje pani, czy chce je zabrać.

*

Gdy idę do jego pokoju, jeszcze raz spoglądam na obraz, który niosę. „Ukochana”. Czyżby tata naprawdę odpłynął tak daleko, że nie potrafi przypomnieć sobie twarzy mamy? Boli mnie, że już tylko ja i babcia ją pamiętamy, choć nasze wspomnienia też się powoli zacierają. Czy to możliwe, by mój ojciec, mężczyzna, którego zawsze kochałam, szanowałam i któremu całkowicie ufałam, miał romans? Kochał inną kobietę?

– Caryca Katarzyna! – Tata dostrzega mnie w drzwiach. Ma żywy, wesoły głos. Jest taki, jakiego zawsze znałam. I nadal jest.

– Cześć, tato. – Wchodząc do pokoju, próbuję nadać swojemu głosowi wesoły ton, ale i tak brzmi bezbarwnie i płasko, przypomina świąteczne dekoracje, które wiszą w holu, tuż za drzwiami.

– Coś nie tak, skarbie? – pyta.

Nagle pragnę mu wszystko opowiedzieć. W tej ulotnej chwili, kiedy tata z powrotem stał się sobą, chcę mu streścić kilka ostatnich miesięcy mojego życia: rozstanie z Danielem i odkrycia dokonane z Benjaminem. Sama nie wiem czemu, ale mam ochotę opisać mu kolor cegieł w Oksfordzie i to, że

powietrze pachniało tam mokrą ziemią i że Benjaminowi zależy na wyjaśnieniu historii znaczka tak samo jak mnie.

Zamiast tego mówię jednak:

– Rozwiedliśmy się z Danielem.

Tata kiwa głową; ta wieść go nie zaskakuje. Próbuję się zorientować, czy Daniel wspomniał mi o tym podczas swojej wizyty w zeszłym tygodniu (a nawet gdyby, to czy tata po tygodniu nadal by o tym pamiętał?), czy po prostu był przekonany, że prędzej czy później do tego dojdzie. Że to nieuniknione.

– Trzymasz się? – pyta w końcu.

– Chyba tak – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Może mi to przeznaczone. Być samą.

Tata kładzie mi rękę na ramieniu. Dociera do mnie, że to najnormalniejsza, najbliższej dotykająca rzeczywistości rozmowa, jaką prowadziłam z tatą od wielu miesięcy. Chcę się nią sycić, oddychać nią, przeciągać ją, jak tylko się da, sprawić, by trwała i trwała.

– Wiesz, jak to jest, kochanie – mówi. – Spotkasz kogoś innego. – Wzruszam ramionami, a tata ciągnie: – To nieprawda, że w życiu możliwa jest tylko jedna prawdziwa miłość. Nigdy w to nie wierzyłem. Zakochujesz się, a potem to się nagle kończy. I zakochujesz się jeszcze raz, w kimś innym.

– Tak było z tobą i z mamą? – Rozwijam rulon i pokazuję tacie obraz. – To twoja ukochana? Przestałeś kochać mamę i zakochałeś się w niej?

Tata marszczy czoło, wyciąga dłoń i wodzi palcem po twarzy kobiety z obrazu.

– To było dawno temu – mówi po chwili. – Są rzeczy, których o mnie nie wiesz. To się działo na długo przed tym, zanim ty się pojawiłaś.

Zastanawiam się, co ma na myśli, i nagle wszystko staje się jasne, oczywiste, a mimo to – zupełnie nieoczekiwane. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by myśleć o życiu taty sprzed moich czasów, sprzed czasów mamy. O tym, że kiedyś był kimś innym niż moim ojcem. „Dawno temu”. Nic dziwnego, że ostatnio, kiedy pamięć krótkotrwała zaczęła go zawodzić, przeżywa tamte

czasu na nowo. W miarę postępu choroby tata odchodzi w coraz odleglejszą przeszłość i w niej żyje.

– Co się działo? – pytam. Chcę poznać jego historię, póki ją jeszcze pamięta. Zrozumieć go, zanim całkiem zniknie. To dlatego zawiozłam znaczki do wyceny. Najzwyczajniej w świecie nie jestem gotowa pozwolić mu odejść.

– Są rzeczy, Rissa, których o mnie nie wiesz. – Głos mu się łamie, gdy wyowiada imię mamy. Nie poprawiam go, bo chcę go wysłuchać, dowiedzieć się wszystkiego, co jeszcze pamięta. – Kiedyś byłem innym człowiekiem.

Babcia wspomniała, że nie знаła Fredericka Fabera, tylko Charliego. „Mieśliśmy do czynienia z zupełnie innym człowiekiem” – powiedziała.

– I nie możesz się o to gniewać – dodaje tata.

Mama się gniewała? Tata jej wyznał, że kiedyś kochał inną, a ona się tym zdenerwowała?

– Nie gniewam się – zapewniam.

Palce taty zatrzymują się na włosach kobiety. Gładzą każdy szczegół, każdą kreskę kwiatu, który zauważyłam wieczorem.

– To szarotka? – pytam ostrożnie.

– Dowód niezwykłej odwagi – odpowiada tata.

„Dowód niezwykłej odwagi, jak mawiał mój ojciec” – wyjaśniła nam Miriam w przygnębiającym domu opieki Raintree.

– Słucham, co mówiłeś? – proszę go, by powtórzył.

– Dowód, że ją kochałem.

„Elena była zakochana w Kristoffie – mówiła Miriam. – A jedyną Fräulein Faber, jaką zauważał i kochał Kristoff Mueller, była moja siostra”.

„Znaczek może być dziełem Kristoffa”.

„Nie wierzę w zbiegi okoliczności” – powiedział wczoraj Benjamin.

Spoglądam uważnie na człowieka siedzącego naprzeciwko mnie. Znam go od zawsze. To mój ojciec. Ted. A jeżeli wszystko, co do tej pory wiedziałam o jego przeszłości, o tym, co zdarzyło się przed moją erą, jest nieprawdą? Ile miał lat w 1939 roku? Próbuję szybko obliczyć. Dwadzieścia? Dwadzieścia

jeden? Tata patrzy na portret z tęsknotą, z uczuciem straty, z... miłością? „Kiedyś byłem innym człowiekiem”. I nagle przestaję w nim widzieć mojego tatę.

– Kristoff? – wyrywa mi się. Pytam z niedowierzaniem i szczerze mówiąc, nie spodziewam się usłyszeć odpowiedzi.

Tata urodził się w Niemczech, w Bremie – tak twierdzi babcia. Był nauczycielem historii i kolekcjonerem znaczków, nie ich projektantem.

Ale on podnosi wzrok, patrzy mi w oczy i lekko się uśmiecha. Jakby od dawna czekał na to pytanie.

AUSTRIA, 1939

Do listopada stworzyliśmy z Eleną prawie dwadzieścia kompletów lewych dokumentów. Kiedy Josef przywiózł nam do warsztatu ostatnie sześć z nich, już wydrukowanych, podziwiałem nasze dzieło.

Niemcy niedawno wkroczyli do Polski i wszystko wskazywało na to, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Traciliśmy grunt pod nogami. Wbrew moim nadziejom Francuzom i Brytyjczykom nie udało się zatrzymać Hitlera. Pracowaliśmy z Eleną coraz ciężiej, w coraz większym pośpiechu. Wiedziałem, że to się kiedyś na nas zemści – że zostaniemy pojmani, wysłani do obozu, zabici. Podświadomie cały czas na to czekałem. Wiedziałem, że prędzej czy później to nastąpi, choć może tak do końca w to nie wierzyłem. I dlatego nie ustawałem – co wieczór kładłem się spać, co rano budziłem się i szedłem do warsztatu, by dalej pracować, a wszystko to ramię w ramię z Eleną. Być może po prostu tak bardzo ją kochałem. Nie potrafiłem jej zostawić, opuścić, ocalić.

– Mam dla was jeszcze to. – Josef sięgnął do torby i wyciągnął z niej papiery, o których wydrukowanie sam go poprosiłem. Dla mnie i dla Eleny. A raczej dla Theodora Laurenza i Amaty Marsch. Amy i Laurie zostaną razem, tak jak w ulubionej powieści Eleny.

– Co to? – Elena wyrwała mi dokumenty z ręki. – Kristoff? – Odwróciła się i spojrzała na mnie wilkiem. – Ja nic...

– Wiem, wiem – uspokoilem ją. – Po prostu chcę być gotowy. Na wypadek gdybyśmy musieli natychmiast uciekać.

Szczerze mówiąc, planowałem ją przekonać – później, gdy już zostaniemy sami – że powinniśmy wyjechać jak najszybciej. Jej mama żyła, była zdrowa, a my nie mieliśmy żadnego wpływu na jej los. Napisała, że zależy jej tylko na bezpieczeństwie dziewczynek. Miałem nadzieję, że te słowa wystarczą, by Elena ustąpiła i zrozumiała, że najwyższy czas zaniechać walki i opuścić Austrię.

– Elena, on ma rację – odezwał się Josef. – Przez długi czas igraliśmy z Niemcami, udawało nam się. Kiedyś jednak odkryją fałszywy znaczek i zjawią się po Kristoffa.

Elena usiadła na stołku, podniosła na mnie wzrok, westchnęła i skinęła głową. Przypomniałem sobie tamtą chwilę w lesie – wieki temu – gdy zgodziła się wyjechać do Anglii w ramach akcji Kindertransport, i pomyślałem, że coś za łatwo poszło. Nie chciało mi się wierzyć, że tak szybko zmieniła zdanie, ale z drugiej strony wołałem nie ciągnąć tematu w obecności Josefa. Postanowiłem, że porozmawiam z nią później, gdy zostaniemy sami.

Josef odłożył torbę i wyciągnął ze skrytki pod deską w podłodze nasze podrobione znaczki. Potrzebował sześciu, na sześć kolejnych listów. Wziął do ręki arkusz i przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem.

– Coś nie tak? – spytałem. Byłem ciekaw, co wzbudziło jego zainteresowanie.

– Nie, nie – odparł. – Wszystko dobrze.

– Na pewno? – Nie dawałem za wygraną. – Nic się nie stało? – Po raz pierwszy i jedyny czułem dumę z wykonanego znaczka. Znaczka, który stworzyliśmy razem. Ja i Elena. Było to nasze wspólne piękne dzieło.

– Nie, zupełnie nic. – Josef odliczył sześć znaczków, a resztę odłożył na miejsce.

*

Mieliśmy zamiar nadać każdy z sześciu nowych listów oddzielnie, wmieszany pomiędzy inną, zwyczajną korespondencją, tak by nie wzbudzić niczyich podejrzeń, zjawiając się na poczcie ze stosem listów ofrankowanych sfalszowanymi znaczkami. Josef stwierdził, że ja i Schwann też powinniśmy udać się do urzędu, każdy po dwa razy; w ten sposób wszystkie listy zostaną wysłane.

– Ja też wezmę jeden – oświadczyła Elena. – Odciążę Kristoffa.

– Nie – zaprotestowałem. Niemcy uważali, że Elena wyjechała. I choć wiedziałem, że żaden by jej nie rozpoznał, nie chciałem puścić jej samej do mia-

steczka.

– Póki co Żydom wolno wysyłać listy – prychnęła dziewczyna. – Przynajmniej było tak, gdy ostatnio sprawdzałam.

Żydzi tyle stracili – w zasadzie wszystko. Zostali wysiedleni, odizolowani, pozamykani w obozach pracy. Obowiązywała ich godzina policyjna. Choć rzeczywiście listy wolno im było wysyłać. Wizyta na poczcie nie mogła być pretekstem do aresztowania.

– Nie grozi jej to niczym więcej niż mnie – wtrącił się Josef. – A ty jesteś twórcą znaczków, prawda? Więc to ty wzbudziłbyś większe podejrzenia.

– To równie niebezpieczne dla nas wszystkich – stwierdziła rzeczowo Elena.

Skinąłem głową, ale niebezpieczeństwo było wręcz namacalne. Czuję je tak samo jak zmartwienie i strach, tak jak one zostawiało metaliczny posmak w ustach.

Schowaliśmy listy do skrytki w podłodze, by poczekały tam do jutra, i Elena udała się do kuchni przygotować kolację. Josef spakował torbę i zbierał się do odejścia, ale w drzwiach przystanął i odwrócił się do mnie.

– Masz teraz papiery. Gdyby nam się coś przytrafiło, myśl o sobie. Dobrze, Kristoff?

– Nigdy bym jej nie zostawił – odpowiedziałem.

– Nie bądź głupi – odparł na to Josef.

*

Poszedłem do domu. Elena odgrzała rosół i teraz jedliśmy go w milczeniu, zagryzając czerstwym pieczywem. Słowa Josefa nie dawały mi spokoju. Chciałem, by Elena ze mną wyjechała, najlepiej już, teraz, natychmiast.

– Odłożyłem prawie tyle marek, że starczyłoby na dwa bilety do Ameryki – odważyłem się powiedzieć, gdy sprzątaliśmy ze stołu. – Powinniśmy jak najszybciej wyjechać. Tego pragnie dla ciebie matka. Sama czytałaś.

– Zgoda – odparła Elena. – Ale porozmawiajmy o tym jutro. Teraz jestem

zmęczona. – Odłożyła ostatni talerz, odwróciła się w moją stronę i wyciągnęła do mnie rękę.

Ująłem ją.

– Wiem, co zamierzasz – rzuciłem.

Elena potrząsnęła głową.

– Nie oszukasz mnie – powiedziałem. – Nie mów mi tego, co chciałbym usłyszeć, żeby potem zrobić coś głupiego na własną rękę. – Zorientowałem się, że mówię tak samo jak niedawno Josef.

– Nie zamierzam robić niczego głupiego. – Patrzyła mi prosto w oczy, więc na sekundę prawie jej uwierzyłem. – Przysięgam, Kristoff – dodała łagodniej. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odpowiedziałem.

Pociągnęła mnie na schody, na strych.

W pokoiku panował ziąb, lecz nie przeszkodziło to Elenie zrzucić ubrania. Nic jej nie przerażało. Nawet przenikliwe, prawie lodowate zimno.

Wślizgnęła się do mojego łóżka, jak to wielokrotnie robiła, i pocałowała mnie, bardzo mocno. Powiodłem dłonią po jej plecach. Miała zimną skórę, a kiedy jej dotknąłem, zadrżała.

– Przyniosę drugi koc – powiedziałem.

– Nie. – Chwyciła mnie za ramiona i przyciągnęła z powrotem do siebie. – Nie idź. – Znowu mnie pocałowała. A potem położyła się na mnie i nasze ciała rozpoczęły swój znajomy, niewymuszony taniec. Połączyliśmy się ze sobą, staliśmy się jednością. Wyrównały się nawet nasze oddechy, a piersi unosiły się nam i opadały we wspólnym rytmie. Jakbyśmy byli jednym.

Potem położyła mi głowę na piersi, uchem do serca.

– Gdybyśmy zostali rozdzieleni – rzekła cicho, prosto w ciemność – to spotkamy się w Ameryce. Jedź beze mnie... – Zawiesiła głos. Już odpływała w sen. Nawet nie wiedziała, co mówi.

– Nikt nas nie rozdzieli.

Miałem zamiar następnego ranka, zanim Elena zdąży mnie ubiec, wysłać

listy, jej i swój. Niezależnie od tego, co twierdził Josef, nie mogłem jej narażać na samotną wędrówkę do miasta.

– Obiecaj – wymamrotała.

– Obiecuję. – W zamyśleniu gładziłem ją po włosach.

Kiedy się rano obudziłem, już jej nie było.

LOS ANGELES, 1989

– Zabrała listy – mówi tata i odwraca się do okna. Nadal próbuję oswoić się z jego historią, poskładać w całość to, czego się właśnie dowiedziałam, z tym, co już wiem od Miriam i babci. – Zniknęły oba. Jeden znalazłem potem w śniegu na skraju lasu. Nie sądzę, by dotarła do miasteczka. Musieli ją dopaść wcześniej. – Z jego gardła wyrywa się zduszony krzyk, jakby przeżywał to od nowa, na świeżo, dokładnie w tej chwili.

– Och, tato. – Kładę mu rękę na ramieniu, ale on nie reaguje. Gapi się tylko w okno, jakby gdzieś tam, za wzgórzem, gdzie, jak dotąd sądziłam, widział mamę, zobaczył Elenę.

Próbuję uporządkować sobie to wszystko w głowie. Mój ojciec, mój tata. Pięćdziesiąt lat temu w Austrii projektował znaczki i grawerował matryce do ich drukowania – na zamówienie nazistowskich władz i dla ruchu oporu. Zawsze wiedziałam, że jego ojczysty język to niemiecki, choć nigdy nie słyszałam, żeby powiedział w nim choćby słowo. Uwielbiał opowiadać o historii, o dziejach świata, ale o własnej przeszłości, o czasach sprzed przyjazdu do Stanów, nie wspominał nigdy. Zawsze sądziłam, że to dlatego, iż nie pamiętał życia w Europie tak dobrze, jak zapamiętała je babcia, bo gdy wyjechał do Ameryki, był jeszcze chłopcem – tego słowa zresztą sam używał. Może jednak milczał, bo tak zdecydował. „Kiedyś byłem innym człowiekiem” – powiedział. Wiedziałam, że przyjął judaizm dopiero po ślubie, ale mama często żartowała, że był bardziej religijny od niej, tak bardzo przesiąkł wiarą. W najśmielszych snach nie spodziewałabym się jednak usłyszeć o nim tego, co mi przed chwilą wyjawiał: prawdy o człowieku, którym niegdyś był, i o kobiecie, którą kochał. Teraz wszystko nabrało sensu.

Znowu na niego spoglądam. Ma twarz wykrzywioną bólem i łzy w oczach. Wyciąga rękę i przykłada dłoń do szyby.

– Od tamtej pory już jej nie widziałem – mówi, niekoniecznie do mnie. – Nigdy.

– Ale przyjechałeś do Ameryki, bo tu mieliście się spotkać, prawda? – pytam. On nadal wpatruje się w okno, a ja mówię, bardziej do siebie niż do niego, bo łatwiej mi w ten sposób uporządkować wiadomości: – Przyjechałeś odnaleźć Fredericka Fabera, lecz on już nie żył. Wtedy poznałeś babcię i dziadka Gida. I mamę.

Zatem Benjamin się nie mylił. To nie był żaden zbieg okoliczności. Zastanawiam się, czy mama o tym wszystkim wiedziała. Może tak. Ale babcia na pewno nie. Więc mama być może również nie.

A ten list, który od paru tygodni tak nas, mnie i Benjamina, nurtuje, nigdy nie został wysłany.

– Po tym, jak Elena zniknęła, napisałeś do niej? Ale w końcu nie wysłałeś tego listu? Tyle lat go trzymałeś. Zbierałeś znaczki... – Nagle wszystko staje się jasne. Rozumiem go. Te wyprawy do sklepów ze starzyzną, na wyprzedaje garażowe, to przesiewanie wszystkiego, co nieprzydatne innym, ślepe przywiązanie do kolekcji znaczków. Do jego kolekcji. Nie do zwyczajnej kupy zadrukowanego papieru. Znaczki łączyły go z przeszłością, z jego własną przeszłością, z osobą, którą wtedy był, z kobietą, którą kochał.

– Kochałem ją – mówi tata. Odwraca się i kładzie mi dłoń na policzku. – Ale ciebie też kocham. Nie odchodź, Risso. Nie chcę, żebyś i ty mnie zostawiła.

– Nie zostawię – odpowiadam.

Siedzę przy tacie i wraz z nim wyglądam przez okno. Jestem z nim aż do chwili, gdy zjawia się Sally, żeby zaprowadzić go na lunch.

– Kanapki z indykiem, Ted. Twój przysmak – mówi ze zbyt szerokim uśmiechem.

– Powiedz jej, że tu jestem – mówi do mnie tata i wstaje. Nie jestem pewna, za kogo mnie teraz bierze i gdzie się według niego znajdujemy oraz o kogo mu konkretnie chodzi. – Gdybyś się z nią widziała, to powiedz jej, gdzie mnie szukać.

– Dobrze – zapewniam go. Czuję się jednak tak samo jak zawsze, gdy składałam mu rozmaite obietnice na pożegnanie: że znajdę jego bilet, sprawdzę

datę wylotu i godzinę, o której musi wymeldować się z hotelu. To kolejna pu-
sta obietnica.

*

Po wyjściu z The Willows kieruję się prosto do biura Benjamin. W opowie-
ści taty Kristoff jawi mi się jako zupełnie inny, odrębny człowiek. Nie mój
ojciec pod zmienionym nazwiskiem, tylko ktoś obcy – ktoś, kogo nigdy nie
poznałam. Ciągłe powtarzam sobie w głowie, że to on, że tak się potoczyły
jego losy. To niezwykle, że przeżył, wydostał się z Austrii, dotarł tutaj. Że
siedzę tu ja, jego córka. Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki, choć
w samochodzie jest gorąco.

Parkuję byle jak, zajmując dwa miejsca, po czym puszczam się biegiem
przez parking i otwieram drzwi do sklepu Benjamin z takim rozmachem, że
dzwonek pod sufitem uderza w szkło i wydaje fałszywy dźwięk.

– Katie? – Benjamin wstaje. Jest zaskoczony, ale się uśmiecha.

– Znalazłam Kristoffa – wyrzucam z siebie zdyszana.

Benjamin wychodzi zza biurka i podnosi z krzesła jakieś papiery, żeby
zrobić mi miejsce.

– Naszego Kristoffa? – pyta, gdy siadam.

– Mojego.

Benjamin się chmurzy. Pewnie myśli, że chcę go wykluczyć z tej historii.

– Nie, nie to miałam na myśli – mówię szybko. – Powiedziałam „mojego”,
bo Kristoff to mój tata.

– Twój tata ma na imię Ted. – Benjamin rozumuje logicznie, jak to on.

– A Frederick, kiedy przybył do Stanów, nazywał się Charlie, pamiętasz?

Benjamin ściąga brwi – nie przekonałam go. Gdyby nie to, że słyszałam
słowa taty na własne uszy, jasno i wyraźnie, w dodatku przed chwilą, sama
byłabym gotowa sądzić, że coś mi się pomieszało. Relacjonuję Benjaminowi,
że szczegóły wspomnień taty doskonale zgadzają się i uzupełniają relacje Mi-
riam i babci oraz sugestie doktora Grimesa odnośnie do pochodzenia naszego

znaczką. I że teraz pasja taty, jego życiowa obsesja – znaczki – nareszcie stała się dla mnie zrozumiała. Zbieranie ich. Hołubienie. Miłość do nich. Opowiadam też o portretach kobiety, które tata namalował w *The Willows*, o szarotce w jej włosach, identycznej jak ta wkomponowana w wieżę katedry. Jeden z obrazów wzięłam ze sobą (Sally mi pozwoliła) i teraz pokazuję go Benjaminowi, który uważnie mu się przygląda, a po chwili oddaje z powrotem.

– Był grawerem, twórcą znaczków w okupowanej Austrii – mówi Benjamin głosem pełnym podziwu. Siada na biurku i pochyła się w moją stronę. Jest tak blisko, że nasze nogi prawie się stykają. – Twój tata?

– Mój tata – powtarzam, a następnie opowiadam mu całą historię: o podrabianiu dokumentów, o tym, że szarotka stanowiła „dowód niezwykłej odwagi”, symbol jego miłości do Eleny, o tym, jak przygotowali sobie fałszywe papiery na nazwiska ulubionych bohaterów Eleny z powieści *Małe kobiety*, a także o tym, jak pewnego ranka dziewczyna wymknęła się z domu, by wysłać listy, i już nigdy nie wróciła.

– Ho, ho, to dopiero – mówi Benjamin, a potem przez dłuższy czas milczy jak zaklęty. – A co się mogło stać z resztą tych listów, jak sądzisz? – pyta, gdy już odzyskuje mowę. – Z tymi, które mieli wysłać Josef i Schwann? Myślisz, że tamci ludzie, mimo aresztowania Eleny, otrzymali dokumenty?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. Ta historia na tle losów całej Europy, Austrii i wszystkich Żydów, którzy zginęli w obozach, wydaje się błahostką. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie, że mój ojciec, Elena, Josef i Schwann uratowali dziesięć, może piętnaście czy dwadzieścia osób? Tak. Nie wiem, dlaczego, ale jednak tak. Małe miasteczko Grotzburg, spalone i zmiecione z powierzchni ziemi przez nazistów, właśnie przestało być kropką wymazaną z mapy, a stało się żywymi ludźmi, z którymi łączy mnie silna więź. Stało się moją rodziną. Moją własną historią.

– Myślę, że Elena trafiła to Mauthausen, tak jak jej matka. Lub została zabita na miejscu, tamtego dnia – mówi Benjamin. – Tak czy inaczej, najprawdopodobniej nie przeżyła wojny.

Serce ściska mi się na myśl o kobiecie, której nigdy nie poznałam, a którą kochał mój ojciec, kiedy był jeszcze innym człowiekiem. O kobiecie, która

ocaliła własną siostrę, ojca i obcych ludzi, a siebie – mimo że miała szansę – nie. Tata twierdził, że przygotowała dla niego fałszywe papiery i wymusiła na nim obietnicę, że wyjedzie nawet bez niej. Pewnie jego też ocaliła.

– Obiecałam tacie – mówię łamiącym się głosem – że jeżeli ją znajdę, powiem jej, gdzie go szukać.

Bardzo staram się nie rozplakać, ale nie mogę przestać myśleć o tacie jako o Kristoffie – obcym, nieznanym człowieku, o niebezpieczeństwach, jakim razem z Eleną stawiał czoła, i o jego dalszych losach, a także o życiu ukradzionym jego ukochanej. Mimo że bardzo chcę je powstrzymać, łzy napływają mi do oczu.

Benjamin pochyla się i kładzie mi rękę na ramieniu. Jest tak blisko, że dokładnie widzę jego oczy, które w dziwnym, jaskrawym świetle wypełniającym biuro wydają się niebieskoszare.

– On ją naprawdę kochał – mówię. – I musiał ją stracić.

Na twarzy Benjamina pojawia się coś na kształt zrozumienia. Zeskakuje z biurka i zanim któreś z nas ma czas się wycofać, podnosi mnie z krzesła i przytula. Uścisk ma silniejszy, niż przypuszczałam, pachnie mydłem Irish Spring i jakąś wodą po goleniu, która przywodzi mi na myśl plażę i chłodną morską bryzę w Coronado.

Stoimy tak dobrych kilka minut. Najchętniej nie ruszałabym się z miejsca, ale naraz rozlega się dźwięk dzwonka nad drzwiami, Benjamin opuszcza ramiona i odsuwa się ode mnie.

Odwracam się. W drzwiach stoi nieco zdezorientowana blondynka.

– Dzień dobry, byłam umówiona. – Zerka na zegarek, jakby chciała się upewnić, że nie pomyliła godziny. – Ale jeśli przeszkadzam, mogę...

Benjamin spogląda na nią nad moim ramieniem.

– Pani Kemp? – pyta, a ona kiwa głową. – Zapraszam do środka. – Znowu patrzy na mnie, wsuwa ręce do kieszeni i wzrusza ramionami. Ten znaczek zaprzętnął naszą uwagę na parę ładnych tygodni. Ale on ma przecież innych klientów, takich, na których zarabia.

– Pójdę już – mówię, ale jeszcze przez chwilę nie ruszam się z miejsca.

Czuję, że powinnam coś dodać. Przychodzi mi do głowy tylko: „Zrobiliśmy, co było do zrobienia”, ale brzmi to strasznie głupio. Ciśnie mi się na usta, że zadzwonię później, to się jakoś umówimy, ale w sumie po co on miałby się ze mną spotykać? Teraz, gdy znalazłam Kristoffa i wyjaśniłam tajemnicę niezwykłego znaczka? Nie mamy już o czym rozmawiać, nie mamy powodu się widywać. Ruszam więc do drzwi.

– Katie – odzywa się, gdy mijam panią Kemp.

Odwracam się do niego. Ma potargane, wzburzone włosy i przekrzywione okulary. Może to ja je trąciłam, gdy staliśmy przytuleni? Zauważa to i wsuwa je równo na nos.

– Powodzenia – mówi.

– Dzięki. Tobie też.

*

W tym roku po raz pierwszy od czasu, gdy zaczęłam się spotykać z Danielem, nie kupuję choinki na Boże Narodzenie. Idę za to na strych i wygrzebuje stary dziewięcioramienny świecznik, który zabrałam od taty razem z kolekcją znaczków.

Chanuka zaczyna się tuż przed Bożym Narodzeniem, dwudziestego drugiego grudnia. Pierwszy raz od lat wracam do swojej dawnej dzielnicy i świątyni. Zawsze zapalają tam świece w świeczniku – chanukii, organizują dla dzieci zajęcia i zabawy tradycyjnym drewnianym bączkiem o nazwie dreidel. Nie uczestniczyłam w tym od wieków, ostatnio w dzieciństwie, gdy bywałam w synagodze z rodzicami, ale w tym roku idę – choćby po to, by nawiązać kontakt z dziewczynką, którą kiedyś byłam, i ze swoimi korzeniami. Chcę się poczuć częścią czegoś większego i ważniejszego niż ja sama. To moje święto. Mojego taty i babci. Oraz Eleny i całej rodziny Faberów.

Rano w Boże Narodzenie dzwonię do Benjamina. Nie odbiera, przypuszczam, że zamknął sklep, może nawet gdzieś wyjechał. Zostawiam mu wiadomość, że chciałam po prostu spytać, co u niego słyhać i jak się trzyma w ten świąteczny czas. Potem jadę do Coronado i spędzam calutki tydzień nad oce-

anem, z babcią. Jest fantastycznie.

Kiedy wracam, na sekretarce nie zastaję żadnych wiadomości. Za to na ganku przy drzwiach stoją skrzynie z kolekcją znaczków taty, a na wierzchu leży kartka z wiadomością od Benjamina:

Pomyślałem, że ci to odwiozę. Wszystko przejrzałem. Niczego powiązanego z Faberami lub Austrią ani specjalnie wartościowego nie znalazłem.

Benjamin Grossman

Liścik jest formalny, wręcz służbowy. A więc sprawa znaczków taty jest zamknięta. Nasza znajomość – zakończona. Cokolwiek nas łączyło, choćby przelotnie, minęło.

LOS ANGELES, 1990

Lubię, kiedy coś się zaczyna. Całkiem od nowa. Mamy nowy rok, nową dekadę. Po powrocie z Coronado wiem, że pora znaleźć nową pracę. Najpierw jednak szukam agenta nieruchomości i wystawiam dom na sprzedaż. Nie chcę mieszkać wśród wspomnień. Muszę zacząć od początku.

Następnie dzwonię do Jasona i relacjonuję mu wszystko, czego dowiedziałam się o znaczku i o swoim tacie.

– Fiu, fiu – gwizdże w odpowiedzi. – Przeczuwałem, że to coś grubszego.

– Tak. – Gryzę paznokiec. Chcę, żeby zaproponował mi pracę, zapłacił za opisanie tej niezwykłej historii. Nie wytrzymuję i pytam sama: – To jak, chcesz, żebym pisała ten artykuł czy nie?

– Pod jednym warunkiem – mówi. – Muszę poznać treść tego listu.

– Treść? – Nie od razu do mnie dociera, o co Jason prosi, bo do tej pory przez cały czas koncentrowałam się jedynie na znaczku.

– Tak, treść listu, który twój ojciec napisał do Eleny Faber. Wydrukowalibyśmy go w artykule. – Jason jest przejęty, słysząc to w jego głosie.

– Nie mogę otworzyć tego listu – oponuję. – Nie jest do mnie zaadresowany.

Jason się śmieje. Myśli, że żartuję, ale się myli.

– Naprawdę nie mogę. List nie został napisany do mnie.

– Ale sama mówiłaś, że Elena prawie na pewno nie żyje.

– To niczego nie zmienia. Nie czuję się upoważniona, żeby go otwierać. Ojciec napisał list miłosny. Nie możemy go opublikować w artykule w „Voice” i pokazać całemu światu. To korespondencja prywatna.

– Ale bez niej twój materiał będzie niekompletny. Musimy wiedzieć więcej o romansie Kristoffa i Eleny – nalega Jason. – Bo jak na razie ta historia nie ma zakończenia. Jeszcze nie wiesz, co się stało z Eleną.

– Masz rację – mówię. I właśnie w tej chwili uświadamiam sobie, że nie

będę dla niego pracować. I że przez cały ten czas wcale nie o to chodziło.

Potraktuję ten list jako integralną część taty, jego przeszłości, historii jego życia. Będę próbowała ustalić, co się stało z Eleną, lecz nie na zlecenie jakiegoś kolorowego magazynu, tylko dla taty. I dla siebie.

*

W lutym wreszcie udaje mi się znaleźć pracę. Zatrudnia mnie Gladys Weinstein, kobieta w wieku mojej mamy – gdyby oczywiście mama żyła – z wyglądu trochę hipiska, wydająca mały, dopiero raczkujący magazyn „Jewish LA”, który ja mam zapełnić treścią. Na nowo zapoznaję się więc z Los Angeles swojego dzieciństwa, zbieram żydowskie fragmenty mojego życia, usunięte z biegiem lat. Kupuję sobie świece na szabat i czasem zapalam je w piątek wieczorem, jeżeli akurat jestem w domu i mam odpowiedni nastrój. Przeważnie mam, przynajmniej ostatnio. Tata opowiedział mi, kiedy i w jakich okolicznościach sam został żydem – pewnego wieczora, gdy myślał, że na zawsze utracił Elenę, a ona poprawiła go z ukrycia, bo źle odmawiał modlitwę. Elena ze strachu nie zapalała świec w tyle piątków, ja natomiast mogę je zapalać, kiedy mi się żywnie podoba. Czuję, że jestem jej winna podtrzymanie tej tradycji, zresztą tacie też.

Wiosną sprzedaję dom młodej, świeżo poślubionej parze, irytująco ćwierkającej o swoim małżeństwie, miłości i życiowych planach. Dla siebie znajduję dwupokojowe mieszkanie w Santa Monica, z którego do The Willows mogę się przejść pieszo. Bardzo dobrze się w nim czuję.

Biorę ze schroniska suczkę, terierkę, i często spaceruję z nią po plaży. Parę razy zabieram ją do taty i siedzimy razem w ogrodzie. Tata cieszy się z psiego towarzystwa, za każdym razem, kiedy przyprawdzam Lucky, zachowuje się tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

W kwietniu jadę do babci na Pesach. Jemy wieczerzę sederową – my dwie i kilkoro znajomych babci z klubu brydżowego. Wszyscy mają ochotę swatać mnie ze swoimi wnukami, a ja wykręcam się jak mogę, uprzejmie tłumacząc, że nie jestem jeszcze gotowa, by skorzystać z ich propozycji.

– A co z tym uroczym Benjaminem Grossmanem? – szepcze konspiracyjnie babcia i opowiada wszystkim siedzącym przy stole, jak kiedyś przywiozłam do niej Benjamina i jak bardzo jej się spodobał.

– Od paru miesięcy nawet z nim nie rozmawiałam – mówię. Nie wspominał jednak, ile razy o nim myślałam, zastanawiałam się, co u niego i czy wciąż nie śpi w nocy, tak samo jak ja. – On był zainteresowany tylko znaczkami – dodaję. – Niczym więcej.

– Skoro tak mówisz – kwituje babcia.

*

Czerwiec przynosi falę rekordowych upałów. Temperatura dochodzi do czterdziestu czterech stopni, a ja cieszę się, że mieszkam tak blisko oceanu. Mieszkanie ma balkon i nawet w taki dzień jak dziś znad Pacyfiku trochę wieje. Ta bliskość wody to nowa jakość w moim życiu.

Rano dzwoni Gladys i mówi, żebym dziś nie przychodziła do pracy. Biuro jest małe i nie ma w nim klimatyzacji, którą na szczęście mam w mieszkaniu. Proponuję szefowej, by zamiast do biura przyjechała pracować do mnie, ale ona dziękuje. Wybiera się do centrum handlowego, gdzie jest chłodno, a przy okazji można zrobić zakupy. Zapewniam, że wobec tego popracuję w domu, a ona odpowiada na to: „Daj spokój, zrób sobie wolne. Jest jak w piekle, gdzie tu mówić o robocie”.

Przez większość dnia siedzimy z Lucky na kanapie i oglądamy opery mydlane. Jestem zaskoczona, gdy pod wieczór rozlega się stukanie do drzwi. Akwizytor? W taki skwar? Nie wierzę. Pukanie się powtarza, wstaję więc z kanapy i wyglądam przez wizjer. Za drzwiami stoi Benjamin. Jest spocony i rozchelstany, ma potargane włosy i zaparowane okulary. Nagle gwałtownie wraca do mnie wszystko, co razem przeżyliśmy w mglistej, deszczowej Walii.

– Zmieniłaś lokum – mówi na powitanie, gdy otwieram drzwi.

Cały on, bezpośredni i konkretny. Uśmiecham się na jego widok. Nic się nie zmienił.

– Ledwie cię znalazłem. – Zagląda mi przez ramię do mieszkania, w którym panuje niemiłosierny bałagan: na końcu kanapy piętrzy się stos prania, na podłodze leżą porozkładane książki z biblioteki, a zlew, jeżeli wzrok Benjamin sięga tak daleko, jest pełny brudnych naczyń. – Dużo mniejsze niż poprzednie – dodaje.

– Nie potrzebowałam dużego. No i stąd mam bliżej do taty. I nad wodę. – Szerzej otwieram drzwi. – Zapraszam do środka. Przed drzwiami jest za gorąco.

Benjamin wchodzi do środka. Lucky go obszczekuje, Benjamin klęka, by ją pogłaskać, i nie cofa ręki, gdy sunia ją liże. O, nie wiedziałam, że taki z niego psiarz.

– To też nowy nabytek? – pyta.

– Tak. Całkiem nowa dekada, całkiem nowy pies, całkiem nowa praca i całkiem nowe życie. – Przekładam pranie na stolik i robię Benjaminowi miejsce na kanapie. – Napijesz się czegoś? – pytam.

On kręci głową.

– Nie, dziękuję. Nie będę się rozsiadał. Chciałem się tylko... dowiedzieć, co u ciebie słychać. To tyle.

– Dziś? Chyba szum rtęci w termometrze – odpowiadam. W grudniu nagrałam mu się na sekretarkę, a później wiele razy przejeżdżałam przez jego okolicę w nadziei, że może się na niego natknę. Nurtowało mnie to samo pytanie, tyle że chciałam poznać odpowiedź przy trochę lepszej pogodzie.

– Zgaduję, że wszystko w porządku – mówi bardziej do siebie niż do mnie. Kiwam głową. Owszem, zgadza się, i cieszę się, że on to widzi.

– A u ciebie? Jak się miewasz? – pytam.

Benjamin nie odpowiada. Zajmuje miejsce, które przygotowałam mu na kanapie, i lekko się do mnie uśmiecha. Biorę to za odpowiedź, że u niego też wszystko gra.

– Przyjechałem głównie po to, żeby ci powiedzieć, że wciąż badam sprawę twojego znaczka – mówi.

– Serio? – Siadam obok niego. – To znaczy ja też się nią zajmuję, ale my-

ślałam, że ty masz inne znaczki na głowie.

– Prawda – przytakuje – ale ten twój był...

– Jaki?

– Inny – przyznaje po chwili, wpatrując się w podłogę.

Ponieważ przez dłuższą chwilę nie podnosi wzroku, opowiadam mu, że starałam się ustalić coś w sprawie losów Eleny. Zgodnie z sugestią Jackie ze Stowarzyszenia Ofiar Holocaustu przejrzałam mikrofiszę list Czerwonego Krzyża w bibliotece uniwersyteckiej, ale nie natknęłam się na nazwisko Faber. Koresponduję też z doktorem Grimesem i od niego wiem, że po ostatecznym zjednoczeniu Niemiec mają zostać udostępnione tajne dotąd akta z czasów wojny. Może tam znajdziemy nazwisko Eleny lub jakieś informacje o tym, co się z nią stało.

– Ja z kolei kontaktowałam się z filatelistami z Niemiec i Austrii – mówi Benjamin. – Nie dawały mi spokoju tamte pozostałe listy. Było ich piętnaście, może dwadzieścia, prawda? Więc co się z nimi stało? Przecież któryś mógł się zachować. A teraz, po zjednoczeniu Niemiec... Może się zdarzyć, że któryś z naszych znaczków nagle się gdzieś pojawi. Nawet na terenie byłej NRD.

– Mało prawdopodobne – mówię, mając w pamięci słowa Jackie o przesiewaniu informacji na temat osób ocalałych z Holocaustu.

Benjamin kiwa głową.

– Dlatego nic ci nie mówiłem.

A więc cały czas działał, podejmował starania, a do tego jeszcze próbował chronić moje uczucia?

– Ale trud się opłacił – dodaje.

– Znalazłeś coś? – Wstrzymuję oddech. Istnieje drugi znaczek podobny do naszego, to znaczy taty? Kolejny most do jego przeszłości?

– Napisał do mnie niejaki Herr Jacobs, filatelista z Berlina. Twierdzi, że ostatnio natknął się na podobny znaczek i ma go w swoich zbiorach. Jesienią chciałbym tam pojechać – relacjonuje Benjamin. – Coraz więcej linii lotniczych uruchamia loty komercyjne do Berlina, a po zjednoczeniu w ogóle nie

będzie z tym problemu. Spotkam się z tym Jacobsem osobiście. Obejrzę znaczek. Przy okazji sprawdzimy, czy da się zajrzeć do tych enerdowskich akt, które mają zostać udostępnione, i poszukać tam czegoś o Elenie. – Przerywa, uświadamiając sobie, że się zagalopował, i poprawia przejęzyczenie. – To znaczy oczywiście ja sprawdzę, przepraszam.

– Nie – mówię szybko. – Ja też chcę jechać. I tym razem sama zapłacę za bilet.

Benjamin uśmiecha się na wspomnienie naszej wyprawy do Walii. Ciekawe, czy dla niego jest równie miłe jak dla mnie.

– Jest tylko jedna sprawa – dodaję. – Babcia. Masz coś przeciwko, żeby z nami pojechała?

NIEMCY, 1990

Niemiecka Republika Demokratyczna – przepraszam – Niemcy zupełnie nie wyglądają tak, jak się spodziewałam. Dziś w malowniczo położonym wśród łagodnych wzgórz miejscu, gdzie niegdyś leżało rodzinne miasteczko babci, Hertzscheimer, jakieś sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Berlina, rozciągają się uprawne pola, zielone łąki i lasy. Wypożyczymy samochód i pierwszego dnia naszego pobytu w Niemczech jedziemy właśnie tam. Oczekuję widocznych śladów zniszczeń i wojennych okropieństw, tymczasem otacza mnie piękny krajobraz, rozległe, puste, zielone przestrzenie, na których pasą się owce. Trudno uwierzyć, że kiedyś tętniło tu życie żydowskiego miasteczka, prawie pięćdziesiąt lat temu zmiecionego z powierzchni ziemi, spalonego i zburzonego. A ludzi, którzy mieszkali tu od czasów wojny, od reszty świata do niedawna odgradzał strzeżony mur, wzniesiony przez komunistyczne władze.

Dość długo krążymy po okolicy, aż wreszcie Benjamin dostrzega tablicę z napisem „Naturpark”. Zatrzymuję samochód. Wsiadamy i ruszamy ścieżką prowadzącą przez las nad niewielkie jezioro. Babcia milczy i rozgląda się wokół siebie szeroko otwartymi oczami. Drży – tutejsza jesień jest chłodna, zupełnie inna niż u nas w Kalifornii.

– Nigdy nie sądziłam, że tu wrócę – mówi po chwili.

– A byłaś tu już? – Nie jestem pewna, czy babcia ma na myśli Niemcy czy to konkretne miejsce. – W tym parku?

– Tak, kochanie. *Wo wir als Kinder spielten* – odpowiada w zamyśleniu. Po chwili otrząsa się i przypomina sobie, że jest ze mną, a ja nie znam niemieckiego. – Tu się bawiliśmy w dzieciństwie – mówi. – Myślałam, że wszystko przepadło, ale nadal jest *schön*... Pięknie.

*

Wracamy do Berlina, do Palasthotel, gdzie się zatrzymaliśmy. Babcia idzie prosto do pokoju, by się zdrzemnąć, a ja z Benjaminem postanawiamy połączyć się trochę po mieście. O czwartej jesteśmy umówieni z Herr Jacobsem w dzielnicy, która jeszcze niedawno należała do Berlina Zachodniego. Babcia wybiera się z nami, na wypadek gdybyśmy potrzebowali tłumacza (choć Benjamin rozmawiał z Herr Jacobsem przez telefon i twierdzi, że da się z nim dogadać po angielsku). Nasz hotel, kiedyś przeznaczony tylko dla gości specjalnej rangi, dopiero od niedawna przyjmuje Niemców i zwykłych turystów, takich jak my. Mieści się w dawnym Berlinie Wschodnim. Utrzymane w brązach wewnątrz kojarzy się z jaskinią, mimo że sam budynek jest imponujący, a okolicę mogłabym nawet opisać słowem „urocza”.

Sprawdzamy mapę – chcemy zobaczyć mur. Z hotelu to niecałe trzy kilometry. Jest chłodne popołudnie.

– Miło będzie się przejść – odpowiadam na pytanie Benjamin, czy pieszo to dla mnie nie za daleko. Po długich lotach i porannej wycieczce samochodem mam chęć się rozruszać. Chciałabym zobaczyć Berlin, jaki znała babcia jako młoda dziewczyna. Poznać prawdziwe oblicze miasta i poczuć jego oddech. Ustalamy trasę i w milczeniu wyruszamy.

Od tamtego upalnego dnia, kiedy Benjamin zniemacka objawił się u mnie w mieszkaniu, niewiele się ze sobą kontaktowaliśmy, a jeżeli, to tylko po to, by uzgodnić szczegóły podróży. Babcia musiała wyrobić nowy paszport, trzeba było ustalić dogodny dla wszystkich termin i sprawdzić najtańsze połączenia. Ostatecznie postanowiliśmy poczekać, aż Lufthansa uruchomi loty komercyjne do Berlina, co miało nastąpić po oficjalnym zjednoczeniu Niemiec. Wszystko to załatwialiśmy telefonicznie, nie poruszając żadnych innych tematów. Nie pytałam więc Benjamin, co u niego ani jak się trzyma przed trzecim Świętem Dziękczynienia bez Sary i Davisa. Podczas tego spaceru też o tym nie wspominam. Po pierwsze, nie wiem, co powiedzieć, a po drugie, panująca między nami cisza coraz mniej mnie krępuje. Nie czuję konieczności jej zapełniać.

Skrećamy w Oranienburger Strasse. Moim oczom ukazuje się wyrastający spomiędzy niepozornych, skromnych ceglanych domów budynek z kopułą.

Przy drzwiach wisi tabliczka z gwiazdą Dawida.

– Synagoga? – pytam.

Dziwię się, ale może bezpodstawnie. Wojna skończyła się dawno temu, lecz w moim wyobrażeniu Berlin, zwłaszcza Wschodni, to miasto bez Żydów. Podchodzę bliżej, by przeczytać napis na tabliczce. Jest po niemiecku, ale domyślam się, o co chodzi.

– Najwyraźniej zniszczona podczas Kristallnacht – mówię. – I odbudowana w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym. – Przesuwam palcami po literach.

Benjamin nosi ze sobą aparat fotograficzny, więc fotografuje z bliska tabliczkę. Potem odsuwa się i robi zdjęcie całego budynku, jego pięknej kopuły i mnie przed wejściem.

– Wywołam dla ciebie odbitki – mówi. – Będziesz mogła o tym napisać do swojego czasopisma.

– Niegłupi pomysł – mówię, ukrywając zaskoczenie, że Benjamin wie o mojej nowej pracy. Nie wspominałam o niej nawet słowem, poza faktem, że ją znalazłam. Czyżby przez tych kilka miesięcy śledził moje losy, tak samo jak ja sprawdzałam, co się dzieje z nim?

Idziemy dalej, zatrzymując się od czasu do czasu, gdy Benjamin chce coś sfotografować. A kiedy docieramy do muru, okazuje się, że jest w trakcie rozbiórki. Właśnie trwają prace. Ogromna jego część jeszcze stoi – to nieopięte, zwłaszcza że „runął” już prawie rok temu. Jest ohydny, prawdziwe monstrum z cegieł i betonu. Pamiętam „dzięcioła”, którego widziałam na kanale BBC, kiedy byliśmy w Cardiff – kobietę w kurtce przeciwdeszczowej. Nie nawidziła muru, bo odgradzał ją od rodziny, i rozłupywała go na kawałeczki kilofem. Tamtej nocy zasnęliśmy z Benjaminem, trzymając się za ręce, przy odgłosach kucia dochodzących z telewizora.

Dziś jest piękny, słoneczny dzień, a pobliski park, udekorowany kolorami jesieni, wygląda odświeżenie. Jedynym dźwiękiem jest zaś ryk silników buldożerów, które fragment po fragmencie niszczą mur.

*

Sklep filatelistyczny Herr Jacobsa mieści się po drugiej stronie muru, w ceglany budynku przy Luisenstrasse, na parterze, od ulicy. Przy wejściu wisi skromny szyld z napisem „Philatelie”, i nawet ja, która nie znam niemieckiego, wiem, że trafiliśmy we właściwe miejsce.

Wchodzimy. Wnętrze dziwnie przypomina sklep Benjamin. Małe, zagrzone biurko, w rogu telewizorek. Zabawne, że filateliści po obu stronach oceanu są do siebie tak podobni. Usłyszawszy nas, Herr Jacobs wychodzi zza biurka. Jest dużo starszy od Benjamin, należy do poprzedniego pokolenia.

– *Guten Tag* – odzywa się na widok naszej trójki. Jego wzrok nie zatrzymuje się na babci, jakby nie rozumiał, jaką rolę odgrywa ona w tej historii, zgaduję więc, że Benjamin wcześniej o niej nie wspominał. Babcia wysuwa się jednak do przodu i ani chwili się nie zastanawiając, zaczyna mówić coś do niego po niemiecku.

– *Ja, Amerykanie?* – odpowiada filatelista drętwą angielszczyzną. – W sprawie tego znaczka z kwiatkiem?

Wyciągam z torebki koszulkę z listem i pokazuję mu znaczek. Herr Jacobs zsuwa na nos okulary, które do tej pory miał na czole, i przygląda się znaczкови przez szkło powiększające, przymocowane do jednej z soczewek.

– Tak, to ten sam – mówi po chwili. – Zaraz wracam.

Znika na zapleczu i za moment wraca z gazetą w ręce. Przegląda ją, potem otwiera na jednej ze stron i podaje mi.

– Co to? – pytam.

– Pytał pan, czy widziałem obrazek z kwiatkiem – zwraca się filatelista do Benjamin.

– Znaczek – poprawia go Benjamin wyważonym tonem, jak to on. – Pytałem, czy widział pan ten znaczek.

Babcia włącza się po angielsku, jakby chciała wyjaśnić nieporozumienie wywołane kulawą angielszczyzną Niemca.

– *Ja* – nalega Herr Jacobs i dźga palcem w gazetę. Sprawdzam więc, o co

mu chodzi. Wszystko jest po niemiecku, ale chyba mamy przed sobą stronę z drobnymi ogłoszeniami. Filatelista przesuwa palec na sam dół, gdzie go zatrzymuje.

– Ten kwiatek – mówi.

Wskazuje na niewielki rysunek przedstawiający jakiś budynek. To chyba ta sama synagoga, którą mijaliśmy dziś z Benjaminem, poznaję po kopule. W sam środek sklepienia wrysowana jest maleńka szarotka, prawie identyczna jak ta z naszego znaczka, umieszczona na wieży wiedeńskiej katedry.

– Co to? – pytam.

Herr Jacobs wzrusza ramionami. Może nie rozumie. Babcia znowu próbuje tłumaczyć, a on odpowiada jej coś po niemiecku. Babcia kiwa głową.

– *Ja, ja, ja* – przytakuje podekscytowana.

– Co, babciu? – pytam.

– On mówi, że to Kobiety Ruch Pokoju, grupa kobiet z obu stron muru, od lat walcząca o wolność i pokój w Niemczech, ogłasza termin swojego następnego zebrania. Robiły tak zawsze, żeby Stasi się nie zorientowała. – Herr Jacobs coś dodaje i babcia wyjaśnia: – I dalej tak robią. To ich znak rozpoznawczy. Ten kwiatek to ich... symbol. Tak?

– *Ja* – potwierdza filatelista. – Kwiatek to symbol. – I dodaje coś po niemiecku.

– Kwiatek informuje, gdzie i kiedy odbędzie się spotkanie – ciągnie babcia. – Jego żona należy, a raczej należała do tego ruchu. Zmarła rok temu. A on wciąż wyławia te ogłoszenia. Odruchowo. – Babcia rzewnie spogląda na filatelistę, wzruszona, że nawet takie drobiazgi przypominają mu żonę.

Herr Jacobs jednak tego nie dostrzega.

– Obrazek z kwiatkiem – mówi ze współczuciem. – Znaczek z kwiatkiem. Ten sam artysta, *ja*?

– Nie, to niemożliwe – zaprzeczam. – To nie może być ten sam artysta.

Filatelista marszczy czoło, Benjamin robi podobną minę.

– *Ja* – powtarza Herr Jacobs, nagle przełącza się z powrotem na niemiecki i puszcza serię słów, jakby strzelał z karabinu maszynowego.

– On twierdzi, że to ta sama kreska – tłumaczy babcia. Twarz ma ściągniętą, skupioną, ze wszystkich sił stara się nadażyć, bo Niemiec mówi teraz bardzo szybko. – W obydwu przypadkach kwiatek jest narysowany tą samą kreską.

– Oczywiście. To szarotka i to szarotka – włączam się. To po to jechaliśmy taki kawał drogi? Bo Herr Jacobs znalazł inną szarotkę, wpisaną w inny budynek, zamieszczoną w ogłoszeniu prasowym? Oddaję gazetę filateliście. – *Danke* – mówię.

– Nie. – Oddaje mi ją z powrotem. – Niech pani to weźmie. Ja mam dużo innych.

*

Wracamy w milczeniu. Składam gazetę, wsuwam ją do torebki i gapię się na budynki Berlina. Nie zatrzymując się, przejeżdżamy przez Bramę Brandenburską i już jesteśmy w Berlinie Wschodnim.

– No i co o tym sądzicie? – pyta cicho babcia z tylnego siedzenia, kiedy mijamy synagogę. – Trochę to dziwne, prawda? Kolejna szarotka w kolejnym budynku. Tyle lat później.

Zerkam na Benjamina, ale on nie daje po sobie niczego poznać. Nie odrywa wzroku od ulicy. Odwracam się przez ramię do babci.

– To musi być zbieg okoliczności – stwierdzam, choć pamiętam, co powiedział Benjamin w drodze powrotnej z San Diego: „Nie wierzę w zbiegi okoliczności”. Prawie czekam, aż znowu usłyszę te słowa, ale nie, nasz kierowca milczy. Rzucam na niego szybkie spojrzenie: patrzy przed siebie, jest skoncentrowany.

– Pomyślcie tylko – mówi babcia – co by to było, gdybyśmy tu z Gidem zostali i przeżyli wojnę. Utknęlibyśmy w NRD. Ciekawe, czy miałabym odwagę wstąpić do tej grupy. Do Kobiecego Ruchu Pokoju. Jak sądzicie?

– Na pewno tak – mruczę.

– No nie wiem – waha się babcia. – Na pewno bałabym się Stasi. Nie wiem. – Wzdycha, a potem milknie i wygląda przez okno, jakby próbowała

sobie wyobrazić inne życie.

*

W hotelu ja z babcią mieszkamy w jednym pokoju, a Benjamin w drugim, niedaleko, na tym samym korytarzu. Babcia kładzie się wcześniej, ale ja nie śpię. Patrzą w okno, za którym od czerni nocnego nieba ostro odcina się podświetlona katedra. Pięknie tu, mimo ponurego wystroju hotelu. Benjamin mówi, że przed zjednoczeniem obywatele NRD nie mogli się tu zatrzymać, nie przyjmowano też enerdowskich marek.

Myślę o Kobięcym Ruchu Pokoju, organizacji, która ogłasza miejsce i termin swoich spotkań za pomocą specjalnego szyfru: nierzucającego się w oczy rysunku w lokalnej prasie. Historia taty, który pięćdziesiąt lat temu wkomponował niepozorny kwiatek w znaczek pocztowy, by przekazać tajną wiadomość, nie zwracając uwagi nazistów, przypomina historię tych współczesnych mi kobiet, które mimo niebezpieczeństwa czyhającego ze strony enerdowskiego urzędu bezpieczeństwa działają na rzecz pokoju. Kobiet, od których pewnie niewiele bym się różniła, gdyby moja rodzina przed wojną nie wyemigrowała do Stanów, lecz utknęła za żelazną kurtyną.

„Dowód niezwykłej odwagi” – tak tata powiedział o szarotce. Może dziś, tu i teraz, mamy do czynienia z podobną sytuacją?

Rozlega się ciche stukanie do drzwi. Szybko podchodzę i przytykam oko do wizjera. Na korytarzu stoi Benjamin. Sięgam po klucz i przekręcam go w zamku.

– Wiedziałem, że nie będziesz spała. – Uśmiecha się do mnie półgębkiem.
– Chciałbym jeszcze raz zerknąć na tę gazetę.

– Babcia już śpi, zaczekaj. – Wyjmuję gazetę z torby i wychodzę na korytarz.

Idziemy do pokoju Benjamin. Jest urządzone identycznie jak mój, cały w brązach. Benjamin ogląda gazetę, a ja podchodzę do okna. Ponieważ wychodzi na drugą stronę budynku, nie widać stąd katedry, tylko jakiś nieoświetlony dom. Za oknem rozlewa się czerni.

– Ja się z nim zgadzam – oświadcza Benjamin.

– Że co? – Odwracam się do niego. Siedzi na skraju łóżka, więc sadowię się obok. Stykamy się ramionami, ale żadne z nas się nie odsuwa.

– To rzeczywiście ta sama kreska. Wygląda na to, że oba rysunki zostały stworzone przez tego samego artystę.

– Przecież to niemożliwe – oponuję. – Tata jest tysiące kilometrów stąd. W The Willows.

– Wiem. Ale nie sądzę, by Herr Jacobs specjalnie wpuścił nas w maliny. A jeśli... – zawiesza głos.

– Jeśli co?

– Jeśli ktoś z tej organizacji wie o znaczku twojego taty? Może ma taki lub kiedyś otrzymał list, na którym był naklejony? A potem go jakoś skopiował?

– Jasne. Nie wierzysz w zbiegi okoliczności – odpowiadam. – Może szarotka to nie żaden zbieg okoliczności. W tej części świata to ważna roślina. W kulturze niemieckiej i austriackiej.

– Może – mówi Benjamin i wskazuje na obrazek, a w zasadzie na wypisane pod nim maleńkie cyferki. – Herr Jacobs twierdzi, że rysunek informuje o miejscu i dacie spotkania. Spójrz na te cyfry.

Patrzę – 23109015 – i dokonuję w głowie szybkich obliczeń.

– Jutro o trzeciej?

– Powinniśmy tam pójść – oświadcza Benjamin. – Ze znaczkiem. I zapytać, może któraś z uczestniczek już go kiedyś widziała.

Na jutro planowaliśmy wizytę w archiwum państwowym, by przejrzeć upublicznione ostatnio akta pod kątem wzmianek o Elenie, ale Benjamin, jak widzę, zapalił się do pomysłu wyjaśnienia tajemnicy szarotki. Muszę przyznać, że sama jestem ciekawa tych kobiet, pomijając już kwestię samego rysunku, więc nie zgłaszam sprzeciwu.

*

Następnego dnia tuż przed trzecią po południu docieramy do Neue Synagoge

– bo tak nazywa się synagoga, którą wczoraj oglądaliśmy. Babcia twierdzi, że i tak chce ją jeszcze raz zobaczyć, bo pamięta, że była w niej w dzieciństwie z rodzicami.

– Ktoś miał wtedy bar micwę, chyba jakiś mój daleki kuzyn – mówi to tak, jakby powoli, jeden za drugim, wracały do niej szczegóły tamtego wydarzenia.

Kiedy wchodzimy do środka, okazuje się jednak, że budynek jest w trakcie remontu i bardziej przypomina plac budowy niż miejsce modlitwy.

– Zapytam o rabina – mówi babcia, podchodzi do jednego z robotników i pewnym tonem zagaduje go po niemiecku. Mężczyzna śmieje się i mówi coś, kręcąc głową.

– Co powiedział? – pytam.

Babcia marszczy czoło.

– Że rabini są na Zachodzie. Zachód ma rabinów. A Wschód ma tylko cmentarze.

Wychodzimy na dwór. Babcia przygląda się tabliczce, którą oglądałam wczoraj z Benjaminem.

– Niemożliwe, żeby się tu spotykały – mówię.

– Nie – zgadza się ze mną Benjamin.

– Może chodzi o jakiś inny budynek? Źle odczytaliśmy rysunek?

Benjamin rozgląda się dookoła. Jakaś dziewczyna jedzie na rowerze, ale jest bardzo młoda, pewnie wraca ze szkoły. Za młoda, by działać w wywrotowej organizacji. Zresztą i tak mija synagogę. Zatrzymuje się dopiero dalej, po drugiej stronie ulicy. Zsiada z roweru i wchodzi do lokalu, który wygląda jak kawiarnia.

– Tam – mówi Benjamin, wyrażając na głos moje myśli. – Założę się, że tam się spotykają.

*

W kawiarni panuje ścisk. Babcia proponuje, że nam coś zamówi, a Benjamin

dostrzega w kącie wolny stolik i idzie go zająć. Ja czekam w kolejce razem z babcią.

– Tu, w NRD, przez wiele lat nie było kawy – mówi babcia. – Dlatego pito zbożową. Z cykorii.

– Kawy nie było? – dziwię się. Niby drobiazg, ale symbolizuje warunki, w jakich żyli obywatele tego kraju.

Teraz na szczęście kawa jest. Niosę do stolika dwie filiżanki, dla mnie i dla Benjamina; babcia idzie za mną z kubkiem herbaty. Siadamy, pijemy i rozglądamy się.

– Bardzo to wszystko ekscytujące – oświadcza babcia, ostrożnie dmucha do kubka i upija łyk. – Nie miałam tylu przygód od czasu... och, nawet nie pamiętam od kiedy. – Chwilę nad czymś rozmyśla i znowu popija. – Może od lat sześćdziesiątych, gdy pojechaliśmy z Gidem do Jerozolimy.

Niezbyt dobrze pamiętam tamte czasy. Miałam wtedy dziesięć, może jedenaście lat i dostałam od nich naszyjnik z gwiazdą Dawida, z pięknym niebieskim kamieniem w środku. Przez wiele lat była to moja najdrogocenniejsza biżuteria.

– Dziękuję, że wzięliście mnie ze sobą – dodaje babcia.

Ściskam pod stolikiem jej rękę. Benjamin dziękuje jej, że zdecydowała się nam towarzyszyć i tłumaczyć wczorajszą rozmowę z Herr Jacobsem. Potem przeprosza i wychodzi poszukać toalety.

– Cudowny człowiek – oświadcza babcia. – Uwielbiam go.

– Serio? – Uśmiecham się i upijam łyk kawy.

– Konkretny, uczciwy – ciągnie babcia. – Bezpretensjonalny, w przeciwieństwie do... no, wiesz do kogo.

Kiwam głową. Babcia się nie myli.

– Poza tym jaki miły. I widzę, że cię lubi, Katie. I to bardzo.

Śmieję się, ale jednocześnie zastanawiam, czy to możliwe, że ma rację. Benjamin już do nas wraca. Babcia też go dostrzega i milknie.

– Są tam, z tyłu – mówi Benjamin, przejęty. – Siedzą przy dużym stole.

– Jak to? Skąd wiesz, że to one? – pytam.

Benjamin gestem nakazuje mi iść za sobą, a babcia deklaruje, że zostanie i popilnuje stolika. Mruga do mnie, ale udaję, że tego nie widzę. Wstaję i wychodzę za Benjaminem do drugiej części kawiarni.

Dostrzegam stół, który ma na myśli Benjamin. Siedzące wokół niego kobiety pochylają się nad kawą, a ich śmiech wypełnia całą salę. Wyobrażałam je sobie jako poważne komunistki, ubrane na brązowo, na podobieństwo wewnątrz w naszym hotelu, i w skupieniu marszczące czoła nad swoimi planami. One tymczasem przywodzą na myśl raczej klub brydzowy babci. Odbywają po prostu miłe spotkanie towarzyskie.

– Nie sądzę... – zaczynam, ale Benjamin nie pozwala mi dokończyć, chwytając mnie za rękę.

Jego dotyk – ponowny, tutaj – przyprawia mnie o gęsią skórę i nakazuje zamknąć usta. „Próbuje przyciągnąć moją uwagę, nic więcej” – tłumaczę sobie, ale i tak myślę o tym, co przed chwilą powiedziała babcia: „Lubi cię, Katie, i to bardzo”.

– To ona – mówi Benjamin schrypniętym od emocji głosem. Odchrząkuje.
– Ta kobieta z rysunku twojego ojca.

– Niemożliwe – odpowiadam instynktownie, ale patrzę w tamtą stronę, na kobietę zajmującą miejsce u szczytu stołu. Te same włosy, długimi siwymi falami spływające na ramiona, te same charakterystyczne, wystające, teraz pomarszczone już policzki, ten sam kształt czoła.

Podchodzę do stołu. Benjamin, nie puszczając mojej ręki, idzie za mną.

– Elena? – pytam.

Kobiety jak na zawołanie milkną, odwracają głowy i podnoszą na mnie wzrok. Serce mi wali. Zaczynam się pocić, nagle robi mi się gorąco.

Odzywa się młoda dziewczyna, ta sama, którą przedtem widzieliśmy jadącą na rowerze.

– Pomyliła pani stoliki – mówi łamaną angielszczyzną i mocno ściąga brwi.

– Elena Faber? – pytam, tym razem głośniej.

– Nie ma tu takiej. – Dziewczyna (może jednak trochę starsza, niż mi się początkowo zdawało, na oko dwudziestolatka) macha ręką, jakby chciała mnie odpędzić. Niczym natrętną muchę lub przynajmniej głupią amerykańską turystkę, która szuka tu nie wiadomo czego.

Kobieta, którą wypatrzył Benjamin, a ja nazwałam Eleną, wstaje. Nie ma wątpliwości, że to ona tu rządzi. Zwraca się do pozostałych po niemiecku. Żałuję, że nie ma z nami babci, żeby przetłumaczyła, co mówi, ale zgaduję, że coś w rodzaju: „Już ja sobie poradzę z tymi głupimi amerykańskimi turystami”, bo wychwytyuję słowa *amerikanischen Touristen*.

– *Ignore sie, Amata!*^[5] – odzywa się jedna z jej koleżanek.

– Amata... Amy? – szepczę do Benjamina, przypominając sobie opowieść taty o tym, że kiedy wyrabiali dla niego i Eleny fałszywe dokumenty, imiona i nazwiska zaczerpnęli od bohaterów *Małych kobietek*.

Benjamin mocniej ściska moją rękę. Kurczowo trzymamy się siebie nawzajem.

– Amy March? – powtarzam głośniej.

Kobiety milkną i patrzą prosto na mnie, zaciekawione, zaintrygowane, a potem przenoszą pytające spojrzenia na swoją liderkę. Teraz jestem już pewna, że to ona. Jestem pewna, ale równocześnie nie mogę w to uwierzyć. To nie może być prawda. Ona tu jest? Żyje? „Ten sam artysta – stwierdził Herr Jacobs. – Ta sama kreska”. Elena знаła znaczek i rysunek szarotki równie dobrze jak tata.

– Chodźcie, porozmawiamy na dworze – odzywa się prawie doskonałą angielszczyzną, wstaje i kieruje się do przedniej części kawiarni. Idziemy za nią.

*

– Jeżeli jesteście z CIA, to już im wszystko powiedziałam. Nie mam nic do dodania. – Starsza pani zwawo idzie Oranienburger Strasse w stronę muru, tak jak my wczoraj. Na dworze jest dużo chłodniej niż w kawiarni. Zatrzymuję się na moment, by zaczerpnąć tchu, ale ona nie zwalnia, więc muszę pod-

biec, by ją dogonić.

– Nie jesteśmy z CIA – tłumaczę. – Nie chcemy pani wypytywać ani wyrządzić żadnej krzywdy. Szukaliśmy pani.

Ona idzie dalej, i to tak szybko, że oboje z Benjaminem prawie biegniemy, by za nią nadążyć.

– Miriam też pani szuka – dodaję.

Kobieta zatrzymuje się, odwraca na pięcie i spogląda na mnie, na Benjaminą, a potem znowu na mnie.

– Miriam? – Na jej twarzy pojawia się grymas. Kamienne rysy na chwilę łagodnieją, jakby miała się zaraz rozpłakać. – Ona żyje?

– Tak, żyje. Mieszka w Cardiff, w Walii. – Szczegóły pomijam, nie wspomnam o złamanym biodrze ani o przygnębiającym domu opieki Raintree. Zresztą mówiła, że przebywa tam tylko chwilowo; mam nadzieję, że już wyzdrowiała, wróciła do domu i jest ze swoim Herbiem.

– Och – wzdycha Elena. – Och... Tyle lat. Moja Miri... – Niedaleko nas stoi ławka. Elena podchodzi do niej, chwyta za oparcie, jakby się bała, że upadnie, i siada. Wyjmuje z torebki papierosy. Częstuje mnie i Benjaminą, wyciąga paczkę w naszą stronę jak rękę na znak pokoju. Oboje odmawiamy, więc zapala sama. Zaciąga się powoli, a potem wypuszcza dym.

– Miri was wynajęła, żeby mnie znaleźć? – pyta.

– Nie – odpowiadam. – Szukaliśmy pani, a znaleźliśmy ją. W zeszłym roku.

Elena jeszcze raz zaciąga się dymem, a potem rzuca niedopałek na chodnik, przydeptuje go i wstaje. Nie ufa nam. Zaraz znowu zacznie uciekać.

– List – mówi Benjamin, pociągając za moją torebkę.

Szybko wyciągam koszulkę z kopertą.

– Mamy coś, co należy do pani – zwracam się do Eleny. – Chcielibyśmy to pani oddać.

– Jestem z NRD – oświadczam sucho. – Nie mam czym zapłacić.

– Ale kiedyś była pani z Austrii – mówię. – A my nie chcemy pieniędzy.

Wyciągam w jej stronę rękę z listem, ona na niego spogląda, bierze gwałtowny wdech i blednie, jakby zobaczyła ducha.

– Skąd to macie? – pyta.

– Od mojego taty – wyjaśniam. – Czyli Kristoffa.

AUSTRIA, 1939

Mocno ścisnęłam w dłoniach listy, uważając, by nie uszkodzić znaczków. Padał śnieg. Marzły mi palce u stóp, przez zdarte podeszwy butów przenikała zimna wilgoć, mimo to szłam przez las, chroniąc listy pod płaszczem, by nie zamokły. „Jeszcze tylko parę kroków” – powtarzałam sobie. To była nieprawda, ale szłam dalej.

„Jeszcze parę kroków. Jeszcze parę”.

Musiłam tylko dotrzeć do miasteczka i nadać listy na pocztę przy Wien Allee. Wystarczy je wysłać i wszystko będzie dobrze.

To też była nieprawda, rzecz jasna. Ale mimo to brnęłam dalej przez śnieg.

Dotarłam na skraj lasu i przez wirujące płatki śniegu, w niebieskoróżowym świetle przedświtu zobaczyłam majaczące w oddali czerwone dachy – te, które się jeszcze ostały.

Wien Allee. Już prawie tam byłam.

Nagły cios zimną kolbą w skroń tak mnie zaskoczył, że nawet nie krzyknęłam. Ktoś szarpnął mnie za ramię i upuściłam listy, które rozsypały się na nienaruszonym śniegu.

Pomyślałam, że zaraz mnie zabije, i nagle zrozumiałam, że wcale nie chcę umierać. Zależało mi na tym, żeby żyć. Nie chciałam się żegnać z tym światem, z Austrią, z mamą i z Kristoffem. Nie w ten sposób.

Zaczęłam się wyrywać i naraz kątem oka zobaczyłam mężczyznę, który przyciskał mi lufę do głowy.

– Josef?

Opuścił pistolet, odsunął się o parę kroków i poszedł podnieść listy.

– Ależ mnie przeraziłeś. Co ty robisz?

– Musiałem cię zatrzymać. Żebyś nie szła do miasteczka. Wszędzie są Niemcy. U ciebie w domu też – dodał.

– Tak? Pewnie tylko przyszli po nową matrycę.

Zostawiłam Kristoffa w domu. Spał spokojnie, jak dziecko. Pocałowałam go w policzek i szepnęłam, że bardzo go kocham. Lekko się poruszył. Czuję moją miłość nawet przez sen, ale się nie obudził.

W nocy obiecałam mu, że niebawem wyjedziemy do Bremy. I że nie zrobię niczego głupiego. Ale bynajmniej nie miałam zamiaru uciekać. Nie teraz, gdy robiliśmy tyle dobrej roboty i nareszcie wiedzieliśmy, co z mamą. Josef od dawna mnie przekonywał, żebym jakoś zaaranżowała wyjazd Kristoffa. Potrafiłam już sama grawerować płytki do podrabiania dokumentów i oboje rozumieliśmy, że Kristoff nie jest stworzony do działań, jakie chcemy podejmować. Josef wciąż mi powtarzał, że jedynym sposobem, by ocalić Kristoffa, jest pozwolić mu odejść. Miał rację, wiem. Cóż z tego, skoro do tej pory nie byłam w stanie się przemóc. Zaplanowałam sobie, że rano pójdę na pocztę, a potem, po powrocie do domu, od razu wyprawię Kristoffa do Bremy. Chciałam go tam sama zawieźć, by mieć pewność, że bezpiecznie dotarł – dokładnie tak samo, jak postąpiłam z Miri.

– Nie – odparł ostro Josef. – Są na naszym tropie.

Pokręciłam głową. Nie wierzyłam mu. Nie potrafiłam mu uwierzyć.

– Wiem, co zrobiłaś – powiedział. – I oni też to wiedzą.

– Nikt nie zwróci uwagi na dziewczynę z kilkoma listami, nawet jeśli to Żydówka. A Kristoff się do tego nie nadaje. Za bardzo się denerwuje. Nawet żeby iść na pocztę.

– Nie – rzekł Josef. – Nie chodzi o te listy. Mam na myśli znaczek. Nakleiłaś go na list do mamy, prawda?

Josef miał rację. Rzeczywiście, parę tygodni wcześniej wysłałam do mamy list z jednym z naszych znaczków. Josef uniósł broń i przez sekundę miałam wrażenie, że zaraz do mnie strzeli.

– N-nie... – wymamrotałam bez przekonania.

– Niech to, Elena, nie oszukuj mnie. Jednego znaczka brakuje. Wczoraj wieczorem je liczyłem. I pomyślałem sobie: „Ciekawe, co też się z nim stało. Co Kristoff mógł z nim zrobić?”. Ale szybko zrozumiałem, że to nie on. Tylko ty.

Miał rację. Nie było sensu dalej kłamać.

– Tylko jeden – przyznałam. – I nie napisałam nic takiego, co mogłoby zaniepokoić Niemców. Zacytowałam fragment z ulubionej książki ojca o szarotkach. To wszystko. Ale mama by się domyśliła. Spojrzałyby na znaczek i przeczytała moje słowa. I wiedziałyby, że jesteśmy bezpieczni.

– Jesteśmy skończeni, nie bezpieczni. Wystarczyło, że w obozie list trafił w ręce niemieckich cenzorów, którzy dokładniej przyjrzeni się znaczkowi. Już przyszli po Kristoffa, po nas też się wkrótce zjawią. – Josef starał się pannaować nad sobą, ale jego twarz z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej purpurowa.

– Niemożliwe. – Pokręciłam głową. – To był tylko jeden list. I jeden znaczek – powtórzyłam.

– Chodź – powiedział Josef. – Jest u mnie Schwann. Wywiezie nas. Niemcy mogą jeszcze nie wiedzieć, że jestem w to zamieszany, więc być może uda nam się wydostać. Ale musimy to zrobić od razu. Natychmiast. – Josef złapał mnie za rękę i, wcale nie delikatnie, pociągnął do siebie.

– Nie zostawię Kristoffa. – Wyrwałam mu się i szybkim krokiem ruszyłam w stronę domu. Nie mogłam tak postąpić. Nie mogłam pozwolić, by Niemcy go zabrali, zrobili mu krzywdę. Musiałam go ocalić.

– Elena, stój albo strzelę – warknął Josef.

Zatrzymałam się. Celował do mnie z broni.

– Nie odważysz się. – Buntowniczo skrzyżowałam ramiona. Josef znał mnie od małego. Razem dorastaliśmy. Mimo to wiedziałam, że nie żartuje, że gdyby musiał, byłby gotów do mnie strzelić.

– Gdybym miał cię zranić w ramię, żeby uratować ci życie, Bóg mi świadkiem, że bym to zrobił – powiedział stanowczo, dobitnie.

Wierzyłam mu. Próbowałam ocenić, z jaką prędkością byłabym w stanie biec do domu. Do Kristoffa. Gdyby udało mi się prześcignąć Josefa i jego kulę...

– Elena – powtórzył Josef. – Nie bądź głupia. Kristoffa może nie zabiją, ale ciebie na pewno, jeżeli się tam teraz pojawisz.

Byłam przekonana, że Josef się myli. Zabiliby go od razu. Nagle stanął mi przed oczami Kristoff, mój piękny Kristoff, smukły i wysoki, z rozerwaną przez kulę piersią, z której bucha krew. Był całkiem sam. I miał umrzeć sam. Z mojej winy. Chciałam ich powstrzymać, uratować go, ale jeżeli Niemcy weszli już do domu... było za późno. Poza tym powrót rzeczywiście oznaczałby dla mnie samobójstwo. Krzyknęłam z rozpacz i zasłoniłam usta rękawem płaszcza.

– Chodź – powiedział Josef, już łagodniej. Opuścił pistolet i położył mi rękę na ramieniu. – Czego najbardziej pragnąłby Kristoff? Żebyś ocalała siebie.

Josef miał rację. Wiedziałam o tym. Zapadłam się w siebie i poczułam, jak ogarnia mnie ziąb. Przez długi, długi czas potem nie mogłam się rozgrzać.

Josef wsunął broń za pasek i wziął mnie pod ramię. Poszłam z nim do jego gospodarstwa. Wsiadliśmy do samochodu Schwanna i odjechaliśmy, porzucając nasz dom.

NIEMCY, 1990

– Wtedy widziałam go po raz ostatni – mówi Elena. – Kilka tygodni później uparłam się i namówiłam Josefa do powrotu do Grotsburga, ale już niczego nie zastaliśmy. Mój dom rodzinny, gospodarstwo... wszystko było wypalone do gołej ziemi. – Wyciąga z paczki kolejnego papierosa i zapala go drżącą ręką.

– Nie rozumiem – wtrącam. – Tata nie wspominał, że tamtego ranka zjawili się Niemcy. Powiedział tylko, że na skraju lasu znalazł na śniegu list, który, jak sądził, pani tam upuściła. I że nie wróciła już pani do domu. Uznał, że wpadła pani wtedy w ręce Niemców.

Elena zaciąga się i odwraca wzrok. Patrzy na mur.

– Czyli Josef kłamał, że tamtego poranka widział w pani domu Niemców? – pyta Benjamin.

– Tak – przytakuje po chwili Elena i wypuszcza dym. – Skoro twierdzicie, że Kristoff żyje... to znaczy, że Josef kłamał.

Spodziewałabym się po niej ostrzejszej reakcji. Tata opisywał ją jako nieustraszoną, po wojnie tyle lat walczyła o pokój w Niemczech. Tymczasem ona, dowiedziawszy się, że została okłamana, okazuje tylko rezygnację. Cemu nie gniew?

– A co się stało z pozostałymi listami? – pyta Benjamin.

– Wysłaliśmy je z Josefem do Wiednia. Wszystkie prócz tego jednego, który przez przypadek wypadł mi w śnieg. Ale ostatecznie sfałszowane dokumenty dotarły do adresatów. Niedługo potem zgłosili się do nas Brytyjczycy z SOE i nawiązaliśmy współpracę, która trwała kilka lat. Tworzyliśmy dla nich znaczki, rozprowadzaliśmy materiały propagandowe na terenie Rzeszy.

Dobrze pamiętam Hitlera z twarzą kościotrupa, którego pokazywał nam doktor Grimes. Czy Elena i Josef mieli swój wkład w powstaniu tego wizerunku?

– A potem wojna się skończyła – ciągnie Elena – i urządziliśmy się z Josefem w Berlinie.

– Razem? – pytam.

– Tak – słyszę w odpowiedzi. – Najpierw po prostu razem pracowaliśmy, tak jak zawsze. Ale potem, z biegiem lat, zaczęłam postrzegać Josefa inaczej. Byłam przekonana, że Kristoff nie żyje.

To dlatego przed chwilą nie zareagowała tak, jak się spodziewałam. Bo zakochała się w Josefie. Poszła dalej. Tak samo jak tata, wiążąc się z mamą. Z jednej strony gniewam się na Josefa, że ją okłamał, w wyniku czego została tatą, ale z drugiej – zdaję sobie sprawę, że najprawdopodobniej to go ocaliło, zresztą Elenę również. Gdyby tata nie był przekonany, że ona nie żyje, nie wyjechałby z Austrii, nie wsiadł na statek do Stanów i nie odszukał Fredericka, a co za tym idzie – nie poślubiłby mamy. I mnie by tu dziś nie było. Poraża mnie skala tego wszystkiego, fakt, że najdrobniejsze decyzje podjęte przez poprzednie pokolenia przesądzają o moim życiu. W milczeniu siedzę obok Eleny.

– Przez jakiś czas wszystko dobrze się układało – opowiada dalej Elena. – Byliśmy szczęśliwi. Aż pewnego dnia w Berlinie wyrósł mur, ot tak sobie, nagle. Jednego dnia jesteśmy na jakimś przyjęciu w zachodniej dzielnicy, a drugiego okazuje się, że już nie można tam wrócić. – Zgnięta podszwą drugi niedopałek i nie wie, co zrobić z pustymi rękami. Przez chwilę wykręca palce. – Zaczęliśmy działać na rzecz obalenia muru. Robiliśmy, co się dało. Ale w latach siedemdziesiątych Josefa aresztowano za „szerzenie wywrotowej propagandy”. Zabrała go Stasi i kilka lat później umarł w Hohenschönhausen. To okropne enerdowskie więzienie, niektórzy twierdzą, że gorsze od Auschwitz. Władze zaprzeczały jego istnieniu i nie umieszczały go na mapach. Ale tam go zabrali i tam umarł. Jestem pewna.

Wszyscy milczymy, nikt się nie porusza.

– Tak mi przykro – odzywa się w końcu Benjamin.

– Mnie również – stwierdza rzeczowo Elena, a po chwili dodaje, już łagodniej: – Opowiedzcie mi lepiej o Kristoffie.

Mówię jej to, co wiem – jak przyjechał do Kalifornii w poszukiwaniu Fre-

dericka i najprawdopodobniej jej, jak poznał moich dziadków i zakochał się w mamie.

– Gideon Lester to pani dziadek? – Elena po raz pierwszy się uśmiecha. – Ocalił mojemu ojcu życie.

– I mojemu – dodaję. Och, jak żałuję, że dziadek Gid nie dożył tej chwili. Machnąłby ręką, że to nic wielkiego, choć należało mu się wielkie uznanie. Szkoda, że babcia, która została w kawiarni, tego nie słyszy.

– Po wojnie wiele razy pisałam do ojca – mówi Elena. – Ale nigdy nie dostałam odpowiedzi.

Opowiadam jej, że Frederick, a raczej Charlie, umarł w rok po przyjeździe do San Diego.

– Cóż – stwierdza na to – przynajmniej nie zabili go jak psa, nie musiał patrzeć na zagładę ojczyzny. Jestem za to nieskończenie wdzięczna. Mama nie miała tyle szczęścia, zginęła w Mauthausen. Popełniłam koszmarny błąd, wysyłając do niej list z naszym znaczkiem. Nigdy sobie tego nie darowałam.

– To na pewno nie stało się przez panią – zapewniam ją. Na mikrofiszach Czerwonego Krzyża widziałam tysiące nazwisk. Wymordowano rzesze ludzi. – W obozach zginęły setki niewinnych osób.

Elena ze smutkiem kręci głową; nie przekonałam jej.

– Po wojnie szukałam też Miriam, jeszcze przed podziałem Niemiec, ale nie mieliśmy pieniędzy na podróż do Wielkiej Brytanii, a potem, po powstaniu NRD, domyślałam się, że przestały dochodzić nawet moje listy. – Odwraca się do mnie. – Naprawdę pani z nią rozmawiała? Widziała ją pani?

Kiwam głową, a ona znowu się uśmiecha. Staje się wtedy piękna. Jej twarz ożywa. Lata wojny i niedoli nie odebrały jej urody.

– Mam przy sobie jej adres. – Wyjmuję kartkę z torebki i podaję ją Elenie. Przepisałam go sobie do notesu, więc nie potrzebuję karteczki, którą noszę przy sobie od czasu wyprawy do Walii.

Elena bierze ją, dziękuje i wstaje.

– Pora się zbierać, dziewczęta zaczną się niepokoić – mówi i rusza z powrotem do kawiarni. Tak po prostu.

– Chwileczkę! – wołam za nią. – A list? – Podnoszę koszulkę z kopertą z ławki, na której ją zostawiła.

Ona jednak kręci głową.

– Od wielu lat nie jestem Eleną Faber. Może lepiej niech pani ojciec go zatrzyma.

– Nie. – Podaję jej kopertę. – Ojciec pragnie, żeby trafił do pani. Bardzo by się cieszył, gdyby mógł się z panią zobaczyć – dodaję. Naprawdę chcę dotrzymać złożonej mu obietnicy, że jeśli tylko odnajdę Elenę, przywiozę ją ze sobą. – Mieszka w domu opieki w Kalifornii. W Los Angeles. Nie da rady tu przyjechać. Ale może pani mogłaby go odwiedzić?

– Och. – Elena bezradnie zwiesza ramiona. – Więc jest w domu opieki? Choruje?

– Fizycznie nie. Ale ma problemy... z pamięcią. Choroba Alzheimera. Wszystko gubił, nie potrafił się odnaleźć. Nie mógł dłużej mieszkać sam. Ale to piękne miejsce, tam, gdzie teraz jest – zapewniam ją.

Elena spuszcza wzrok, odbiera ode mnie list i wkłada go do torebki.

– On mnie stracił. A ja jego. Dawno temu – mówi. – Może lepiej tego nie tykać.

Teraz, kiedy ją już znalazłam, nie chcę pozwolić jej odejść. Za wszelką cenę pragnę zawlec ją do Kalifornii i zaprezentować ojcu niczym nagrodę, zdobytą z dumą na jakichś dziecięcych zawodach. „Proszę, tato, oto twój klejnot” – powiedziałabym.

Elena wchodzi jednak do kawiarni, a ja zdaję sobie sprawę, że nie zrobię nic, by ją zatrzymać. W ostatnim geście rozpaczy wciskam jej swoją wizytówkę.

– Niech pani przynajmniej będzie ze mną w kontakcie.

Starsza pani słabo się uśmiecha, ale przyjmuje wizytówkę.

– Miła z ciebie dziewczyna, Katie – mówi. – Kristoff jest szczęściarzem, że ma taką córkę. I mieszka z nią w wolnej Ameryce. To wspaniałe życie. Mnie w nim nie potrzeba.

– Ale... – zacynam się – kiedy właśnie potrzeba. – Chcę jej opowiedzieć, że

tata ostatnio ciągle ją rysuje, żyje przeszłością, przypomina sobie czasy, kiedy ją kochał.

– Nie – ucina Elena, zanim zdążam coś jeszcze dodać. – Jestem tylko duchem z przeszłości. Ma ciebie.

LOS ANGELES, 1990

Święto Dziękczynienia spędziłam z tatą w The Willows. W południe podają tam lunch dla pensjonariuszy i ich rodzin: indyka z nadzieniem i purée ziemniaczane. Posiłek, dostarczony przez firmę cateringową, jest zdumiewająco smaczny. Siedzimy z tatą przy dwuosobowym stoliku i rozmawiamy o Świętach Dziękczynienia z dawnych lat. Wspominamy mamę i to, jak kiedyś zaczął się palić indyk, którego postanowiła usmażyć według nowego przepisu, w głębokim tłuszczu. Wspomnienie pochodzi z tak odległych czasów, że sama nie wiem, czy naprawdę pamiętam tamto święto, ale słyszałam tę historię lub nawet sama ją opowiadałam tak wiele razy, że wydaje mi się znajoma. Mama co roku się z niej śmiała, a my nadal przypominamy sobie ten śmiech. I to jest nawet lepsze niż sama historia z płonącym indykiem.

Nie mówiłam jeszcze tacie o wyjeździe do Niemiec i nie jestem pewna, czy w ogóle to zrobię. Z jednej strony bardzo bym chciała, żeby wiedział, że Elena żyje, z drugiej – wtedy będę musiała mu powiedzieć wszystko, czyli skąd się wzięła w Niemczech i co zrobił Josef. No i najważniejsze – że nie chce do niego przyjechać. Elena to już inna osoba. Tata zresztą też. Ale wspomnienie zostało. Jest nienaruszone. Elena żyje w przyszłości, w wolnych po tylu latach Niemczech. Tata – w mrocznej, mętnej przeszłości.

– Gdzie twój mąż? – pyta tata, który nie pamięta nie tylko imienia Daniela, lecz również tego, że się rozwiedliśmy. Rozgląda się po pokoju, jakby Daniel gdzieś tu był, lecz się zagubił.

– Nie ma go – odpowiadam. – Rozwiedliśmy się, pamiętasz?

– A no tak, rzeczywiście. – Tata zawsze się uśmiecha, kiedy mu to mówię, jakby sobie przypominał, że w głębi serca nigdy nie lubił Daniela i z góry wiedział, że się między nami nie ułoży.

– Jadę dziś na kolację do babci – informuję go.

Wybieram się do niej prosto z The Willows. Wczoraj wieczorem spontanicznie zadzwoniłam do Benjamina, by go zaprosić, ale włączyła się sekretar-

ka, a on do tej pory nie oddzwonił. Po powrocie z Niemiec parę razy się ze sobą kontaktowaliśmy. Raz ja dzwoniłam, żeby mu podziękować za zeszłoroczną pomoc i zapytać, co według niego powinnam zrobić z kolekcją taty, która zajmuje całą szafę w moim małym mieszkaniu. On z kolei dzwonił do mnie tydzień temu z informacją, że w zbiorach innego klienta natknął się na autentycznego Fabera. Pytał, czy mam ochotę go zobaczyć przed wystawieniem na aukcję. Powiedziałam, że oczywiście, ale jeszcze się konkretnie nie umówiliśmy. No i wczoraj wieczorem zaproponowałam mu wspólny wyjazd do babci. W kontekście naszych raczej służbowych kontaktów z ostatnich tygodni i miesięcy zabrzmiało to dziwnie osobiście, ale pamiętałam, jaki smutny był Benjamin w zeszłym roku w okresie Świąta Dziękczynienia, i nie chciałam, by spędził ten dzień samotnie.

– Pozdrów ją ode mnie – mówi tata. A potem dodaje: – Obawiam się, że nie będę mógł wrócić. Jestem tu potrzebny.

– Oczywiście – mruczę. Nie jestem pewna, kto tym razem do mnie mówi: Ted czy Kristoff, w którym świecie przebywa teraz tata. Nachylam się i całuję go w łysiejącą głowę. – Do zobaczenia za tydzień – mówię.

*

Kiedy wracam do siebie, Benjamin siedzi przed drzwiami i czyta książkę. Na mój widok zrywa się na nogi. Witam go uśmiechem.

– Mówiłaś, że ruszasz o pierwszej. Bałem się, że już pojechałaś i sterczę tu na darmo.

– Nie. – Otwieram drzwi i wpuszczam nas do środka. Lucky ignoruje mnie i skacze na Benjaminą, który głaszcze ją, dopóki suczka nie ma dość. – Najpierw odwiedziłam tatę. Zjedliśmy świąteczny lunch. To jak, jedziesz ze mną do Coronado?

– Nie wiem. Myślałem, żeby jechać. Ale potem doszedłem do wniosku, że marne będzie ze mnie towarzystwo.

– A myślisz, że czego się spodziewałam? – odparowuję, a Benjamin się śmieje. – Jedziesz – oświadczam. Nie pytam, tylko rozkazuję. – Co będziesz

tu robił, sam jak palec? Rozpaczał? Przecież Sara by tego nie chciała. Uwielbiała Święto Dziękczynienia, tak? Poza tym babcia cię wielbi. Będzie rozczarowana, jeśli się nie pojawisz.

– Serio? – Rysy Benjamina łagodnieją. On też bardzo lubi babcię. Twierdę tak na podstawie swoich obserwacji z podróży do Berlina: opiekował się nią w samolocie, nosił jej walizkę, pomagał usiąść, proponował słuchawki.

– Oczywiście – odpowiadam, choć wcale nie uprzedzałam babci, że przyjedziemy razem. Wiem jednak, że będzie zachwycona.

*

Dwie godziny później babcia wychodzi przed dom, by nas uściskać, a potem zaprasza do środka, gdzie w zatłoczonej jadalni siedzą już jej znajomi z klubu brydżowego. Wypuszczam Lucky do ogródka za domem, a kiedy wracam, okazuje się, że babcia zdążyła już wyciągnąć zdjęcia, które Benjamin zrobił w Niemczech. Nie wiedziałam, że zamówił i przysłał jej odbitki. Panie, które jeszcze pół roku temu swatały mnie ze swoimi wnukami, z aprobatą kiwają głowami i zostawiają mnie w spokoju. Nie wyjaśniam, że jesteśmy z Benjaminem tylko przyjaciółmi.

Wszyscy za dużo jedzą i piją, ja i Benjamin również. Babcia proponuje nam pokój gościnny, żebyśmy nie musieli wracać po nocy. Jest tam tylko jedno łóżko, więc Benjamin oświadcza, że prześpi się na kanapie. Babcia odpowiada po prostu:

– A śpijcie sobie, gdzie chcecie. Mnie tam wszystko jedno.

Potem daje nam obojgu całusa i idzie się położyć.

– Robi się zabawna, gdy więcej wypije – mówię, choć tak naprawdę nie wiem, ile wypila. Bo ona i na trzeźwo powiedziała by to samo, z czystego serca. Benjamin się śmieje i zabiera się do zmywania. W zlewie piętrzą się naczynia.

Idę mu pomóc. On myje, ja wycieram. Nie przestajemy do chwili, gdy wszystko jest czyste i równo poustawiane na blatach.

– Idziesz spać? – pyta Benjamin, wycierając ręce w ścierkę.

– Chyba nie. – Kuchenny zegar pokazuje wprawdzie, że jest po dziesiątej, ale wino trochę uderzyło mi do głowy i nie czuję się ani odrobinę senna.

– Masz ochotę przejść się z psem? Tak się obzarłem, że chętnie bym pospacerował.

– Jasne. Możemy iść na plażę, to rzut beretem. Weź kurtkę, na pewno będzie chłodno.

Wołam Lucky i wychodzimy. Najpierw kierujemy się w stronę hotelu Del Coronado, pięknie podświetlonego, wznoszącego się nad oceanem niczym imponujący historyczny znak nawigacyjny. Benjamin nie był tu nocą, zatrzymuje się więc i chwilę podziwia piękny widok. Dochodzimy do przecznicy i skręcamy na plażę. Drzę, bo wiatr od wody jest chłodny.

– Dziwne to wszystko – stwierdza Benjamin. – Nigdy bym się nie spodziewał takiego obrotu sprawy.

– To znaczy? – Zdejmuję buty i stopy zapadają mi się w miękki piasek. Podchodzimy bliżej wody, gdzie jest twardszy i zimniejszy, lecz łatwiej się po nim stąpa.

– No, twojej babci. Tej kolacji. I ciebie. To znaczy, wiesz, kiedy pierwszy raz weszłaś do mnie do sklepu obładowana znaczkami, nawet cię nie zauważyłem.

– Ha, ha, dzięki – śmieję się. – Pewnie złałam się w jedno z pudłami.

– Nie, nie o to mi chodziło – próbuje wyjaśnić. Nie widzę jego twarzy, jest za ciemno, ale przypuszczam, że jest stremowany i się rumieni.

– Wiem, co masz na myśli – przyznaję. – Ja ledwie się wtedy zmusiłam, żeby wysiąść z samochodu.

– Cieszę się, że wysiadłaś – oświadcza Benjamin.

– Ja też.

– Ostatnio dużo myślałem o historii Kristoffa i Eleny, o tym, co im się przytrafiło, czym był dla nich ten znaczek. Ale dopiero dziś rano, kiedy odsłuchałem twoją wiadomość, zrozumiałem, czym był dla mnie – mówi szybko i przerywa, by zaczerpnąć tchu. – Gdyby nie ten znaczek, tobym cię nie poznał. Nawet nigdy bym na ciebie nie spojrział.

On się zatrzymuje, więc ja robię to samo. Odwraca się i patrzy na mnie. Jest pełnia, światło księżyca odbija się od wody. Przede mną rysuje się poważna twarz Benjamina, jego lekko wygięte w dół wargi.

– Ale spojrzałeś. I co, jak wyglądam? – pytam półżartem.

Kładzie mi dłoń na policzku – powoli, jakby się spodziewał, że się odsunę. Ponieważ tego nie robię, delikatnie gładzi mnie kciukiem.

– Jesteś naprawdę piękna – mówi. – I mądra. I dobra. I bardzo kochasz swoją rodzinę. Opiekujesz się tatą i babcią...

Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że się zaraz rozpłaczę.

– Chyba za dużo wypiliśmy.

– Nie – zaprzecza. – No, może ciut za dużo.

Śmieję się. Ja też wypiałam troszkę więcej niż powinnam.

– Wiesz – zaczynam, ośmielona i winem, i miłymi słowami Benjamina – moglibyśmy się kiedyś umówić na kolację. Pogadać o czymś innym niż znaczki. Co?

– Bardzo chętnie – odpowiada i przysuwa się bliżej, jakby miał zamiar mnie pocałować, ale tego nie robi; muska mnie tylko wargami w czoło i odsuwa się o krok.

Ja jednak przyciągam go do siebie, staję na palcach i całuję go w usta. Już od dawna nikogo nie całowałam, ale dokładnie pamiętam to uczucie – ciepła, doskonałości i czegoś nowego – i mam wrażenie, że całe moje ciało oddycha z ulgą: uff, wresz cie. Nie zdawałam sobie sprawy, od jak dawna miałam na to ochotę.

– To ja miałem to zrobić – mówi po chwili Benjamin.

– Wiem.

– I nie dlatego, że się upiłem.

– Wiem – śmieję się.

Może tata miał jednak rację. To nieprawda, że istnieje tylko jedno zakończenie, jedna odpowiedź, że tylko jedna osoba może nas uszczęśliwić lub przeciwnie – zranić. Być może każdy ma szansę zacząć od nowa. Stać się zu-

pełnie innym człowiekiem.

Benjamin bierze mnie za rękę i powoli wracamy do domu babci.

LOS ANGELES, 1991

Pewnego dnia pod koniec stycznia budzi mnie dzwonek telefonu. Jest siódma rano. Czyżby Benjamin? Otwieram oczy – nie, Benjamin śpi obok mnie. Uśmiecham się, lecz natychmiast ogarnia mnie niepokój, że coś się stało z babcią lub z tatą. Wskakuję z łóżka i biegnę do kuchni odebrać połączenie.

– Pani Lawrence? – odzywa się głos w słuchawce. – Mówi Gretchen z The Willows.

– Coś z tatą? – pytam przestraszona. Sally wyszła za męża, wyprowadziła się i od miesiąca nie pracuje w ośrodku, a tej Gretchen jeszcze dobrze nie znam. Nie wiem, czego się po niej spodziewać, jak szybko by zadzwoniła, gdyby tata zachowywał się inaczej niż zwykle.

– Nie, nie, z tatą wszystko dobrze. Przepraszam, nie chciałam pani przestraszyć.

Zerkam na zegarek. Może wcześniej źle odczytałam godzinę, ale nie, jest dopiero siódma.

– Chodzi o to, że... – kontynuuje pielęgniarka – ktoś się domaga spotkania z pani tatą. Przyjechała jakaś pani, jej nazwiska nie ma na liście upoważnionych, poza tym, jak pani wie, odwiedziny zaczynają się o ósmej. Ta pani bardzo się na mnie denerwuje, krzyczy, i to w obcym języku. Chciałam wezwać policję, ale kazała mi do pani zadzwonić... – Kobieta milknie, jakby się zastanawiała, czy jednak nie powinna zadzwonić na komisariat.

Stoję z otwartymi ustami, przez chwilę brakuje mi słów. Czyżby Elena?

– Proszę mi powiedzieć, co mam robić. Wzywać policję? – pyta Gretchen.

– Nie, absolutnie nie. Zaraz tam będę – odpowiadam.

*

Piętnaście minut później wpadamy z Benjaminem do ośrodka. Benjamin już tu ze mną był – miesiąc temu, gdy w pierwszy wieczór Chanuki w The Wil-

lows zapalono menorę, zaprosiłam go, by poznał tatę. Rozmawiali o znaczkach. Tata był zachwycony, choć nie sądzę, by zrozumiał, że ja i Benjamin się spotykamy. Dziś też pewnie nie będzie go pamiętał. Ale i tak się cieszę, że Benjamin ze mną przyszedł.

Wchodząc do holu, tłumaczę sobie, że niepotrzebnie spodziewam się zbyt wiele.

– Może to nie ona? – pytam Benjamina.

– Myślisz, że jest jakaś inna kobieta, która domagałaby się spotkania z twoim tatą, krzycząc po niemiecku?

– Gretchen nie mówiła, że po niemiecku. Tylko że w innym języku. Tak zrozumiałam.

– To ona – twierdzi Benjamin i oczywiście, jak to on, spokojny i logiczny, ma rację.

Kiedy wychodzimy z za rogu, od razu ją dostrzegam. Siedzi na krześle, ma na sobie długą sukienkę w kwiaty, trochę zbyt jaskrawą. Siwe włosy okalają jej twarz. Na kolanach trzyma ogromną czarną torbę i mocno ściska ją obiema rękami, jakby się bała, że Gretchen lub inna pielęgniarka może zechcieć ją zabrać.

Macham do niej. Elena wstaje i spogląda spode łba na Gretchen.

– Widzi pani, to nie żadna pomyłka – mówi.

Uświadamiam sobie, że już widziałam Gretchen, przy okazji poprzedniej wizyty, ale wtedy jeszcze nie znałam jej imienia. Jest drobniutka i wydaje się zbyt młoda, by mogła być pielęgniarką. Dałabym jej najwyżej szesnaście lat. Sprawia wrażenie przerażonej pojawieniem się i zachowaniem Eleny.

– Wszystko w porządku – uspokajam ją. – Pani Faber, przepraszam, pani March to znajoma taty. Nie uprzedziła mnie, że się do niego wybiera. Gdybym wiedziała, dopisałabym ją do listy.

– A nie mówiłam? – cedzi Elena do pielęgniarki.

– Tu obowiązują pewne zasady, proszę pani – broni się Gretchen – których ja muszę przestrzegać.

– Przepisy – prycha lekceważąco Elena. Ona nie stosuje się do żadnych.

– Proszę za mną. – Dotykam jej ramienia. – Usiądziemy na chwilę w kawiarni, a tu wrócimy o ósmej.

Elena mierzy mnie sceptycznym spojrzeniem, a ja nadal nie wierzę, że tu jest.

– Z całą pewnością – obiecuję.

*

Siadamy w części dla palących, bo wiem, że Elena pali. Czyni to zresztą natychmiast, gdy tylko zajmujemy miejsca przy stoliku – zaciąga się i wypuszcza kłęb dymu.

– Nie przypuszczałam, że się tu spotkamy – mówię. – Szkoda, że pani nie zadzwoniła, nie uprzedziła mnie, że się wybiera.

– Tak. Hm, nie chciałam robić zamieszania. – Szybko zaciąga się jeszcze raz i natychmiast gasi papierosa. – Rzucam palenie – informuje mnie. – W zasadzie już rzuciłam.

– Właśnie widzę – komentuje Benjamin.

Elena posyła mu złowrogie spojrzenie.

– Wszędzie pan jej towarzyszy? – pyta z przyganą, popatrując to na mnie, to na niego.

– Nie, nie wszędzie. – Benjamin lekko się czerwieni. Ostatnio zdarza mu się to dość często.

– A powinien pan – kwituje Elena. – Dobrana z was para. – Pociera palcem o palec. Świerzbi ją, by zapalić, ale nie sięga po papierosa. Przecież właśnie rzuciła palenie. – W zeszłym miesiącu widziałam się z siostrą – mówi, odwracając się do mnie.

– Była pani w Walii? – Natychmiast stają mi przed oczami wilgotne, zamglone schody prowadzące do zamku, schody, które wyprowadziły mnie ze starego życia.

– Tak. Poleciałam do Cardiff. Miri was pozdrawia.

– Jak ona się miewa? – pytam z niepokojem.

– Biodro się zrasta. Wróciła już do domu, do męża.

– Och, na szczęście. – Oddycham z ulgą. Dobrze, że nie musi siedzieć w tym ponurym domu opieki.

– Cudownie było się z nią spotkać. Zobaczyć, że ma się dobrze, jest szczęśliwa i nic jej nie grozi. Po tylu latach. Wam to zawdzięczam. – Spogląda na mnie i na Benjamina. – Znaleźliście ją. I mnie też. – Odchrząkuje i milknie, wyraźnie próbuje się nie rozpłakać. Mruga raz za razem i na chwilę odwraca wzrok, ale szybko odzyskuje panowanie nad sobą i kontynuuje: – Miri mnie o was pytała. I o list, który mi daliście. Chciała wiedzieć, co w nim jest. Prawda jest taka, że go nie otworzyłam. Myślałam, że nigdy tego nie zrobię. Ale ona mnie zmusiła. Powiedziała, że chyba postradałam rozum, skoro nie chcę go przeczytać. Ani tu przyjechać. Teraz, kiedy już mogę.

– I jak, przeczytała pani? – pyta Benjamin.

Elena kiwa głową i wyjmuje list z torby. Potem wyciąga okulary, wsuwa je na nos, otwiera kopertę, wyciąga ze środka kartkę i powoli ją rozkłada.

AUSTRIA, 1939

Tego ranka, gdy zniknęła Elena, Kristoff długo nie mógł się rozgrzać. Trząsł się całymi godzinami, dzwoniły mu zęby, mimo że napalił w piecu, ciepło się ubrał i skulił pod kilkoma kocami. Znalazł w śniegu list – na skraju lasu – i wiele godzin później nadal ścisnął go w dłoni. Była to ostatnia rzecz, której dotykała Elena. Trzymał go tak długo, aż wilgoć przeniknęła przez kopertę i papier całkiem rozmiękł. Nie nadawał się już do wysłania. Cenny znaczek poszedł na marne. Kristoffowi było jednak wszystko jedno. Przestało mu zależeć. Na Austrii. Na Niemcach. Na ich znaczkach. Na adresatce tego listu – kobiecie, dla której przygotowali lewe papiery. Nie zależało mu na niczym i na nikim prócz Eleny. W końcu wrzucił list do ognia. Spalił go w całości, razem ze znaczkiem.

Szukał jej i szukał. Godzinami krążył po zasypanym śniegiem lesie, dopóki nogi nie zdrętwiały mu z zimna, uniemożliwiając dalszy marsz. Za każdym razem, gdy wracał do domu, miał nadzieję, że to jakaś pomyłka, że po prostu ją tam zastanie, na przykład w kuchni, jak roześmiana zagniata ciasto na chleb. Wyobrażał sobie, że usłyszy ją, jak woła: „No coś ty, przecież cały czas tu byłam!”. Ale zawsze zastawał dom pusty. Elena przepadła.

Poszedł na farmę Bauerów z nadzieją, że Josef przyjdzie mu z pomocą, ale okazało się, że nie ma tam żywej duszy. Pały się wszystkie światła, drzwi stały otworem, ale w środku nie było nikogo. A więc Josef też zniknął. Kristoff bał się, że jego także zabrali. Zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, zanim dowiedzą się o nim, o jego przestępstwie, i również po niego przyjdą. Ale już na to nie zważał. Bez Eleny wszystko mu zobojętniało.

Minęły dwa dni i dwie samotne noce. Śnił o Elenie i budził się z uczuciem, że dziewczyna jest gdzieś blisko, nieopodal, tuż obok. Na powrót uwierzył, że jego ukochana żyje. Tłumaczył sobie, że to przecież Elena, jego twarda, niezłomna Elena. Gdyby wywieźli ją do obozu, mogłaby uciec i jakoś do niego wrócić. Dlatego nie opuści domu. Będzie tu na nią czekał.

*

W środku nocy obudziło go łomotanie w drzwi. Z dworu dochodziły gniewne nawoływania Herr Bergmanna, który nakazywał mu natychmiast otwierać. Kristoff wiedział, że musi uciekać, i to natychmiast, bo inaczej zginie. Pamiętał, co powiedział mu Josef: żeby nie zachował się głupio. A Kristoff nie chciał umierać.

Wybiegł przez kuchnię do warsztatu, otworzył klapę w podłodze i schował się w piwniczce. Parę minut później usłyszał nad głową stłumione głosy Niemców. Elena musiała się bardzo bać, kiedy się tu kryła, choć nigdy się do tego nie przyznała. Na myśl o niej – samotnej, przerażonej – chciało mu się wyć. Nie wydał z siebie jednak nawet najcichszego odgłosu. Nad sobą słyszał kroki Herr Bergmanna, który wołał go po imieniu. Ktoś inny powiedział: *Er ist weg*^[6]. Kristoff kulił się pod podłogą, nie ośmielając się drgnąć ani nawet głośniej odetchnąć. Po chwili wszystko ucichło. Pomyślał, że Niemcy zrezygnowali i odeszli. Nie otworzył jednak klapy. Odważył się to zrobić, dopiero gdy poczuł dym. Wyszedłszy z kryjówki, stwierdził, że z dachu domu Faberów buchają płomienie.

Wziął tylko znaczki, swoje fałszywe papiery i kopertę pełną niemieckich marek, i tak jak stał, rzucił się w las. Nie wrócił do domu ani po ubranie na zmianę, ani po kromkę chleba, ani po swój szkicownik, który został na poddaszu.

*

Obiecał Elenie, że popłynie do Ameryki i odnajdzie Fredericka, nawet bez niej. Że się tam spotkają. I tak się stanie. Podczas wędrówki powtarzał to sobie ciągle od nowa. Tak często, że słowa te wracały do niego echem.

Nie było Schwanna, który by go odwiózł, musiał więc iść pieszo. Część drogi pokonał, jadąc z jakimś życzliwym rolnikiem, a potem wsiadł do pociągu. Nie był Żydem, nikt nie wiedział, że spiskował przeciwko Niemcom, a mimo to nie udało mu się dotrzeć do Bremy szybciej niż w dwa tygodnie. W mieście wydał prawie wszystkie pieniądze na bilet na najbliższy statek,

który odpływał do Ameryki za dwa tygodnie. Potem wynajął pokój niedaleko portu i odpoczywał.

Spał niespokojnie. Wciąż śnił o Elenie. Kiedy się budził, co dzień na nowo z rozpaczą uświadamiał sobie straszną prawdę: że był całkiem sam.

Postanowił przed wyjazdem napisać do niej list i nadać go z ich znaczeniem. Pomyślał bowiem, że gdyby jednak jakimś cudem Elena wróciła do domu i zobaczyła, że został spalony, a Kristoffa – co oczywiste – nie znalazła, list czekałby na nią na poczcie.

Najukochańsza!

Piszę z Bremy, gdzie zgodnie z Twoim życzeniem w przyszłym tygodniu wsiedę na statek do Ameryki. Kiedy tam dotrę, odnajdę Gideona Lestera i twojego tatę. Mam nadzieję, że Ty niebawem zrobisz to samo. Że spotkamy się w Ameryce i będziemy razem, tak jak marzyliśmy. Zamieszkamy w małym domku nad wodą. Chcę z Tobą spędzić resztę swoich dni – nie, nie dni, a godzin i minut. Od paru tygodni, od kiedy Cię przy mnie nie ma, przeżywam męczarnię i brnę przez nią tylko dzięki temu, że zamykam oczy i wyobrażam sobie, że jesteś obok. Zawsze będziesz ze mną.

Mam nadzieję, że nic Ci nie grozi i wkrótce przeczytasz ten list. Za żadne skarby świata nie chcę wyjeżdżać bez Ciebie, ale zostać też nie mogę. Już wpadli na nasz trop. Przyszli po mnie i podpalili dom. Powinniśmy byli wyjechać tydzień wcześniej. Odpływając sam, czuję, że Cię zdradzam, ale mimo to nie mam pojęcia, co innego mógłbym zrobić. Przecież tego właśnie sobie życzyłeś.

Żałuję, że nie obudziłaś mnie tamtego ostatniego ranka. Żebym mógł się pożegnać. Ostatni raz Cię pocałować.

Ale przecież Ty nie lubisz pożegnań.

Dlatego nigdy Ci nie powiem „żegnaj”. Tylko „do zobaczenia niebawem”. Bo wiem, że się spotkamy.

Kocham Cię całym sercem

Kristoff

Zanim wsiadł na statek, wybrał się na pocztę, by wysłać list, ale kiedy dotarł na miejsce, nie mógł się zdobyć, by wejść do środka.

Myślał, że Niemcy przeczytają list lub go zniszczą. A gdyby Elena już została aresztowana, to czy taki list mógłby pogorszyć jej sytuację?

Wetknął więc kopertę do kieszeni i postanowił, że list wyśle zza oceanu. Kiedy skończy się wojna.

LOS ANGELES, 1991

Kiedy Elena kończy czytać list, tłumacząc go nam na angielski, wszyscy troje ryczymy jak bobry. Wyobrażam sobie tatę, młodego i zakochanego. „Byłem wtedy innym człowiekiem” – rzeczywiście, należał do Eleny i kochał ją całym sercem.

– Nie mógł napisać „żegnaj” – powtarza Elena. – Tylko „do zobaczenia niebawem”.

– I dlatego pani przyjechała? – pyta Benjamin.

Starsza pani kiwa głową.

– Kiedy pani wspomniała, że z jego pamięcią jest źle, uznałam, że lepiej będzie się tu nie pokazywać. Ale potem Miriam nazwała mnie idiotką. I przeczytałam list. A on tu jest. Żyje. Minęło tyle lat. Runął mur. Sprzedałam trochę mebli, żeby mieć na podróż, wyrobiłam paszport i kupiłam bilet. Tak po prostu. No i w końcu dotarłam do tej Ameryki. – Milknie i upija łyk kawy, którą przed chwilą postawiła przed nią kelnerka. – Może nie będzie mnie pamiętał... Ale ja pamiętam go doskonale. Miriam miała rację. Obie miałyście rację. Musiałam go zobaczyć.

*

O ósmej wracamy do ośrodka. Gretchen tym razem nas wpuszcza. Idę pierwsza, za mną Elena, na końcu Benjamin. Jeszcze z holu widzę, że tata dopiero wstał. Goli się przed małym lustrem w łazience, nucąc przy tym jakąś starą melodię. Nie wchodzę od razu – zatrzymuję się i czekam. Nie mam pojęcia, czy to, co się za chwilę zdarzy, zatrzęsie całym jego światem, czy może nie spowoduje najmniejszego nawet pęknięcia. To drugie wydaje mi się gorsze.

Biorę głęboki wdech.

– Tato! – wołam w głąb pokoju, równocześnie stukając w półotwarte drzwi. – To ja, Katie!

Tata wyłącza golarkę, odkłada ją na umywalkę i wystawia głowę z łazienki.

– Caryca Katarzyna – mówi. – Proszę, proszę, skąd ten zaszczyt? W dodatku o tak wczesnej porze?

Nerwowo wchodzę do pokoju.

– Tato – zaczynam. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale ostatnio na zajęciach rysowałeś portrety.

Tata ściąga brwi i spuszcza wzrok. Jeszcze nie włożył butów, ma na sobie tylko białe skarpetki.

– Portrety pewnej osoby z lat, kiedy byłeś innym człowiekiem – kontynuuję. – Opowiadałeś mi o niej. Przypominasz sobie, jak rozmawialiśmy?

Tata nie odpowiada. Otwiera szufladę szafki nocnej, wyjmuje zrolowany rysunek i go rozwija. Najpierw mu się przygląda, a potem delikatnie wodzi po nim palcem. Elena patrzy na to z korytarza, zza moich pleców. Słyszę jej głębokie westchnienie, a potem kroki, gdy przechodzi przez próg.

Tata podnosi wzrok, dostrzega ją i odruchowo się cofa, jakby zobaczył ducha. Rysunek wypada mu z rąk.

Podnoszę kartkę z podłogi i zwijam w rulon.

– Znalazłam ją – oświadczam. – Właściwie to znaleźliśmy ją razem z Benjaminem.

Gdy wymieniam jego imię, Benjamin wchodzi do pokoju i bierze mnie za rękę.

Elena wysuwa się na przód. Patrzą na siebie z tatą tak, jakby nigdy się nie rozstawali, a równocześnie – jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu.

– *Hallo, Kristoff* – odzywa się Elena.

Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu, czy tata ją rozpozna. On początkowo nic nie mówi, ale potem wyciąga rękę i dotyka jej podbródka, policzka. Jakby badał jej rysy, szkicował je, uruchamiał pamięć, która leżała odłogiem pięćdziesiąt lat, a mimo to i na przekór podstępnej, wyniszczającej go choroby – przetrwała.

– Idealne rysy – mówi.

– Wiesz, kim jestem? – Elena pyta, lecz jednocześnie z pełnym przekonaniem stwierdza fakt. Bo zna już odpowiedź.

Tata przez chwilę się zastanawia.

– Córką gawera. – Choroba sprawiła, że nie może sobie przypomnieć nazwiska Fredericka ani imienia Eleny, ale po jego twarzy widzę, że pamięta radość, jaką dawała mu miłość do tej kobiety, i ból wywołany jej utratą. – Kochałem cię przez długi, długi czas – dodaje rozmarzonym głosem. Pamięta ją w innych czasach i innym miejscu. Zdaje się, że rozumie, jakim cudem jest jej odnalezienie.

– Tak – potwierdza Elena. – Dawno temu zostaliśmy rozdzieleni. A teraz twoja córka mnie odnalazła.

Z piersi taty wyrywa się cichy szloch. Przyciąga Elenę do siebie, oplata ją ramionami, przytula. Opiera policzek na jej głowie i coś szepcze. Zdaje mi się, że słyszę słowo „brzoskwinie”.

– Może lepiej wyjdźmy – proponuje Benjamin. – Dajmy im trochę czasu.

– Zaczekamy w holu – mówię, ale żadne z nich nie zwraca na to uwagi.

– Już mnie nie opuścisz – dochodzi do nas głos taty.

– Nigdy nie powiem „żegnaj”. Najwyżej „do zobaczenia niebawem” – odpowiada Elena.

OD AUTORKI

W górnej szufladzie biurka trzymam list, który jako dziewczynka napisałam do dziadków. Na kopercie ze znaczkiem za dwadzieścia centów z wizerunkiem flagi amerykańskiej widać stempel pocztowy z 1983 roku, a sam list, napisany ręką pięciolatki, opisuje moją tęsknotę za babcią i dziadkiem, którzy po odwiedzinach u nas właśnie odjechali do siebie. Babcia musiała go sobie zachować, bo dwadzieścia pięć lat później, kiedy przeprowadziła się do ośrodka dla osób z zaburzeniami pamięci (podobnego do tego, w którym mieszka ojciec Katie), moja mama znalazła go wśród jej rzeczy i odesłała do mnie. Od tamtego czasu leży w mojej szufladzie. A ja zawsze, gdy na niego patrzę, myślę sobie, ile dawniej znaczyły listy i co utraciliśmy wraz z nadejściem ery cyfrowej.

Babcia opuściła nas kilka lat temu, ale najpierw ją opuściła pamięć. Rozmawiając z nią, czułam to samo co Katie – że mam do czynienia z osobą całkowicie zanurzoną w przeszłości. Słyszac mój głos w słuchawce, babcia mówiła często, że ma przed oczami moją twarz, ale wiedziałam, że widzi pięciolatkę, autorkę tamtego listu. I choć nigdy nie potrafiła sobie przypomnieć, co dziś jadła na śniadanie albo co robiła przed południem, często wracały do niej wydarzenia z młodości, i to w niesamowitych szczegółach. Opowiadała też o hotelu, w którym się jakoby zatrzymała, zastanawiała się, kiedy wróci z wakacji, pytała, gdzie się podziały jej bilety. Postać Teda i fikcyjnego ośrodka terapii zaburzeń pamięci, The Willows, zrodziła się właśnie z moich kontaktów z babcią.

Choć wszyscy bohaterowie tej powieści, z Tedem włącznie, są fikcyjni, to podczas jej pisania inspirowały mnie nie tylko moje osobiste doświadczenia związane z pogarszającym się stanem zdrowia babci, lecz także prawdziwe wydarzenia historyczne.

Znaczki i tworzący je grawerzy pojawiający się na kartach tej książki zostali wprawdzie wymyśleni, lecz w ruchu oporu podczas II wojny światowej

działali prawdziwi. Jeden z nich to Czesław Słania, który fałszował dokumenty na potrzeby polskiej konspiracji. Znaczkę pocztową odgrywały ważną rolę w działaniach organizacji podziemnych walczących przeciwko Niemcom. Te, które w książce wymienia fikcyjny doktor Grimes, istniały naprawdę. Czytałam, że po zaanektowaniu Austrii Niemcy naprawdę wypuścili serię znaczków z tamtejszymi krajobrazami, choć ten stworzony przez Kristoffa zrodził się jedynie w mojej wyobraźni.

Elena również jest postacią fikcyjną; tworząc ją, inspirowałam się jednakże prawdziwymi kobietami, członkiniami podziemnych organizacji walczących z Niemcami w okupowanej Europie – zwłaszcza Sophie Scholl^[7], którą odkryłam, zwiedzając niezwykle mocną w przekazie wystawę poświęconą antyhitlerowskiemu ruchom oporu w Muzeum Holocaustu (U.S. Holocaust Memorial Museum) w Waszyngtonie. Prawdą jest też, że więźniowie obozów koncentracyjnych mogli wysyłać (i otrzymywać) korespondencję na specjalnych kartach pocztowych; regulowały to bardzo restrykcyjne przepisy. To wywarło na mnie szczególne wrażenie. Czytałam też, że listy podlegały cenzurze i często zrywano z nich znaczki, by sprawdzić, czy nie umieszczono pod nimi tajnych wiadomości.

Kindertransport, dzięki któremu ocalała Miriam, również był wydarzeniem historycznym, mającym miejsce bezpośrednio po tak zwanej nocy kryształowej. W wyniku tej akcji w latach 1938–1940 do Anglii trafiły tysiące dzieci uchodźców. Wiele z nich, tak jak Miriam, zostało tam do końca życia i już nigdy nie wróciło do swoich rodzin.

Wydarzenia wokół upadku muru berlińskiego w roku 1989 także opierają się na faktach. Warunki życia w NRD oraz Niemczech tuż po zjednoczeniu, które Katie odwiedza w 1990 roku, zbadałam osobiście. Dotyczy to również hotelu Palasthotel, przed obaleniem muru zamkniętym dla gości z NRD i nieprzyjmującym ich waluty, którego wnętrza faktycznie w całości urządzone były w kolorze brązowym. Organizacja, w której działa Elena, jest luźno wzorowana na tym, co wyczytałam na temat ruchu o nazwie Women for Peace (Kobiety dla Pokoju), stworzonego przez kobiety z obu części Berlina, występujące przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej oraz zbroje-

niom jądrowym.

Zanim zaczęłam pisać tę książkę, moja wiedza o znaczkach pocztowych i filatelistyce była znikoma. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak powstają znaczki, kto je projektuje, a nawet – po co ludzie je zbierają. Pewnego dnia zjawiłam się w bibliotece Postal History Foundation w Tucson z pobieżnym zarysem tej książki w ręku i oświadczyłam, że pracuję nad powieścią o znaczkach. Zostałam natychmiast zaopatrzona w książki, artykuły, zdjęcia i katalogi (w których znaczki pogrupowano według roku, kraju i grawera – takie same, jakie wypożycza Katie), a także udzielono mi podstawowych informacji, dzięki którym zaczęłam pojmować znaczenie znaczków. Wcześniej – tak jak Katie – postrzegałam je wyłącznie jako zadrukowane kwadraciki papieru, dzięki którym listy trafiają do adresata. Kiedy skończyłam pisać tę książkę, widziałam w nich klejnoty.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję fantastycznym pracownikom Riverhead Books, mojej rodzinie wydawniczej: Geoffowi Kloskemu, Kate Stark, Jynne Dilling Martin, a przede wszystkim cudownej redaktorce Laurze Perciasepe, której czujne oko i niepowtarzalny zapał sprawiły, że praca z nią dawała mi nieustającą radość. Dziękuję też niezrównanym działom sprzedaży, marketingu i reklamy zarówno w Penguin Random House, jak i Riverhead Books, ze szczególnym uwzględnieniem Lydii Hirt, Mary Stone, Michelle Giuseffi i Alexandry Guillen.

Jestem głęboko wdzięczna mojej agentce Jessice Regel. Jej wsparcie, błyskotliwość i życzliwość nie pozwalały mi ustawać w pracy. Rozmowa z nią zaowocowała pomysłem na opowieść o Kristoffie i Elenie, a po drugiej rozmowie uwierzyłam, że jestem w stanie to zrobić. Jess, dzięki za wszystko! Składam też podziękowania świetnej ekipie Foundry Literary and Media.

Dziękuję wszystkim moim piszącym znajomym, którzy podsuwali mi pomysły, czytali wstępne wersje i udzielali codziennego wsparcia. Maureen Leurck, Tammy Greenwood i Lauro Fitzgerald – dzięki za przyjaźń. Dziękuję całej mojej rodzinie, bliskiej i dalekiej – wszyscy mnie dopingowaliście i robiliście mi najlepszą reklamę. Szczególne podziękowania kieruję do Gregga, który rozumie i przejmuje pałeczkę, kiedy ja na dobre znikam w fikcyjnym świecie.

Wszystkim czytelnikom jestem wdzięczna za e-maile, zaproszenia do klubów książki, bibliotek, domów i miast. Cieszę się, że czytacie, bo dzięki temu mogę robić to, co najbardziej kocham – pisać książki i o nich rozmawiać!

Przypisy

[1] *Gefrorene Tränen* (niem.) – zamrożone łzy.

[2] *Hampelmann* (niem.) – pajac.

[3] Special Operations Executive (ang. Kierownictwo Operacji Specjalnych) – brytyjska służba specjalna ds. dywersji, wywiadu i sabotażu oraz współpracy z ruchem oporu w państwach okupowanych przez III Rzeszę i jej sojuszników w czasie II wojny światowej (przyp. tłum.).

[4] *Dummkopf* (niem.) – głupek.

[5] *Ignorie sie, Amata!* (niem.) – Zignoruj ją, Amata!

[6] *Er ist weg* (niem.) – Nie ma go.

[7] Sophie Scholl, właśc. Sophia Magdalena Scholl (1921–1943) – niemiecka studentka, działaczka antyhitlerowskiego ruchu oporu w III Rzeszy, za działalność w organizacji Biała Róża skazana na śmierć poprzez ścięcie gilotyną (przyp. red.).